

# JEFFREY ARCHER



PO MOIM TRUPIE



# JEFFREY ARCHER

PO MOIM TRUPIE

Przełożył  
Maciej Szymański



**REBIS**

**DOM WYDAWNICZY REBIS**

*Dla Jacka*

# 1

– Czy pan jest detektywem?

William uniósł głowę znad książki, by spojrzeć na młodego człowieka, który zadał pytanie.

– Nie. Jestem zastępcą dyrektora w Midland Banku w Shoreham, w hrabstwie Kent.

– W takim razie – ciągnął młodzieniec, najwyraźniej nieprzekonany – z pewnością może mi pan powiedzieć, jaki mieliśmy kurs dolara do funta, gdy rano ruszył rynek walutowy.

William spróbował przypomnieć sobie, ile dolarów dostał za sto funtów, które wymieniał, zanim wszedł na pokład, ledwie poprzedniego wieczoru, lecz wahał się zbyt długo.

– Dolar i pięćdziesiąt cztery centy za funta – oznajmił młodzieniec. – Zatem proszę wybaczyć, ale dlaczego nie chce pan po prostu przyznać, że jest detektywem?

William odłożył na stolik książkę, by uważniej przyjrzeć się młodemu Amerykaninowi, maską powagi starającemu się dowieść, iż nie jest dzieckiem, choć jeszcze nie zaczął się golić. Mały elegancik, pomyślał.

– A potrafisz dochować tajemnicy? – spytał szeptem.

– Naturalnie – odparł urażony młodzieniec.

– Usiądź więc, proszę. – William wskazał na wygodne krzesło stojące naprzeciwko. Zaczekał, aż Amerykanin zajmie miejsce. – Jestem na wakacjach i obiecałem żonie, że przez dziesięć dni nikomu nie wyjawię, iż jestem detektywem, bo zawsze po takim wyznaniu pytaniom nie ma końca i mogę zapomnieć o wypoczynku.

– Ale dlaczego postanowił pan udawać akurat bankowca? – dociekał młodzieniec. – Bo mam wrażenie, że nie odróżniłby pan arkusza kalkulacyjnego od bilansowego.

– Dobrze się z żoną zastanowiliśmy, zanim postawiliśmy na bankowca. Dorastałem w latach sześćdziesiątych w Shoreham, małym angielskim

miasteczku, a dyrektor tamtejszego banku przyjaźnił się z moim ojcem. Uznałem, że zdołam być wiarygodny w tej roli choć przez dwa tygodnie.

– Kto jeszcze był na liście?

– Agent nieruchomości, sprzedawca samochodów i przedsiębiorca pogrzebowy. Byliśmy przekonani, że takim postaciom nikt nie miałby ochoty zadawać nazbyt wielu pytań.

Młodzieniec parsknął śmiechem.

– A ty jaki wybrałbyś zawód? – spytał William, próbując przejąć inicjatywę.

– Zawodowego zabójcy. Absolutnie nikt nie ośmieliłby się zadawać mi pytań.

– Od razu wiedziałbym, że to przykrywka – odrzekł William, lekceważąco machając ręką – bo żaden zabójca nie zapytałby, czy jestem detektywem. Wiedzialby od razu. A skoro nie jesteś zabójcą, to czym naprawdę się zajmujesz?

– W tym roku kończę Choate, prywatne liceum w Connecticut.

– I wiesz już, co dalej? Oczywiście zakładam, że nie zostaniesz zabójcą.

– Stawiam na Harvard: najpierw historia, potem prawo.

– A następnie, nie wątpię, praca w znanej kancelarii prawnej i szybki awans na młodszego wspólnika.

– Nie, proszę pana. Wolę być stróżem prawa. Chciałbym przez rok być redaktorem w „Law Review”, a potem wstąpić do FBI.

– Jak na kogoś tak młodego całkiem szczegółowo zaplanowałeś karierę.

Młodzieniec zmarszczył brwi, znowu wyraźnie urażony, William dodał więc prędko:

– Ja w twoim wieku byłem taki sam. I już od ósmego roku życia pragnąłem być detektywem, służyć w Scotland Yardzie.

– Aż tyle czasu pan potrzebował?

William uśmiechnął się do bystrego chłopaka, który bez wątpienia wiedział już, co znaczy „przedwcześnie dojrzały”, nawet jeśli nie zdawał sobie sprawy, jak pasuje do niego to określenie. Uzmysłowiwszy sobie, że jako uczeń sam miał podobny problem, pochylił się lekko, wyciągnął rękę i rzekł:

– Detektyw starszy inspektor William Warwick.

– James Buchanan – przedstawił się Amerykanin, mocno potrząsając dłonią Williama. – Jeśli wolno spytać... W jaki sposób zaszedł pan tak wysoko? Skoro chodził pan do szkoły w latach sześćdziesiątych, to nie może pan mieć więcej niż...

– A skąd pewność, że przyjmą cię na Harvard? – spytał William, by zmienić temat. – Przecież masz co najwyżej...

– Siedemnaście lat – dopowiedział James. – Ze średnią cztery koma osiem jestem wśród najlepszych w klasie, więc raczej nie muszę drzeć o wynik egzaminów. Jak rozumiem, dostał się pan do Scotland Yardu, inspektorze? – zagadnął po krótkiej pauzie.

– Tak – odparł William. Zwykle przesłuchiwali go prawnicy, nie nastolatki, ale rozmowa była całkiem przyjemna. – Skoro jesteś takim bystrzakiem, to dlaczego nie wybrałeś kariery prawnika, a może i polityka?

– Mamy w Ameryce zbyt wielu prawników – stwierdził James, wzruszając ramionami. – Większość z nich kończy, namawiając ludzi do absurdalnych pozwów.

– A polityka?

– Mam niski próg tolerancji dla durniów, a poza tym nie chciałbym spędzić życia uzależniony od kaprysów wyborców, montując własne poglądy na podstawie wyników badań opinii publicznej.

– A zostając dyrektorem FBI...

– Byłbym sobie panem, odpowiadałbym wyłącznie przed prezydentem i nie zawsze zdradzałbym mu, co zamierzam.

William roześmiał się mimowolnie, słuchając młodzika, któremu niewątpliwie nie brakowało pewności siebie.

– A pan? – spytał James, nieco rozluźniony. – Liczy pan, że zostanie komisarzem Policji Metropolitalnej?

William nie odpowiedział.

– Widzę, że dopuszcza pan taką możliwość – dorzucił James. – Mogę jeszcze o coś spytać?

– Nie wyobrażam sobie, co mogłoby cię powstrzymać.

– Jakie cechy, pańskim zdaniem, powinien mieć najlepszy detektyw?

– Wrodzoną ciekawość – odparł William po dłuższym namyśle. – Dzięki niej potrafi natychmiast dostrzec element, który nie pasuje do pozostałych.

James wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni i zaczął notować słowa Williama na odwrocie „Alden Daily News”.

– Musi też umieć zadawać właściwe pytania podejrzanym, świadkom i współpracownikom, unikać przyjmowania założeń z góry, a nade wszystko... być cierpliwy. To dlatego kobiety są zwykle lepszymi policjantkami niż mężczyźni. I wreszcie detektyw musi umieć posługiwać się wszystkimi zmysłami: wzrokiem, słuchem, dotykiem, węchem i smakiem.

– Chyba nie do końca rozumiem – wtrącił James.

– Kiedyś to musiało nastąpić – mruknął William i zaraz pożałował tych słów, ale młodzieniec tylko się roześmiał; również po raz pierwszy. – Zamknij oczy – polecił detektyw i odczekawszy chwilę, dodał: – Opisz mnie.

Młody Amerykanin nie spieszył się z odpowiedzią.

– Ma pan trzydzieści, może trzydzieści pięć lat, trochę ponad sześć stóp wzrostu, jasne włosy i niebieskie oczy. Waży pan może ze sto siedemdziesiąt funtów i jest w niezłej formie, ale już nie takiej jak dawniej. W swoim czasie doznał pan poważnego urazu barku.

– Dlaczego sądzisz, że nie jestem w najlepszej formie? – spytał dotknięty William.

– Moim zdaniem ma pan sześć, siedem funtów nadwagi, a to pierwszy dzień podróży, więc nie możemy winić za to niekończących się posiłków serwowanych na statkach pasażerskich.

William zmarszczył brwi.

– A ten uraz?

– Ma pan rozpięte dwa guziki koszuli, więc gdy schylił się pan, podając mi rękę, dostrzegłem na lewym barku wyblakłą już bliznę.

William pomyślał – jak czynił to nader często – o swym mentorze, konstablu Fredzie Yatesie, który oddał życie, by go ocalić. Praca policjanta nie zawsze bywa taka romantyczna, jak się wydaje niektórym pisarzom.

– A jaką książkę czytam? – zapytał prędko.

– *Wodnikowe Wzgórze* Richarda Adamsa. I uprzedzę kolejne pytanie: jest pan na stronie sto czterdziestej trzeciej.

– A co ci mówi moje ubranie?

– Przyznaję, że na razie jest dla mnie zagadką. Musiałbym zadać jeszcze parę subtelnych pytań, żeby odpowiedzieć... oczywiście pod warunkiem że powie pan prawdę.

– Przyjmijmy, że jestem przestępcą, który nie zechce odpowiedzieć na twoje pytania, póki nie zadzwoni do adwokata.

James zawahał się, po czym powiedział:

– Już to, samo w sobie, jest cenną informacją.

– Dlaczego?

– Bo oznacza, że mógł pan już mieć kłopoty z prawem, a jeśli zna pan numer adwokata na pamięć, to na pewno pan miał.

– Zgoda. Załóżmy więc, że nie mam adwokata, ale wystarczająco naoglądałem się telewizji, żeby wiedzieć, że nie muszę odpowiadać na żadne pytania. Co zdołałeś wydedukować, nie zadawszy mi ani jednego?



– Nosi pan niezbyt drogie ubranie, pewnie kupione w zwykłym sklepie, a jednak podróżuje pan pierwszą klasą.

– Co z tego wynika?

– Nosi pan obrączkę... być może pańska żona jest zamożna. A może po prostu wykonuje pan specjalne zadanie.

– Ani jedno, ani drugie – rzekł William. – Tu właśnie kończy się obserwacja, a zaczyna praca detektywa. Ale nieźle.

Młodzieniec otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Teraz moja kolej, sir. Proszę zamknąć oczy.

William był nieco zaskoczony, ale postanowił kontynuować zabawę.

– Proszę mnie opisać.

– Bystry, pewny siebie, ale i niedowartościowany.

– Niedowartościowany?

– Może i jesteś najlepszy w klasie, ale wciąż rozpaczliwie szukasz uznania.

– Co mam na sobie? – spytał James.

– Białą, tradycyjną koszulę z bawełny, być może marki Brooks Brothers. Granatowe szorty, białe bawełniane skarpety oraz sportowe pumy, choć rzadko, o ile w ogóle, ćwiczysz.

– Skąd ta pewność?

– Gdy szedłeś w moją stronę, zauważyłem, że stawiasz stopy palcami na zewnątrz. Gdybyś był sportowcem, stawiałbyś je w linii prostej. Jeśli mi nie wierzysz, przyjrzyj się kiedyś śladom wytrawnego biegacza na żuźlowej bieżni.

– Znaki szczególne?

– Niewielkie znamię tuż pod lewym uchem. Próbujesz je ukrywać, nosząc dłuższe włosy, ale będziesz musiał zmienić fryzurę, gdy wstąpisz do FBI.

– Proszę opisać obrazek za moimi plecami.

– To czarno-białe zdjęcie tego statku, *Aldena*, wypływającego z portu nowojorskiego dwudziestego trzeciego maja 1977 roku. Mógł to być jego dziewiczy rejs, bo towarzyszyła mu cała flotylla.

– Skąd nazwa *Alden*?

– To już nie jest próba mojej spostrzegawczości, tylko test wiedzy ogólnej – zauważył William. – Gdybym rzeczywiście potrzebował odpowiedzi, mógłbym ją znaleźć później. Pierwsze wrażenie często bywa mylące. To dlatego niczego nie można zakładać z góry. Ale jeśli musiałbym zgadywać... a jako detektyw nie powinienem... to obstawiłbym, że to nazwisko jednego z pielgrzymów, którzy w 1620 roku wypłynęli z Plymouth do Ameryki na pokładzie *Mayflowera*.

– Ile mam wzrostu?



– O cał mniej niż ja, ale ostatecznie będziesz pewnie o cał wyższy. Wążysz może sto czterdzieści funtów i całkiem niedawno zacząłeś się golić.

– Ile osób przeszło obok nas, odkąd zamknął pan oczy?

– Matka z dwojgiem dzieci, Amerykanie, chłopiec ma na imię Bobby, a zaraz potem oficer z załogi tego statku...

– Skąd pan wie, że oficer?

– Mijający go marynarz użył słówka „sir”. Poza tym był tu jeszcze starszy dżentelmen.

– Dlaczego akurat starszy?

– Używał laski i minęła dłuższa chwila, zanim jej stukot ucichł w oddali.

– Jestem na wpół ślepy. – James westchnął.

William otworzył oczy.

– Przeciwnie – odrzekł. – Teraz moja kolej, by zadać podejrzanemu kilka pytań.

James usiadł prosto, z wyrazem skupienia na twarzy.

– Dobry detektyw powinien zawsze polegać na faktach i nigdy nie przyjmować niczego za pewnik. Dlatego najpierw muszę wiedzieć, czy Fraser Buchanan, prezes Pilgrim Line, jest twoim dziadkiem.

– Tak jest. A mój ojciec, Angus, jest jego zastępcą.

– Fraser, Angus i James. Imiona sugerują szkockie pochodzenie.

James skinął głową.

– Zapewne obaj sądzą, że w swoim czasie to ty zostaniesz prezesem.

– Dałem im jasno do zrozumienia, że tak się nie stanie – odparł stanowczo James.

– Z tego, co słyszałem i czytałem na temat twojego dziadka, wynika, że zwykle udaje mu się postawić na swoim.

– To prawda – przytaknął James. – Czasem jednak zdarza mu się zapomnieć, że płynie w nas ta sama krew – dorzucił z krzywym uśmiechem.

– Miałem podobny problem z moim ojcem – przyznał William. – Jest adwokatem w sprawach kryminalnych, w randze radcy królewskiego, i zawsze mu się wydawało, że podążę jego śladem. „Join the bar”, mawiał, choć od najwcześniejszych lat powtarzałem mu, że chcę posyłać przestępców do więzienia, a nie ratować ich przed sprawiedliwością za nieprzyzwoicie wysokie honoraria.

– George Bernard Shaw miał rację – stwierdził James. – Rzeczywiście dzieli nas wspólny język. Dla was „bar” to palestra, dla Amerykanina przede wszystkim wysokie stołki i drinki.

– Sprytny przestępca zawsze próbuje zmienić temat – zauważył William. – Jednakże solidny detektyw nie pozwala sobie na zgubienie wątku. Nie odpowiedziałeś mi jeszcze, co myśli twój dziadek o tym, że nie zamierzasz zostać prezesem.

– Przypuszczam, że jest jeszcze gorszy od pańskiego ojca – odparł James. – Już grozi, że mnie wykreśli z testamentu, jeśli zaraz po Harvardzie nie dołączę do firmy. Prawda jest jednak taka, że tego nie zrobi, póki żyje moja babcia.

William zachichotał.

– Czy uznałby mnie pan za natręta, sir, gdybym poprosił, żeby wolno mi było spędzać z panem może godzinę dziennie, do końca tej podróży? – Tym razem w głosie Jamesa nie było ani śladu pewności siebie.

– Przystanę na to z przyjemnością. Najlepiej, żebyśmy się spotykali rano, mniej więcej o tej porze, gdy moja żona chodzi na jogę. Z jednym zastrzeżeniem: jeśli będzie ci dane ją poznać, nie wspomnisz ani słowem, o czym rozmawialiśmy.

– A o czym rozmawialiście? – spytała Beth, przystając tuż obok.

James zerwał się na równe nogi.

– O cenie złota, pani Warwick – wypalił z powagą.

– W takim razie prędko musiałeś się przekonać, że na ten temat mój mąż wie wyjątkowo mało – odparła gładko Beth, uśmiechając się ciepło do młodzieńca.

– Właśnie miałem ci powiedzieć, James – wtrącił William – że moja żona jest ode mnie o niebo bystrzejsza. To dlatego jest kustoszem działu obrazów w Fitzmolean Museum, a ja ledwie detektywem starszym inspektorem.

– Najmłodszym w dziejach Policji Metropolitalnej – dorzuciła Beth.

– Ale jeśli kiedykolwiek wypowiesz przy mojej żonie słówko „metropolitalne”, będzie przekonana, że masz na myśli jedno z najwspanialszych muzeów na świecie, a nie siły londyńskiej policji.

– Bardzo się cieszę, że udało się państwu odzyskać Vermeera – powiedział James, zwracając się do pani Warwick.

Tym razem to Beth była zaskoczona.

– Ach, tak – odpowiedziała po chwili. – Całe szczęście, że drugi raz nie zostanie skradziony, bo złodziej nie żyje.

– Miles Faulkner – podchwycił James. – Zmarł w Szwajcarii na zawał serca.

William i Beth wymienili spojrzenia bez słowa.

– Był pan nawet na jego pogrzebie, inspektorze, przypuszczalnie, żeby się upewnić, czy on naprawdę nie żyje.

– Skąd, u licha, o tym wiesz? – zdumiał się William.

– „The Spectator” i „New Statesman” to moja cotygodniowa lektura, więc jestem na bieżąco z tym, co dzieje się w Wielkiej Brytanii. Na tej podstawie wyrabiam sobie własne zdanie.

– Naturalnie – mruknął William.

– Nie mogę się doczekać jutrzejszego spotkania, sir – rzekł James. – Zamierzam spytać, czy pańskim zdaniem to możliwe, że Miles Faulkner jednak żyje.

## 2

Następnego ranka, tuż po ósmej, Miles Faulkner wszedł do sali restauracyjnej hotelu Savoy i ujrzał swego adwokata siedzącego tam gdzie zawsze. Nikt nawet nań nie spojrzał, gdy lawirował między stolikami.

– Dzień dobry – powiedział Booth Watson, spoglądając w górę na swego klienta, którego nie lubił i któremu nie ufał. A jednak to Faulkner zafundował mu życie na takim poziomie, o jakim większość jego kolegów z palestry mogła jedynie pomarzyć.

– Dzień dobry, BW – odparł Miles, siadając naprzeciwko.

Niemal natychmiast pojawił się kelner z notesem i długopisem w dłoni.

– Czym mogę panom służyć? – spytał.

– Angielskie śniadanie proszę – odparł Miles, nie zaglądając do menu.

– A dla pana to, co zwykle?

– Tak – potwierdził Booth Watson, baczniej przyglądając się swemu klientowi. Musiał przyznać, że szwajcarski chirurg wykonał pierwszorzędną robotę. Nikt nie rozpoznałby człowieka, który nie tak dawno uciekł z więzienia, wziął udział we własnym pogrzebie, a ostatnio zmartwychwstał. Mężczyzna, który przed nim siedział, w niczym nie przypominał utalentowanego przedsiębiorcy, do niedawna właściciela jednej z najwspanialszych prywatnych kolekcji sztuki. Obecnie był to emerytowany kapitan marynarki wojennej, weteran wojny falklandzkiej, znany jako Ralph Neville. Gdyby William Warwick dowiedział się, że jego nemezis nadal żyje, za wszelką cenę starałby się umieścić go za kratkami. Byłaby to jego osobista krucjata: dopaść człowieka, który wymknął się z jego szponów, człowieka, który ośmieszył Policję Metropolitalną, człowieka, który...

– Dlaczego nalegałeś na tak pilne spotkanie? – spytał Miles, gdy tylko kelner się oddalił.

– Wczoraj zadzwoniła do mnie dziennikarka śledcza z „Sunday Timesa”. Pytała, czy wiem coś o obrazie Rafaela sprzedanym ostatnio w Christie’s. Fałszywym, jak się okazało.

– I co jej powiedziałaś? – spytał zaniepokojony Miles.

– Zapewniłem, że oryginał należy do prywatnej kolekcji świętej pamięci Milesa Faulknera i bezpiecznie wisi w willi wdowy, w Monte Carlo.

– Niekoniecznie – mruknął złowieszczo Miles. – Gdy tylko Christina się dowiedziała, że jednak nie jest wdową, nie miałem wyboru: musiałem przenieść kolekcję w bezpieczniejsze miejsce, żeby nie wpadła w jej ręce.

– Czyli dokąd? – zapytał Booth Watson, zastanawiając się, jakie są szanse na to, że usłyszysz prawdziwą odpowiedź.

– Znalazłem zakątek, w którym miejscowi nie będą zbyt wścibscy, a napaskudzić na mnie mogą co najwyżej mewy – odparł wymijająco Miles.

– Cieszy mnie to, bo przyszło mi na myśl, że mądrze byłoby opuścić Anglię na kilka tygodni, zanim pojawisz się jako kapitan Neville, a wakacje starszego inspektora Warwicka w Nowym Jorku to najlepszy moment.

– Wakacje, które zorganizowała im Christina, żeby się upewnić, że nie będą nam bruździli, gdy po raz drugi będziemy brali ślub.

– A czy Beth Warwick nie miała być druzną Christiny?

– Owszem, zanim Christina odkryła, dlaczego nie mogę sobie pozwolić, żeby widziano mnie na pokładzie *Aldena*.

– Musisz przyznać, że twoja była czasem się przydaje – stwierdził Booth Watson. – Na przykład wtedy, gdy możemy wykorzystać jej bliskie stosunki z panią Warwick.

– Szczerze mówiąc, BW, byłoby znacznie lepiej, gdyby Christina nigdy się nie dowiedziała, że nadal żyję. Proszę więc, wyjaśnij mi, po cholere mam się żenić po raz drugi z tą samą kobietą?

– To małżeństwo ostatecznie rozwiąże wszystkie twoje problemy – odparł Booth Watson. – Nie zapominaj, że Christina jest jedyną osobą, która może mieć na oku inspektora Warwicka, nie wzbudzając w nim najmniejszych podejrzeń.

– A jeśli nas zdradzi? – spytał Faulkner.

– To bardzo mało prawdopodobne, dopóki mocno trzymasz sznurek sakiewki. Faulkner nie wyglądał na przekonanego.

– Wszystko może się zmienić, jeśli odkryją, kim jest kapitan Ralph Neville, i skończę w więzieniu.

– Wtedy miałaby do czynienia ze mną i szybko by się przekonała, po czyjej jestem stronie.

– A i ty nie masz wyboru – zauważył Miles – bo musiałbyś się gęsto tłumaczyć przed Radą Adwokacką, dlaczego przez parę lat reprezentowałeś zbiegłego przestępcę, świetnie wiedząc, kim naprawdę jest.

– Tym bardziej trzeba nam dopilnować, by Christina podpisała umowę: niech wie, że jeśli się złamie, straci tyle samo, co my.

– Dopilnuj przede wszystkim tego, żeby podpisała ją przed ślubem z kapitanem Neville’em, a już na pewno przed powrotem Warwicków do Blighty<sup>1</sup>.

– Blighty? – powtórzył BW.

– Tak gada kapitan Neville, stary druha – wyjaśnił Miles, wyraźnie zadowolony z siebie. – To kiedy spotykasz się z Christiną?

– Jutro rano w kancelarii. Poczytamy sobie umowę punkt po punkcie, skupiając się zwłaszcza na tym, co się może stać, jeśli Christina jej nie podpisze.

– Świetnie. Bo gdyby przyszło jej do głowy przejąć moją kolekcję dzieł sztuki w najprostszy sposób, czyli zdradzając przyjaciółce Beth, że Miles Faulkner żyje i ma się znakomicie...

– To wkrótce jadałbyś śniadania w Pentonville, a nie w Savoyu.

– Gdyby miało do tego dojść, nie wahałbym się jej zabić – oznajmił Miles.

– To akurat już jej uświadomiłem – rzekł Booth Watson, spoglądając na kelnera, który właśnie wracał z tacą. – Choć muszę przyznać, że ostateczny tekst umowy nie wyłuszcza tego aż tak dosłownie.

– Angielskie śniadanie dla pani?

– Wykluczone, Franco – odpowiedziała Beth, zerkając na identyfikator na piersi kelnera. – Zjemy płatki kukurydziane z melonem i grzanki z ciemnego pieczywa.

– Mogę zaproponować melona w trzech odmianach, proszę pani: kantalupa, biały czy arbuz?

– Stawiam na wodę. Dziękujemy – wtrącił William.

– Słuszny wybór – pochwaliła Beth. – Czytałam gdzieś, że podczas morskiej podróży tyje się średnio funt dziennie.

– W takim razie dziękujemy Opatrzności, że płyniemy do Nowego Jorku, a nie do Sydney.

– Takim pływającym pałacem chętnie wybrałabym się i do Sydney – przyznała Beth, rozglądając się po sali. – Codziennie świeże obrusy i serwetki, a gdy wracam do kabiny, widzę nową, nieskazitelnie czystą pościel, a nawet równiutko poskładane ubrania... I uwielbiam to, że pranie dociera do nas wieczorem w tych ślicznych plecionych koszykach. Wyobrażam sobie niewolniczy trud dziesiątek ludzi, dzięki którym to wszystko działa tak gładko.

– Mamy pod pokładem ośmiuset trzydziestu Filipińczyków – odparł kelner, chichocząc – którzy obsługują tysiąc dwustu pasażerów. Na szczęście mamy też maszynownię, więc obywamy się bez rzeszy niewolników przy wiosłach.

– A czy tam, u szczytu stołu pośrodku sali, zasiada naczelny poganiacz niewolników? – spytała Beth.

– Tak jest, to kapitan Buchanan – potwierdził Franco. – Gdy nie jest zajęty chłostaniem niewolników, pełni funkcję prezesa Pilgrim Line.

– Kapitan Buchanan? – powtórzył William.

– Tak jest. Podczas drugiej wojny światowej nasz prezes był oficerem marynarki wojennej. Być może zainteresuje państwa i to, że przyjaźnił się ze świętej pamięci Milesem Faulknerem i jego żoną Christiną. Tak się składa, że to ona zawiadomiła nas, iż zajmą państwo ich kabinę, i poprosiła o szczególną opiekę dla państwa.

– Czyżby? – mruknął William.

– A czy przy drugim końcu stołu siedzi żona prezesa? – spytała Beth.

– Tak, proszę pani – odparł Franco. – Państwo Buchanan niemal zawsze przychodzą na śniadanie pierwsi – skomentował, po czym odszedł w stronę kuchni.

– Prezentuje się równie groźnie jak Miles Faulkner – zauważyła Beth, przyglądając się bacznie prezesowi. – Najwyraźniej jednak wykorzystał swój talent w znacznie bardziej zbożnym celu niż okradanie bliźnich.

– Fraser Buchanan urodził się w Glasgow w 1921 roku – zaczął William. – Jako czternastolatek rzucił szkołę i zaciągnął się do marynarki handlowej. Gdy wybuchła wojna, wstąpił do Royal Navy... nie był wtedy nawet podoficerem, a kończył służbę już jako porucznik na HMS *Nelsonie*. I choć w 1945 roku dostał jeszcze awans na kapitana, zrezygnował kilka dni po ogłoszeniu zakończenia działań wojennych. Wrócił wtedy do Szkocji i kupił niewielką firmę promową, wożącą pasażerów i samochody na Ionę. Dziś ma flotę dwudziestu sześciu statków, a Pilgrim Line ustępuje wielkością i renomą jedynie Cunardowi.

– A wszystkie te wiadomości wyciągnęłaś od młodego Jamesa, gdy byłam na jodze? – zasugerowała Beth.

– Nie. Całą historię firmy wyczytałem w „Ship’s Log” znalezionym przy łóżku – odparł William, gdy Franco stawiał przed nimi miseczki z płatkami kukurydzianymi i plasterkami arbuza.

– A kto właśnie się przysiadł do pani Buchanan? – zapytał szeptem po chwili.

– Franco, wybacz mojemu mężowi – odezwała się Beth. – Jest detektywem z zawodu i całe życie jest dla niego niekończącym się śledztwem.



– To Hamish Buchanan – odparł kelner – najstarszy syn prezesa i do niedawna jego zastępca.

– Do niedawna? – podchwycił William. – Przecież nawet nie ma czterdziestki.

– Zachowuj się – upomniała go Beth.

– Jeśli wierzyć gazetom – odezwał się poufnym tonem Franco – podczas ostatniego dorocznego zgromadzenia udziałowców zastąpił go brat, Angus... O, właśnie wchodzi ze swą żoną Alice i synem...

– Jamesem – dopowiedział William.

– Ach! – uśmiechnął się Franco. – Już pan poznał ich cudowne dziecko.

– A dama, która właśnie usiadła po lewej stronie pana Buchanana? Zauważyłem, że nawet się nie przywitała z prezesem.

– To żona pana Hamisha, Sara.

– Dlaczego wybrała się w podróż z nimi, skoro właśnie wyrzucili jej męża? – spytała Beth.

– Oficjalny komunikat mówi jedynie, że „zastąpił go brat, Angus” – przypomniał Franco, napełniając filiżankę Beth parującą czarną kawą. – Pan Hamish nadal jest dyrektorem firmy, więc oczekuje się, że weźmie udział w zebraniu zarządu, które odbywa się zawsze w ostatnim dniu rejsu.

– Jesteś znakomicie poinformowany, Franco – pochwalił go William.

Kelner bez słowa oddalił się w stronę sąsiedniego stolika.

– Zapowiada się ekscytująca wyprawa – stwierdziła Beth i z trudem stłumiła ziewnięcie, spoglądając wciąż na prezesa i jego rodzinę. – Ciekawe, kim jest ta kobieta, która właśnie do nich dołączyła.

– Jesteś nie gorsza ode mnie – zauważył William, obserwując, jak James i Hamish na stojąco czekają, aż starsza dama zajmie miejsce przy stole. – Wydaje się, że jest w podobnym wieku jak prezes i oboje mają rude włosy, więc nie zdziwiłbym się, gdyby była jego siostrą. – Przyglądając się siedzącym, William doszedł do wniosku, że przydzielono im miejsca według przemyślanego planu: prezes najwyraźniej chciał mieć pewność, że kontroluje sytuację.

– Będziesz mógł o to spytać Jamesa, gdy pójdę na jogę. A teraz zapomnijmy na chwilę o rodzinie Buchananów. Chcę ci powiedzieć, co zaplanowałam na nasz tygodniowy pobyt w Nowym Jorku.

– Domyślam się, że Met znalazło się na szczycie twojej listy – odparł William. – I nie wątpię, że na takie muzeum potrzeba więcej niż jednej wizyty.

– Trzech – sprecyzowała Beth. – Wszystko sprzed 1850 roku obejrzymy w sobotę, sztukę tubylczą w poniedziałek, a środę zarezerwowałam na kolekcję

impresjonistów. Według Toma Knoxa tylko Musée d'Orsay ma lepszą.

– Fiu... Czy to znaczy, że we wtorek i czwartek mamy przerwę techniczną? – spytał William, siorbiąc gorącą kawę.

– Ależ skąd. We wtorek czeka na nas Frick, gdzie...

– ...zobaczymy wybitny portret Thomasa Cromwella pędzla Holbeina oraz *Świętego Franciszka na pustyni* Belliniego.

– Czasem zapominam, że jesteś na wpół wyedukowanym Jaskiniowcem.

– Przez żonę, odkąd opuściłem uniwersytet – uzupełnił William. – A co w czwartek?

– MoMA. Wyjątkowa okazja, żeby zobaczyć najlepszych kubistów, Picassa i Braque'a. Przekonamy się, czy odróżnisz ich dzieła.

– A nie będą podpisane u dołu? – spytał drwiąco William.

– Dla turystów, którzy wieczorami nie będą nam towarzyszyć.

– A kto będzie?

– Mamy bilety do Lincoln Center. Filharmonia Nowojorska gra Brahmsa.

– Założę się, że *Drugi koncert fortepianowy B-dur* – powiedział William. – Jeden z twoich ulubionych.

– Ja też pamiętam, co lubisz najbardziej – odrzekła Beth. – Dlatego w piątek wieczorem, dzień przed wylotem, idziemy do Carnegie Hall na koncert Elli Fitzgerald.

– Jak ci się to udało? Bilety były pewnie wyprzedane od miesiąca!

– To zasługa Christiny. Zdaje się, że zna kogoś w zarządzie. Zaczynam czuć się winna wobec niej – dodała Beth po krótkiej pauzie.

– Dlaczego? Jedyнным powodem, dla którego nie wybrała się do Nowego Jorku, jest to, że wychodzi za Ralpa. Była zachwycona, że w ostatniej chwili udało jej się znaleźć chętnego na ten rejs.

– Właśnie o ten ślub mi chodzi. Nie zapominaj, że prosiła, żebym została jej druhną. My jednak skorzystaliśmy z okazji, może nadużywając hojności Christiny, i dlatego nie będę mogła jej towarzyszyć.

– Nie uważasz, że to ciekawy zbieg okoliczności?

– Wcale. Piętnasty sierpnia to jedyna sobota przed końcem września, w którą mogli wziąć ślub w jej parafii w Limpton-in-the-Marsh; dlatego została z biletami w kieszeni... Nie powinniśmy zaglądać darowanemu koniowi w zęby.

William uznał, że to nie najlepszy moment, by zdradzić Beth, że wystarczyła mu jedna rozmowa telefoniczna, żeby ustalić fakty: kościół parafialny Christiny był też wolny dwa tygodnie wcześniej, co oznaczało, że mogła spokojnie udać się transatlantyką w podróż poślubną z kapitanem Ralphem Neville'em.

Gdyby zaś wcześniej oznajmił żonie, że nie wyruszy z nią w ten rejs, bo chce przyjrzeć się bliżej poczynaniom Christiny i jej nowego małżonka, Beth pewnie sama popłynęłaby w siną dal.

– Zauważyłaś, że Sara Buchanan nie odezwała się do prezesa ani jednym słowem, odkąd tam usiadła? – spytała Beth, spoglądając znowu na kapitański stół.

– Pewnie dlatego, że zwolnił jej męża z posady wiceprezesa – zasugerował William, smarując masłem drugą grzanekę.

– Spostrzegłeś jeszcze coś ciekawego, gdy udawałeś, że mnie słuchasz?

– Hamish Buchanan jest bardzo zajęty rozmową z matką, James zaś udaje niezainteresowanego, a jednocześnie chłonie każde słowo.

– I niewątpliwie powtórzy ci wszystko, co usłyszysz, skoro zwerbowałeś go sobie jako tajnego agenta na czas tej podróży.

– James sam się zwerbował, a jako wnuk prezesa rzeczywiście może być niewyczerpanym źródłem niejawnych informacji.

– Dla mężczyzny to informacje – skomentowała Beth – a dla kobiety po prostu plotki.

– James uprzedził mnie, że nie będzie zdziwiony, jeśli podczas tego rejsu dojdzie do jawnej awantury – dorzucił William, puszczając mimo uszu uwagę Beth.

– Chciałabym być solniczką na tamtym stole – przyznała.

– Zachowuj się albo przyjrzeć się bliżej temu młodzianowi, który prowadzi twoje zajęcia jogi.

– Ma na imię Stefan i podoba się wszystkim innym kobietom w średnim wieku z naszej grupy. Chyba nie mam wielkich szans – westchnęła Beth.

– Nie jesteś w średnim wieku – zaproponował William, chwytając jej dłoń.

– Dziękuję, Jaskiniowcu, ale jeśli nie zauważyłaś, już dwa razy obchodziłam urodziny z trzydziestką w numerze, a dzieci wkrótce idą do przedszkola.

– Ciekawe, jak sobie z nimi radzą nasi rodzice.

– Twój ojciec pewnie uczy Artemisię rozrabiać...

– ...podczas gdy twoja matka uczy Petera rysować.

– Szczęśliwi smarkacze – orzekli jednocześnie.

– Wróćmy do rzeczywistości – zarządziła Beth, sięgając po program dnia. – Za chwilę będzie wykład, na który chciałabym pójść.

William uniósł brew pytająco.

– Lady Catherine Whittaker opowie o operach Pucciniego.

– Chyba sobie odpuszczę. Ale jeśli to żona sędziego Whittakera – dorzucił William, rozglądając się po sali – to ciekawie byłoby porozmawiać z jej mężonkiem.

– Poza tym teatr zaprasza co wieczór na inny spektakl – kontynuowała Beth.  
– Dziś w programie magik Lazaro. Podobno zadziwi nas, sprawiając, że przedmioty, a nawet pasażerowie będą znikać na naszych oczach. Możemy pójść na występ o siódmej albo o dziewiątej.

– Z którą turą chcieliby państwo przyjść na kolację? – wtrącił Franco, który właśnie wrócił do ich stolika z dolewką kawy.

– A o której zwykle pojawia się prezes z rodziną? – odpowiedział mu pytaniem William.

– Około dwudziestej trzydzieści, sir. Przed kolacją wpadają zwykle na koktajl.

– W takim razie przyjdziemy z drugą turą.

– Co ty kombinujesz? – spytała Beth, bacznie przyglądając się mężowi.

– Mam przeczucie, że jeśli zjemy kolację z drugą turą, zobaczymy bardziej zdumiewające sztuczki... a może więcej znikających ludzi... niż widzowie Lazara w teatrze.

1. Blighty to zapomniane już słowo oznaczające Wielką Brytanię, popularne zwłaszcza wśród weteranów I wojny światowej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[\[wróć\]](#)

### 3

Booth Watson wstał zza biurka, gdy do gabinetu z ociąganiem weszła jego klientka. Christina Faulkner usiadła naprzeciwko, nie podawszy nawet ręki adwokatowi męża.

Booth Watson bez słowa spojrział na elegancką damę, która była żoną jego klienta przez jedenaście lat, zanim postanowili się rozejść.

Oboje mieli za sobą niezliczone romanse na długo przed tym, nim zdecydowała się wnieść pozew. Kiedy Miles został skazany za kradzież obrazu Caravaggia i trafił do więzienia, poczuła się znacznie pewniej – naturalnie tylko do chwili jego śmierci, gdy uznała, że straciła wszystko. Jednakże gdy pojawiła się na pogrzebie, okazało się, że jej zmarły mąż nie jest aż tak bardzo martwy i że musi jakoś się z nią dogadać, jeśli zamierza pozostać wśród żywych i wolnych. Christina od razu wyczuła, że odtąd reguły gry ulegną zmianie.

Wesoła wdówka odkryła przy okazji, że Miles Faulkner – znany obecnie jako kapitan Ralph Neville – bardziej jej się przyda żywy niż martwy, będzie miała bowiem jeszcze szansę, by przejąć co najmniej połowę jego słynnej kolekcji dzieł sztuki, z której zrezygnowała w pierwotnej ugodzie rozwodowej.

Booth Watson doskonale wiedział, że stąpa po grząskim gruncie, lecz miał w rękawie jeszcze jednego asa. Christina kochała pieniądze.

– Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać o tym, co nastąpi po ślubie, pani Faulkner – zagaił.

– Wolno spytać, jakie decyzje podjął pan z Milesem za moimi plecami? – odpowiedziała pytaniem Christina.

– Sytuacja nie powinna znacząco się zmienić – odparł Booth Watson, ignorując zaczepkę. – Zatrzyma pani dom na wsi oraz apartament w Belgravii. Poza pani zasięgiem będzie jednak Monte Carlo.

– Znalazł sobie kogoś nowego?

Być może w innych okolicznościach Booth Watson udzieliłby odpowiedzi, lecz nie tak zaplanował sobie to spotkanie.

– Nadal będzie pani otrzymywać dwa tysiące funtów tygodniowo na wydatki oraz korzystać z usług gospodyni, pokojówki i szofera.

– A wiecie już, gdzie spędzicie mój miesiąc miodowy? – spytała Christina, nawet nie próbując ukrywać sarkazmu.

– W najbliższych miesiącach Miles nie będzie spędzał zbyt wiele czasu w Anglii, więc można powiedzieć, że małżeństwo zaistnieje tylko na papierze. I dlatego przygotowałem umowę, którą powinna pani podpisać. Proszę pamiętać: otrzymuje pani znacznie więcej, niż mogła sobie wymarzyć, w zamian za milczenie. Nie musi pani nawet czytać umowy, bo i tak nie wprowadzę do niej żadnych poprawek.

– A więc nie będziemy razem mieszkać? – spytała Christina, udając bezbrzeżne zdumienie.

– Wie pani doskonale, że od początku taki był plan. Miles nie ma nic przeciwko temu, żeby prowadziła pani życie w dotychczasowym stylu, jednak nalega, by w przyszłości robiła to pani bardziej dyskretnie. Powinna pani także występować u boku Ralpa Neville’a we wszystkim, co można by nazwać oficjalnymi okazjami.

– A jeśli nie zechcę podpisać? – zapytała Christina, rozpierając się wygodniej w fotelu; jakby nie zauważyła, że Booth Watson zdjął już zatyczkę z pióra, otworzył umowę na ostatniej stronie i wskazał palcem kropkowaną linię.

– Czeka panią życie w nędzy i najpewniej mieszkanie w przytułku.

– A Milesa bardzo długi pobyt w więzieniu. Chyba że...

– Chyba że? – powtórzył Booth Watson.

– Chyba że dorzuci mi jeszcze milion, który obiecał w pierwotnej ugodzie rozwodowej. Chyba nie muszę przypominać, panie Watson, że Miles nie żyje. Podobnie jak pan uczestniczyłam w jego pogrzebie w Genewie, gdzie nawet się wzruszyłam, słuchając pańskiej mowy. Gdyby więc policja dowiedziała się nagle, że to nie jego prochy wręczył mi opłacony ksiądz, Miles straciłby zapewne znacznie więcej pieniędzy. Jeśli więc czuje, że nie ma ochoty dotrzymać słowa, może pan odesłać tort weselny i odwołać catering.

Przez długą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu i całkowitym bezruchu.

– Proszę mu też przypomnieć, że wciąż mam owe prochy. To moja polisa ubezpieczeniowa, na wypadek gdyby nie zachował się jak należy.

– Wypłata z polisy na życie następuje zwykle po śmierci ubezpieczonego.

– Zapisałam urnę w testamencie inspektorowi Williamowi Warwickowi. Myślę, że ta informacja pomoże Milesowi podjąć właściwą decyzję.

– Strzeż się – rzekł William, zasiadając w kącie łoża naprzeciwko przyszłego detektywa. – Gdybym był zawodowym zabójcą, wiedziałbym doskonale, gdzie

mogę cię znaleźć o tej porze, i bez najmniejszego trudu mógłbym cię sprzątnąć. Jeśli pragniesz być detektywem, nie możesz sobie pozwalać na wpadanie w rutynę. Oczekuję więc, James, że w przyszłości to ty będziesz mnie odnajdywał. A ja nie zamierzam pokazywać się dwukrotnie w tym samym miejscu.

– Mało prawdopodobne, by zawodowy zabójca znalazł się na pokładzie luksusowego wycieczkowca.

– Chyba że ofiara wybiera się do Nowego Jorku i otacza ją ponad dwa tysiące potencjalnych podejrzanych.

– Widziałem rano, że jadł pan śniadanie z żoną – powiedział James, by zmienić temat.

– Nigdy niczego nie zakładaj z góry – pouczył go William. – Zawsze otwieraj śledztwo na pustej stronie.

– Przecież przedstawił mi ją pan jako swoją żonę.

– To niczego nie dowodzi.

– Miała na palcu obrączkę.

– Zamężne kobiety znane są z tego, że miewają romanse.

– Nie przypuszczam, żeby kochanka zamawiała panu śniadanie – upierał się James.

– Ponad wszelką wątpliwość. W Ameryce macie pewnie podobny termin prawniczy?

– „W uczciwej ocenie” – odparł James. – Zauważyłem też, że pańska żona bardziej interesowała się naszym stołem niż własnym – dodał, nie pozwalając Williamowi na zmianę tematu.

– To się nazywa małżeństwo – odparł detektyw ze śmiechem. – Muszę przyznać, że zdążyła już zrobić z twojej rodziny obsadę powieści gotyckiej, a pomogły jej w tym soczyste szczegóły dostarczone przez kelnera.

– Franco – mruknął James. – Od trzydziestu lat służy na statkach dziadka. Nikt nie zna firmy i rodziny lepiej niż on. Dziadek oferował mu stanowisko szefa sali na *Pielgrzymie*, naszym flagowym liniowcu, ale Franco nie chciał o tym słyszeć.

– A to dlaczego? – zdziwił się William.

– Powiedział mi, że nie chce tracić kontaktu z pasażerami, ale przypuszczalnie chodzi raczej o to, że przepadłyby mu napiwki, jakie zgarnia podczas każdego rejsu. – James umilkł na chwilę. – Wątpię zresztą, czy Franco to jego prawdziwe imię. Z pewnością nie jest Włochem.

– Dowód?



– Czasem gubi akcent, a odkąd spytałem go kiedyś, co myśli o Caruso, jestem pewny, że nigdy nawet nie słyszał o tym wybitnym tenorze.

– To powód do podejrzeń, ale żaden dowód. Zgodzę się jednak, że Franco coś ukrywa.

– Dlaczego tak pan sądzi?

– Niejeden raz widziałem minę ludzi, którzy dowiadywali się, że jestem policjantem.

– Wiem, że zanim zatrudnił się u nas, spędził krótki czas w więzieniu – przypomniał sobie James. – Nawet mój dziadek nie ma o tym pojęcia.

– A ty jak się dowiedziałeś?

– Gdy płynęliśmy kiedyś z Southampton, poprosił o zmianę rewiru.

– Ustaliłeś dlaczego?

– Widziałem, jak jeden z pasażerów, podobno z Hackney, zareagował na widok Franca... jakby go rozpoznał. W zamian za garść informacji załatwiłem miejsce przy stole kapitańskim dla niego i jego żony. Franco oczywiście o niczym nie wie. Zresztą, na Boga, mój dziadek też ma swoje tajemnice. Kilka dobrze udokumentowanych wpadek, a nawet jedną sprawę sądową zakończoną orzeczeniem „nie udowodniono”.

– Niezbyt subtelna zagrywka szkockiego wymiaru sprawiedliwości. Z reguły oznacza, że ani sędzia, ani ława nie mają wielkich wątpliwości co do winy oskarżonego, ale brakuje twardych dowodów. Jednakże, jeśli chciałbyś się kiedyś wspiąć na wyżyny, które osiągnął twój dziadek, zapewne i ty będziesz musiał po drodze podjąć czasem ryzyko. Tak to jest, zwłaszcza gdy zaczyna się od zera.

– Dziadek miał mniej niż zero, gdy zaczynał. Gdy jego ojciec zmarł, zostawił żonę i dwoje dzieci z długami na sto funtów. Niech pan sobie wyobrazi, ile by to było w dzisiejszych pieniądzech. Latami spłacała wierzycieli. Zapewne dlatego umarła tak młodo.

– Być może właśnie dlatego twój dziadek jest tak surowy dla własnych dzieci.

– Dowód? – zażądał James, naśladując swego mistrza.

– Franco wspominał mi, że podczas ostatniego zgromadzenia udziałowców twój stryj Hamish został zwolniony ze stanowiska wiceprezesa. Choć, prawdę mówiąc, wyraził się inaczej: ktoś go „zastąpił”.

– To żadna tajemnica – odparł James. – Pisały o tym gazety po obu stronach Atlantyku. Słyszałem, jak mój ojciec mówił matce, że pewnie opisałyby tę historię ze szczegółami, gdyby nie groził im pozew o zniesławienie.

Kelner przystanął przy stoliku, by podać kawę i gorącą czekoladę.

– Franco, czy mam opowiedzieć panu starszemu inspektorowi całą historię o tym, dlaczego mój ojciec został wiceprezesem? – spytał James, gdy stanęła przed nim filiżanka słodkiego napoju.

– Jeśli tylko ja w niej nie wystąpię – odparł Franco i zniknął równie prędko, jak się pojawił.

– Przypuszczam, że ani ty, ani twój ojciec nie znacie całej historii – powiedział William. – Prezes ma zapewne tajemnice, które zabierze z sobą do grobu.

– Babcia cioteczna Flora z pewnością wie o wszystkim – stwierdził z przekonaniem James.

– Babcia cioteczna Flora? – powtórzył William, mając nadzieję, że tym prostym sposobem zachęci młodzieńca do dalszych zwierzeń.

– Gdy dziadek opuścił dom, żeby wstąpić do marynarki handlowej, jego siostra Flora jako pierwsza z naszej rodziny zapisała się na uniwersytet. Uzyskała w Glasgow dyplom z wyróżnieniem z matematyki, a potem przeniosła się na rachunkowość i skończyła studia jako najlepsza na całym roku. No, ex aequo, bo zdaje się, że w tamtych czasach nikt nie był skłonny przyznać, że kobieta może w czymkolwiek przewyższyć mężczyzn. Mniej więcej w tym samym czasie dziadek odszedł z Royal Navy, gdzie wyróżnił się w służbie królowi i ojczyźnie, o czym nieustannie nam przypomina. A potem w jakiś sposób zebrał dość gotówki, żeby wykupić na wpół upadłą... to jego określenie... firmę, której promy wozily pojazdy i pasażerów między szkockim wybrzeżem a Ioną.

– Zdaje się, że płynąłem kiedyś takim – wtrącił William.

– Babcia cioteczna Flora oznajmiła mu wtedy, że chyba oszalał, ale jako że po wojnie niewiele było firm oferujących kobietom sensowną pracę, mimo niechęci dołączyła do niego i zajęła się księgami. Do dziś z upodobaniem powtarza: „Gdy on zarabiał funty, ja pilnowałam pensów”. Lecz choć z natury jest ostrożna, sprytna i zwyczajnie rozsądna, firma niejeden raz omal nie poszła na dno.

– Czyż nie każdy milioner, który sam doszedł do majątku, musi się zmierzyć z takim wyzwaniem w jakimś punkcie swej kariery?

– Raz było tak, że od bankructwa dzieliły dziadka ledwie dwadzieścia cztery godziny. Uratował go Bank Handlowy z Dundee. Do dziś nie udało mi się ustalić, jakim cudem do tego doszło. Wiem za to, że gdy w stoczni na rzece Clyde powstawał jego pierwszy wycieczkowiec, w pewnym momencie nie był w stanie wypłacić robotnikom tygodniówki i zagrozili mu strajkiem. Powiedział

mi kiedyś, że nie spał wtedy przez cały tydzień, a przecież jest to człowiek, który spał jak dziecko każdej nocy podczas bitwy o Atlantyck.

– Czytałem w „Ship’s Log” o tym, jaką rolę odegrał w tamtym starciu.

– Niezbyt wiarygodne źródło – ocenił James.

– Dlaczego? – zaciekał się William.

– Dziadek sam napisał ten artykuł. A ściślej mówiąc... bo tak by należało, gdybym występował przed sądem... to podyktował go Kaye Patterson, swej osobistej sekretarce.

– Która, jak przypuszczam, siedziała obok ciebie podczas śniadania.

– Nieźle, panie inspektorze. A gdybym powiedział, że dziadek ma dwie sekretarki, z których jedna zna ortografię, a druga nie, to wiedziałyby pan, która z nich to Kaye?

– Ta, która zna.

– Skąd ta pewność?

– Odniosłem wrażenie, że twój dziadek rozmawiał z nią z wielkim ożywieniem, a jej ewidentnie sprawiało to przyjemność – odparł William.

Przy stoliku znowu przystanął Franco.

– Podać panom coś jeszcze? – spytał.

– Nie, Franco, dziękuję – odpowiedział James.

– Dlaczego Franco woli, żeby pasażerowie uważali go za Włocha? – spytał William, gdy znowu zostali sami.

– Wspomniał mi kiedyś, że Włosi dostają wyższe napiwki.

– Nie wiedziałem, że wypada tu dawać napiwki – przyznał William, z lekka zakłopotany.

– Dopiero gdy dotrzemy do Nowego Jorku – pocieszył go James. – Znajdzie pan w kabinie małe szare koperty. Aktualna stawka to bodaj sto dolarów dla pokojówki i drugie tyle dla kelnera. No chyba że będzie pan chciał ich nagrodzić za wyjątkowe starania.

– Uwielbiasz swojego dziadka, prawda? – rzekł William, który nie zamierzał odpuścić młodzieńcowi tak prędko.

– Bezgranicznie. To dzięki niemu jestem pewny, że znajdzie się dla mnie miejsce na Harvardzie.

– Ze względu na jego pieniądze i znajomości?

– Nie, wcale ich nie potrzebuję. Dał mi coś znacznie istotniejszego: odziedziczyłem jego energię i ducha współzawodnictwa, choć może brakuje mi geniuszu przedsiębiorcy.

– Jego geniusz kiedyś przeminie, a wtedy, jak sądzę, będzie liczył na to, że odda firmę w dobre ręce. Na pewno ma nadzieję, że jednak zechcesz zostać prezesem.

– Tak się nie stanie. Być może zastąpi go mój ojciec, ale nie ja.

– A co o tym wszystkim sądzi twój stryj Hamish?

– Nadal uważa, że ma szansę być wiceszefem, inaczej nie trzymałby się w pobliżu, a już na pewno nie wybrałby się w ten rejs, poniżając siebie i swoją żonę.

– Jest aż tak źle?

– Gorzej. Uważam, że zrobiłby wszystko, byleby mój ojciec nie został prezesem. A jeśli nie on, to ciocia Sara.

– Twój dziadek nie mógł chyba dobitniej wyrazić swoich poglądów, niż zastępując Hamisha twoim ojcem na stanowisku wiceprezesa.

– To prawda, lecz nie zapominajmy, że stryj Hamish nadal jest członkiem zarządu i nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak się zachowa cioteczna babka Flora, gdy nadejdzie czas wyboru nowego prezesa... to do niej może należeć decydujący głos. Choć oczywiście nigdy nie słyszałem od dziadka choćby jednego słowa o emeryturze.

– Skąd aż tyle wiesz, skoro jesteś tylko...

– Uczniakiem? To także zdołałem obrócić na swoją korzyść. Gdy byłem młodszy, rodzice nie mieli pojęcia, że uważnie słucham ich rozmów przy śniadaniu. Ostatnio, rzecz jasna, wszyscy są już ostrożniejsi, zwłaszcza stryj Hamish, więc w przyszłości będę musiał wykazać się większym sprytem. I tu widzę rolę dla pana.

William znowu dał się zaskoczyć, ale nie musiał pytać Jamesa, co konkretnie ma na myśli.

– Powiem panu wszystko, co wiem na temat mojej rodziny, jeśli podpowie mi pan, jak wykorzystać te informacje. Z pańską wiedzą i doświadczeniem powinienem utrzymać się o krok przed stryjem Hamishem.

– Po co chcesz sobie zadawać tyle trudu, skoro nie zamierzasz stanąć na czele firmy?

– Chcę, żeby następnym prezesem został mój ojciec, a ja, gdy nadejdzie czas, odziedziczyć Pilgrim Line.

– Do licznych talentów, które odziedziczyłeś po dziadku, możesz śmiało dorzucić przebiegłość – orzekł William, uśmiechając się ciepło do Jamesa.

– Możliwe. Rzecz w tym, że muszę być sprytniejszy od stryja Hamisha i bardziej przebiegły od cioci Sary, jeśli naprawdę chcę zostać kiedyś

właścicielem firmy. Proszę nie zapominać, że i oni mają dzieci, niewiele młodsze ode mnie.

– W takim razie będziesz musiał przestać myśleć jak detektyw, a zacząć myśleć jak przestępca.

## 4

– Czego zażądała? – zdumiał się Miles, gdy kelner napełniał filiżanki czarną kawą.

– Miliona, który obiecałeś jej w pierwotnej ugodzie rozwodowej – powtórzył Booth Watson.

– Niestety, zmarłem, zanim orzeczono rozwód.

– A ona ma twoje prochy.

– I co z tego?

– Najwyraźniej nie słyszałeś o Cricku i Watsonie – stwierdził Booth Watson.

– Dzięki nim będzie mogła udowodnić, że nie odszedłeś z tego świata <sup>1</sup>.

– Nie, jeśli sama będzie trupem – odparł Faulkner.

– Gdyby Christina przedwcześnie zmarła – Booth Watson bardzo starannie dobierał słowa – pierwszą osobą, która zostałaby przesłuchana, byłby jej nowy mąż, kapitan Ralph Neville z Królewskiej Marynarki Wojennej. Policja nie potrzebowałaby wiele czasu, by ustalić jego prawdziwą tożsamość. Dlatego zalecam ci, żebyś dał jej ten milion, jeśli wolisz pozostać na wolności.

– Po moim trupie – odparł z emfazą Miles.

– Właśnie ta myśl, jak mniemam, przyświecałaby Christinie, gdyby postanowiła zdradzić swą przyjaciółkę Beth Warwick, z kim tak naprawdę bierze ślub.

– Gdyby to zrobiła, z dnia na dzień zostałaby bez grosza przy duszy.

– Nie jestem pewny, czy możesz sobie pozwolić na takie ryzyko. Bóg jeden wie, co kombinowała, gdy byłeś w więzieniu i później... Muszę więc spytać: czy jeden obraz wart jest dożywocia?

Miles nie odpowiedział, bo znowu obsługiwał ich kelner, a gdy zostali sami, rzucił tylko: „Możliwe, że nie”.

– Tym bardziej powinieneś wyjechać z kraju na kilka tygodni, a ja dopilnuję, żeby Christina dotrzymała swojej części umowy. Dopiero wtedy kapitan Ralph Neville będzie mógł bezpiecznie wrócić w rodzinne strony, gdy tylko zechce.

– Od początku zamierzałem wprowadzić się do nowego domu zaraz po ślubie – odparł Miles. – Zapewniam cię, BW, że tam ani Warwick, ani Christina nie

odnajdą mnie i moich obrazów.

– Miło mi to słyszeć. Uważam jednak, że powinniśmy się postarać, żeby Christina pozostała po naszej stronie, dopóki może nam dostarczać informacji na temat Warwicków. Nie zapominaj, jak bliskie stosunki łączą ją z Beth, która całkiem nieświadomie opowiada jej o planach swego męża.

– Albo i nie całkiem nieświadomie – zasugerował Miles.

– I właśnie z myślą o tym zamierzam zwerbować znowu nadinspektora Lamonta. Lepiej, żeby miał na nią oko.

– Byłego nadinspektora – przypomniał mu Miles. – Pamiętaj, że on już tam nie pracuje, a co ważniejsze, dla pieniędzy zrobi wszystko, dopóki ma tę swoją nader kosztowną w utrzymaniu żonę oraz słabość do koni, którym jakoś nie po drodze do zagrody zwycięzców.

– Może i tak, ale z drugiej strony był też zastępcą komendanta Hawksby'ego.

– Póki nie musiał ustąpić.

– Ale nadal zna wielu czynnych funkcjonariuszy, a zwłaszcza jednego.

– Znam go?

– Ją. To bliska współpracownica Williama Warwicka i, co najważniejsze, nie ma nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu przyjąć brązową kopertę.

– W takim razie postaraj się, żeby miała co przyjmować. Dzięki niej będziemy o krok przed Christiną i Warwickami.

– Jesteś więc skłonny wybulić milion, którego domaga się twoja była?

Miles uśmiechnął się, sięgając po nóż i widelec.

– Pod jednym warunkiem – rzekł. – Uświadom Christinie dobitnie, że jeśli kiedykolwiek złamie umowę, wstrzymam jej kieszonkowe do czasu, aż spłaci ten milion.

– I jak wykład? – spytał William, odsuwając krzesło, by Beth mogła usiąść przy stoliku.

– Posłuchaliśmy paru arii z *Cyganerii*, a potem Catherine objaśniała nam dramatyczny realizm oper Pucciniego. Nie mogę się doczekać jutrzejszego spotkania.

– *Tosca* czy *Madame Butterfly*? – William przyjął od Franco menu.

– *Madame Butterfly*. Dołączysz do nas?

– Chyba będę zbyt zajęty pewną poczwarką, która ma nadzieję stać się motylem. Dowiedziałaś się, czy Catherine jest żoną sędziego Whittakera?

– Jest. A Charlotte zaprosiła nas na jutrzejszą kolację – odrzekła Beth.



W tym momencie William przestał słuchać, bo do sali weszli Fraser Buchanan i jego żona. On miał na sobie elegancki dwurzędowy smoking, który znakomicie maskował jego wagę, ona zaś, ubrana w długą kremową suknię, natychmiast przykuła uwagę wielu dam, nie wyłączając Beth.

Prezes zajął miejsce u szczytu imponująco długiego stołu. Mężczyźni powstali, by poczekać, aż jego małżonka usiądzie naprzeciwko.

– Kim jest ten mężczyzna, który siedzi obok siostry prezesa, Flory? – spytała Beth, gdy Franco przyjął zamówienie.

– To Andrew Lockhart – odpowiedział William. – Osobisty lekarz prezesa i członek zarządu firmy. Parę lat temu Buchanan przeszedł zawał serca; od tej pory Lockhart towarzyszy mu w każdej podróży.

– Nie dziwię się – stwierdziła Beth. – Zdaje się, że ma co najmniej trzydzieści funtów nadwagi.

– Miałbym podobny problem, gdybym pół życia spędził na statku wycieczkowym – odparł William.

– Co podać, proszę pani? – spytał Franco.

– Dwa buliony, a potem sałatki cesar – odpowiedziała Beth, nie zajrzawszy nawet do menu.

William uśmiechnął się, po czym zamknął jadłospis i oddał go kelnerowi.

– Jesteś żonaty, Franco? – spytał niewinnie.

– Tylko przez czternaście tygodni w roku, sir.

– Mam podobnie – mruknęła Beth, chwytając dłoń Williama.

George Bernard Shaw powiedział kiedyś na forum Unii Anglojęzycznej, że Brytyjczycy mają wiele zalet i jeszcze więcej wad, a jedną z nich jest to, że najchętniej ignorują sprzeczkę, która rozgrywa się na ich oczach – inaczej niż Włosi, którzy nie mogą się oprzeć podglądaniu z daleka, Niemcy, którzy zawsze biorą czyjąś stronę, albo Irlandczycy, którzy po prostu muszą się wtrącić.

Beth udawała, że nie słyszy podniesionych głosów dobiegających od strony stołu prezesa, i niezrażona delektowała się bulionem.

– Myślę, że wieczorny występ magika... – zaczął William.

– Cii – przerwała mu Beth. – Masz znacznie lepszy widok na to, co się tam dzieje, więc możesz relacjonować.

William powstrzymał uśmiech i posłusznie zaczął nasłuchiwać.

– Zdaje się, że prezes wdał się w gorącą dysputę ze swoim byłym zastępcą, podczas gdy reszta po prostu ich ignoruje.

– Nie chcę się mieszać – zasugerowała Beth.

– Trafna uwaga.

– Ale o co się kłóca?

– Nie jestem pewien. Wychwytyuję tylko pojedyncze słowa. Ale nie rozpaczaj, z samego rana James zda mi szczegółową relację.

– Nie wytrzymam do rana – obruszyła się Beth. – Może zdążą się nawzajem pozabijać, zanim spotkasz się z Jamesem? Muszę wiedzieć teraz, o co im chodzi.

– Odnoszę wrażenie, że chodzi o alkoholowe nawyki Hamisha Buchanana...

– zaczął William i urwał w pół zdania, gdy Franco przyniósł dania główne. Stawiając przed gośćmi sałatki, zachowywał się tak, jakby o kilka stolików dalej nie działo się absolutnie nic zdroźnego.

– Domyślam się, że niejedynym raz byłeś świadkiem takich scen – zagadnęła Beth, spoglądając kelnerowi w oczy.

– Nie aż takich, proszę pani – przyznał Franco, nalewając białego wina.

– Być może wspólny rejs do Nowego Jorku nie był najlepszym pomysłem rodziny właściciela – stwierdziła Beth. – Zwłaszcza po tym, co się wydarzyło na ubiegłorocznym zgromadzeniu udziałowców.

– James twierdzi, że to dziadek się uparł – odrzekł William – nie zważając na napięte stosunki z Hamishem. Przypuszczam, że dla starego prezesa cała ta kłótnia to ledwie szum w eterze.

– A ja się cieszę, że dziś nie obsługuję tamtego stołu – skwitował Franco. Odstawił butelkę do wiaderka z lodem i oddalił się.

– Szkoda, że ja tego nie robię – wyznała Beth, przyglądając się, jak Hamish Buchanan sięga do wewnętrznej kieszeni, wyciąga z niej piersiówkę i przelewa jej zawartość do filizanki z kawą.

– Wspominałeś mi chyba, że skończyłeś z piciem! – warknął prezes, siedzący jak zawsze u szczytu stołu.

– Bo skończyłem – odpowiedział mu Hamish, zakręcając butelczynę. – To tylko łagodny środek uspokajający przepisany przez doktora Lockharta. Pomaga mi zasnąć, ojcze, bo jak wiesz, żaden ze mnie żeglarz.

– Ocean jest dziś gładki jak stół – odparował prezes. – Nie wspominając o tym, że wydałem majątek na stabilizatory, żeby zagwarantować pasażerom komfortową podróż. Leżąc w łóżku, wręcz trudno zauważyć, że jesteśmy na morzu.

Hamish pociągnął kolejny łyk z piersiówki.

– Chętnie spróbuję tego twojego lekarstwa – dorzucił Fraser, wyciągając rękę. Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba.

– Jak sobie życzysz, ojciec – odparł Hamish. Podał srebrzystą butelkę ciotce Florze, a ona przekazała ją prezesowi.

Kilkoro pasażerów, w tym Beth i William, przyglądało się ukradkiem, jak Fraser zdejmuje zakrętkę, przyciska piersiówkę do ust i bierze solidny łyk. Oczekiwali wybuchu.

Prezes odczekał jeszcze chwilę.

– Obrzydlistwo – oznajmił, zakręcając butelkę.

– Czy żądalibyśmy zbyt wiele, prosząc o przeprosiny? – spytała żona Hamisha, gdy piersiówka wędrowała z rąk do rąk z powrotem do jej męża.

Publiczność wyczekiwała teraz reakcji prezesa na słowa Sary.

– Nic z tego, moja droga – odparł chłodno Fraser – ponieważ nikt z nas nie uwierzył ani na chwilę, że Hamish skończył z pić. A jeśli sama masz wątpliwości, to po kolacji zajrzyj do barku w waszej kabinie.

Hamish w milczeniu otworzył butelkę i pociągnął zdrowo, po czym zakręcił ją ponownie i schował do wewnętrznej kieszeni.

Komendant Hawksby usiadł za biurkiem, rozmyślając o czekającym go spotkaniu i jego potencjalnych konsekwencjach. Wiedział, że za plecami mówiono na niego Jastrząb, i uważał, że to komplement, lecz teraz, gdy powoli szykował się do przejścia na emeryturę, nie potrzebował niczego, co na koniec kariery mogłoby zszargać jego reputację. Detektyw inspektor Ross Hogan był brakującym elementem układanki.

William Warwick był urodzonym dowódcą zespołu, lecz detektyw sierżant Adaja, choć miał swoje zalety, nie był gotowy do objęcia funkcji jego zastępcy. Z kolei detektyw sierżant Roycroft wcale nie chciała tego stanowiska, a detektyw konstabl Pankhurst mogła prześcignąć ich oboje w przedbiegach... lecz jeszcze nie teraz.

Jastrząb nie musiał zaglądać do teczek Rossa Hogana, który – nim dołączył do Policji Metropolitalnej – przez cztery lata służył w SAS. Już po paru latach szeregowej służby zdał egzamin na detektywa i zasilił zespół w wydziale zabójstw. Cztery lata później znalazł się wśród nielicznych wybrańców: został tajnym agentem i w tej robocie odnalazł swoje powołanie. Gdy grupa buntowników wpadała na pomysł, by założyć gang, on zostawał jego przywódcą. W tym czasie uzupełnił swoje policyjne CV o Medal Królowej za Odwagę, trzy oficjalne nagany oraz karę zawieszenia za sypianie z podejrzaną. Jastrząb czuł jednak, że nie może zatrzymać go w tajnej robocie na dłużej. Jeśli Ross miał kiedyś powrócić do realnego świata i pozostać zdolny do wykonywania

rozkazów, musiał zrobić to teraz, nim specyfika pracy pod przykrywką odmieni go na zawsze. A może już było za późno? Czy rzeczywiście był gotów zrezygnować z tego, co robił?

Ross odegrał ważną rolę w zbieraniu dowodów, które pozwoliły skazać Milesa Faulknera i zamknąć go w więzieniu, a jakby tego było mało, sam spędził czas za kratkami w ich poszukiwaniu. Nawet ryzykanci nazywali go ryzykantem.

Gdy Faulkner uciekł, Ross pozwolił sobie na samowolę i ze zdwojoną determinacją dążył do schwytania go, bo ani przez chwilę nie wierzył w jego śmierć.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – powiedział Jastrząb.

Ktokolwiek ujrzałby tego ranka człowieka, który wszedł do gabinetu komendanta Hawksby'ego, nie zgadłby za żadne skarby świata, że ma przed sobą funkcjonariusza policji. Ubrany w brudny T-shirt, podarte dzinsy i skórzaną kurtkę, Ross Hogan wyglądał bardziej na ulicznego zabijakę niż na stróża prawa.

– Dzień dobry, sir – powiedział, siadając.

Jastrząb bez słowa spojrział na swą tajną broń, zastanawiając się, w jaki sposób najlepiej przekazać nowinę, ale Ross sam przyszedł mu z pomocą.

– Skoro wezwał mnie pan na poranną odprawę do Yardu, to chyba oznacza, że moja kariera tajnego agenta dobiega końca?

– Dobiegła – sprostował Hawksby. – Zbyt długo już służysz w taki sposób, Ross. I choć nie mam pojęcia, kto mógłby cię zastąpić, uznałem, że czas, żebyś powrócił między ludzi.

– Których ludzi ma pan na myśli, sir?

– Powołałem niedawno niewielki zespół do badania starych spraw... nierozwiązanych przypadków morderstw, których akta od lat zbierają kurz.

– Kto będzie jego szefem?

– Starszy inspektor Warwick.

Ross skinął głową.

– Obserwowałem go z bliska od paru lat i wcale mnie nie dziwi ten awans. Jak dokładnie miałbym się wpasować w ten zespół?

– Należą do niego także sierżant Paul Adaja, sierżant Jackie Roycroft i konstabl Rebecca Pankhurst... sami świetni funkcjonariusze. Chciałbym jednak, żebyś to ty, detektywie inspektorze Hogan, został zastępcą Williama.

Ross uśmiechnął się.

– A mam wybór, sir?

– Masz. Możesz wrócić na stare śmieci, do Chiswick, i kierować ruchem.

– Albo się zwolnić.

– Nikt cię nie zatrudni – odparł Jastrząb, uśmiechając się mimowolnie. – Chyba że chcesz zostać szemranym prywatnym detektywem podsłuchującym niewiernych mężów, a to nie w twoim stylu.

– Kiedy zacznym?

– Starszy inspektor Warwick wraca za dziesięć dni. W tej chwili zażywa zasłużonego urlopu gdzieś na oceanie, więc proponuję, żebyś skorzystał z okazji i także wypoczął. Tylko pamiętaj, żeby się wykapać i ogolić, zanim przyjdiesz na spotkanie z naszym Chórzystą.

– Nikt mnie nie pozna – stwierdził Ross.

– I taki właśnie jest mój plan – odparł komendant.

Franco właśnie polewał gorącym sosem czekoladowym wielką porcję lodów waniliowych, gdy w sali restauracyjnej rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk. Beth odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak Fraser Buchanan pochyła się, chwytając obiema rękami krawędź stołu i wstrząsany drgawkami daremnie próbuje zaczerpnąć powietrza.

Doktor Lockhart zerwał się na równe nogi i błyskawicznie znalazł się przy pacjencie. Rozwiązał muchę pod szyją prezesa i rozpiął kołnierzyk koszuli. Franco pospieszył ku niemu.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał.

– Natychmiast sprowadź tu nosze – odparł spokojnie lekarz – i przynieś moją torbę medyczną z ambulatorium.

Franco wybiegł z sali. Goście restauracji zapomnieli o posiłku i w jednej chwili stali się nieproszoną publicznością dramatu, który rozgrywał się na ich oczach.

Pani Buchanan przybiegła z drugiego końca stołu i teraz trzymała męża za rękę. Drżała, ale zachowywała zadziwiający spokój, pozwalając lekarzowi działać, podczas gdy wszyscy pozostali śledzili jego poczynania w głębokim szoku. No, może nie wszyscy. William nie przestawał obserwować Hamisha Buchanana, który nie zdradzał żadnych emocji. Jego brat Angus dołączył do matki i delikatnie otoczył ją ramieniem.

Nagle Fraser Buchanan pobladł, a zaraz potem jego głowa opadła bezwładnie na stół. Doktor Lockhart rozpaczliwie próbował go reanimować, ale William wiedział, że to już tylko kwestia czasu: lada chwila ktoś będzie musiał ogłosić, że prezes nie żyje.

Pani Buchanan zaszlochała, klękając obok męża, i wzięła go w ramiona. James zalał się łzami jak dziecko. William z oddali przyglądał się kolejno wszystkim zgromadzonym wokół stołu prezesa. Wodząc wzrokiem po twarzach jego bliskich, szukał tropów, jakby całkiem zapomniał, że jest na wakacjach. Nie wszyscy okazywali rozpacz, a dwoje krewnych nawet nie wyglądało na zaskoczonych tym, co zaszło. Drzwi sali otworzyły się gwałtownie i wbiegł Franco, ściskając w ramionach torbę lekarską. Tuż za nim zjawili się dwaj młodzi marynarze z płóciennymi noszami.

William instynktownie wstał i podszedł do stołu prezesa, żeby sprawdzić, czy będzie mógł jakoś pomóc.

– Pańskie wsparcie nie będzie nam potrzebne, inspektorze – oświadczył Hamish Buchanan, gdy marynarze ostrożnie układali jego ojca na noszach. – Nie ma pan uprawnień, żeby działać na tym statku.

Niczym niesprowokowany i niepotrzebny komentarz, pomyślał William i zaczął się zastanawiać, czy tragiczne zdarzenie, którego był świadkiem, to aby na pewno nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Przypomniawszy sobie słowa Jastrzębia na temat przedwczesnych zgonów: Słuchaj, słuchaj, słuchaj. Jeśli podasz ludziom wystarczająco długi sznur, niekiedy sami się powieszą. Z drugiej jednak strony, William był świadomy, że Hamish Buchanan ma rację. I z tą myślą właśnie zamierzał wrócić do swojego stolika, by zająć się swoimi sprawami, gdy wtrącił się Angus Buchanan:

– Chyba że ja mu nadam uprawnienia.

– Może dotrze do ciebie, Angus, że teraz ja jestem głową rodziny – odparował Hamish, spoglądając na brata spode łba.

– Czy naprawdę muszę ci przypominać, Hamish, że jestem wiceprezesem Pilgrim Line, a do tej tragedii doszło na jednym z naszych statków?

Przez chwilę spoglądali na siebie wojowniczo. Wreszcie odezwał się Hamish:

– Może najpierw posłuchajmy, co ma do powiedzenia doktor Lockhart.

– Wasz ojciec doznał rozległego zawału serca. Jak wszyscy wiemy, nie pierwszego.

William nie mógł się oprzeć wrażeniu, że słowa lekarza zabrzmiały jak niezłe przeciwiczna przemowa. Jeszcze dziwniejsze było to, że medyk nie wyglądał na poruszonego śmiercią starego przyjaciela – jakby był zawodowym gapiem, nikim więcej.

– Jak powiedziałem, pańskie usługi nie będą nam potrzebne, inspektorze – odezwał się znowu Hamish. Odwrócił się ku ciotce, szukając wsparcia, lecz ona nie odpowiedziała od razu.

– Sądzę, że byłoby mądrze pozwolić panu starszemu inspektorowi, żeby przeprowadził rutynowe dochodzenie – rzekła wreszcie Flora, nie bez trudności próbując wczuć się w rolę seniorki rodu. – Nie chcielibyśmy przecież, by ktokolwiek ośmielił się sugerować, że rodzina próbowała coś ukryć.

Nikt nie zaoponował.

Nawet Hamish milczał, gdy dwaj marynarze wynosili z sali ciało zmarłego prezesa w asyście lekarza i pani Buchanan.

– Od czego powinniśmy zacząć, inspektorze? – spytała Flora, czując się coraz pewniej w roli głównodowodzącej.

– Chciałbym, żeby wszyscy państwo, z wyjątkiem Jamesa, powrócili do swoich kabin i pozostali w nich do czasu, aż będę miał okazję z każdym porozmawiać. Panie Buchanan, zanim nas pan opuści, zechce pan z łaski swojej zostawić na stole piersiówkę.

Hamish zawahał się, nim sięgnął do wewnętrznej kieszeni po srebrzystą butelczynę i postawił ją na blacie. Zaraz jednak uśmiechnął się przelotnie, widząc, że do sali wchodzi kapitan; o krok za nim maszerował Franco.

– Ooo! – zawołał. – Oto i człowiek, który na tym statku sprawuje najwyższą władzę. Może pan zechce uświadomić starszemu inspektorowi Warwickowi, że nie potrzebujemy jego usług.

– Pan Buchanan słusznie panu przypomniał, inspektorze, że to ja dowodzę tym statkiem – stwierdził z powagą kapitan – i że moje decyzje są ostateczne.

– Akceptuję pańską władzę bez zastrzeżeń – odparł William.

Hamish sięgnął po srebrzystą flaszkę i włożył ją na powrót do kieszeni.

– Co rzekłszy, inspektorze – ciągnął kapitan – dodam, że byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan przeprowadzić wstępne dochodzenie. Zapewne ustali pan, że prezes zmarł na zawał serca, jednakże pański werdykt rozwieje wszelkie wątpliwości. Od czego chciałby pan zacząć śledztwo?

– Od poproszenia pana Hamisha Buchanana, żeby postawił na stole swą piersiówkę.

1. J.D. Watson i F. Crick to uczeni, którzy pierwsi opisali podwójną helisę DNA.

[\[wróć\]](#)



## 5

Były nadinspektor Lamont czytał „Racing Post” w domowym zaciszu, gdy zadzwonił ktoś z biura radcy królewskiego Bootha Watsona, by poinformować, że szef kancelarii będzie na niego czekał nazajutrz o dziesiątej rano. Tym samym Booth Watson nawiązał kontakt z Lamontem po raz pierwszy, odkąd zakończył się proces skorumpowanych policjantów w Old Bailey; Jerry Summers, detektyw sierżant, który posunął się o jedno ryzyko za daleko, otrzymał wtedy wyrok dziesięciu lat więzienia – tylko dlatego, że Lamont nie usunął kluczowego dowodu, który mógł go uratować. Były nadinspektor spodziewał się, że po takiej wpadce Booth Watson już nigdy nie będzie chciał skorzystać z jego usług. Choć szczerze nie znosił oślizłego adwokata, zamierzał punktualnie stawić się na spotkanie w myśl starej zasady, że gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

W ostatnich tygodniach wykonał kilka zadań dla Christiny Faulkner, teraz więc zastanawiał się, czy Booth Watson nie dostrzeże w tym konflikcie interesów. Sprawdziwszy stan swego konta, doszedł jednak do wniosku, że nie warto o tym wspominać żadnej ze stron. Nazajutrz rano postarał się dotrzeć dziesięć minut przed czasem do kancelarii w Fetter Court numer jeden. Kazano mu czekać.

Gdy szef kancelarii wreszcie wezwał go do siebie, nie wspomniał ani słowem o Summersie i kluczowym dowodzie, który Lamont miał podmienić, tylko od razu przeszedł do rzeczy.

– Muszę wiedzieć, czym się teraz zajmuje pański stary przyjaciel Warwick.

– Warwick nie jest moim przyjacielem – wycodził Lamont.

– Miło mi to słyszeć – zapewnił go Booth Watson. – W takim razie nowe zadanie powinno być dla pana wręcz przyjemne. Wiem na razie tyle, że inspektor i jego żona właśnie płyną do Nowego Jorku. Mają kabinę pierwszej klasy na *Aldenie*.

– Obstawiam, że to jego ojciec zapłacił za te wakacje, bo nikt z pensją starszego inspektora nie może sobie pozwolić na podróżowanie pierwszą klasą.

Booth Watson wiedział doskonale, kto zapłacił za rejs, ale pozwolił sobie jedynie na powtórzenie słów Lamonta:

– Starszego inspektora?

– Warwick awansował po sukcesie procesu Summersa – wyjaśnił były nadinspektor i zaraz pożałował, że użył słowa „sukces”, widząc krzywą minę swego chlebodawcy.

– Wie pan coś na temat tej nowej drużyny, której ma szefować?

– Zespołu – mruknął Lamont.

Watson skrzywił się jeszcze bardziej. Bardzo nie lubił, gdy go poprawiano, nawet gdy czynił to sędzia.

– Warwick ma pod sobą czworo funkcjonariuszy – ciągnął Lamont. – Detektyw sierżant Paul Adaja nie jest jednym z nas. Detektyw sierżant Jackie Roycroft siedzi już w mojej kieszeni. Detektyw konstabl Rebecca Pankhurst ma jeszcze mleko pod nosem. Dołączy do nich detektyw inspektor Ross Hogan, ale to nastąpi dopiero po powrocie Warwicka z urlopu.

– Nie znam tego Hogana – powiedział Booth Watson. – Co może mi pan o nim powiedzieć?

– Twardy, uparty, trochę buntownik. Nie stroni od ryzyka. Przez ostatnie trzy lata był tajniakiem, ale najwidoczniej Hawksby uznał, że pora wycofać go między swoich.

– Dlaczego? – spytał Booth Watson.

– Obstawiam, że chce wzmocnić zespół kimś ostro grającym i doświadczonym. Trzeba więc będzie uważać na Hogana, bo mimo buntowniczej żyłki jest bezwarunkowo lojalny wobec Hawksby’ego.

Booth Watson namyślał się chwilę, zanim zadał kolejne pytanie.

– Sądzi pan, że dałoby się skusić Hogana, żeby został naszym informatorem?

– Nigdy. Gdyby znalazł w wagonie londyńskiego metra portfel wypchany pięćdziesięciofuntówkami, zaniósłby go do najbliższego posterunku policji, nawet nie myśląc o nagrodzie.

– Pieniądze mogą być korzeniem wszelkiego zła, nadinspektorze, ale na kamiennych tablicach, które Mojżesz zniósł z góry Synaj, była mowa i o innych grzechach.

Tym razem to Lamont się zamyślił.

– W przeszłości Hogan miał przelotne związki z kilkoma funkcjonariuszkami, a raz nawet z podejrzaną, za co zresztą został czasowo zawieszony. Jego ostatnim podbojem jest detektyw sierżant Roycroft, ale jestem prawie pewny, że ten romans ma się ku końcowi.

– Gdybyśmy więc znaleźli mu właściwą Ewę – rzekł Booth Watson – to może dałby się skusić i ugryzłby jabłko.

– Nie jestem alfonsem – warknął Lamont.

– Ależ oczywiście, panie nadinspektorze. Na szczęście mam klienta, który na co dzień pływa w tych wodach, więc sprawę Hogana proszę zostawić mnie. Niech się pan skupi na sierżant Roycroft.

– Mam pytać o coś konkretnego, gdy będę się z nią widział?

– O nazwiska wszystkich osób, przeciwko którym nowy zespół Warwicka będzie prowadził śledztwa.

– To nie powinno być trudne, za to będzie kosztowne.

Booth Watson otworzył szufladę biurka, wyjął z niej grubą brązową kopertę i popchnął ją przed siebie po blacie. Był głęboko przekonany, że gdyby to były nadinspektor znalazł portfel pełen pięćdziesięciofuntówek, nie zaniósłby go na najbliższy posterunek.

– Mogę sobie co najwyżej wyobrazić, przez co teraz przechodzisz – rzekł William, siadając obok Jamesa i kładąc mu rękę na ramieniu. – Wiedz jednak, że nie jestem przekonany, czy twój dziadek zmarł na zawał serca.

– Ja też nie – odparł James. Strumienie łez nadal spływały mu po policzkach.

– A nawet jeśli, to i tak chcę wiedzieć, co było w tej piersiówce.

– W takim razie chciałbym, żebyś przez najbliższe czterdzieści osiem godzin wykazał się nadzwyczajną bystrością. Gdy zacumujemy w Nowym Jorku, tamtejsza policja nie będzie zainteresowana tym, co mam do powiedzenia... chyba że będziemy w stanie udowodnić, że wydarzyło się coś mocno podejrzanego.

– Proszę mi tylko powiedzieć, co mam robić.

– Przyda mi się szczegółowy plan sytuacyjny pokazujący, gdzie kto siedział podczas kolacji. Co ważniejsze, chciałbym, żebyś zanotował wszystko, co zapamiętałeś z rozmowy dziadka ze stryjem Hamishem, zwłaszcza na temat zawartości piersiówki.

– Trudno mi będzie to zapamiętać – odrzekł James. Zebrał ze stołu sześć kart dań, odwrócił jedną z nich i narysował na niej prostokąt. Zdążył właśnie wpisać ostatnie imię, gdy nadszedł Franco, niosąc trzy pary białych rękawiczek. Wręczył po jednej Williamowi i Jamesowi; trzecią zatrzymał dla siebie.

– Co teraz, sir? – spytał kelner.

– Trzeba ogrodzić linką miejsce zdarzenia i zamknąć wszystkie drzwi na klucz. Bez mojego pozwolenia nikt nie wchodzi do sali restauracyjnej.

– Rozumiem, sir.

– Idę przesłuchać doktora Lockharta i Hamisha Buchanana. Muszę to zrobić, zanim położą się spać, choć podejrzewam, że Hamish już sobie przygotował własną wersję wydarzeń. Powinienem wrócić za godzinę. A tymczasem, Franco, pamiętaj: niech nikt nie wchodzi do tej sali. – William trącił palcem ramię Jamesa i dodał: – Spraw, żeby dziadek był z Ciebie dumny.

William nie musiał pytać o drogę do apartamentu prezesa. James już wcześniej poinformował go, że podobnie jak kabiny wszystkich członków rodziny, i ta znajduje się na pokładzie siódmym. Inni pasażerowie nie mieli tam wstępu.

Gdy wysiadł z windy, powitała go osobliwa, żałobna cisza. Jeden z członków załogi trzymał straż u drzwi na samym końcu korytarza. William uznał od razu, że właśnie tam mieszkał prezes.

Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna otworzył drzwi, zanim detektyw zdążył zapukać. Przystąpiwszy próg, William ujrzał panią Buchanan czuwającą przy ciele zmarłego męża i wciąż ściskającą jego dłoń. Nawet nie uniosła głowy.

Doktor Lockhart stał po drugiej stronie łóżka. Bez słowa skinął na Williama, zapraszając go do sąsiedniego pokoju, a potem cicho zamknął drzwi.

– Przykro mi, że przeszkadzam w chwili żałoby, doktorze Lockhart – zaczął policjant – ale muszę spytać: czy nie ma pan żadnych wątpliwości co do przyczyny śmierci prezesa?

– Najmniejszych – odparł stanowczo Lockhart. – Co więcej, podpisałem już kartę zgonu, którą prześlę koronerowi, gdy tylko staniemy przy kei w Nowym Jorku. Moje zdziwienie budzi jedynie to, że do tragedii nie doszło wcześniej, bo szczerze mówiąc, Fraser Buchanan był tykającą bombą.

– Pewnie ma pan rację – zgodził się William – lecz mimo to chciałbym jeszcze wyjaśnić kilka spraw. Hamish Buchanan stwierdził, że w butelce, którą podał ojcu, znajdował się łagodny środek uspokajający, który pan mu przepisał.

– Zgadza się. Jedna lub dwie osoby z rodziny... w tym zawsze Hamish... cierpią niekiedy na chorobę morską, więc mam zwyczaj podawać im coś, żeby łatwiej im było zasnąć. Tak czy inaczej, wszyscy widzieli, że Hamish i Fraser pili z tej samej butelki, więc nie ma powodu podejrzewać, że śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Kolejny raz wygłosił najzupełniej niepotrzebne zdanie. William zastanawiał się, co jeszcze lekarz chciałby przed nim ukryć.

– Ma pan może więcej tego lekarstwa, doktorze? – spytał niewinnie. – Nie przypuszczam, by łatwo mi było zasnąć tej nocy.

– Naturalnie – odparł Lockhart. Otworzył swą skórzaną torbę, wyjął z niej na wpół opróżnioną buteleczkę leku i podał ją detektywowi. W tym momencie William dostrzegł na dnie torby coś jeszcze: odpowiedź na pytanie, którego nie musiał już zadawać.

– Opuśćcie pana za chwilę, doktorze – powiedziała. – Jestem pewny, że pani Buchanan będzie panu wdzięczna za towarzystwo. Zanim jednak pójdę, czy zechciałby mi pan powiedzieć, która kabina należy do Hamisha Buchanana?

– Numer trzy. Pierwsze drzwi po lewej, gdy pan stąd wyjdzie.

– Dziękuję panu, doktorze.

William wyszedł na korytarz i niespiesznym krokiem ruszył w stronę drzwi z numerem trzy. Przystanął przed nimi, odetchnął głęboko i zapukał.

– Wejść. – W głosie, który dobiegł z kajuty, nie było sennego tonu.

William wszedł do kabiny i ujrzał Hamisha Buchanana siedzącego w wielkim wygodnym fotelu, ze szklaneczką brandy w jednej ręce i na wpół wypalonym cygarem w drugiej. Żony najwyraźniej nie było.

– Przepraszam, że nachodzę o tak późnej porze – odezwał się William – ale muszę zadać kilka pytań, zanim uda się pan na spoczynek.

– Nie musi pan tracić czasu, inspektorze – odparł Hamish, nawet nie proponując mu, by spoczął. – Rozmawiałem już z moim nowojorskim adwokatem i doradził mi, żebym nie odpowiadał na żadne pańskie pytania pod jego nieobecność. Był pewny, że nie muszę panu przypominać, iż ten statek pływa pod banderą amerykańską. Banderą kraju, do którego nie sięga jurysdykcja brytyjskiej policji.

– Niemniej jednak kapitan upoważnił mnie do poprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci pańskiego ojca – odpowiedział William. – Nie wyobrażam sobie, by moje pytania mogły zaniepokoić osoby, które nie mają nic do ukrycia.

– Nie sprowokuje mnie pan tak łatwo, inspektorze. A teraz proszę mnie zostawić. Chcę w spokoju opłakiwać ojca. – Hamish wstrząsnął cygarem nad popielniczką i dodał: – Adwokat poinformował mnie też, że gdy tylko znajdziemy się na amerykańskich wodach terytorialnych, nie będzie pan mógł prowadzić dochodzenia, nawet jeśli życzyłby sobie tego kapitan. I dlatego proponuję, żeby poszedł pan już do swojej kabiny i porządnie się wyspał.

– Tak uczynię – odrzekł William, wyjmując z kieszeni buteleczkę, którą dał mu doktor Lockhart. Na twarzy Hamisha dostrzegł jakby cień niepokoju. – Tymczasem zaś proszę, by pozostał pan w swojej kabynie, dopóki nie skończę czynności śledczych.

– A jeśli nie pozostanę, inspektorze, co pan wtedy zrobi? Zakuje w kajdany i wyrzuci za burtę? Nie sądzę. Niech pan już idzie – rzucił, unosząc szklanke w drwiącym toaście.

William opuścił kabinę w przekonaniu, że Hamish Buchanan, podobnie jak lekarz, ma coś do ukrycia. Jednakże każdy z nich na swój sposób dał mu do zrozumienia, jak niewiele ma czasu na odkrycie owych sekretów. „W pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach śledztwa w sprawie morderstwa idziesz spać tylko wtedy, gdy zaśniesz mimo woli” – tak brzmiało jedno z ulubionych powiedzeń Jastrzębia. A po raz drugi – gdy dokonasz aresztowania.

William wrócił pospiesznie na pokład trzeci i z zadowoleniem stwierdził, że Franco niczym centurion czuwa przy głównym wejściu do sali restauracyjnej.

– Ma pan już jakieś podejrzenia, kto jest sprawcą? – spytał szeptem kelner, otwierając drzwi.

– To mógł być zwykły zawał serca – odparł William bez przekonania.

– Fraser Buchanan był silny jak wół. O ile wiem, nigdy wcześniej nie przeszedł zawału, wbrew temu, co powiedział lekarz. Musiało go zabić to, co było w tej piersiówce.

William podejrzewał, że Franco ma rację, ale wiedział, że intuicja to nie to samo, co dowód. Gdy wszedł do sali, zobaczył Jamesa siedzącego ze spuszczoną głową i notującego coś zawzięcie. Przysiadł obok niego i spojrzał na wcześniej naszkicowany plan, a potem odwrócił kolejnych kilka kart dań, by przeczytać szczegółowe zapiski z rozmów zasłyszanych przez Jamesa. Niektóre słowa zostały wykreślone i zastąpione innymi, ale nietrudno było wyczuć ton, w jakim przebiegała dysputa.

Był właśnie na trzeciej stronicy notatek, gdy nagle zatrzymał się i wrócił do poprzedniego akapitu. Przeczytał go dwukrotnie, a potem jeszcze raz.

– Jesteś tego pewny? – spytał, wskazując na kilka wersów, które James sam podkreślił.

– Całkowicie – przytaknął James, nie podnosząc głowy. – Oczywiście nie mam dowodów, ale jestem prawie pewny, że wiem, gdzie pan znajdzie drugą butelkę.

– Już ją widziałem – odrzekł William.

Przez jakiś czas leżeli wyczerpani i milczący.

– Zdaje się, że dłużej nie możemy tego ciągnąć – odezwała się wreszcie Jackie, okrywając się kołdrą po samą brodę.

– Nie będziemy mieli wyboru – odparł Ross i zapalił papierosa. – Jeśli nie skończymy tego teraz, przeczuwam, że Jastrząb to zrobi.

– Będzie mi ciebie brakowało – powiedziała cicho.

– Będziemy się widzieć codziennie.

– To już nie to samo – westchnęła, wtulając się w jego ramię. – Sądzisz, że Jastrząb o nas wie?

Ross zaciągnął się głęboko, zanim odpowiedział.

– Naturalnie. Nic nie ujdzie jego uwagi. A tak z ciekawości: Jak się dogadujesz z Chórzystą?

– To chyba jedyny znany mi człowiek, który mógłby przejąć schedę po Jastrzębiu – odpowiedziała Jackie z nieskrywanym szacunkiem.

– Aż taki dobry jest?

– A może i lepszy. Sam Jastrząb traktuje go jak równego sobie.

– A co z resztą zespołu?

– Świetnie się z nimi współpracuje. I będziesz musiał dać z siebie wszystko, żeby dotrzymać im kroku – dodała kpiąco.

– O czymś jeszcze powinienem wiedzieć, zanim pojawię się w przyszłym tygodniu?

– O pięciu sprawach, nad którymi pracujemy, już ci opowiadałam. Jastrząb przydzielił ci najgorszą z nich. Ale powinieneś też wiedzieć, że nadal mam kontakt z Bruce'em Lamontem, który nieźle mi płaci za tę współpracę.

– Czyimi pieniędzmi? – zainteresował się Ross. – Lamont nadal żyje ponad stan, a to oznacza, że ktoś go finansuje.

– William uważa, że to Booth Watson.

– A cóż takiemu bandziorowi z grubym portfelem po Lamontcie, skoro Summers już siedzi w Pentonville?

– Raczej Milesowi Faulknerowi.

– Zdawało mi się, że byłaś na jego pogrzebie.

– Pogrzeb może i był, ale niekoniecznie jego. A przynajmniej tak uważa Warwick – wyjaśniła Jackie.

– Niemożliwe – stwierdził Ross. – Jeśli Faulkner naprawdę żyje, to Lamont byłby ostatnią osobą, której Booth Watson chciałby powierzyć swoje tajemnice. Podejrzewam, że ma dla niego mniej więcej tyle samo szacunku, ile dla nas.

– Na dziś nie mamy żadnych tropów w tej sprawie – przyznała Jackie. – Może poza Christiną Faulkner, która przyjaźni się z żoną Williama.

– Ta kobieta jest gotowa zrobić wszystko, jeśli tylko leży to w jej interesie. – Ross wydmuchnął spore kółko dymu i dodał: – Żałuję, że już nie jestem

tajniakiem. Nic nie dałoby mi większej satysfakcji niż przyskrzynienie Faulknera i zamknięcie wszystkich trzech za kratkami.

– Wszystkich trzech?

– Faulknera, Boothę Watsona i Lamonta.

– A Christiny nie? – spytała drwiąco Jackie.

– Nie jest w moim typie – odparł Ross, a potem znowu położył się na niej.



## 6

– Sądzę, że rozwiązałem problem odcisków palców – oznajmił James następnego ranka, zasiadając do śniadania.

– Jak – spytał William – skoro nie mamy do dyspozycji laboratorium?

– Nie potrzebujemy go, skoro na pokładzie czwartym mamy sklep z zabawkami – odparł młodzieniec, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Przestań się popisywać – rzekł z uśmiechem William.

– Nie musiałem długo węszyć, żeby się przekonać, że jednym z najpopularniejszych towarów jest tam zabawkowy zestaw Sherlocka Holmesa dla młodych detektywów. Kupiłem ostatnie trzy komplety – pochwalił się James, teatralnym gestem wyciągając jeden z nich spod stołu. – Jest tu i podkład, i specjalny papier, i proszek, i pędzelek, a nawet lupa. Czegóż więcej nam potrzeba?

– Dobra robota, detektywie konstablu Buchanan. Procedury i instrukcje to nie wszystko. Czasem liczy się nietuzinkowy pomysł.

– Instrukcja jest pewnie w środku – zażartował James, zdejmując pokrywkę z pudełka podzielonego wewnątrz na niewielkie przegródki.

– Żałosne – mruknął William. – Lecz mimo to... brawo.

– Czyje odciski chciałby pan sprawdzić, inspektorze? – spytał James, sięgając po sok pomarańczowy.

– Możesz zacząć od stryja Hamisha – odparł William, spoglądając na plan. – A ściślej, od jego srebrnej piersiówki i filiżanki z kawą, żeby było z czym porównywać. Potem zajmiesz się babcią cioteczną Florą, która siedziała po jego lewej stronie. Następnie doktorem Lockhartem, twoją matką i wreszcie twoim dziadkiem.

– A co z tymi, którzy siedzieli po drugiej stronie stołu?

– Nie potrzebujemy odcisków ich palców.

– Dlaczego?

– Zastanów się nad tym, detektywie. Dasz mi znać, gdy znajdziesz odpowiedź.

– Zgoda. Gdzie szukać odcisków?

– Na szklankach z wodą, kieliszkach do wina i filiżankach. Pamiętaj, że kelnerzy noszą rękawiczki, więc nie musimy się nimi zajmować.

– A kiedy skończę?

– Wtedy ja jeszcze raz przyjrę się odciskom palców Hamisha zdjętym z piersiówki. Gdy zidentyfikujemy wszystkie, będziemy wiedzieli, czy twoja teoria się potwierdzi.

– A jeśli nie?

– Będzie to oznaczało, że twój dziadek zmarł na zawał serca, a ja powiadomię kapitana, że nie mam powodu podejrzewać nikogo o działanie w złej woli.

– A jeśli na piersiówce stryja Hamisha nie znajdziemy odcisków palców dziadka?

– Wtedy będziesz musiał wraz z Franco wykonać dla mnie pewną misję obserwacyjną.

– Co konkretnie ma pan na myśli, sir? – spytał Franco, dolewając Williamowi kawy.

– Gdy doktor Lockhart zejdzie na śniadanie, udam się prosto na pokład siódmy. Gdyby zanosilo się na to, że zamierza wrócić do swojej kabiny, James, przybiegniesz jak najszybciej, żeby mnie ostrzec. Ty zaś, Franco, spróbujesz zatrzymać doktora w sali choćby na kilka chwil.

– Powiem mu, że znowu odezwała mi się stara kontuzja kolana.

– Gdzie mogę zdobyć zapasowe klucze do kabin z pokładu siódmego? – spytał William.

– Nie ma problemu, sir – odparł Franco. Wyjął z kieszeni okazały pęk kluczy, odzepił opatrzony naklejką z numerem 7 i podał go detektywowi.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miał przez to kłopotów – rzekł William.

– Wykluczone – zapewnił go Franco. – Kapitan dał mi jednoznaczne polecenie: mam pana wspierać na każdym kroku. Wykonuję rozkaz, nic więcej.

Kilka chwil później do sali weszli pierwsi goście. Idąc na śniadanie, przyglądali się z zaciekawieniem otoczonemu sznurem stołowi prezesa. Franco odprowadzał ich na miejsca.

– Już wiem – odezwał się James. – Wiem, dlaczego nie potrzebuje pan odcisków palców osób, które siedziały po drugiej stronie stołu.

Franco wyglądał na zdezorientowanego.

– Na mnie już czas – powiedział William, gdy próg sali przestąpili Hamish Buchanan i doktor Lockhart. Nie zdziwił się zbytnio, widząc ich razem. – James, weź się do zbierania odcisków ich palców – polecił szeptem. – Wprawdzie czas

nie działa na naszą korzyść, ale nie spiesz się zbytnio. Liczy się przede wszystkim dokładność – dodał, nim opuścił salę.

James zaczekał, aż jego stryj i lekarz zasiądą do śniadania, a potem odwrócił się do nich plecami, sięgnął po srebrzystą butelczynę i obsypał jej ściankę cieniutką warstwą proszku.

– Kapitan Neville. Cóż za miła niespodzianka widzieć pana w Paryżu – powiedziała wytwornie ubrana kobieta w średnim wieku, którą Miles znał od lat; przysłała nawet kwiaty na jego pogrzeb. – Niestety, żadna z moich pań nie będzie wolna przed dwudziestą pierwszą.

– Przyszedłem wcześniej – odparł Miles – bo chciałbym zamienić z panią kilka słów na osobności, zanim zjawi się pierwszy klient.

– W takim razie chodźmy do mego biura. Tam nikt nam nie przeszkodzi.

Miles wkroczył do wiktoriańskiego buduaru, który poznał na długo przed tym, nim otrzymał nową twarz i tożsamość. Zastanawiał się niekiedy, czy Blanche ma jakieś podejrzenia względem kapitana, który nigdy się nie targował. Być może nie, bo nigdy nie widziała tej części jego ciała, której nie odmienili chirurdzy.

– Potrzebuję niestandardowej usługi – zaczął, siadając na kanapie obok Blanche, która nie po raz pierwszy słyszała taką deklarację, ale była szczerze zaskoczona, gdy wyłuszczył jej szczegóły swego zamówienia.

Skończywszy, wyjął z teczki kilka dużych fotografii dostarczonych przez Lamonta i podał je Blanche. Przyjrzała im się z wielką uwagą.

– Policyjny mundur wygląda bardzo przekonująco – stwierdziła. – Jeśli ta dziewczyna zawita kiedyś do Paryża, bez trudu znajdę dla niej pracę.

– To obecna kochanka celu – powiedział Miles, nie wchodząc w szczegóły. – Mam nadzieję, że znajdzie pani kogoś, kto godnie ją zastąpi.

– Pozwoli pan, kapitanie, że sprawdzę, czym dysponuję.

Blanche wstała i podeszła do wielkiej szafy na akta. Otworzyła drugą szufladę, opatrzoną etykietą „Blondynki, Europejki, płynny angielski”, i wyjęła z niej dwie teczki.

Usiadłszy za biurkiem, zaczęła bez pośpiechu przeglądać stronicę, raz po raz zerkając na jedno ze zdjęć dostarczonych przez kapitana Neville’a. Po dłuższym namyśle wybrała trzy kandydatki, których fotografie położyła przed klientem.

Miles przyjrzał się uważnie portretom trzech młodych kobiet.

– Co jeszcze miałyby zrobić – spytała Blanche – poza tym, że go uwiedzie?

– Cel ma w sobie energię dziesięciu mężczyzn, ale nie jego łózkowe dokonania są tym, co mnie interesuje.

– Każda z nich poradzi sobie z kimś takim. W końcu to profesjonalistki. Ale jakie jeszcze umiejętności powinna posiadać?

– Poza nieodpartym urokiem musi być naprawdę bystra. Niech będzie połączeniem Maty Hari i Becky Sharp. Kluczowe będą rozmowy prowadzone po wszystkim, do poduszki.

– W takim razie zdecydowałabym się raczej na Josephine, a nie na Avril ani Michelle – orzekła Blanche, wskazując na jedną z fotografii. – Może wróci pan do mnie koło północy, kapitanie? Oцени pan osobiście, na którą najlepiej będzie postawić.

– A będzie co stawiać, jak sądzę – odpowiedział Miles. – Spodziewam się sporego wydatku, bo jej usługi będą potrzebne przez dłuższy czas.

– Podoba ci się? – spytała Beth.

– Przepiękny. A wyglądałby jeszcze lepiej na twojej szyi – odparł William, podziwiając bogato zdobiony naszyjnik na wystawie jednego z pokładowych salonów jubilerskich. – Mogę spytać, ile kosztuje?

– O wiele za dużo, jak na twoje możliwości, Jaskiniowcu. Trzeba mi było wyjść za bankiera.

William spojrział raz jeszcze na naszyjnik, tym razem z poczuciem winy. Ten rejs miał go oderwać od pracy, a przecież prawie się nie widzieli z Beth, odkąd weszli na pokład. Joga, poranne wykłady i popołudniowe filmy oglądane z nową przyjaciółką, Catherine Whittaker, były dla niego niezłym alibi, ale nie wyjaśniały wszystkiego.

Beth poprawiła mu muchę.

– Dziś wieczorem masz wyglądać najlepiej, jak potrafisz – powiedziała, strzepując włos z rękawa jego smokingu. – Catherine jest taka zabawna, że nie mogę się doczekać, kiedy poznam jej męża.

– Gdy po raz ostatni widziałem sędziego Whittakera – przypomniał sobie William – występowałem jako świadek i usłyszałem, że nie interesuje go moje zdanie, więc mam się trzymać materiału dowodowego.

Beth roześmiała się, a potem spleli dłonie i zjechali razem o pokład niżej, do sali restauracyjnej. William uśmiechnął się przelotnie, gdy mijali witrynę sklepu z zabawkami i dostrzegł pustą półkę.

Franco czekał, gotów poprowadzić ich do stolika. Stół prezesa nie był już oddzielony linką od pozostałych, ale nikogo przy nim nie było. Rodzina

Buchananów siedziały teraz przy osobnych stolikach, w głębi sali. Dwaj bracia ewidentnie nie chcieli jeść posiłku zbyt blisko siebie. Sędzia Whittaker powstał, gdy Franco doprowadził Williama i Beth do jego stolika.

– Williamie, jak to miło, że do nas dołączysz po kilku ciężkich, jak miemam, dniach. Wyobrażam sobie, że niewiele spałeś.

– Rzeczywiście niewiele, sir – odparł William, ściskając jego dłoń.

– Proszę, mów mi George. Zdaje się, że nie miałeś jeszcze okazji poznać mojej żony, Catherine.

– Beth opowiadała mi za to o jej fascynującym wykładzie na temat Pucciniego.

– A ja nie mogę się doczekać kolejnej wizyty w Fitzmolean – odezwała się Catherine. – Tym razem będę miała osobistą przewodniczkę.

– Właśnie tak się poznaliśmy – odrzekł William.

Franco powrócił, by wręczyć każdemu menu.

– Daniem wieczoru jest dziś rumsztyk – oznajmił. – Dla bardziej wstrzemięźliwych mamy zaś najlepszego wędzonego łososa.

William wybrał rumsztyk, a Beth nie skarciła go za to, choć widział, że zmarszczyła brwi. Gdy złożyli zamówienie, opowiedziała o porannym wykładzie, na którym była razem z Catherine, zatytułowanym: „Wielkie Jabłko: może skosztujesz?”, a wygłoszonym przez profesora Samuela z Columbia University.

– Wysłuchawszy profesora, zaczęłam się zastanawiać nad programem naszego pobytu w Nowym Jorku – dodała. – Teraz mam ochotę przejechać mostem Brooklińskim, pospacerować po Central Parku...

– Byle nie nocą – wtrącił William.

– ...i zwiedzić zoo w Bronksie – dokończyła Beth.

– Nie wspominając o spektaklu na Broadwayu – dorzuciła Catherine. – Poradził nam, żebyśmy kupiły bilety na *La Cage aux Folles*, jeśli tylko się uda – sprecyzowała, gdy Franco przyniósł pierwsze danie.

Beth i Catherine kontynuowały entuzjastyczną relację z wykładu, a sędzia jadł szparagi, zachwalając jedynie delikatny smak sosu holenderskiego. Dopiero gdy skończyli, a Franco uraczył ich drugim daniem, zwrócił się wprost do Williama:

– Wolno spytać, jak idzie twoje śledztwo?

– Skomplikowana sprawa. Powiem ci tylko, że oddałem już kapitanowi mój raport – odparł William, w skupieniu krojąc mocno krwisty rumsztyk. Dopiero

gdy uniósł głowę, zauważył, że wszyscy troje odłożyli sztucce i spoglądają na niego wyczekująco.

– Czy prezes zmarł na atak serca? – spytał sędzia, nie owijając w bawełnę.

– Bardzo możliwe – odpowiedział William – ale znacznie ciekawsze jest dla mnie to, co było jego przyczyną.

Raz jeszcze wszyscy troje wyczekiwali niecierpliwie, gdy nakładał na brzeg talerza odrobinę musztardy.

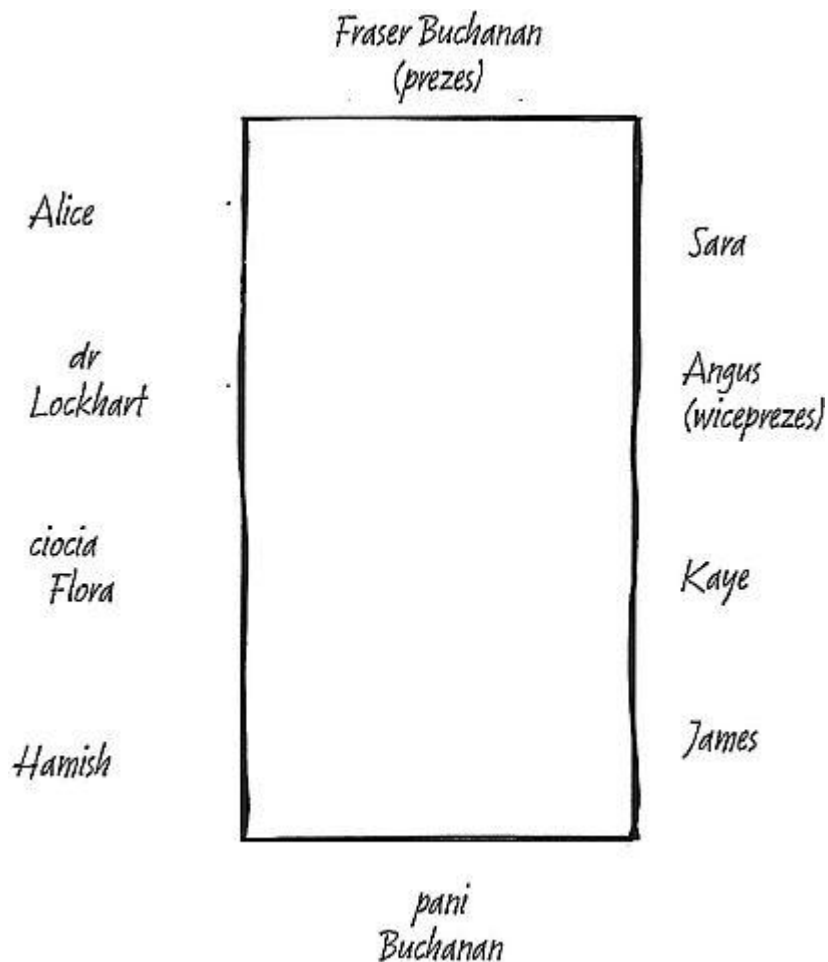
– Zdradzisz nam wreszcie odpowiedź – nie wytrzymała Beth – czy mamy czekać, aż nam kolacja wystygnie?

William odłożył nóż, otarł usta serwetką i odparł:

– Mogę wam powiedzieć, jak dokonano morderstwa, pod warunkiem że nie piśnicie nikomu ani słowa.

– To dotyczy także ciebie, moja droga – wtrącił George, uśmiechając się do żony.

William zaczekał, aż Franco napełni kieliszki winem, po czym wyjął z kieszeni plan naszkicowany przez Jamesa i położył go na środku stolika.



Odczekał chwilę, by mogli się przyjrzeć rysunkowi.

– Po pierwsze, zauważcie, że Hamish Buchanan siedział po lewej stronie stołu, między matką a Florą Buchanan.

– A kto to? – spytała Catherine.

– Siostra Frasera Buchanana. Groźna pierwsza dama tego towarzystwa, podziwiana przez wszystkich członków rodziny.

– A obok niej? – spytał sędzia, spoglądając na plan.

– Doktor Lockhart, którego jedyną misją było utrzymywanie prezesa przy życiu. Ale nie tym razem.

Ostatnie słowa sprawiły, że wszyscy troje milczeli przez chwilę, dając Williamowi czas na przeżucie kolejnego kęsa rumsztyku.

– A kogo miał po lewej?

– Alice Buchanan, matkę Jamesa i żonę Angus Buchanana – William przesunął palec na przeciwną stronę narysowanego stołu – który niedawno zastąpił swego brata Hamisha na stanowisku wiceprezesa firmy.

– Mam przecucie, że ta strona stołu będzie ważniejsza – wtrącił sędzia.

– Bardzo słusznie – pochwalił go William – ale proszę jeszcze o chwilę skupienia, jeśli chcecie się dowiedzieć, co wymyślił Hamish Buchanan. Wszyscy widzieli, jak korzystał ze swej piersiówki podczas kolacji. Ojciec spytał go więc, co pije, podejrzewając, że whisky albo brandy, choć Hamish zapewniał go, że z tym skończył.

Milczeli cierpliwie, gdy William odkładał nóż i widelec.

– Hamish stwierdził jednak, że flaszka zawiera łagodny środek uspokajający, który dał mu doktor Lockhart, żeby łatwiej mu było zasnąć. Wtedy prezes zażądał, by podano mu piersiówkę... chciał przekonać się osobiście, czy to prawda. Tu popełnili błąd. – William umilkł, czekając, aż Franco doleje wszystkim wina. – Na czym to ja stanąłem? – spytał, gdy kelner odstawił butelkę do kubełka z lodem.

– Hamish miał przekazać piersiówkę ojcu siedzącemu u szczytu stołu – przypomniała mu Beth.

– A, tak. Otóż Hamish podał flaszkę ciotce Florze, ona lekarzowi, lekarz Alice, a Alice prezesowi. – William napił się wina, gdy jego słuchacze w napięciu wpatrywali się w plan. – Prezes pociągnął solidny łyk, lecz choć smak napoju był nieprzyjemny, na pewno nie był to alkohol. Dlatego uznał, że to rzeczywiście lekarstwo przepisane przez doktora Lockharta. Następnie przekazał piersiówkę z powrotem do swego syna, na przeciwległy kraniec stołu.

– Którą stroną? – spytał sędzia.

– To właśnie jest najważniejsze. Tą samą stroną.  
– Tak myślałem. Ale nadal jestem w połowie drogi do rozwiązania.  
– Gdy flaszka wróciła do Hamisha, postarał się, żeby wszyscy widzieli, że znowu się z niej napił. I to był jego drugi błąd.

– Zgubiłam się – wyznała Beth.

– Cierpliwości – uspokoił ją William. – Skup się na planie sytuacyjnym, a wszystko stanie się jasne. James Buchanan, którego niedawno awansowałem na mego detektywa sierżanta, spędził dzisiejszy ranek na identyfikowaniu odcisków palców pozostawionych na szklankach, kieliszkach po winie i filizankach po kawie przez wszystkich, którzy siedzieli po lewej stronie stołu. Ja zaś zająłem się badaniem śladów na piersiówce Hamisha.

– Nadal nie nadążam – poskarżyła się Catherine. – Skoro flaszka Hamisha dotarła aż na szczyt stołu, do ojca, to chyba znalazły się na niej odciski palców wszystkich osób siedzących po tej stronie?

– A jednak nie – wtrącił sędzia – bo ktoś pewnie podmienił flaszkę na podobną, zanim dotarła do prezesa, do szczytu stołu. Dlatego odciski palców tej osoby jako jedyne znalazły się na obu.

– Niezłe podsumowanie, Wysoki Sądzie – ocenił William, uśmiechając się szeroko. – Do ustalenia sprawcy wystarczy więc uważne rozważenie materiału dowodowego. Flora wzięła piersiówkę Hamisha i przekazała ją doktorowi niczym pałeczkę w sztafecie, a gdy prezes posmakował „lekarstwa”, wydawało się, że butelka wróciła do właściciela w identyczny sposób. Prosta, dobrze zaplanowana operacja. Tyle że współnicy popełnili dwa błędy. Po pierwsze... – William urwał w pół zdania, bo pojawił się Franco, by zabrać puste już talerze.

– Podać kartę deserów? – zapytał kelner.

– Nie, dziękujemy – odpowiedziała Catherine, nawet na niego nie patrząc.

– A może coś mocniejszego na poprawę trawienia?

– Nie, dziękujemy – powtórzył sędzia bardziej stanowczym tonem, uporczywie wpatrując się w imiona rozpisane wokół stołu.

Franco odszedł niepokieszony.

William czekał cierpliwie, aż ktoś odgadnie, na czym polegały owe dwa błędy.

– Czyje odciski znalazłeś na piersiówce Hamisha? – spytał wreszcie sędzia. – I co ważniejsze, czyich odcisków brakowało? Wiedząc to, ustalimy, kto podmienił piersiówkę.

William skłonił się lekko, niczym na sali sądowej.



– Udało mi się zidentyfikować jedynie odciski palców Flory, która siedziała tuż obok Hamisha, naszego niezbyt zacnego doktora Lockharta, no i oczywiście samego Hamisha.

– Rozumiem – mruknęła Beth.

– W takim razie wyjaśnij nam, na czym polegał plan – zasugerował William.

– To doktor Lockhart musiał dokonać podmiany, i to w obie strony – orzekła Beth. – W przeciwnym razie na piersiówce musiałyby się znajdować także odciski palców prezesa.

– Oraz matki Jamesa, która siedziała między lekarzem a prezesem.

– A czy udało ci się odnaleźć drugą flaszkę? – spytał sędzia. – Tę, z której musiał się napić Fraser Buchanan?

– Tak – odparł William. – Po raz pierwszy widziałem ją w torbie doktora Lockharta, gdy przeszukiwałem go wczoraj wieczorem, a następnie dziś rano, gdy przeszukiwałem jego kabinę podczas śniadania. Jednakże znalazłem na niej wyłącznie jego odciski palców.

– Miał dość czasu, żeby wytrzeć piersiówkę do czysta – ocenił sędzia – i zostawić dla ciebie wyłącznie ślady własnych palców. A co z zawartością?

– Lekarz okrętowy potwierdził, że był to łagodny środek uspokajający, zgodnie z deklaracją Hamisha – odpowiedział William.

– Spodziewali się, że przyjdiesz – stwierdził sędzia – i postarali się, żebyś nie miał prawie żadnych szans udowodnić, że Hamish Buchanan i doktor Lockhart byli w zмовie.

– Istotnie, tak by było, gdyby nie pomysłowy i spostrzegawczy James Buchanan, którego bliscy, jak się wydaje, nadal uważają za dzieciaka, a który w rzeczywistości jest młodym mężczyzną marzącym o karierze dyrektora FBI, a nie prezesa Pilgrim Line.

– A cóż takiego wypatrył? – spytała Catherine.

– Zanim odpowiem, proszę, spójrzcie jeszcze raz na plan sytuacyjny. Przekonacie się, że młody James siedział dokładnie naprzeciwko stryja Hamisha i doskonale widział, co się działo... także wtedy, gdy Hamish brał łyk ze swej piersiówki. Nie od razu jednak uświadomił sobie, że nie był to łyk z tej samej piersiówki, z której pił jego dziadek.

– A jak je odróżnił? – zainteresowała się Beth.

– Hamish postawił piersiówkę na stole, by podczas kolacji wszyscy ją widzieli – wyjaśnił William. – I był to głupi błąd, James bowiem wypatrył na niej inicjały HB wygrawerowane na ściance. Na flaszcze, z której pił prezes, nie

było takiego oznaczenia, co mogę potwierdzić, bo obejrzałem ją sobie podczas przeszukania w kabinie doktora.

– Bystry młodzieniec – pochwalił Jamesa sędziego Whittaker. – Jednakże i to może nie wystarczyć do skazania sprawców – dodał i umilkł na chwilę, zamyślony. – Gdybym to ja reprezentował Hamisha Buchanana, zasugerowałbym przed sądem, że brak odcisków palców oraz niczym nieoparte zeznanie nieletniego to za mało, żeby skazać dwóch ludzi na dożywocie.

– Zgoda – odparł William. – Nie zapominajmy jednak, że mamy jeszcze ciało świętej pamięci Frasera Buchanana. Skontaktowałem się już z nowojorską policją; dałem znać, że mam powody przypuszczać, iż popełniono morderstwo. Jutro rano, gdy będziemy cumować, funkcjonariusze będą już czekali na kei. Jestem pewny, że autopsja potwierdzi moją tezę o otruciu prezesa i sprawa skończy się skazaniem obu winowajców.

– Brawo – powiedział sędzia. – Jesteś nieodrodnym synem sir Juliana Warwicka.

– I nadzwyczajnej lady Warwick – dorzuciła Beth.

– Możliwe, że sprawa pozostałaby nierozwiązana, gdyby nie pomógł mi młody James Buchanan – przyznał William.

Franco pojawił się z dzbankiem kawy i ulubioną brandy sędziego Whittakera. Napełnił filiżanki i szklaneczkę, a następnie wręczył Williamowi zaklejoną kopertę.

– Podpisane zeznanie? – zasugerowała Catherine, gdy detektyw zaglądał do środka.

– Nie sądzę – mruknął, wyjąwszy bon o wartości tysiąca funtów. Zaraz potem odczytał załączony doń list.



THE PILGRIM LINE

*Drogi starszy inspektorze Warwick,*

*W imieniu zarządu Pilgrim Line pragnę podziękować Panu za podjęcie się niewdzięcznej misji przeprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci naszego nieodżałowanego prezesa.*

*Zarząd wyraża także ubolewanie z powodu tego, że w konsekwencji nie mógł Pan cieszyć się w pełni urlopem, i jest zdania, że stosowna rekompensata będzie jak najbardziej na miejscu.*

*Załączony bon będzie honorowany przez Firmę, jeśli tylko zechce Pan udać się z Małżonką w kolejny rejs jednym z naszych liniowców albo skorzystać z oferty któregoś z naszych sklepów.*

*Z poważaniem,  
Flora Buchanan  
p.o. prezesa*

– Jeśli ktoś tu miał popsuty urlop, to chyba ja – odezwała się Beth. – Bo prawdę mówiąc, w życiu nie widziałam cię tak uradowanego – dodała, po czym chwyciła bon i wrzuciła go do torebki.

– Ciekawe, o której otwierają rano ten salon jubilerski? – spytała niewinnie Catherine.

## 7

Donośny łomot do drzwi jakoś nie chciał ucichnąć. W pierwszej chwili William podejrzewał, że to część jego snu, lecz zmienił zdanie, gdy ocknął się na dobre. Ktoś naprawdę starał się zakłócić pierwszą spokojną noc, jaka zdarzyła mu się od dłuższego czasu.

Niechętnie wstał, włożył szlafrok i otwarty drzwi kabiny, ujrzał na korytarzu Jamesa.

– Prędko, proszę ze mną – powiedział młodzieniec. – Tylko pan może to zatrzymać.

– Co zatrzymać? – spytał William, ale James był już w ruchu. Cicho zamykając za sobą drzwi, usłyszał jeszcze, że Beth westchnęła, przewracając się na drugi bok. Zaspany podążył śladem Jamesa, najpierw korytarzem, a potem schodami do wyjścia na pokład, gdzie młodzieniec usłużnie otworzył przed nim drzwi.

William wyszedł na zewnątrz i ujrzał kapitana w galowym mundurze, przemawiającego z powagą do niewielkiej grupy słuchaczy.

– *Bogu Wszchemogącemu powierzamy duszę naszego zmarłego brata, jego ciało zaś głębinom...*

William patrzył z przerażeniem na rodzinę Buchananów stojących z pochylonymi głowami wokół niewielkiego postumentu, na którym spoczywała trumna.

– *...w nadziei na zmartwychwstanie do życia wiecznego za sprawą Pana naszego, Jezusa Chrystusa...*

– Nie może pan nic zrobić? – wyszeptał z rozpaczą James.

– Nic – odparł krótko detektyw i pokręcił głową. Wiedział doskonale, że władzy kapitana statku nikt nie może się przeciwstawić.

– *...a kruche ciała tych, którzy zasnęli w Nim, zostaną odmienione na podobieństwo Jego cudownego ciała...*

Powiódł wzrokiem po twarzach żałobników. Pani Buchanan płakała cicho, a syn Angus próbował ją pocieszyć. Flora Buchanan stała o krok za nimi, spokojna i godna, odkąd brzemień kierowania rodziną spoczęło na jej barkach.

Hamish Buchanan stał z zaciśniętymi ustami obok doktora Lockharta, którego oblicze nie wyrażało żadnych uczuć.

– ...wedle woli Wszechmocnego, któremu podlega wszelkie stworzenie.

Kapitan zamknął modlitewnik, stanął sztywno na baczność i zasalutował. Dwaj młodzi oficerowie wystąpili naprzód i unieśli kraniec podwyższenia, na którym leżała trumna. Żałobnicy obserwowali w milczeniu, jak zsuwa się wolno i nieuchronnie ku falom oceanu, by na zawsze zniknąć w słonym grobie.

Starszy inspektor William Warwick być może potrafiłby przekonać koronera, że należy ekshumować ciało zakopane sześć stóp pod cmentarną ziemią, ale żadną siłą nie mógł sprawić, by odszukano je na dnie morza. Rodzina Buchananów pogrzebała nie tylko zmarłego, ale i jedyny materialny dowód, który mógł doprowadzić morderców przed oblicze sprawiedliwości.

Po minucie ciszy kapitan zasalutował raz jeszcze, a następnie wydał rozkaz. Chwilę później śruby zaczęły z wolna wirować, pchając statek w dalszą drogę ku nowojorskiemu portowi.

William trzymał się na uboczu, obserwując, jak rodzina pomału się rozchodzi. Pani Buchanan uwiesiła się na ramieniu Angusa, milcząca i zdecydowana. Hamish i lekarz szli o krok za nią, gawędząc swobodnie, jakby drwili sobie z żałobnej atmosfery. Za nimi kroczyli pozostali krewni, korowodem zamkniętym przez Florę Buchanan i kapitana. Gdy nowa pani prezes ujrzała Williama, podeszła bliżej.

– Czuję, że jestem panu winna wyjaśnienie – powiedziała spokojnie.

William nie miał pojęcia, jak zareagować na ten wstęp, a zarazem był lekko zawstydzony, iż ubrany w szlafrok i kapcie wziął udział w ponurej ceremonii, której pozostali uczestnicy nosili się stosownie do okazji.

– Podczas wczorajszego spotkania zarządu – ciągnęła Flora – dyrektorowie podjęli decyzję o wykonaniu ostatniej woli Frasera, ujętej w jego testamencie: życzył sobie morskiego pogrzebu.

– A przecież musi pani podejrzewać, że jeden z owych dyrektorów jest bezpośrednio odpowiedzialny za jego przedwczesną śmierć – odparł z naciskiem William.

– Rozważaliśmy tę możliwość – odrzekła Flora. – Jednakże, jako że osobisty lekarz Frasera podpisał już kartę zgonu potwierdzającą, że śmierć nastąpiła w wyniku zawału serca, rodzina, a w szczególności pani Buchanan, uznała, iż lepiej będzie wykonać ostatnią wolę zmarłego, niż zmierzyć się z trudami długotrwałego policyjnego śledztwa... które zapewne dostarczyłoby prasie

zapasu amunicji do wyrządzenia firmie niepowetowanych szkód. Zszargana reputacja Pilgrim Line to ostatnia rzecz, której życzyłby sobie Fraser.

– A moim zdaniem życzyłby sobie przede wszystkim tego, by sprawiedliwa kara dosięgła jego syna za zbrodnię, której się dopuścił.

– Rozumiem, jak się pan teraz czuje, inspektorze – odparła Flora. – Być może więc zainteresuje pana to, że wśród innych decyzji podjętych przez zarząd znalazła się i ta o zwolnieniu Hamisha z funkcji dyrektora i usunięciu go z firmy.

– Biedaczysko, może jakoś przeżyje jako dziedzic fortuny – odpowiedział z goryczą detektyw.

– Niestety nie. Jeszcze dziś, podczas odczytania ostatniej woli, Hamish dowie się, że jedyną rzeczą, którą zapisał mu ojciec, jest kompas. Z pewnością rozumie pan i docenia metaforę.

– A co z wzorowym lekarzem?

– Zrezygnował, zanim go zwolniliśmy. I osobiście dopilnuję, by nie zatrudnił go nikt, kto zwróci się do nas po referencje.

Gdy Flora odwracała się, by odejść, William zapytał cicho:

– Kiedy odkryła pani prawdę?

– Młody James ogromnie pana podziwia, inspektorze, o czym z pewnością pan wie. Jednakże wystarczyło trochę go zachęcić, by wyznał mi całą prawdę o tym, w jaki sposób zdołał pan udowodnić, że mój brat nie zmarł z przyczyn naturalnych.

William pomyślał, że nie należy zapominać o jednym: krew jest zawsze gęstsza od wody. W tym wypadku – od wody morskiej.

– Proszę nie winić chłopca – dodała Flora. – Podczas tego rejsu wszyscy dowiedzieliśmy się wiele o sobie i o naszych bliskich.

– A czego pani się dowiedziała?

– Tego, że gdy nadejdzie czas, James będzie wspaniałym prezesem Pilgrim Line. A tego właśnie jego dziadek... niech spoczywa w pokoju... życzyłby sobie najbardziej.

William wrócił do kabiny i wśliznął się do łóżka, z ulgą stwierdziwszy, że Beth smacznie śpi. Kilka godzin później obudziło go ciche pukanie do drzwi.

Beth, która zdążyła się już ubrać, ujrzała za progiem młodego oficera. Zasalutował jej i rzekł:

– Dzień dobry pani. Kapitan pragnie wiedzieć, czy zechce pani, wraz ze starszym inspektorem Warwickiem, dołączyć do niego na mostku mniej więcej o dziesiątej, gdy będziemy wpływali do portu w Nowym Jorku.

– Jeszcze jak – odpowiedziała Beth, nie kryjąc podniecenia. – To bardzo miłe z jego strony.

William usiadł na posłaniu i bardzo chciał zaprotestować, ale tylko do chwili, aż ujrzał rozradowane oblicze małżonki.

– Bezwstydna strojnisia – stwierdził William, gdy wychodząc z łazienki, zobaczył żonę przeglądającą się w lustrze.

– No wiem – westchnęła Beth – ale zwyczajnie nie mogłam się powstrzymać.

– Ile? – spytał. Wbrew rozsądkowi nie mógł nie zachwycić się urodą naszyjnika, który do niedawna zdobił wystawę salonu jubilerskiego.

– Dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć funtów – odpowiedziała Beth bez cienia wstydu.

– A co ja dostałem za pozostałych pięć? Może roleksa submarinera albo jubileuszową obrączkę z osiemnastokaratowego złota?

– Chyba nic z tego. Dorzucili tylko parę plastikowych usztywniaczy do kołnierzyka, najlepszych na rynku, jak zapewnił mnie sprzedawca. Uważam, że ten naszyjnik to stosowna, skromna rekompensata dla kobiety, którą mąż porzuca za dnia, a potem przepada gdzieś także w nocy – wyjaśniła Beth, zarzucając mu ramiona na szyję.

– I tak uważam, że jesteś bezwstydną strojniszą.

– Powiedz lepiej, dokąd to się wybrałeś w środku nocy.

– Byłem świadkiem morskiego pogrzebu Frasera Buchanana.

– Ale sądziłam...

– Ja też.

– Ależ z nich spryciarze – przyznała Beth, gdy jej mąż wsuwał usztywniacz do kołnierzyka. – Nie będzie autopsji, nie będzie procesu, nie będzie problemu z mediami.

– Ani sprawiedliwości – uzupełnił William.

Znowu rozległo się pukanie i w drzwiach stanął ten sam oficer.

– Kapitan polecił mi, żebym towarzyszył państwu w drodze na mostek.

– Dziękuję – odpowiedziała Beth, ujmując oficera pod ramię.

William sięgnął po marynarkę, zamknął za sobą drzwi i dogonił ich po kilku krokach.

– Pozwolę sobie zauważyć, pani Warwick, że ma pani przepiękny naszyjnik.

– Prezent od męża – pochwaliła się Beth, a William wreszcie się uśmiechnął.

Choć w pierwszej chwili niechętnie przyjął zaproszenie kapitana, zmienił zdanie, gdy tylko wkroczył na mostek. Jak urzeczony wpatrywał się w rząd

paneli kontrolnych, ciągnący się przez całą szerokość mostka. Dowódca miał panoramiczny widok na wszystko, co się działo wokół niego, w tym na podwładnych z uwagą obserwujących niezliczone migające wskaźniki. Przez chwilę William nasłuchiwał cichych, precyzyjnych rozkazów wydawanych załodze maszynowej.

Zauważył przy okazji, że wszyscy obecni na mostku noszą na rękawach czarne opaski.

– Dziś wszystkim steruje elektronika – odezwał się ich przewodnik, wyrывая go z zamyślenia. – A przecież mamy tu dwóch oficerów, w tym kapitana, którzy zaczęli karierę jeszcze na parowcach.

– Kto dowodzi? – spytał szeptem William.

– Pierwszy oficer Maitland. To jego wachta.

– A nie kapitan? – zdziwił się detektyw. Wcześniej zauważył, że dowódca trzyma się na uboczu, z rękami złożonymi za plecami, bierny, lecz czujny.

– Nie. Wkroczyłyby do akcji tylko w sytuacji awaryjnej.

– To znaczy? – spytała Beth.

– Gdyby nagle uderzył sztorm, gdyby oficer wachtowy był pijany albo gdybyśmy mieli na pokładzie kogoś z rodziny królewskiej. Służę na *Aldenie* już cztery lata, a nigdy nie widziałem, żeby musiał to zrobić.

– A kiedy pan zostanie oficerem wachtowym? – indagowała Beth.

– Och, minie jeszcze trochę czasu, proszę pani. Jako asystent pokładowy zastępuję czasem na mostku drugiego oficera, ale tylko gdy jesteśmy z dala od brzegów, morze jest spokojne i gdy nie widać innych statków. Historia *Titanica* po dziś dzień przypomina marynarzom, że przed morzem trzeba czuć respekt, więc kiedy zdarza mi się pełnić wachtę, zawsze ktoś doświadczony ma na mnie oko, choćby sternik... À propos, inspektorze: marynarz, który ma dziś służbę przy sterze, bardzo chciał pana poznać. Podobno macie wspólnego znajomego.

– Ciekawe kogo – mruknęła Beth, gdy asystent prowadził ich w stronę stanowiska sternika, by przedstawić im starszego marynarza Neda Turnbulla.

Mężczyzna oderwał prawicę od koła sterowego, by uścisnąć dłoń Williama.

– Witamy na mostku, sir – powiedział.

– Podobno mamy wspólnego znajomego – zagaił detektyw.

– Zgadza się. Mam wrażenie, że zna pan Dolicha – odparł sternik, a widząc zakłopotaną minę Williama, dodał natychmiast: – To znaczy kapitana Ralpa Neville'a, którego miałem nadzieję spotkać na pokładzie. Służyliśmy razem na *Illustrious* podczas wojny falklandzkiej.

– Dolicha? – powtórzyła zdumiona Beth.



– Tak go nazywaliśmy pod pokładem, bo gadał z silnym akcentem z Yorkshire i wierzył, że sir Leonard Hutton to najwybitniejszy Anglik wśród żywych. Straciłem z nim kontakt, gdy ożenił się z Australijką i zamieszkał w Perth. Bardzo proszę pozdrowić go ode mnie, gdy będzie się pan z nim widział.

– Na pewno to zrobię – obiecał William.

– Proszę nie przegapić Statuy Wolności – wtrącił młody oficer, prowadząc go wraz z Beth na sterburtę.

Choć oboje spoglądali w stronę słynnego posągu, właściwie go nie widzieli.

– Ależ zrobiłam z siebie idiotkę – wyszeptała Beth. – Dlaczego cię nie posłuchałam?

– Zawsze będziesz ufną duszą – odparł William. – Między innymi dlatego cię kocham. Poza tym Christina okłamywała cię bezczelnie przez okrągły rok.

– Ja chyba czegoś nie rozumiem – przyznała Beth. – Jakiego haka Ralph Neville ma na Christinę, że tak łatwo dała mu się zdominować?

– To niewłaściwe pytanie.

– A jak brzmi właściwe?

– Dlaczego Christina tak chętnie odstąpiła nam bilety na ten rejs?

– A odpowiedź brzmi...?

– Ralph nie mógł sobie pozwolić na przypadkowe spotkanie z kimś, kto służył w marynarce wojennej z prawdziwym kapitanem Neville'em.

– Christina mówiła mi przecież, że bierze ślub.

– Bierze, ale z kim?

Beth patrzyła w oczy Williama przez dłuższą chwilę, zanim spytała:

– Od dawna wiesz?

William spojrzął na zegarek.

– Do licha, pewność mam może od dziesięciu minut.

Beth była gotowa od razu lecieć z powrotem do Anglii i rozmówić się z Christiną jeszcze przed ślubem, lecz William zdołał jej to wyperswadować. Wiedział, że czyniąc tak, daliby jedynie Faulknerowi kolejną sposobność do ucieczki, a taka porażka byłaby jedynym wydarzeniem, które zapamiętano by z jego krótkiej, nieudanej kariery. Pomogła też interwencja Catherine, która nalegała, by Beth zatrzymała się u niej na czas pobytu w Nowym Jorku.

– Met, Frick i MoMA z prywatnym przewodnikiem? – kusila Catherine. – O czym jeszcze mogłaby marzyć dziewczyna?

Sędzia Whittaker tylko kiwał głową i nie odezwał się ani słowem, gdy jego żona stwierdziła, że będzie zachwycona, mogąc towarzyszyć Beth w Carnegie Hall i zająć miejsce Williama na koncercie Elli Fitzgerald. Nie narzekał być może dlatego, że w życiu nie słyszał o Elli Fitzgerald. Nie mógł natomiast doczekać się powrotu do Anglii i poprowadzenia jeszcze jednego procesu Milesa Faulknera, zwłaszcza że już wiedział, jaki wyda wyrok.

– A co z Christiną? – spytała go Beth.

– Współwinna – obwieścił sędzia. – Chociaż sędzę, że Booth Watson mógłby ją wybronić, gdyby nie wpadła na pomysł, żeby odwiedzać kapitana Ralpa Neville’a w więzieniu.

William także nie mógł się doczekać powrotu do Anglii.

– Ile zabójstw popełniono w zeszłym roku w Londynie? – spytał komendant Hawksby, siadając u szczytu stołu, przy którym właśnie rozpoczynało się pierwsze spotkanie nowo utworzonego zespołu do spraw niewyjaśnionych morderstw.

– Sto osiemdziesiąt jeden, sir – odpowiedział detektyw sierżant Adaja.

– Ile popełniono w domowym zaciszu? – zapytał Jastrząb, spoglądając ku drugiej stronie stołu. Choć pokój był duży, w porównaniu z norą, w której pracowała reszta zespołu, przy centralnie ustawionym stole mieściło się co najwyżej sześć osób. Na ścianie za biurkiem Jastrzębia wisiała fotografia królowej, a srebrny puchar na półce przypominał wszystkim, że szef był niegdyś bokerskim mistrzem Policji Metropolitalnej w wadze średniej.

– Trzydzieści cztery – odpowiedziała Jackie.

– A ile z tych spraw zakończyło się wyrokiem skazującym?

– Dwadzieścia dziewięć. Większość sprawców czekała na przybycie policji, pozostałych aresztowano w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– W tym właśnie tkwi sekret. Zazwyczaj taka sprawa jest rozwiązywana w dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin – rzekł Jastrząb. – Potem sprawcy nabierają przekonania, że zbrodnia uszła im na sucho, i z każdym dniem czują się coraz pewniej.

– Niewątpliwie tak właśnie było w wypadku Clive’a Pugh – stwierdziła Jackie, otwierając teczkę sprawy. – Zamordował żonę kilka miesięcy po wykupieniu milionowej polisy ubezpieczeniowej na jej życie. Można powiedzieć, że został sownie nagrodzony za swoje wysiłki.

– A dlaczego nie został skazany? – spytał Jastrząb.

– Zabrakło dowodów, żeby postawić mu mocne zarzuty. Tak jak pan powiedział, popełnił zbrodnię i uszło mu to na sucho.

– Należy więc znaleźć potrzebne dowody, detektyw Roycroft – zagrzmiał Jastrząb. – Jeśli bowiem jest coś, co może skłonić potencjalnego mordercę, żeby się zastanowił, co zamierza uczynić, to właśnie świadomość, że nie pozostanie bezkarny. A teraz kwestia stu czterdziestu siedmiu morderstw popełnionych poza małżeństwem. Detektyw Pankhurst, ile z tych spraw zakończyło się aresztowaniem?

Rebecca nie musiała zaglądać do leżącego przed nią segregatora, żeby odpowiedzieć na pytanie komendanta.

– Sto czterdzieści trzy, sir.

– A karą więzienia dla sprawcy?

– Sto trzydzieści dziewięć. W pozostałych czterech wypadkach wiemy, kto zabił, ale nie mamy twardych dowodów pozwalających na wystąpienie do Koronnej Służby Prokuratorskiej z wnioskiem o wszczęcie procesu.

– Szczegóły – zażądał Jastrząb.

– Jeden z podejrzanych, niejaki Max Sleeman, jest wyjątkowym bydlakiem – zaczął detektyw Adaja, otwierając akta sprawy. – Udziela lichwiarskich pożyczek, a kto nie spłaca długu na czas, kończy ze złamaną ręką albo nogą. Jeśli nadal jest dłużny, Sleeman wynajmuje mu karawan, ale nie opłaca kosztów pogrzebu.

– Chcę go widzieć w areszcie – oznajmił Jastrząb. – Najlepiej zanim jeszcze kolejny biedaczyna zostanie sprzątnięty.

– Już nad tym pracuję – odparł prędko Paul.

– Zostały trzy sprawy – ciągnął komendant. – Detektyw Pankhurst, co mi powiesz o niejakiem Darrenie Carterze?

– To ochroniarz w klubie Eve w Soho – odpowiedziała Rebecca. – Uznany za winnego nieumyślnego zabójstwa, skończył z ledwie dwuletnim wyrokiem. Ale ja nie mam wątpliwości, że to było morderstwo z premedytacją, którego dokonał w imieniu właściciela klubu.

– W takim razie niech wraca do więzienia. Nikt nam nie zarzuci, że chcemy go karać po raz drugi za to samo, jeśli pokażemy świeże dowody – przypomniał Jastrząb. – Poza tym, detektyw Pankhurst, ten klub ma zostać zamknięty i niech właściciel nigdy więcej nie otrzyma licencji. Będzie pani miała zajęcie na jakiś czas, a my skupimy się na ostatnich dwóch sprawach, których teczki zbyt długo już zbierają kurz.

Wszyscy siedzący wokół stołu dobrze wiedzieli, o których sprawach mówi komendant: dotyczyły Rona Abbotta i Terry'ego Roacha. Obaj byli bandytami z East Endu, tyle że z odrębnych gangów rywalizujących o to, kto powinien kontrolować hazard, wymuszenia, prostytucję i handel narkotykami na spornym terytorium.

– Z pewnością ucieszy was wieść, że tych dwóch przyjemniaczków zostawiłem specjalnie dla detektywa inspektora Hogana, który dołączy do zespołu w przyszłym tygodniu jako zastępca detektywa starszego inspektora Warwicka.

Paul wyglądał na rozczarowanego.

– Jednakże – ciągnął Jastrząb – nie wyobrażajcie sobie nawet przez chwilę, że dzięki temu będziecie mieli święty spokój, ponieważ wasze szczegółowe raporty, zwłaszcza o podjętych już działaniach, mają się znaleźć na moim biurku nie później niż za tydzień.

Długopisy zespołu ani na chwilę nie pozostawały w bezruchu.

– A jeśli to wam nie wystarczy, mam kolejne złe wieści. Właśnie rozmawiałem z detektywem starszym inspektorem Warwickiem. Jego samolot godzinę temu wylądował na Heathrow.

– Przecież miał wrócić dopiero za tydzień – odezwał się Adaja.

– Miał. Zamierza jednak osobiście dokonać aresztowania Milesa Faulknera.

– To może być dość trudne – zauważyła Jackie – bo oboje uczestniczyliśmy w jego pogrzebie w Genewie i byliśmy świadkami kremacji.

– Słowo klucz: uczestniczyliśmy – odparł Jastrząb. – Ale czyje prochy znajdowały się w urnie, którą kapłan przekazał pani Faulkner, tego tak naprawdę nie wiemy.

– Dlaczego sądzi pan, że nie Faulknera? – zjeżyła się Jackie.

– Rafael, którego, jak wiemy, Faulkner uważał za ozdobę swej kolekcji, wypłynął niedawno na aukcji w Christie's i został sprzedany za dwa miliony dwieście tysięcy funtów.

– To jeszcze nie dowód, że facet nadal żyje – stwierdził Paul, biorąc na siebie rolę adwokata diabła.

– Zgodziłbym się z tym, detektywie Adaja, gdyby nie to, że nie tak dawno detektyw starszy inspektor Warwick widział ten obraz w Monte Carlo, w domu Milesa Faulknera. To może oznaczać, że na aukcji sprzedano kopię, a jako że sprzedawca przedstawił autentyczne papiery potwierdzające rodowód obrazu, nawet eksperci dali się nabrać.

– Ale kto wyłożyłby dwa miliony dwieście na falsyfikat? – spytała Jackie.

– Ktoś, kto nie chce, żebyśmy się dowiedzieli, że nadal żyje.

– To raczej naciągana teza...

– Chyba że weźmiemy pod uwagę fakt – przerwał jej Jastrząb – że nabywcą był nie kto inny, tylko nasz stary znajomy, radca królewski Booth Watson... działający „w imieniu klienta” – dokończył po krótkiej pauzie.

– Którym mogła być pani Faulkner – skontrował Paul.

– Mało prawdopodobne – ocenił komendant. – Christina Faulkner nigdy nie była zainteresowana kupowaniem obrazów, jedynie ich sprzedawaniem.

– Gdybym był ławnikiem, chyba oczekiwałbym trochę mocniejszych dowodów – rzekł Paul.

W tym momencie drzwi otworzyły się z rozmachem i do pokoju wszedł William.

– O wilku mowa – powiedział Jastrząb. – Właśnie miałem wyjaśnić zespołowi, dlaczego jesteście przekonani, że Miles Faulkner żyje.

– Do licha, faktycznie jestem – odparł William, siadając przy stole. – A przy okazji: jeśli mieliście jakieś plany na sobotni poranek, to już ich nie macie. Jedziecie na ślub emerytowanego kapitana Królewskiej Marynarki Wojennej Ralpha Neville’a z panią Christiną Faulkner, wdową. Żeby było ciekawiej, oboje są już w związku małżeńskim. Ze sobą – dodał po krótkiej pauzie.

## 8

W sobotni poranek szesnaścioro funkcjonariuszy policji, pod dowództwem detektywa inspektora Hogana, otoczyło normański kościół parafialny w Limpton-in-the-Marsh. Nie byli umundurowani; tylko nieliczni mieli broń.

Już od trzech niedziel zapowiedź można było przeczytać w parafialnej gazetce i usłyszeć podczas mszy z ust pastora. Duchowny informował, że ceremonia rozpocznie się w sobotę, piętnastego sierpnia, równo o czternastej. Między siódmą a ósmą rano kilku nieproszonych gości zjawilo się na oficjalnych zaręczynach, ale żaden z nich nie przekroczył progę świątyni.

Pierwszym oficjalnym gościem, który przybył na ślub, był radca królewski Booth Watson, przyjaciel pana młodego, zresztą jedyny. Wszedł do kościoła zachodnimi drzwiami już po trzynastej, czemu trudno się dziwić, bo był na stawce godzinowej.

Następnie, krótko przed czternastą, zjawila się Christina. Nieczęsto się zdarza, by panna młoda przybywała na ślub przed panem młodym, ale też nieczęsto zdarzają się takie śluby. Miała na sobie elegancki turkusowy kostium, jedwabną apaszkę i długi, dobrze dobrany płaszcz. Strój ten bardziej nadawał się do podróży niż do ślubnej ceremonii, lecz panna młoda donikąd się nie wybierała ze swym wybrankiem.

Miles był spóźniony o kilka minut, mimo iż na autostradzie jego szofer bardzo się starał, by wskazówka prędkościomierza była bliżej osiemdziesięciu mil na godzinę. Skręcili do Limpton zjazdem numer 13.

- Proszę się nie oglądać, szefie, ale zdaje się, że jesteśmy śledzeni.
- Dlaczego tak sądzisz, Eddie?
- Taksówka, na którą zwróciłem uwagę już wcześniej, skręciła z autostrady tym samym zjazdem, a nie wydaje mi się, żeby jechał nią któryś z gości.
- Możesz mnie zawieźć do kościoła inną trasą?
- Mogę, ale to potrwa znacznie dłużej, zwłaszcza jeśli będziemy musieli poczekać przed przejazdem kolejowym.
- Jedź. W ten sposób dowiemy się, czy rzeczywiście nas śledzi.

Na najbliższym skrzyżowaniu Eddie skręcił w prawo, lecz kilka chwil później znowu dostrzegł w lusterku znajomą taksówkę.

– Trzyma się za nami. Co mam robić?

– Jedź dalej – polecił Miles.

Ciężarówka, którą widzieli przed sobą, zaczęła zwalniać, gdy jej kierowca zauważył, że opuszczają się szlabany.

– Nie wyrobimy się, szefie – stwierdził Eddie.

– Wręcz przeciwnie. Powiem ci, co masz robić...

– Sądzisz, że nas zauważyli? – spytał William, gdy taksówka stanęła w krótkiej kolejce aut czekających, aż pociąg odjedzie ze stacji i szlabany znowu się uniosą.

– Możliwe, sir – odparł Danny. – Taksówka zawsze wygląda podejrzanie na autostradzie, a już zwłaszcza gdy pędzi osiemdziesiątką.

– Chyba trzeba nam było wziąć nieoznakowany wóz policyjny.

– A może aresztujemy go teraz, gdy nie ma jak uciec?

– Nie, trzymamy się planu, póki jedzie prosto w pułapkę.

– Ucieka! – krzyknął Danny, widząc, że w mercedesie nagle otworzyły się drzwi po stronie pasażera. – Zdaje się, że w stronę dworca.

– Zaparkuj i leć za mną – polecił William, po czym otworzył tylne drzwi, wyskoczył z wozu i puścił się biegiem w kierunku stacji.

Zanim Danny zjechał taksówką na pobocze i zatrzymał ją na skraju trawnika, jego szef pędził już kładką nad torami. William zbiegł po stopniach po drugiej stronie i pognął peronem ku jedynym otwartym drzwiom w pociągu, który właśnie ruszał w dalszą drogę.

Znalazłszy się w środku, uchylił okno i zdążył jeszcze krzyknąć do Danny'ego, który właśnie zbiegał na peron:

– Niech tuzin ludzi czeka na mnie na następnej stacji. I zadzwoń do Hogana. Powiedz mu, że pan młody się nie zjawi!

– Spóźni się na własny ślub – stwierdziła Christina, kolejny raz spoglądając na zegarek.

– A ja o piętnastej mam kolejną ceremonię – delikatnie przypomniał pastor.

– Coś się musiało stać – powiedział Booth Watson.

Wszyscy troje w milczeniu spojrzeli na otwarte drzwi kościoła, ale nie zobaczyli tam pana młodego.

William szedł bez pośpiechu od wagonu do wagonu, starannie sprawdzając przedziały pierwszej klasy w poszukiwaniu kapitana Ralpa Neville'a, choć zamierzał aresztować Milesa Faulknera. Gdy dotarł do końca pociągu, przyszło mu na myśl, że uciekinier musiał się zamknąć w którejś z toalet. Jako że nie było tam okien, nie miał szans na ucieczkę.

– Przykro mi, pani Faulkner – powiedział pastor – ale na zewnątrz czekają już pierwsi goście na kolejny ślub. Obawiam się, że nie będę mógł liczyć na ich wyrozumiałość.

– Pan młody już się nie zjawi – odezwał się Booth Watson – więc chyba możemy odpuścić. Zwłaszcza że ci ludzie, którzy tak się niecierpliwą przed kościołem, nie zostali zaproszeni ani na ten, ani na żaden inny ślub.

– Skąd pan to wie? – spytała Christina.

– Wszyscy mają ponad sześć stóp wzrostu i noszą garnitury tej samej marki, a żaden nawet nie przypiął sobie goździka.

– Mam tuzin policjantów na stanowiskach, inspektorze – zameldował głos, którego William nie rozpoznał.

– Na której stacji?

– Tunbridge Wells, gdzie pociąg powinien się zatrzymać mniej więcej za piętnaście minut.

– Ile jest peronów?

– Tylko dwa.

– Niech oba będą obstawione, bo jeśli istnieje jakaś droga ucieczki, to Faulkner na pewno ją znajdzie. Ja wysiądę pierwszy. Niech pan powie zawiadowcy, że pociąg nie może ruszyć bez mojego pozwolenia.

– Zrozumiałem, sir. – Połączenie dobiegło końca.

William niespiesznie ruszył korytarzem, tym razem sprawdzając wszystkie kąty jeszcze dokładniej. Wydawało mu się, że mężczyzna zapatrzony w pejzaż za oknem wygląda znajomo, ale przez lata aresztował tak wielu ludzi, że nie mógł od razu skojarzyć twarzy z nazwiskiem.

Pięć z jedenastu toalet było zajętych. William spodziewał się jednak, że nim pociąg zatrzyma się na najbliższej stacji, zajęta będzie już tylko jedna. I że nie ruszy dalej, póki jej drzwi nie zostaną otwarte.

– Nie będziemy więcej marnowali pańskiego czasu, pastorze – powiedział Booth Watson, spojrzawszy na zegarek. – Zapewniam, że pan młody już się nie pokaże.



– I co ja mam teraz zrobić? – wycedziła Christina.

– Odezwę się – odparł Booth Watson – tylko proszę pamiętać, że podpisała pani już umowę, w której nie ma żadnej klauzuli odwoławczej.

– Bardzo mi przykro, pani Faulkner – rzekł pastor. – Z pewnością jest pani bardzo zawiedziona.

– Prawdę mówiąc, ulżyło mi – przyznała Christina.

– Nie wątpię, że znajdzie się jakieś proste wytłumaczenie tej sytuacji – dodał duchowny, próbując ją pocieszyć.

– Znajdzie się, ale z całą pewnością nie będzie proste – odparła Christina i samotnie ruszyła w stronę wyjścia.

Booth Watson wyszedł z kościoła pierwszy i zauważył, że jeden z lekko spiętych młodzieńców, których obserwował już wcześniej, nosi krawat Policji Metropolitalnej.

Christina wyszła na dziedziniec chwilę później. Kobiety, które przyjechały na następną ceremonię ślubną, z podziwem patrzyły na jej elegancki strój podróży, nie zważając na to, że wygląda na kogoś, kto nie ma pojęcia, dokąd się udać.

Pociąg zatrzymał się w Tunbridge Wells zgodnie z rozkładem, punktualnie o 14.43, a William rzeczywiście wyskoczył na peron pierwszy, by dołączyć do policyjnego komitetu powitalnego. Inspektor Thomas wyszedł mu na spotkanie i przedstawił się.

– Wszystkie wyjścia obstawione – zapewnił detektywa.

– Niech pan pośle trzech, czterech ludzi do pociągu. Muszą sprawdzić wszystkie toalety. W tej, która będzie zajęta, ukrywa się nasz zbieg. Na wszelki wypadek przyda się też paru funkcjonariuszy na drugim peronie.

– Już tam są, sir.

– To dobrze. Gdy tylko zauważę Faulknera, możecie wkraczać do akcji. Proszę go zatrzymać, ale to ja dokonam aresztowania.

– Zrozumiałem, sir – odpowiedział inspektor i natychmiast rzucił kilka rozkazów, podczas gdy William zajął pozycję przy wyjściu z peronu, uważnie przypatrując się podróżnym, którzy opuszczali stację.

Dziesięć minut później został na peronie sam, jeśli nie liczyć inspektora Thomasa. William niechętnie pozwolił zawiadowcy odgwizdać odjazd.

Gdy pociąg odjechał, William sięgnął po krótkofalówkę.

– Alarm dla wszystkich posterunków: szukamy granatowego mercedesa, numer rejestracyjny MF1. Kierowca nosi czapkę szoferską...

I w tym momencie William przypomniał sobie, gdzie go widział.

Miles uśmiechnął się, obserwując pociąg odjeżdżający ze stacji.

Gdy szlabany w końcu się podniosły – a były to najdłuższe cztery minuty jego życia – zerknął w lusterko wsteczne i z ulgą stwierdził, że taksówka nadal stoi na poboczu, a jej kierowca gdzieś zniknął. Wolno przejechał przez tory, choć wiedział, że pociąg już niedługo dotrze do kolejnej stacji, a wtedy trzeba będzie porzucić i samochód, i szoferską czapkę. Jechał zacisznymi wiejskimi drogami, aż wreszcie wypatrzył starszą panią stojącą na przystanku. Wyglądała na kogoś, kto dobrze się orientuje, kiedy ma nadjechać najbliższy autobus.

Miles zaparkował w bocznej alejce, przerzucił czapkę za żywopłot i pospieszył na przystanek, niosąc w ręku jedynie aktówkę.

– Benzyna się skończyła, co? – rzuciła domyślnie starsza pani, spoglądając na nadjeżdżający autobus.

Miles nie odpowiedział.

Dopiero gdy wsiadł, uświadomił sobie, że nawet nie wie, dokąd jedzie. Miał tylko nadzieję, że nie do Limpton.

– Dokąd, kochasiu? – spytała bileterka.

– A dokąd jedzie ten autobus?

– Do Sevenoaks – odpowiedziała zdziwiona.

– Zatem do Sevenoaks.

– Sześćdziesiąt pensów – obwieściła, drukując bilet.

Podał jej banknot pięciofuntowy.

– A drobniej nie będzie, kochasiu?

– Nie. Proszę zatrzymać resztę.

– Dziękuję! – ucieszyła się bileterka, jakby wygrała na loterii.

Miles wychylił się ostrożnie przez okno, gotów w razie potrzeby rzucić się do ucieczki. W przeciwnym kierunku śmignął wóz policyjny.

Gdy Eddie wysiadł z pociągu w Tunbridge Wells, ujrzał starszego inspektora Warwicka, który rozmawiał z umundurowanym policjantem, uważnie przy tym obserwując przechodzących pasażerów. Minął ich jak gdyby nigdy nic i przeszedł kładką na sąsiedni peron, gdzie funkcjonariuszy było znacznie więcej niż podróżnych. Najbliższy pociąg do Charing Cross miał już za dwanaście minut. Odjeżdżając, Eddie chciał pomachać inspektorowi Warwickowi i uśmiechnąć się do niego, ale oparł się pokusie.

Miles wysiadł z autobusu w Sevenoaks. Przystanek końcowy znajdował się na wprost dworca kolejowego, przed którym stała kolejka taksówek. Czas działał na jego niekorzyść, Miles musiał się spieszyć. Przebiegł na drugą stronę ulicy i wsiadł do pierwszego samochodu.

– Dokąd, szefie?

– Na lotnisko Luton.

Taksówkarz wyglądał na zaskoczonego i uradowanego jednocześnie.

– Spieszy mi się – dodał Miles – ale proszę nie łamać przepisów.

– Zaczynicie od kontroli na lotniskach oraz dworcach kolejowych i autobusowych w promieniu trzydziestu mil – zarządził William. – Nie możemy pozwolić, żeby nam uciekł po raz drugi.

– Nie mamy do dyspozycji aż tylu ludzi – odparł Ross. – Jest sobotnie popołudnie, większość pilnuje porządku na meczach piłkarskich.

– Możesz być pewny, że on o tym pamiętał – stwierdził William – i uwzględnił ten fakt w planach ucieczki.

Taksówka zatrzymała się przed terminalem portu lotniczego Luton w chwili, gdy w całym kraju ze stadionów piłkarskich wylewały się tłumy kibiców.

Wręczył kierowcy dwa banknoty dwudziestofuntowe i nie zaczekał na resztę. Natychmiast pomaszerował do hali i przystanął przed tablicą odlotów. Interesowały go jedynie samoloty startujące w ciągu najbliższej godziny. Wypatrzył trzy: 5.40 do Newcastle, 5.50 do Moskwy oraz 6.10 do Brukseli. Otworzył aktówkę, przejrzał swoje trzy paszporty i wybrał kanadyjski, wydany dla dyrektora firmy, Jeffa Steinera. Podszedł do kontuaru i zapłacił gotówką za bilet – nie miał wyboru, jako że pan Steiner nie posiadał karty kredytowej, jedynie banknoty oraz paszport.

Pół godziny później był już w samolocie. Usadowił się w fotelu i zaczął rozważać najgorsze możliwe scenariusze, czekając niecierpliwie, aż stewardesa zatrząśnie drzwi. Wreszcie zahuczały silniki i odrzutowiec zaczął kołować w stronę pasa startowego. Każda chwila dzieląca Milesa od startu ciągnęła się w nieskończoność. Gdy w końcu maszyna wzbiła się w niebo, wyjrzał przez iluminator na urodzive zielone równiny, zastanawiając się, kiedy znowu zobaczy Anglię.

Wreszcie rozparł się wygodniej i zaczął obmyślać dalszą część planu.

Gdy wylądował w Brukseli, natychmiast wyrzucił kanadyjski paszport i zastąpił go francuskim – był teraz architektem i nazywał się Thierry Amodio.

Podczas dwugodzinnego oczekiwania odwiedził lotniskowego fryzjera, który nie ukrywał zaskoczenia jego życzeniem.

Trzydzieści minut później łysy mężczyzna skorzystał z automatu telefonicznego, po czym dołączył do krótkiej kolejki oczekujących na wylot do Barcelony. Tym razem posłużył się paszportem holenderskim, jako Ricardo Rossi, projektant mody. Zająwszy miejsce w samolocie, odpuścił sobie plastikowy posiłek, przymknął powieki i natychmiast zasnął.

Tuż po północy wylądował w stolicy Katalonii. Za chwilę nowy dzień, pomyślał Miles. Z zadowoleniem stwierdził, że za barierką, tuż przy wyjściu z terminala, czeka już na niego jego hiszpański kierowca.

– Dobry wieczór, señor – powitał go szofer. – Mam nadzieję, że miał pan przyjemny lot.

– Nawet kilka – odparł Miles, wsuwając się na tylne siedzenie niczym niewyróżniającego się czarnego volvo.

Przez czterdzieści minut jechali w głąb hiszpańskiej prowincji, aż dotarli do niedawno nabytej nieruchomości, o której istnieniu nie wiedział nawet Booth Watson. Elegancki lokaj otworzył drzwi frontowe, nim Miles wspiął się na najwyższy schodek.

– Dobry wieczór, panie Faulkner – powiedział.

– Dobry wieczór, Collins – odparł Miles. – Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

## 9

– Co takiego? – warknął komendant.

– Zgubiłem go, sir.

– To lepiej go znajdź albo postaram się, żebyś sam był zgubiony.

William właśnie miał spytać Jastrzębia, co właściwie ma na myśli, lecz nagle jego pytanie straciło sens.

– Proszę mi przypomnieć, starszy inspektorze Warwick – ta zmiana tonu nie wróżyła najlepiej; gdyby pozostał „Williamem”, być może miałby jeszcze szanse

– czy ma pan tydzień urlopu?

– Tak jest, sir.

– W takim razie masz siedem dni na odnalezienie Faulknera. A jeśli to się nie uda, będę miał dość czasu, żeby poszukać nowego kandydata na szefa zespołu, a także zastanowić się, jakie zajęcie i jaka ranga będą odpowiednie dla ciebie.

Połączenie zostało przerwane.

– Niezbyt przyjacielska pogawędka – zauważył Danny.

– Mogło być gorzej – odparł William. – Na przykład gdyby od razu nazwał mnie konstablem Warwickiem.

– Wtedy nie musiałbym zwracać się do pana „sir” – zażartował Danny.

– Ale zanim to nastąpi, możesz mnie zawieźć do domu.

– Tak jest, sir.

William sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku, spodziewając się kolejnej salwy w wykonaniu Jastrzębia.

– Cześć, Jaskiniowcu. Tęsknisz za mną?

– Bardziej, niż myślisz – przyznał William. Miał wielką ochotę wyjaśnić Beth dlaczego, ale zadowolił się pytaniem: – Jak tam Nowy Jork?

Gdzieś w tle rozległ się perlisty śmiech.

– Przewspaniały! Po południu zobaczyliśmy kolekcję Fricka i miałeś rację co do Belliniego, niesamowity obraz. A teraz mów, jak się udał ślub, bo umieram z ciekawości. Przyskrzyniłeś Faulknera, zanim powiedział „tak” czy zaraz po tym?

– Po tym – odparł William, żywiąc głęboką nadzieję, że jego odpowiedź stanie się prawdziwa, zanim Beth wróci.

– I co na to Christina?

Detektyw miał wrażenie, że przesłuchuje go Jastrząb.

– Nie przez telefon, kochanie. Opowiem ci wszystko, gdy wrócisz. A co macie w planach na wieczór? – spytał, rozpaczliwie pragnąc zmienić temat.

– Idziemy na *La Cage aux Folles*; bilety trzeba było kupić u konika. Cóż, porzucona kobieta nie może sobie pozwolić na nudę. Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też.

– I gratuluję.

– Czego?

– Triumfu. Nie mogę się doczekać, aż poznam szczegóły. A teraz muszę lecieć, zaraz podnoszą kurtynę. Śpij dobrze. Tęsknię.

William nie spał dobrze; prawdę mówiąc, w ogóle nie spał. Bardzo chciał przedyskutować problem z Beth, usłyszeć jej radę, ale wiedział, że w ten sposób zepsułby jej wakacje. Mało tego, przypuszczał, że zanim jeszcze kurtyna poszłaby w górę, jego żona już byłaby w drodze na lotnisko JFK. Gdy w szparze między zasłonami zajaśniała pierwsza sugestia poranka, William był już wykąpany i ubrany. Zdążył też zjeść miskę płatków kukurydzianych i zadzwonić do dwóch osób: do Danny'ego oraz detektywa inspektora Rossa Hogana.

Był mniej więcej w połowie streszczania nowin swemu nowemu zastępcy, gdy przypomniał sobie, która jest godzina. Gdy zaczął przeproszać, wydało mu się, że usłyszał w tle jakiś stłumiony, ale jednak znajomy głos. Najwyraźniej obudził dwie osoby.

– Przyjadę natychmiast, sir – zapewnił go Hogan, po czym odłożył słuchawkę.

– Przekaż szefowi pozdrowienia ode mnie – powiedziała Jackie, gdy Ross wyskakiwał z łóżka. – I nie zapomnij podziękować mu za to, że zepsuł nam ostatni wspólny weekend.

Czterdzieści minut później Danny zatrzymał wóz przed domem detektywa starszego inspektora Warwicka. William usiadł z tyłu, obok Rossa, który wyglądał na znacznie bardziej wyspanego, niż był w rzeczywistości.

Inspektor Hogan najwyraźniej nie był całkiem gotowy do normalnej pracy policyjnej. Miał na sobie błękitne dżinsy, wymięty T-shirt, jakby przed chwilą podniesiony z podłogi, a także sportowe buty, które – choć z górnej półki –

z pewnością nie spełniały wymogów regulaminu. Podobne zdanie miał Jastrząb o jego umyśle.

– Niezłe jaja, sir – odezwał się Ross, gdy William zatrzasnął drzwi.

– Gorzej być nie mogło. Prawdę mówiąc, możesz już zacząć mówić mi po imieniu, bo niewykluczone, że z końcem tygodnia to ja będę się do ciebie zwracał „sir” – odparł starszy inspektor, po czym streścił Rossowi swą rozmowę telefoniczną z Jastrzębiem.

– Aż tak źle?

– Gorzej. Stwierdził – ciągnął William – że mamy więcej niż wystarczające dowody, by aresztować Christinę Faulkner za współudział w przestępstwie, zgodnie z Ustawą o prawie karnym z 1967 roku.

– Co oznaczałoby dla niej co najmniej pięć lat pobytu w bardzo bezpiecznym miejscu.

– Jednakże uznał też, że powinniśmy się skupić na ważniejszym celu, a ją jedynie mieć na oku. Uważa, że Christina z rozkoszą sprzeda własnego męża, jeśli tylko zaoferujemy jej skrócenie wyroku, więc, jak to ujął, powinniśmy trzymać rękę na pulsie.

– Ciekawe, kogo reprezentowałby Booth Watson, gdyby doszło do procesu.

– Oboje, jeśli tylko mogłoby mu to ująć na sucho – stwierdził William.

– Jaki więc będzie nasz kolejny ruch?

– Czeka nas stara dobra policyjna dreptanina, jakbyśmy dopiero zaczęli w tym fachu. Na początek trzeba zrekonstruować wydarzenia wczorajszego dnia w nadziei, że uda się znaleźć trop Faulknera. Danny – dodał William, pochylając się ku kierowcy – zawieź nas na ten przejazd kolejowy, dokąd Faulkner zafundował nam wycieczkę.

W drodze do Limpton nakreślił Rossowi najlepszy plan, jaki udało mu się sklecić tej nocy.

– Myszy i ludzie – mruknął Ross.

– Wiem, do której kategorii ja się zaliczam – odparł William. – Nie mielibyśmy problemu, gdybym wziął nieoznakowany wóz policyjny, a nie taksówkę, gdy ruszaliśmy za Faulknerem. Dlatego Jastrząb ma rację... nikogo innego nie można tu winić. Jeśli do końca tygodnia nie złapię Faulknera, skończę jako krawężnik i raczej nietrudno zgadnąć, kto zajmie moje miejsce.

– Na mnie nie patrz – obruszył się Ross. – Jestem samotnikiem, nie materiałem na oficera. Ale słyszałem, że jest wolny etat w drogówce dla świeżo zdegradowanego sierżanta. Nie wymagają doświadczenia.

– Nie żartuj na ten temat – odparł poważnie William, gdy wjeżdżali na autostradę.

Zanim dotarli do przejazdu kolejowego, Ross zdążył zadać kilka przemyślanych pytań i dorzucić parę własnych pomysłów. William szybko uświadamiał sobie, z jakiego powodu Jastrząb ma o nim tak wysokie mniemanie.

– Gdy Faulkner zobaczył, że biegniecie z Dannym w stronę stacji, musiał wybrać jedno z dwojga – powiedział Ross. – Albo zawrócił, albo przejechał na drugą stronę torów.

– Przejechał – stwierdził Danny.

– Skąd ta pewność? – spytał Ross.

– Nie zdążyłem dobiec do pociągu, więc zawróciłem do samochodu. Gdy byłem na kładce, widziałem, jak podnoszą się szlabany i przejeżdża pod nimi granatowy mercedes.

– Dlaczego nie pojechałeś za nim?

– Kierowca miał na głowie szoferską czapkę, więc uznałem, że Faulkner jest w pociągu. Moim zadaniem było przede wszystkim dopilnowanie, żeby na następnej stacji czekał na niego odpowiedni komitet powitalny.

– I czekał, tylko Faulkner się nie pojawił – podchwycił William. – Minęło trochę czasu, zanim się połapałem, że zastąpił go szofer. Od tej pory musimy myśleć tak jak Faulkner. Dokąd bym się udał, gdybym to ja przejechał przez tory?

– Na pewno nie do Limpton – stwierdził Ross. – Faulkner musiał od razu się domyślić, że na pana młodego czeka cały zastęp nieproszonych druzbów.

– Przed Limpton jest tylko jedno skrzyżowanie – wtrącił Danny.

– Zatem właśnie tam skręcił – rozstrzygnął William.

Po chwili byli już na miejscu.

Danny minął drogowskaz na Limpton, skręcił w prawo i mocno dodał gazu.

– Zwolnij – polecił William. – Trzymaj równe tempo. Faulkner nie ryzykowałby zbyt szybkiej jazdy, żeby uniknąć spotkania z drogówką.

– Jak myślisz, długo tak jechał, zanim porzucił samochód? – spytał Ross.

– Nie bardzo – ocenił William. – Musiał wiedzieć, że gdy tylko zorientujemy się, że nie ma go w pociągu, wszystkie patrole w hrabstwie będą szukały granatowego mercedesa.

– Jeżeli nikt go stąd jeszcze nie ściągnął albo nie ukradł – powiedział Danny – to większe szanse na odszukanie go mielibyśmy z helikoptera Policji Metropolitalnej, niż tłukąc się tym zabytkowym austinem allegro.

– Wątpię, żeby komendant pozwolił na coś takiego – odparł William.



Przejechali niespiesznie przez niedużą wieś i zatrzymali się na kolejnym skrzyżowaniu.

– Pomocy – odezwał się Danny. – W prawo, w lewo czy prosto?

– Prosto – zdecydował William. – W lewo, do Limpton, na pewno nie pojechał. Wrócimy tu, jeśli nic nie znajdziemy w ciągu kwadransa.

Z każdą przebytą milą ubywało mu wiary w sukces, lecz gdy zbliżali się do kolejnej wioski, nagle Danny wykrzyknął: „Bingo!” i zaraz potem z piskiem opon zatrzymali się przy granatowym mercedesie.

Ross miał właśnie wysiąść z samochodu, gdy William odezwał się cicho:

– Numer rejestracyjny się nie zgadza.

Milczeli, gdy Danny zawracał i dodawał gazu. Zwolnił, dopiero gdy wrócili na skrzyżowanie. Tym razem skręcił w lewo przy drogowskazie na Sevenoaks. Od tej pory pilnował, by nie rozpędzać się powyżej trzydziestu mil na godzinę.

William nie przestawał żałować, że nie został w Nowym Jorku. Zdecydowanie wolał podziwiać kolekcję Fricka, niż szwendać się po głębokiej prowincji w poszukiwaniu porzuconego samochodu.

– A ci co kombinują, u diabła? – spytał Danny, gdy spostrzegł dwóch nastolatków zajętych odkręcaniem samochodowego koła. Ostro zahamował, ale rozbiegli się w przeciwnych kierunkach, zanim wysiadł z wozu. Jeden z nich taszczył w ramionach zdobyczne koło. – Gonić ich, szefie?

– Nie – odparł William, spoglądając na tablicę rejestracyjną. – Zostawili nam coś znacznie cenniejszego. Zadzwoń do inspektora Thomasa, niech przyśle lawetę i dyskretnie przechowaj ten wóz, póki się z nim nie skontaktuje.

Gdy Danny nawiązywał łączność, Ross, który zdążył już kilka razy obejść samochód dookoła, zaglądał właśnie za pobliski żywopłot.

– Tutaj, szefie! – zawołał.

William podbiegł do niego i razem przedostali się na drugą stronę, na błotniste pole. Podniesionym z ziemi patykiem ostrożnie podniósł szoferską czapkę.

– Wystarczy nam jeden odcisk palca, żeby dowieść, że kapitan Ralph Neville to w istocie Miles Faulkner – powiedział William. – W tej chwili jednak najbardziej interesuje mnie to, dlaczego porzucił wóz właśnie tu.

– Być może dlatego. – Ross wskazał przystanek autobusowy.

– Bystre oko – pochwalił go William. Razem przeszli na drugą stronę ulicy i stanęli pod wiatą, by przeczytać rozkład jazdy. – W sobotę jest autobus do Sevenoaks o czternastej dwadzieścia.

– Pasuje – mruknął Ross.

– Inspektor Thomas jest w drodze, a wkrótce po nim powinna tu dotrzeć laweta – zameldował Danny, dołączając do pozostałych. – Co teraz, szefie?

– Schowaj to do torby na dowody – polecił William, podając mu szoferską czapkę, po czym znowu spojrzął na rozkład jazdy. – Zaczekam na autobus do Sevenoaks i tam się spotkamy, na końcowym przystanku. Ross, gdy tam dotrzesz, spróbuj rozejrzeć się po okolicy oczami Faulknera. Musimy odgadnąć, jaki był jego następny krok. Ja też nad tym pomedytuję, jadąc autobusem.

Odprowadził podwładnych wzrokiem, gdy szli w stronę samochodu i odjeżdżali, a potem usiadł pod wiatą w oczekiwaniu na autobus.

# 10

Autobus lokalnej linii przeturlał się niespiesznie przez kolejny pagórek i dość gwałtownie zatrzymał się na przystanku. Nowy, samotny pasażer zajął miejsce w pobliżu kierowcy.

– Dokąd? – spytał bileter.

– Sevenoaks – odpowiedział William.

– Sześćdziesiąt pensów.

William wyjął legitymację policyjną i spytał:

– Pracował pan może na tej trasie wczoraj koło południa, a może trzynastej?

– Nie, panie władzo, to zmiana Rose. A dziś ma wolne, nigdy nie pracuje w niedziele.

– Rose?

– Rose Prescott. Jeździ na tej trasie od lat – wyjaśnił z uśmiechem bileter.

– Dziękuję – powiedział William i odwrócił się w stronę okna. Spoglądając na sielski krajobraz, zastanawiał się, czy istnieje możliwość, że Faulkner jeszcze nie opuścił Anglii. Z zamyślenia wyrwał go dźwięk policyjnej syreny – wóz patrolowy śmignął sąsiednim pasem, w przeciwnym kierunku. William zanotował w pamięci, że trzeba będzie zadzwonić z podziękowaniami do inspektora Thomasa.

Choć w swej powolnej podróży do Sevenoaks autobus zatrzymywał się kilkakrotnie, William nie znalazł powodu, by przypuszczać, że Faulkner wysiadł gdzieś po drodze, przed końcowym przystankiem.

Gdy spoglądał na zegarek, obok przejechał jeszcze jeden wóz policyjny, tym razem półciężarówka. Być może w mercedesie nie będzie żadnych śladów Faulknera, pomyślał, ale na czapce? Ross już na niego czekał, gdy autobus dotarł do końca swej trasy. Najwyraźniej nie tracił czasu.

– Pierwszą rzeczą, którą Faulkner zobaczył, wysiadłszy z autobusu – zaczął inspektor – była stacja kolejowa z postojem taksówek naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Danny już sprawdza stację. Ja przepytalem taksówkarzy. Jak dotąd bez powodzenia. Żaden nie rozpoznał Ralpa Neville'a ze zdjęcia, ale twierdzą, że kilku bywalców tego postoju pracuje wyłącznie popołudniami.

– W takim razie pytaj dalej, a ja odwiedzę panią Rose Prescott.

– Czyli?

– O tym później – odparł William i zostawiwszy Rossa na postoju taksówek, pomaszerował w stronę budynku na pętli autobusowej.

– Rose – powiedział kierownik zmiany, przyjrzawszy się legitymacji starszego inspektora Policji Metropolitalnej. – Mam nadzieję, że nie nabroiła.

– Ależ skąd. Po prostu mam nadzieję, że zapamiętała pewnego pasażera, który wczoraj po południu jechał z nią autobusem.

– Na tej trasie mamy niemal wyłącznie stałych klientów, Rose zna większość osobiście – odparł kierownik, przewracając stronice w wielkim segregatorze. – Mieszka przy Castle Drive dwadzieścia trzy. I pewnie już wróciła z kościoła – dodał, zerknąwszy na zegarek.

William wyszedł na ulicę w samą porę, by zobaczyć, że kolejny taksówkarz, któremu Ross pokazał powiększone zdjęcie Neville'a, przecząco kręci głową.

– Małe szanse, że ktoś go tu widział – przyznał William – ale niech to cię nie zniechęci.

Ross wymamrotał coś niezrozumiale, a jego szef wszedł do taksówki i podał kierowcy adres przy Castle Drive.

– Nie rozpoznał pan człowieka ze zdjęcia, które pokazał mój kolega? – zagadnął, gdy ruszyli.

– Niestety. Wczoraj po południu patrzyłem sobie, jak Chelsea łoł Arsenal.

Pierwszy raz od Bóg wie kiedy, miał ochotę odpowiedzieć William, ale postanowił nie ujawniać swych barw klubowych, bo istniała obawa, że taksówkarz więcej się do niego nie odezwie. Rozparł się więc wygodnie na tylnej kanapie, zastanawiając się nad pytaniami do pani Prescott, która już wydawała mu się znajoma.

– Może pan zaczekać? – zapytał, gdy zatrzymali się pod numerem 23. – To nie potrwa długo.

– Licznik będzie chodził – odparł taksówkarz, szczerząc zęby w uśmiechu.

William otworzył furtkę, kilkoma krokami przemierzył krótką ścieżkę i zapukał do drzwi frontowych. Chwilę później otworzyła mu młoda kobieta.

– Czy zastałem panią Prescott? – zapytał, okazawszy legitymację służbową.

– Właśnie wróciła z kościoła. Pójdę po nią.

Starsza kobieta w swym najlepszym niedzielnym ubraniu zjawiała się po chwili.

– Proszę wejść, inspektorze – powiedziała. – Właśnie miałam parzyć herbatę. Napije się pan?

– Dziękuję – odparł William. Zamknął za sobą drzwi i poszedł śladem Rose prosto do kuchni.

– Proszę, młodzieńcze, siadaj i opowiadaj. W czym mogę pomóc? – spytała, gdy nastawiła czajnik.

William położył na stole zdjęcie Ralpa Neville’a.

– Czy wczoraj po południu, podczas kursu do Sevenoaks, widziała pani tego człowieka?

– No jasne – odrzekła Rose, nalewając mu herbaty. – Cukru?

– Nie, dziękuję. Dlaczego jest pani taka pewna, że go rozpoznaje?

– Bo nie wydaje mi się, żeby tacy dżentelmeni często podróżowali autobusami, a już na pewno nie wtedy, gdy są wystrojeni jak na ślub.

William nie przerywał.

– Zapamiętałam przede wszystkim to, że kiedy dałam mu bilet, nie miał drobnych i zostawił mi banknot pięćofuntowy. Co więcej, pani Haskins, jedna z moich stałych pasażerek, powiedziała mi później, że musiała mu się skończyć benzyna, bo zostawił przy drodze swój piękny samochód. – Rose umilkła, by napić się herbaty, po czym spytała: – Czyżby upomniał się o zwrot pieniędzy?

– Pieniądzy? – powtórzył William.

– Reszty z tej pięćofuntówki. Chociaż sam powiedział, żebym ją sobie zatrzymała. Tak czy owak, marne jego szanse – Rose zachichotała – bo dałam dziś wszystko na tacę, a nasz pastor na pewno mu nie odda.

William także parsknął śmiechem.

– Pewnie nie zauważyła pani, dokąd poszedł ten pasażer, gdy wysiadł?

– Poszedł na drugą stronę ulicy, prosto na postój taksówek.

– Jest pani pewna?

– O, tak. Pomyślałam, że może poszedł po drobne i wróci, żeby odzyskać swoją piątkę, ale on wszedł do taksówki i zaraz odjechał.

– A może rozpoznałaby pani kierowcę? – spytał z nadzieją William.

– Przykro mi, ale nie – odpowiedziała Rose.

Do kuchni weszła młoda kobieta.

– Jest nadzieja, że zamknie pan mamę do pudła, inspektorze?

– Niezupełnie, ale trzymam kajdanki w pogotowiu, na wypadek gdyby chciała dać nogę – odrzekł William, dopijając herbatę.

– Szkoda. – Córka Rose westchnęła. – Mój chłopak miał nadzieję, że będzie mógł zostać na noc.

– Zapomnij – rzuciła stanowczo Rose. – Nic z tego, póki nie zobaczę na twoim palcu pierścionka zaręczynowego, a może i to nie wystarczy.

– Dziękuję, Rose – powiedział William, wstając. – Na mnie już czas.

– Naturalnie.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę, gdy otworzyła przed nim drzwi.

– Bardzo mi pani pomogła, Rose.

– I wzajemnie – odparła. – Nie uśmiechałaby mi się rozmowa z pastorem, gdyby trzeba mu było powiedzieć, że ma zwrócić piątkę. A z drugiej strony, jakoś nie wydaje mi się, żeby to były ostatnie pieniądze tego typu ze zdjęcia.

William pochylił się lekko i ucałował bystrą bileterkę w oba policzki, za co nagrodziła go ciepłym uśmiechem. Oddalił się ścieżką prosto do taksówki, w której, jak zauważył, nadal pracował licznik.

– Z powrotem pod dworzec proszę.

– Nie wyglądała mi na geniusza zbrodni – zauważył kierowca.

– Słuszna uwaga. Ale jej zmarły mąż był fanem Kanonierów.

– A to przestępstwo?

– Tak, w oczach kibiców Chelsea – odparł William.

Zapadła cisza, której potrzebował, żeby zastanowić się nad kolejnym ruchem.

Ross i Danny czekali na niego na postoju – jeden uśmiechnięty, drugi ze zmarszczonym czołem. Wybrał na początek złe wieści.

– Nic z tego – oznajmił Danny. – Konduktor bardzo grzecznie mnie poinformował, że w dni powszednie dojeżdża stąd do pracy w Londynie ponad tysiąc osób, a w soboty, gdy gra liga, nawet więcej. Jego zdaniem facet ze zdjęcia niczym się nie wyróżnia, więc dlaczego miałyby zostać zapamiętany?

– A co u ciebie, Ross?

– Prawie nic, jeśli nie liczyć jednego taksówkarza, któremu przytrafiła się osobliwa historia. W tej chwili wiezie klienta do hotelu, ale za parę minut powinien tu wrócić.

– To może przerwa na kawę? – zasugerował z nadzieją Danny.

William skinął głową w stronę dworcowej kawiarni. Gdy znaleźli wolny stolik, rzekł:

– Podsumuję teraz nasze dotychczasowe ustalenia, a wy mi powiedzcie, czy o czymś nie zapomniałem. Znaleźliśmy samochód, którym najprawdopodobniej jechał Faulkner. W tej chwili jest w drodze na miejscowy parking policyjny. Pewnie trzeba będzie poczekać parę dni na wyniki poszukiwań odcisków palców. Wątpię, czy uda się je znaleźć w samochodzie, ale mam nadzieję, że będą na czapce szoferskiej, którą oddam do badania, gdy tylko wrócimy do Yardu.

– A czy Rose miała coś ciekawego do powiedzenia? – spytał Ross.

– Jest dla nas osiemnastokaratowym klejnotem. Nie tylko rozpoznała Faulknera ze zdjęcia, ale też widziała, jak wsiadał do taksówki. Teraz wystarczy ustalić której.

– To ten – powiedział Ross, spoglądając za okno. – Właśnie podjechał pod dworzec.

– Pójdę zamienić z nim słowo, a wy dokończcie kawę.

William dopił drugą już tego ranka filiżankę, po czym przeszedł przez ulicę, kierując się prosto ku ostatniemu w rzędzie samochodów.

– Przykro mi, kolego – odezwał się taksówkarz – ale musisz wziąć wóz z początku kolejki.

– Nie potrzebuję taksówki, szukam jednego z wczorajszych pasażerów. Kolega mi mówił, że nie rozpoznał pan tego człowieka – odparł William, pokazując mężczyźnie zdjęcie Neville'a – ale podobno miał pan dziwnie zachowującego się pasażera?

– Faktycznie, dziwny był – przyznał taksówkarz – ale nie widziałem jego twarzy, więc nie mogę potwierdzić, czy to był on.

– A co było w nim dziwnego?

– Usiadł z tyłu, zanim zdążyłem mu się przyjrzeć. To akurat nic niezwykłego, ale on od razu wcisnął się w kąt kanapy po lewej stronie, tak że bym nie mógł go zobaczyć w lusterku wstecznym. Czasem takie zachowanie oznacza, że klient będzie próbował zwać, nie płacąc. No, ale gdy spytałem go, dokąd chce jechać, odpowiedział mi z tak nadętym akcentem, że od razu się uspokoiłem.

– A dokąd chciał jechać?

– Na lotnisko Luton. Nie odezwał się przez całą drogę ani słowem. Gdy dotarliśmy na miejsce, wcisnął mi przez klapkę trochę gotówki i zniknął, zanim zdążyłem wydać resztę.

– A co w tym niezwykłego? Może po prostu się spieszył.

– Większość moich klientów, którzy zamawiają kurs na lotnisko, chce dostać fakturę, żeby odliczyć sobie koszt podróży. Ten nie chciał.

– Ale nie miał pan okazji, żeby mu się przyjrzeć?

– Nie. Wiem tylko, że był elegancko ubrany i miał przy sobie skórzaną teczkę, jakby niepasującą do sobotniego popołudnia. Chociaż pewnie nie zwróciłbym na to wszystko uwagi, gdybym nie widział, że facet wysiadł z autobusu.

William zmówił w duchu krótką modlitwę.

– Która to była godzina?

– Tuż po trzeciej.

– Jest pan pewny?

– Słuchałem transmisji Meczu Dnia. Spurs kontra Everton. Toffees strzelili w pierwszej minucie. Łajdaki.

– Dziękuję – powiedział William, chowając zdjęcie do kieszeni. – Bardzo nam pan pomógł.

Wrócił do kawiarni w samą porę, by zapłacić.

– No, Danny, streszczaj się, zawieszysz nas na lotnisko Luton.

Gdy wyjeżdżali z Sevenoaks w stronę autostrady, William streścił zastępcy rozmowę z taksówkarzem.

– Odrobinę naciągamy fakty – ocenił Ross – ale nagromadzenie zbiegów okoliczności każe mi przypuszczać, że to coś więcej niż zbieg okoliczności.

– Musimy zmierzyć czas dojazdu do lotniska – powiedział William. – Dzięki temu ustalimy najbardziej prawdopodobne połączenie lotnicze, na które mógł się zdecydować.

– Ale dlaczego wybrał Luton, skoro o wiele bliżej miał na Gatwick, Heathrow i Stansted? – spytał Danny.

– Założył, że na pewno obstawimy tamte lotniska.

Zanim Danny zaparkował przed terminalem, William i Ross zdążyli omówić kilka możliwych scenariuszy wydarzeń.

– Godzina dwadzieścia pięć, szefie – obwieścił.

– Zaczekaj tu – polecił William. – Przypuszczam, że będziemy wracali prosto do Londynu, ale kto wie?

Wszedł do hali portu lotniczego w asyście Rossa i od razu skierował się do punktu informacyjnego.

– W czym mogę panom pomóc? – spytała kobieta stojąca za kontuarem.

– Chciałbym się dowiedzieć, które loty odbyły się wczoraj po siedemnastej.

Palce zabębniły w klawiaturę komputera.

– Mieliśmy 17.05 do Dublina. Odłot o czasie.

– Nie zdążyłyby – wtrącił Ross.

– 17.40 do Newcastle odleciał z dwudziestominutowym opóźnieniem.

– Utkwiłyby w Anglii na noc.

– Moskwa 17.50 – powiedziała kobieta, spoglądając na ekran.

– Nie sądzę – mruknął William.

– W takim razie 18.10 do Brukseli.

– To możliwe.

– I 18.20 do Edynburga.

– Nie.



– A może 19.10 do Kopenhagi?

– Nie chciałby czekać na lotnisku tak długo – stwierdził William. – Musiał wybrać Brukselę.

– Wątpię, żeby to był ostateczny cel podróży – odparł Ross. – To musiała być po prostu pierwsza lepsza okazja do ucieczki z kraju.

– Niech będzie – zgodził się William.

Podziękował kobiecie i podeszli z Rossem do stanowiska Sabeny. Tym razem okazał legitymację służbową, nim zadał pierwsze pytanie.

– Chciałbym zobaczyć listę pasażerów wczorajszego lotu o 18.10 do Brukseli.

– Szuka pan konkretnej osoby? – spytała kobieta. Wpisała kilka znaków na klawiaturze i spojrzała na ekran.

– Kapitana Ralpa Neville’a.

Sprawdziła listę pasażerów dwukrotnie.

– Z tego, co widzę, nikt o takim nazwisku nie zgłosił się do odlotu.

– Może Miles Faulkner? – podpowiedział Ross, lekko zbity z tropu.

– Nie – odpowiedziała, wciąż wpatrzona w ekran.

Ross sięgnął po zdjęcie. Przyjrzała się uważnie i pokręciła głową.

– Nie przypominam sobie.

William postanowił zagrać w ciemno.

– A może zjawił się ktoś w ostatniej chwili i zapłacił za bilet gotówką?

– Rzeczywiście, jeden pan zdecydował się dość późno... Był niezadowolony, że nie udało się znaleźć miejsca w pierwszej klasie.

– Pamięta pani nazwisko?

– Niestety, nie.

– Zaryzykujemy? – mruknął Ross.

– Mają państwo miejsca na wieczorny lot do Brukseli? – spytał William, tym samym odpowiadając na pytanie.

– Ten o 18.10, jak każdego dnia. Mam wolne dwa bilety pierwszej klasy.

– Raczej nie skorzystamy – odparł William, uśmiechając się ciepło. – Wystarczy nam klasa ekonomiczna – dodał, podając kartę kredytową.

– W jedną stronę czy powrotne?

– W jedną. Nie jesteśmy pewni, dokąd się stamtąd udamy.

Tego klienta nieprędko zapomni, pomyślał William.

– Zaczekaj na bilety, Ross, a ja pójdę wyjaśnić Danny’emu, dlaczego jednak nie wracamy do Yardu.

Danny ucieszył się w duchu, że może wrócić do Londynu i wziąć wolne na resztę dnia. Pomyśl starszego inspektora wydał mu się nedorzeczny.

– Tylko najpierw zawieź czapkę szofera do laboratorium. Już im poleciłem, żeby natychmiast mnie zawiadomili, jeśli znajdą jakikolwiek ślad, który wiąże ją z Milesem Faulknerem.

Danny dotknął czoła palcami prawej dłoni i spytał:

– A jutro będę potrzebny, szefie?

– Jeśli tak, to tylko po to, żeby mnie podrzucić do pośredniaka – odparł William. – Dam ci znać.

Wróciwszy do terminalu, ujrzał Rossa zajętego rozmową z mężczyzną, który sceptycznie marszczył brwi.

– Mamy problem – zameldował detektyw, gdy szef stanął przy nim. – Paszporty, a raczej ich brak. To Thomas King, szef ochrony. Chętnie wystawi nam tymczasowe wizy podróżne, ale potrzebuje upoważnienia co najmniej od naszego komendanta, zanim złoży podpis. Ja w każdym razie nie zamierzam dzwonić do domu Jastrzębia w niedzielny wieczór.

William sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na kontuarze i wybrał numer, którego nie znał nawet Ross.

Jastrząb z zaciekawieniem wysłuchał relacji o tym, w jaki sposób starszy inspektor Warwick i detektyw inspektor Hogan spędzili niedzielę.

– Daj mi go – polecił zwięźle.

William przekazał słuchawkę szefowi ochrony, który powiedział tylko kilkakrotnie „tak jest”, nim ją oddał.

– Jeśli wrócisz bez Faulknera, możesz się nie zgłaszać po zwrot wydatków – rzucił na pożegnanie Jastrząb.

– Dziękuję, sir – odpowiedział William i odłożył słuchawkę.

– Nadal lecimy do Brukseli? – upewnił się Ross.

– Tak, ale możliwe, że wróci tylko jeden z nas.

Chwilę przed startem boeinga 727 William zapiął pas i zapadł w sen – po raz pierwszy, odkąd wrócił z Nowego Jorku.

Ross poświęcił wolny czas na pisanie raportu i szukanie alternatywnych scenariuszy, ale ostatecznie uznał, że niczego nie zdoła, póki nie zada Williamowi kolejnej serii pytań. Mógł to zrobić dopiero czterdzieści minut później, gdy koła samolotu dotknęły pasa startowego Narodowego Portu Lotniczego w Brukseli.

a) Czy Faulkner poleciał od razu do innego miasta?

b) Może został na noc? Sprawdzić wszystkie hotele w promieniu dwóch mil.

- c) Czy jest bezpośrednie połączenie lotnicze z Brukseli do Nicei (Monte Carlo)?
- d) Czy wpakowaliśmy się w ślepią uliczkę?

Umundurowany ochroniarz czekał na nich u podnóża schodów, gdy wysiadali z samolotu. Komendant najwyraźniej nie próżnował.

- W czym mogę pomóc? – zapytał funkcjonariusz, gdy uścisnęli sobie ręce.
- Ile samolotów odleciało z Brukseli od wczoraj, od dziewiętnastej trzydziści? – spytał William, spoglądając na zegarek.
- Nie więcej niż sześć – odpowiedział ochroniarz. – Musiałbym sprawdzić w rejestrze – dorzucił, gdy we trzech ruszyli w innym kierunku niż reszta pasażerów.

Gdy znaleźli się w jego biurze, potrzebował ledwie kilku chwil, by obwieścić:

- Paryż, Leningrad, Manchester, Helsinki, Luton i Barcelona.

William analizował krótką listę przez chwilę, zanim ogłosił:

- Obstawiam Paryż, bo stamtąd najłatwiej złapać krajowy lot do Nicei.
- Zgoda. W takim razie ty sprawdź Air France, a ja pogadam z Iberią.
- Czy obie panie miały tu dyżur wczoraj wieczorem? – spytał William, stając przed kontuarem w hali odpraw. Raz jeszcze wydobył duże zdjęcie Ralpa Neville'a i zapytał, czy któraś go widziała, ale obie tylko potrząsnęły głową.

– W sobotni wieczór Barcelona to ostatni wylot Iberian Airways z Brukseli – powiedziała „Blanca”. – Jak zwykle, samolot był pełen turystów.

- Ten człowiek na pewno nie wyglądał na kogoś, kto wybiera się na wakacje – odparł William.

Dziewczyny spojrzały na fotografię po raz drugi, ale bez rezultatu.

- Mogę zobaczyć listę pasażerów? – spytał.

Ochroniarz skinął głową, a jedna z pracownic Iberii obróciła monitor. William dwukrotnie sprawdził listy dla obu klas, lecz nie dostrzegł żadnego znajomo brzmiącego nazwiska.

– Dziękuję – powiedział i spojrział na Rossa, który właśnie podszedł, by zameldować, że nie udało się namierzyć Faulknera na liście pasażerów udających się na lotnisko De Gaulle'a.

– Nawet gdyby odleciał stąd w jednym z tych dwóch samolotów – rzekł William – i tak mielibyśmy do sprawdzenia ze trzystu podejrzanych. Musimy pogodzić się z faktem, że on znowu zniknął.

- Houdini zaczyna przy nim wyglądać na amatora.

– A ja zaczynam wyglądać na świeżutkiego rekruta – odparł William, nie kryjąc przygnębienia.

– Często biegają za tobą ładne dziewczyny? – spytał Ross.

William odwrócił się i zobaczył jedną z młodych pracownic Iberii, która biegła ku niemu.

– Mogę jeszcze raz spojrzeć na to zdjęcie? – spytała Blanca.

William wyjął fotografię z wewnętrznej kieszeni i podał ją dziewczynie.

Wpatrywała się w twarz Faulknera przez dłuższą chwilę, po czym zakryła dłonią jego czoło i spojrzała raz jeszcze.

– Tak, to na pewno on. Jeden z pasażerów pierwszej klasy lecących do Barcelony był łysy. Gdy oglądałam zdjęcie w jego paszporcie, wyjaśnił mi, że właśnie przed chwilą ogolił głowę. Pokazał mi nawet paragon – dodała, wskazując na zakład fryzjerski w drugim końcu hali.

– Jego pierwszy błąd – skomentował Ross.

– Kojarzy pani nazwisko? – spytał William.

– Ricardo Rossi. To akurat pamiętam, bo według danych z paszportu jest projektantem mody.

– Pocałowałbym panią – wyznał Ross – ale mi nie wolno.

– Jestem zawiedziona – odparła, po czym ucałowała go w oba policzki i wróciła za kontuar.

– Szkoda, że nie mieszkam w Brukseli – stwierdził Ross, ale William już go nie słyszał. Szedł w stronę zakładu fryzjerskiego, gdzie właśnie zamieniano tabliczkę z napisem „Ouvert” na „Fermé”. Ochroniarz pospieszył za nim i w porę okazał odznakę służbową. Fryzjer niechętnie uchylił drzwi.

– Czy wczoraj wieczorem golił pan głowę temu człowiekowi? – spytał William, pokazując zdjęcie Neville’a.

– Wczoraj mnie tu nie było – odpowiedział mu gderliwy głos. – Był Carlo, ale dzisiaj ma wolne. Jeśli klient jest niezadowolony z usługi, może przyjść rano. – Drzwi domknęły się z trzaskiem, a zaraz potem opadła roleta.

– Lecimy do Barcelony? – spytał Ross, gdy wrócili do niego, do stanowiska odpraw.

– Nie ma sensu – odparł William. – Faulkner zdążył już odlecieć do kolejnego miasta, zapewne tym razem nie zostawiając śladów. Trzeba będzie wrócić do domu i zmierzyć się z konsekwencjami.

– Szefie, wolisz najpierw usłyszeć dobrą czy złą wiadomość?

– O tak, na nic tak nie czekam, jak na kolejne złe wieści.

– Owszem, czekasz, nawet bardziej, niż myślisz. Otóż przed chwilą odleciał ostatni dzisiejszy samolot do Luton.

William spojrział posępnie na długie rzędy plastikowych krzesełek i spytał:

– A ta dobra wiadomość?

– Idę na kolację z Blancą.

Następnego ranka Danny odebrał z lotniska dwóch nieświeżych i ziewających detektywów, którzy przybyli pierwszym lotem z Brukseli. Żaden z nich nie zmrużył tej nocy oka.

– Właśnie dzwonił inspektor Thomas – zameldował, gdy siadali na tylnej kanapie. – W mercedesie nie znaleźli odcisków palców Milesa Faulknera. Są za to odciski jego żony.

– To by wyjaśniało, dlaczego nikt jej nie odebrał spod kościoła.

– Lepsze nowiny mam na temat szoferskiej czapki – ciągnął Danny. – Odciski kciuka i palca wskazującego ponad wszelką wątpliwość pasują do prawej dłoni Faulknera.

– A zatem – wtrącił Ross – wiemy już, że to naprawdę Miles Faulkner vel kapitan Ralph Neville zabunkrował się gdzieś w Hiszpanii jako Ricardo Rossi, projektant mody.

– I pewnie znowu zmienił zawód i nazwisko – uzupełnił William. – Gdy tylko wrócimy do Yardu, każę wysłać jego najświeższe zdjęcie hiszpańskiej policji.

– Chcesz, żebym sprowadził Christinę Faulkner na przesłuchanie? – spytał Ross.

– Nie, dopóki mam własną tajną agentkę.

# 11

– Trzeba było zostać ze mną w Nowym Jorku – powiedziała Beth, gdy weszli do sypialni. – Ella była fantastyczna, a do Met wracaliśmy w sumie trzy razy...

– Wiem, że to był tylko tydzień, ale dzieci okropnie za tobą tęskniły i w kółko pytały, kiedy wracasz – odpowiedział nie na temat William, wieszając w szafie marynarkę. – Oczywiście nie pomogło i to, że ja sam włóczyłem się po wioskach, szukając samochodu Christiny.

– I przy okazji jeszcze raz zgubiłeś trop jej męża.

– I zaraz znowu go odnalazłem – zaprotestował William.

– Bądźmy precyzyjni: udało ci się ustalić, na którym kontynencie przebywa, ale nie mamy nawet pewności, czy i to już się nie zmieniło – odpowiedziała Beth, rozpinając bluzkę.

– Wiem też, jak się teraz nazywa – dorzucił William, rozwiązując krawat.

– Przyleciał do Brukseli jako Ricardo Rossi, ale w Barcelonie może się zjawić jako zupełnie inna osoba.

– Po czyjej ty jesteś stronie? – spytał William.

– Po twojej, Jaskiniowcu – odpowiedziała, zrzucając bluzkę. – Ale tylko dlatego, że będzie mi potrzebna twoja pomoc, jeśli zamordowanie Christiny ma mi ujść na sucho.

– To ostatnia rzecz, którą powinnaś zrobić. W tobie cała nadzieja, że jeszcze się uda wytropić jej świętej pamięci małżonka.

– Jak mogę ci pomóc? – spytała z zapalem Beth, gdy William rzucał koszulę na oparcie krzesła.

– Gdy ją znowu spotkasz, zachowuj się, jak gdyby nic się nie stało, i spróbuj wy badać, po czyjej ona jest stronie – wyjaśnił William. Beth powoli rozpiniała spódnice. – Możliwe, że czeka cię niespodzianka.

– Przecież ona musiała się już zorientować, że ty wiesz, że Ralph i Miles to jedna i ta sama osoba.

– Zgoda, ale czy jest tylko panną młodą porzuconą przed ołtarzem, czy może współniczką przestępcy? – spytał William, zsuwając buty.

– Sama nie wiem, dlaczego miałabym realizować twój plan, skoro marzę tylko o tym, żeby własnymi rękami udusić tę cholerną babę – wyznała Beth, rozpinając mu pasek.

– Dlatego, że jeśli znowu wsadzę Faulknera za kratki, połowa jego kolekcji sztuki stanie się jej własnością, a to oznacza, że kolejne arcydzieło może zawisnąć w Fitzmolean Museum – wyjaśnił, rozpinając jej stanik. – Nawet jeśli przejmie tylko część majątku, do końca życia będzie mogła kąpać się w szampanie.

– W towarzystwie uroczych chłopców, którzy będą otwierać kolejne butelki – dopowiedziała Beth, stanowczym ruchem ściągając mu spodnie. – A gdy mnie nie było, Jaskiniowcu – zapytała, gdy zaczął ją całować – czego bardziej ci brakowało: mojej zapiekanki pasterskiej czy seksu?

– Będę potrzebował trochę czasu do namysłu – odpowiedział, gdy ich usta rozstały się na chwilę.

Beth opadła miękko na łóżko i tym momencie otworzyły się drzwi, a cichy głos przypomniawszy z wyrzutem:

– Tatusiu, obiecałeś, że nam poczytasz, gdy wrócisz do domu.

Beth wybuchnęła śmiechem, a mała Artemisia wdrapała się na łóżko, by wręczyć ojcu książkę. William błyskawicznie włożył piżamę, podczas gdy Beth chyłkiem wyskoczyła z pościeli i na powrót wbiła się w majtki i bluzkę.

– Ale tylko jeden rozdział – zastrzegł William.

Peter wychynął po cichu zza uchylonych drzwi i biegiem dołączył do siostry. Chwilę później bliźniaki leżały już przytulone do ojca, który otworzył książkę i zaczął czytać.

– Konstabl Plod był łagodnym człowiekiem i dobrym policjantem. Lubił pomagać babciom i dziadkom, gdy chcieli przejść przez ulicę, a gdy raz przyłapał chłopca, który pędził rowerkiem bez kasku, zwrócił mu tylko uwagę i ani słowem nie wspomniawszy o tym jego rodzicom. Wszyscy bardzo go za to lubili.

Peter zaczął klaskać.

– Niestety – ciągnął William – na posterunku jakoś nikt nie wpadł na to, by dać konstablowi Plodowi awans i uczynić go sierżantem.

– Dlaczego? – spytała oburzona Artemisia.

– Przypuszczam, że zaraz się dowiemy – odparł William, przewracając kartkę. Widać było jednak, że myślami jest gdzie indziej. – Plod czuł się, jak to często powtarzał swej żonie Beryl, całkiem szczęśliwy jako szeregowy funkcjonariusz. Beryl była jednak innego zdania. „Jesteś równie bystry jak

inspektor Watchit, który zawsze podkrada twoje pomysły, zbiera pochwały i awansuje”, tłumaczyła. „Taką mam pracę”, odpowiedział jej Plod. „Pomagam ludziom na różne sposoby oraz przekazuję przełożonym wszelkie przydatne informacje. Prawdę mówiąc, Beryl, dziś właśnie...”. Konstabl Plod umilkł, bo zadzwonił telefon. Beryl podniosła słuchawkę i słuchała przez kilka chwil, nim powiedziała: „Przecież Fred ma dziś wolne”.

„Nie, już nie ma”, odrzekł jej inspektor Watchit. „Proszę powiedzieć Plodowi, że ma czym prędzej stawić się w pałacu. Doszło do włamania; zaginął cenny naszyjnik z pereł. Ja przesłuchuję podejrzanych, a lady Doubtful życzy sobie, by przeszukano posiadłość”.

William uniósł głowę znad książki i zobaczył, że Peter już śpi, lecz Artemisia nadal w skupieniu chłonie każde jego słowo.

– Pora spać, maluchy – powiedziała Beth.

– Nie, nie, nie! – zaprotestowała Artemisia.

– Tak, tak, tak. – William chwycił swe dzieci pod pachy i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się w progu, odwrócił się i spojrzał z uśmiechem na Beth.

– Już nie mogę się doczekać powrotu konstabla Ploda – powiedziała, znowu zsuwając bluzkę z ramion.

– Chciałbym rozpocząć to spotkanie – zagaił komendant – od oficjalnego powitania detektywa inspektora Rossa Hogana w naszych szeregach.

Członkowie zespołu odpowiedzieli, bijąc otwartymi dłońmi o blat stołu.

– Ross dołącza do nas nie tylko jako ceniony tajny agent, ale także świetny funkcjonariusz wydziału zabójstw, w którym służył przez cztery lata jeszcze jako detektyw sierżant. Wierzę, że przyda nam się jego bezcenne doświadczenie.

– A ja – wtrącił Ross – zanim przyjmę Oscara za najlepszą rolę drugoplanową, pozwolę sobie powiedzieć, że jestem szczęśliwy i zaszczycony, mogąc dołączyć do drużyny, której udało się wsadzić Milesa Faulknera za kratki.

– A następnie pozwolić, by wymknął się nam tuż pod nosem – dopowiedział ponuro William.

– To nie wasza wina – zaprotestował Ross. – Za to fiasko odpowiada dwóch nieuczciwych funkcjonariuszy służby więziennej. I na pewno ucieszy was wiadomość, że obaj dostali w nagrodę przeniesienie do Dartmoor, bez szans na przedterminowe zwolnienie.

– Ale to, że Faulkner uciekł po raz drugi, to już moja wina – nie ustępował William. – I nie spocznę, póki nie wróci do Pentonville na dłuższe wczasy, bez żadnych widoków na skrócenie wyroku.



– Jestem pewny, że Ricardo Rossi już wkrótce pojawi się na naszych radarach – wtrącił Paul.

– I w tym właśnie celu – odezwał się znowu Jastrząb – wprowadziłem hiszpańską policję i Interpol w szczegóły sprawy, dodając pełną listę dotychczasowych przestępczych dokonań Faulknera-Neville’a i zmodyfikowane zdjęcie przedstawiające go z ogoloną głową. Teraz jednak odłóżmy tę sprawę na bok, bo czas skupić się na nowych zadaniach. Inspektorze Warwick, proszę o raport.

– Jak wszyscy dobrze wiecie – zaczął William – w każdym śledztwie w sprawie morderstwa kluczowa jest faza wstępna. W złotej godzinie, tych sześćdziesięciu minutach tuż po zabójstwie, szanse na zabezpieczenie przekonujących dowodów gwarantujących skazanie winowajcy są największe. Nagrania z monitoringu, ślady, świadkowie, a nawet spore prawdopodobieństwo, że sprawca jest jeszcze w pobliżu... oto najskuteczniejsza broń w rękach detektywa. Jednakże w tych sprawach, o których będziemy rozmawiać – ciągnął detektyw – nie było nam dane skorzystać z dobrodziejstwa złotej godziny, ani nawet srebrnej czy brązowej. Prawdę mówiąc, sprawcom udało się uciec i żyją w przekonaniu, że akta tych spraw od dawna pokrywają się kurzem. Nie podejrzewają, że wkrótce wkroczymy do archiwum nierozwiązanych przypadków.

– Moim zdaniem powinniście wiedzieć – wtrącił Jastrząb – że według komisarza schwytanie i skazanie tych ludzi będzie ważnym sygnałem skierowanym w stronę przestępczego świata. Wystarczy, że jeden z nich wpadnie, a pozostali przypomną sobie, że wciąż wisi nad nimi groźba dożywotniego więzienia.

– Istnieje jednak i inny, równie ważny powód, by ich ścigać – dorzucił William. – Jeżeli raz morderstwo ujdzie im na sucho, być może poczują się na tyle pewnie, że znowu spróbują zabić.

Jastrząb pokiwał głową i dodał:

– Właśnie dlatego każdy z was dostał starą sprawę do ponownego rozpatrzenia i choć nie przestajemy działać jako zespół, choć nadal wspomagamy się wzajemnie, gdy tylko jest to możliwe, każdy z was będzie oficerem prowadzącym własne śledztwo, podległym starszemu inspektorowi Warwickowi.

– Na początek wymiana informacji – zaproponował William. – Detektywie inspektorze Hogan, zaczniemy od ciebie i najtrudniejszej z odkopanych spraw.

– Przydzielono mi dwie sprawy – uściślił Ross – które są z sobą powiązane. Chodzi o morderstwa z zemsty: członek jednego gangu zabił osobę należącą do rywalizującej grupy, a wkrótce potem nastąpił odwet.

– Czytałam w gazecie o gangu Roacha i jego zaprzysięgłych wrogach, ludziach Abbotta – odezwała się Rebecca – ale właściwie na tym artykule kończy się moja wiedza o sprawie.

– Tak naprawdę niewiele więcej trzeba tu wiedzieć – pocieszył ją Ross. – Mamy tu dwa bezlitosne i dobrze zorganizowane gangi z East Endu, podobne do grup Krayów i Richardsonów. Od lat skakały sobie nawzajem do gardeł. Łącznie praktycznie kontrolują lokalny handel narkotykami, prostytutkę i hazard. W wymuszaniu haraczu są skuteczniejsze niż rada miejska w ściąganiu podatków. Aresztowanie i skazanie któregoś z członków nic nie daje. Są jak karaluchy, rozdepczesz jednego, a na jego miejsce dwa nowe wypełzną spod podłogi.

– Wybaczcie cynizm – wtrącił Paul – ale czy opinię publiczną w ogóle obchodzi to, że szumowiny nawzajem się mordują? Większość ludzi raczej nie miałaby nic przeciwko temu, żeby gangi odwalily naszą robotę i same się zlikwidowały.

– Może i tak – odparł Wiliam – ale jeśli pozwolimy im kontynuować przestępczy proceder, wkrótce cały East End stanie się strefą zakazu wstępu dla policjantów i porządnymi obywateli.

– Przepraszam – mruknął Paul. – Nie przemyślałem tego.

– Nie ma powodu przeproszać – odpowiedział mu Ross. – Choć pracowałem wtedy jako tajniak, wiem doskonale, jak wielki jest twój wkład w sukces operacji „Koń trojański”.

Pozostali członkowie zespołu parsknęli śmiechem. William pamiętał, że Ross podbił mu wtedy oko, by nikt poza komendantem się nie domyślił, że jest tajnym funkcjonariuszem policji.

– Sierżant Roycroft, proszę o raport ze sprawy – powiedział, gdy ucichł śmiech.

– Clive Pugh nie mógłby się bardziej różnić od Roachów i Abbottów – odparła Jackie. – Choć jest równie bezlitosny, zdecydowanie góruje nad nimi sprytem. W oczach świata jest pod każdym względem wzorowym obywatelem. Żonaty, dwoje dzieci po studiach, zastępca dyrektora oddziału banku Barclays, a nawet biznesmen roku według członków lokalnego Klubu Rotariańskiego.

– Kogo więc zamordował? – spytała Rebecca.

– Żonę, po dwudziestu siedmiu latach małżeństwa i ledwie kilka miesięcy po tym, jak zafundował jej milionową polisę na życie, której naturalnie był jedynym beneficjentem.

– Jakim cudem uszło mu to na sucho? – zainteresował się Paul.

– Opowiadał, że gdy wrócił do domu po spotkaniu rotarian, znalazł żonę powieszoną na belce w łazience. Natychmiast wezwał policję i od razu znaleziono list, w którym przeproszała za to, co zrobiła. Wyglądało to na ewidentny przypadek samobójstwa, ale tylko do czasu, aż patolog odkrył, że zanim kobieta zawisła, otrzymała silny cios w głowę. Ława nie potrafiła rozstrzygnąć, czy jej mąż jest winny, więc sprawa skończyła się, nomen omen, zawieszeniem prac ławy.

– Sędzia najwyraźniej nie miał wątpliwości co do winy bankowca – powiedział William – bo natychmiast zażądał powtórzenia procesu. Tym razem sprawa upadła z powodu uchybień formalnych na długo przed ogłoszeniem werdyktu ławy, więc sprawca wymknął się sprawiedliwości po raz drugi. Jeszcze tego samego popołudnia, na schodach przed gmachem sądu, oficer prowadzący śledztwo obwieścił, że sprawa jest zamknięta, a policja nie będzie już szukać podejrzanych.

– Jedyna dobra wiadomość była taka – dodała Jackie – że firma ubezpieczeniowa odmówiła wypłaty odszkodowania.

– Czyli nie dostał ani pensa? – upewnił się Paul.

– Niezupełnie. Pugh pozwał firmę ubezpieczeniową i w wyniku ugody pozasądowej wyszarpał ćwierć miliona.

– Znałem ludzi, których zamordowano za znacznie skromniejsze kwoty – wtrącił Ross.

– Gdy sprawdzałem materiał dowodowy – odezwał się znowu William – zauważyłem dwie anomalie, które warto zbadać. Po pierwsze, arcyciekawą lekturą jest oświadczenie, które parę dni po morderstwie sporządził szwagier Pugh.

– Ale wycofał się z niego w ostatniej chwili – przypomniała Jackie – i odmówił przedstawienia dowodów w czasie procesu.

– Mimo to zbadałbym ten trop – odparł William. – Kto wie, co czuje szwagier rok po zamknięciu sprawy.

– A co z drugą anomalią? – spytała Jackie.

– List pożegnalny znaleziono na podłodze przy ciele żony, a nie na biurku. Nie był podpisany, choć na biurku leżał długopis.

– Zgodnie z prawem Pugh nie może być sądzony po raz drugi za to samo domniemane przestępstwo, jeśli raz został uniewinniony – przypomniała Jackie.

– Tyle że nie został uniewinniony – odparł William. – Pierwszy proces skończył się zawieszeniem ławy, a drugi przerwano z przyczyn proceduralnych.

– Kruczki prawne – mruknął Ross. – Chleb powszedni Bootha Watsona. O coś takiego z upodobaniem kłóciłby się z sędzią przez cały dzień – stwierdził Ross.

– Jestem pewny, że sir Julian Warwick z chęcią przyjąłby wyzwanie – wtrącił Jastrząb.

– Przejdźmy do twojej sprawy, Paul – powiedział William. – Jej bohaterem jest jeden z najbardziej bezczelnych typów, jakich w życiu spotkałem.

– Zgadzasz się w stu procentach – odparł Paul, otwierając pękatą teczkę leżącą przed nim na stole. – Max Sleeman to lichwiarz bez żadnych zasad, pożyczający pieniądze za kosmiczne stawki, sięgające nawet dziesięciu procent.

– Rocznie? – upewnił się komendant. – Dla mnie brzmi to w miarę rozsądnie.

– Miesięcznie – sprostował Paul. – Narzuca też arbitralne kary wszystkim, którzy ośmielą się nie zapłacić w porę: za pierwsze przewinienie złamana noga, za drugie ręka, a za trzecie po prostu się znika. Ma to być sygnał ostrzegawczy dla pozostałych klientów, żeby mieli świadomość, jak zostaną ukarani za opóźnioną spłatę. Jesteśmy w zasadzie pewni, że trzy zaginione osoby padły ofiarą morderstwa – dodał. – Póki jednak nie odnajdziemy choć jednego ciała, nie możemy nawet aresztować Sleemana, nie wspominając o postawieniu mu zarzutów.

– Jak to możliwe? – spytała Rebecca.

– Za każdym razem, gdy znika jeden z klientów, Sleeman ma niepodważalne alibi. Za pierwszym razem był na ostatnim koncercie festiwalu Proms i można było nawet wypatrzeć go podczas transmisji telewizyjnej, gdy machał chorągiewką do kamery. Gdy doszło do drugiego morderstwa, był na korcie centralnym Wimbledonu i oglądał półfinał kobiet. W przerwie między meczami ubrudził śmietanką kobietę siedzącą przy sąsiednim stoliku. Zapłacił za czyszczenie sukienki i na dowód przedstawił rachunek z pralni.

– A trzeci przypadek?

– Fotoradar w Manchesterze zrobił zdjęcie, gdy Sleeman jechał czterdzieści trzy mile na godzinę w terenie zabudowanym. Poza zdjęciem podejrzanego za kierownicą śledczy zobaczyli też mandat wystawiony przez miejscowe władze.

– Co oznacza, że ktoś inny musiał wykonać mokrą robotę na rozkaz Sleemana – podsumował Ross.

– Uważamy, że zatrudnia zawodowego zabójcę, ale jak dotąd nie zdołaliśmy ustalić jego tożsamości.

– Są jeszcze trzy trupy, które gdzieś ukryto.

– Wiem o tym – odparł Paul. – Ale gdzie?

– Znajdźcie pierwsze ciało, a prędzej czy później pojawią się i pozostałe – stwierdził William.

– Jakież tropy? – spytał komendant.

– Żona jednego z zaginionych nagrała rozmowę telefoniczną swego męża ze Sleemanem, który więcej niż sugerował, co się stanie z dłużnikiem, jeśli znów zapomni o racie. Spotkam się z nią jeszcze w tym tygodniu.

– Odważna kobieta – ocenił William. – Ale czy będzie gotowa zeznawać w sądzie? – dorzucił, po czym zwrócił się do konstabla Pankhurst: – A ty co masz dla nas, Rebecca?

– Darrena Cartera, bramkarza z klubu Eve, oblesnej speluny w Soho. Zabił klienta jednym ciosem i twierdził, że to ofiara zaatakowała. W sądzie przedstawił kilku świadków, którzy potwierdzili jego wersję wydarzeń. Jak się później okazało, zamordowany miał romans z żoną właściciela klubu. Co ciekawe, ten wątek w ogóle nie był badany w procesie. Obrońca stwierdził, że to tylko poszlaka i pomówienie, a sędzia przyznał mu rację. Carter przyznał się do nieumyślnego spowodowania śmierci, odsiedział rok z dwuletniego wyroku, a teraz znowu pracuje w klubie.

– Ten klub ma zostać zamknięty – ponowił żądanie Jastrząb – a Carter niech skończy z dożywociem. Niech to będzie nasz komunikat do właścicieli wszystkich innych mordowni w Soho.

– Mam w tej sprawie tylko jeden trop – dodała Rebecca – ale nie będę udawała, że jestem pełna optymizmu. Zeznania mojego informatora nie są ani zbyt konkretne, ani zbyt wiarygodne, ani nawet szczególnie interesujące.

– Ależ kolekcja bandziorów – zauważył William. – A najciekawsze jest to, że wszystkich, poza jednym, bronił nasz stary przeciwnik, radca królewski Booth Watson.

– Niech no zgadnę – wtrącił Paul. – Pewnie z przyczyn formalnych nie mógł reprezentować i Roachów, i Abbottów.

– Ma stałą umowę z Abbottami – potwierdził William.

– Być może ktoś powinien zabić Bootha Watsona i tym samym rozwiązać wszystkie nasze problemy – zasugerował Ross.

Tym razem bicie otwartymi dłońmi o blat stołu trwało znacznie dłużej.

– Co dla ciebie, Ross? – spytał William.

– Pół pinty ciemnego, szefie. Jeśli wypiję więcej, zasnę i nie dotrzymam kroku twoim młodym bystrzakom.

– Szczęściarz ze mnie – stwierdził William, spoglądając na pozostałych członków swego zespołu, którzy właśnie śmiali się z czyjegoś dowcipu. – To nowe pokolenie profesjonalistów, którzy nie wierzą w chodzenie na skrót i wielkie improwizacje. Wolą mieć w ręku twarde dowody, zanim dokonają aresztowania, i nie pozwalają sobie na pochopne wnioski, których nie da się obronić przed sądem.

– Bardzo się cieszę, że będę z nimi pracował – przyznał Ross – choć już miałem z nimi do czynienia, gdy robiłem za tajniaka. Z tobą zresztą też.

– Upiorne to było – przyznał William. Pociągnął łyk piwa i dodał: – Wspomniałeś na porannej odprawie, że być może będziesz w stanie mi pomóc. Mówię o moich bezpłatnych nadgodzinach spędzonych na poszukiwaniu Faulknera. Myślisz, że zdołamy wsadzić go z powrotem do pudła?

– Tak. Mam nawet ze dwa pomysły. Przede wszystkim jestem już pewny, że były nadinspektor Lamont dorabia sobie jako konsultant u Bootha Watsona i Christiny Faulkner.

– Sługa dwóch panów – mruknął William. – Tyle że tym razem to nie komedia.

– Jackie mówiła, że od czasu do czasu spotyka się z Lamontem na gruncie towarzyskim i melduje ci o wszystkim, czego się dowie.

– Oraz przynosi pękate brązowe koperty, których nigdy nie otwiera.

– Wydaje się, że forsa jest teraz jedyną ważną rzeczą w życiu Lamonta, w związku z czym chyba mam pomysł na to, jak przyskrzynić i jego, i Bootha Watsona za jednym zamachem.

William wysłuchał jego propozycji z wielkim zainteresowaniem, czasem tylko zadając pytania.

– Jestem zdecydowanie za – rzekł wreszcie – ale potrzebujemy na to zgody Jastrzębia.

– To już zostawiam tobie – odparł Ross. Spojrzał ponad ramieniem Williama i jego uwagę przykuła młoda kobieta stojąca przy barze. Była elegancko ubrana; miała na sobie białą, plisowaną spódnicę sięgającą tuż poniżej kolan oraz bluzkę zapiętą aż pod szyję. Nie nosiła biżuterii, a jej makijaż był niemal niewidoczny. Taka skromna, a tak pociągająca, pomyślał. Trudno mu było uwierzyć, że przyszła tu sama. Gdy ich spojrzenia spotkały się przelotnie, natychmiast nieśmiało odwróciła głowę.

– Zadania, które dał nam Jastrząb, nie należą do najłatwiejszych – zauważył William.

– Powinieneś to uznać za komplement – odparł Ross, z coraz większym trudem skupiając się na słowach szefa. Myślami był gdzie indziej.

– Jeśli się nie spisujemy, zanim się obejrzymy, ześle nas z powrotem do zgłoszeń przemocy domowej, samobójstw i fałszywych zeznań.

Ross uśmiechnął się i umoczył usta w ciemnym piwie.

Kobieta odwzajemniła uśmiech.

– Wracajmy do pozostałych – zaproponował William, sięgając po swoją szklanę.

Ross bez entuzjazmu podążył za nim w daleki zakątek sali. Zanim usiadł przy stole, kobieta już nie patrzyła w jego stronę.

Właściwie nie słuchał rozmów kolegów z zespołu, z rzadka rzucając niewiele znaczący komentarz. Jackie wystarczyło jedno spojrzenie w stronę baru i wiedziała, dlaczego Ross stracił chęć do gadania. Zaraz też przyszło jej na myśl, że oto patrzy na młodszą wersję samej siebie. Mężczyźni!

– Pora wracać do Yardu – oznajmił William, spojrzawszy na zegarek.

– Zajrzę jeszcze tam, gdzie król chodzi piechotą – odparł Ross. – Dogonię was.

Gdy tylko zszedł do piwnicy, sięgnął do jednej z kabin po kawałek papieru toaletowego. Zapisał numer swego telefonu, złożył świstek kilkakrotnie i ukrył go w dłoni.

Szybkim krokiem wspiał się po stopniach i z ulgą stwierdził, że nieznajoma jeszcze nie wyszła.

– Cześć – powiedział, przechodząc obok, i jak gdyby nigdy nic położył przed nią na barze złożony kawałek papieru. Chwilę później był już na ulicy i w mgnieniu oka dołączył do towarzyszy. Tylko Jackie zauważyła, że nie spędził w toalecie wystarczająco dużo czasu, żeby się wysikać.

# 12

Booth Watson bardzo szybko przeszedł odprawę paszportową. Miał przy sobie jedynie neseser, planował bowiem wrócić do Londynu już wieczornym lotem. Przed halą portu lotniczego dołączył do krótkiej kolejki czekających na taksówkę, a gdy wsiadł do samochodu, bez słowa podał kierowcy karteczkę z adresem.

Kiedy zbliżali się do autostrady, taksówkarz skręcił w lewo, zamiast włączyć się w nieprzerwany sznur wozów zmierzających ku Barcelonie. Dwadzieścia minut później zjechał na wąską, jednopasmową szosę, która po kilku milach zmieniła się w dziurawą drogę gruntową.

Booth Watson zerknął przez ramię, by się upewnić, czy nie są śledzeni. Instrukcje, które otrzymał, nie mogły być jaśniejsze: „Jeśli zauważysz, że ktoś za tobą podąża, jedź z powrotem na lotnisko i wracaj pierwszym samolotem na Heathrow”.

Początkowo wolał założyć, że po tym, jak jego klient zniknął po raz drugi, Policja Metropolitalna może przypiąć mu ogon na stałe, ale szybko doszedł do wniosku, że nawet jej pokaźny budżet nie pozwala na takie ekstrawagancje. Niemniej jednak, jako człowiek, który niczego nie pozostawiał przypadkowi, Booth Watson złożył oficjalną skargę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, twierdząc fałszywie, że podejrzewa, iż jego telefon jest na podsłuchu i że ktoś go śledzi. Wkrótce otrzymał uprzejmą odpowiedź, w której zapewniono go, że to nieprawda, ale podejrzewał, że wysłano ją dopiero po tym, jak komendant Hawksby upewnił się, że „psy wróciły do budy”.

Taksówka kolebała się na wybojach jeszcze przez jakiś czas, nim stanęła na skraju gęstego lasu. Booth Watson wysiadł i zgodnie z instrukcją zaczekał, aż wyraźnie zdziwiony kierowca zawróci w stronę lotniska. Dopiero gdy samochód zniknął mu z oczu, spomiędzy drzew wyjechał wózek golfowy i zatrzymał się tuż przy nim.

Kolejny milczący kierowca powiózł dżentelmena z Londynu nieoznaczonym leśnym szlakiem aż do mostka przerzuconego nad wartkim potokiem. Gdy znaleźli się na drugim brzegu, Booth Watson ujrzał dom, choć może bardziej na



miejscu byłoby słowo rezydencja, jeśli nie château. Tak czy owak, była to budowla, przy której Limpton Hall wyglądałby niczym skromne pół bliźniaka na przedmieściach.

Collins, który wyszedł mu na powitanie, zatrzymał się przy otwartych drzwiach. Dobry wierny sługa, pomyślał Booth Watson. Lokaj skłonił się lekko i powiedział „Dzień dobry panu”, jakby spotykali się codziennie, a przecież miało to być pierwsze spotkanie z Milesem od kilku tygodni.

– Pan Faulkner czeka w salonie, sir.

– Nie, nie czeka – odezwał się Miles, przemierzając przestronny hol. Wyciągnął rękę na powitanie i dodał: – Witaj w mojej wiejskiej chacie.

– Raczej w pałacu – odparł Booth Watson.

Miles poprowadził go długim korytarzem o ścianach ozdobionych dobrze znanymi obrazami, które Booth Watson podziwiał od lat. Wreszcie weszli do przestronnego salonu, z którego przez wielkie wykuszowe okna rozciągał się imponujący widok: z jednej strony na setki akrów lasu, a z drugiej na spokojną błękitną taflę Morza Śródziemnego.

– Raj na ziemi – ocenił.

Miles zasiadł w wygodnym fotelu, a pokojówka postawiła przy nim wielką tacę z kawą i herbatnikami. Zupełnie jakbyśmy nadal byli w Anglii i nic się nie zmieniło, pomyślał prawnik.

Miles zaczekał jeszcze chwilę, aż zostaną sami, po czym przemówił.

– Pogadajmy o interesach, zanim oprowadzę cię po domu. Co porabia Christina?

– Nadal odgrywa swoją rolę. Nadal też nie ma pojęcia, gdzie się podziewasz, chociaż nieustannie o to wypytuje.

– I jak jej odpowiadasz?

– Raz wymknęło mi się, że po raz ostatni widziano cię w Buenos Aires i w najbliższej przyszłości nie masz zamiaru wracać do Anglii.

– Sądzisz, że to kupiła?

– Nie jestem pewny, ale Lamont twierdzi, że Christina właśnie takiej odpowiedzi udziela każdemu, kto pyta. I nie wątpię, że dalej będzie to robiła, bo przecież nie chce, żeby wyschło źródło, z którego płynie do niej kieszonkowe.

– Ale Warwick i Hawksby na pewno już się domyślili, że nie dałem się spalić na stosie w Genewie.

– Istotnie – zgodził się Booth Watson. – Lamont donosi jednak, że na dobre zgubili twój ślad.

– Skąd ta pewność, skoro już o niczym go nie informują?

– Nie zapominaj, że nadal ma kogoś, kto pozostaje w obiegu. Uczynna funkcjonariuszka dba o to, żeby były nadinspektor był świetnie poinformowany o wszystkich ruchach Warwicka. Tanie to nie jest, ale przynajmniej gwarantuje ci polisę na życie ze zniżką za bezszkodowość. Lamont twierdzi, że twoja teczka, MF/CR/76748/88 kurzy się gdzieś w głównym archiwum Policji Metropolitalnej w Hayes w Middlesex, czyli na cmentarzu spraw, na którym rzadko dokonuje się ekshumacji.

– Miło mi to słyszeć – odrzekł Miles – bo nie zamierzam spędzić reszty życia zamknięty w tej kryjówce. Nie wyjdę z niej jednak, póki nie dasz mi znać, że horyzont nareszcie jest czysty.

– Największy pożytek z Lamonta polega na tym, że informuje nas na bieżąco, iż twoja sprawa to już przeszłość. Zgadzam się jednak, że mądrze z twojej strony byłoby przyczaić się jeszcze na jakiś czas.

– Byle niezbyt długi – zastrzegł Miles. – Nawet raj na ziemi w końcu staje się więzieniem. Poza tym jaki ma sens posiadanie prywatnego odrzutowca, jachtu, konta w szwajcarskim banku oraz sterty gotówki w sejfie w Mayfair, skoro tkwię jak kołek na tym odludziu.

– Nie zapominaj, że Mayfair pokrywa koszty związane z utrzymaniem Christiny, Lamonta i jego współpracownicy, nie wspominając o innych jednorazowych wydatkach.

– I twoim honorarium.

Booth Watson wzruszył ramionami.

– A może już czas przyciąć owe wydatki, na przykład usuwając Christinę z listy płac? – zastanawiał się głośno Miles.

– Tego bym nie zalecał – odparł stanowczo Booth Watson. – Od razu pobiegłaby do swej przyjaciółki, pani Warwick, żeby jej zameldować, że masz się doskonale, co dałoby jej mężowi powód do zdmuchnięcia kurzu z akt twojej sprawy.

– A tego byśmy nie chcieli – przyznał Miles. – Z drugiej strony, nie znaleźliby mnie, nawet gdyby zdołali ustalić, że tamtej nocy poleciałem do Barcelony.

– Powiedzmy, że to rzeczywiście odludne miejsce i świetna kryjówka – odparł Booth Watson, pochylając się nareszcie, bo dłużej nie mógł się oprzeć pokusie czekoladowego herbatnika. – Gdyby jednak odkryli, że Ricardo Rossi nie jest projektantem mody, tylko zbiegłym przestępcą, ten pałac stałby się bunkrem otoczonym przez wrogą armię, a wtedy mógłbyś zapomnieć o ucieczce.

– Nawet wtedy nie mieliby szans – stwierdził dumnie Miles. – Pozwól, że ci pokażę dlaczego.

Wstał i odmaszerował z salonu, słusznie zakładając, że Booth Watson podąży za nim krok w krok. Gdy dotarł do końca korytarza, otworzył kluczem drzwi i wszedł do pokoju, który najwyraźniej był jego gabinetem. Zasiadł za wielkim biurkiem, a Booth Watson przystanął, zapatrzonej w naturalnej wielkości portret wiszący za plecami gospodarza.

– Generał Franco – wyjaśnił Miles. – To on zbudował tę kryjówkę w 1937 roku, w szczytowej fazie wojny domowej. Nawet jego najbardziej zaufani ludzie nie mieli pojęcia o jej istnieniu. A ja dokonałem w niej pewnych modyfikacji – dodał. – A mówię o tym wszystkim, żeby cię przekonać, że mam rację. Gdy odebrał cię wózek golfowy, jak długo potrwała jazda do domu?

– Sześć, może siedem minut – odparł Booth Watson po krótkim namyśle. – Ale policyjny motocykl dotarłby tu znacznie szybciej.

– Zgoda. A jak długo szliśmy z salonu do gabinetu?

– Minutę, a na pewno nie dłużej niż półtorej.

– Zapewniam cię, BW, że ktokolwiek nieproszony postawi stopę na mojej ziemi... a nie zapominaj, że ten dom otoczony jest gęstym lasem... natychmiast uruchomi alarm. I nawet jeśli zjawi się w środku nocy, a ja będę smacznie spał w sypialni na piętrze, to i tak w ciągu niespełna trzech minut zdołam zniknąć bez śladu.

– Nawet jeśli masz na dachu helikopter gotowy do startu, nie będziesz bezpieczny, bo oni nie zawahają się go zestrzelić.

– Nie pobiegłbym na dach – odparł Miles. – Owszem, mam tam helikopter, ale to tylko zmyłka.

Zegar wybił dwunastą i przenikliwy sygnał alarmowy przerwał ich rozmowę.

– Pora ćwiczeń! – zawołał Miles, podrywając się zza biurka.

Podszedł do masywnych stalowych drzwi osadzonych w ścianie. Nie było w nich ani klamki, ani zamka, więc Booth Watson sądził, że nie da się ich otworzyć. Miles stuknął palcem dwa razy w tarczę swego zegarka, a gdy się podświetliła, wpisał ośmiocyfrowy kod. Booth Watson mógł tylko wpatrywać się jak urzeczony w potężne drzwi, które otworzyły się samoczynnie, odsłaniając przestronne, puste pomieszczenie.

Miles wszedł do środka i skinął dłonią, przywołując adwokata do siebie. Ogłuszający pisk sygnału alarmowego nie ustawał. Booth Watson cokolwiek niechętnie dołączył do Milesa, który zatrzasnął za nim drzwi i gdy otoczyła ich nieprzenikniona ciemność, znowu stuknął palcem w zegarek, po czym wpisał kolejny ośmiocyfrowy kod. Chwilę później po drugiej stronie skrytki otworzyły się kolejne drzwi, odsłaniając dobrze oświetloną klatkę schodową.

Miles odsunął się, przepuszczając Bootha Watsona przodem, po czym dołączył doń u szczytu schodów i z hukiem zatrzasnął za sobą ciężkie metalowe wrota.

– Jak sam widzisz, BW – odezwał się – nawet jeśli starszy inspektor Warwick i jego gliniarze zdołają dotrzeć do gabinetu, co zajmie im co najmniej siedem minut, to i tak będą potrzebowali mojego zegarka i ośmiocyfrowego kodu, by otworzyć pierwsze drzwi, nie wspominając o drugich.

Miles poprowadził gościa schodami w dół, aż do piwnicy.

Znaleźli się w kolejnym gabinecie, który – jak od razu zauważył Booth Watson – niczym nie różnił się od tego na parterze, jeśli nie liczyć jednego szczegółu: nie było tu portretu generała Franco, tylko identycznej wielkości portret Milesa. Na pozostałych ścianach wisiała zaś druga połowa kolekcji obrazów, a ściślej mówiąc – połowa należąca do Christiny.

– Mam tu dość zapasów, żeby przetrwać choćby i miesiąc – pochwalił się Miles. – Jest tu nawet basen.

Zanim Booth Watson zdążył odpowiedzieć, na biurku rozbłysła zielona lampka.

– Koniec próby. Możemy wrócić do cywilizacji i zjeść lunch.

– Ale twoi ludzie... – zaczął adwokat.

– Tylko Collins ma prawo wejść do mojego gabinetu – przerwał mu Miles, wstępując znowu na schody – lecz nawet on nie zna kodu zabezpieczającego. – To rzekłszy, wprowadził szyfr otwierający pierwsze drzwi, a gdy się otworzyły, wszedł do środka i zaczął czekać na Bootha Watsona. Raz jeszcze ogarnął ich głęboki mrok, lecz kolejny wpisany kod sprawił, że otworzyły się drzwi pierwszego gabinetu. Miles uśmiechnął się na widok lokaja, który już na nich czekał z dwoma kieliszkami szampana na tacy.

– Podano lunch, sir.

Lamont nawet nie próbował śledzić detektywa inspektora Rossa Hogana, bo wiedział doskonale, że najbystrzejszy i najbardziej doświadczony z tajniaków natychmiast zorientowałyby się, że ktoś go obserwuje. Zadowolili się więc znalezieniem miejsca, w którym mógł pozostać niezauważony, i cierpliwie czekał, aż pojawi się jego zdobycz.

Jak zawsze, Ross opuścił mieszkanie Josephine Colbert mniej więcej o siódmej trzydzięci. Miał na sobie starannie uprasowaną koszulę i jedwabny krawat, było więc jasne, że nie wraca do domu, tylko pojedzie prosto do Yardu.

Josephine Colbert pojawiła się kilka minut po dziesiątej, ubrana w markowy dres i gotowa zacząć poranną przebieżkę. Powróciła pół godziny później i nie wyszła już z domu aż do lunchu.

Popołudnie spędziła na zakupach, w kwiaciarni i sklepie spożywczym, a następnie odwiedziła fryzjera. Potem poszła z przyjaciółką do francuskiego kina w Chelsea. Lamont nigdy nie widział jej w towarzystwie innego mężczyzny, jeśli nie liczyć cotygodniowych spotkań z panem Boothem Watsonem w Fetter Court numer jeden.

Jego ostatnim zadaniem była krótka wachta w bramie Army and Navy Stores przy Victoria Street, w oczekiwaniu na powrót Hogana z siedziby Yardu. Gdy detektyw skręcał w prawo, oznaczało to, że pojedzie metrem do domu. Droga w lewo prowadziła do przystanku autobusowego, skąd mógł dotrzeć do Chelsea. Ostatnio coraz częściej szedł w lewo.

Tego wieczoru skręcił jednak w prawo i Lamont uznał, że detektyw wraca do domu, lecz ku jego zdziwieniu Hogan minął zejście do stacji metra i poszedł dalej. Świadom, że nie może ryzykować śledzenia go ulicami Londynu, były nadinspektor był już gotów wrócić do domu, lecz zmienił zdanie, widząc, że Ross wchodzi do sklepu. Przyjrzał się bliżej szyldowi nad drzwiami: „H. Samuel i Spółka, Jubilerzy”. Cofnął się o pół kroku w cień bramy, gdy dwadzieścia minut później Hogan wyszedł na ulicę z niedużą torebką w dłoni i oddalił się w stronę stacji St. James's, gdzie zniknął pod ziemią.

Lamont szybkim krokiem podszedł do salonu jubilerskiego, wkroczył do środka i zagadnął młodzieńca zajętego zdejmowaniem jakiejś kolii z wystawy; najwyraźniej do zamknięcia pozostało niewiele czasu. Pokazując mu swą starą legitymację służbową, postarał się zasłonić kciukiem datę ważności.

– W czym mogę pomóc, panie nadinspektorze? – spytał nerwowo sprzedawca.

– Przed chwilą był tu pewien mężczyzna. Po czterdziestce, sześć stóp i cal wzrostu, miał na sobie ciemnoszary garnitur i czerwony krawat.

– Zgadza się. Wyszedł parę minut temu.

– Kupił coś?

– Tak, sir. Pierścionek zaręczynowy.

Był to najpiękniejszy miesiąc jego życia. Ross wprost nie mógł uwierzyć we własne szczęście, odkąd los doprowadził ich do tego przypadkowego spotkania. Sama myśl o tym, że mógłby trwale kochać, zawsze wydawała mu się niedorzeczna. Był łowcą-zbieraczem i to on nieodmiennie podejmował decyzje

o tym, że już czas porzucić ostatnią zdobycz i poszukać nowej. Gdy oskarżano go, że przesadnie ugania się za spódniczkami, przyjmował to jako komplement.

Tak było do chwili, w której poznał Josephine. Nie musiała mu tłumaczyć, co znaczy zakochać się bez pamięci. Nie chodziło tylko o to, że była piękna i znacznie bystrzejsza od niego; była pierwszą kobietą, którą bał się utracić. Nie pojmował, dlaczego w ogóle zwróciła na niego uwagę, dlaczego chciała go poznać bliżej. Pierwszy raz w życiu nie pojawiał się w pracy przed wszystkimi i nie wychodził ostatni. Każdy to zauważył. Samotnik już nie był sam. Nowością było i to, że w pierwszych dwóch tygodniach znajomości nie poszli do łóżka. A odkąd to zrobili, był gotów choćby i obrabować dla niej bank.

Jo opowiedziała mu o swym nieszczęśliwym małżeństwie, które trwało ledwie parę lat. Dzięki ugodzie rozwodowej mogła wieść wygodne życie, nie pracując, i podobnie jak Ross nie sądziła, że kiedykolwiek jeszcze kogoś pokocha.

Tego wieczoru zamierzał zaprosić ją na kolację i oświadczyć się. Na pierścionek wydał więcej, niż mógł sobie pozwolić. Usłyszał kiedyś od Jo, że nigdy więcej nie wyjdzie za mąż, ale to było, zanim zadzwoniła do Madame Blanche, żeby jej oświadczyć, że to jej ostatnia misja.

Gdy wieczorem, wcześniej niż zwykle, wrócił do jej domu, zastał ją zapłakaną w salonie. Próbował jakoś ją pocieszyć, ale bez powodzenia. Wreszcie spojrziała na niego, a on nie mógł się oprzeć myśli, że nawet teraz, we łzach, wygląda urzekająco. Spróbowała się uśmiechnąć.

– Kocham cię – powiedziała po raz pierwszy.

– Ja ciebie też – odpowiedział. Dla niego także był to pierwszy raz.

Nie wiedząc, jak wyrazić słowami to, co czuje, uznał, że nie warto dłużej czekać, że pora na dowód uczucia. Opadł więc na kolano i wyłuskał z kieszeni kryte skórą pudełeczko. Otworzył je i powiedział:

– Chcę spędzić przy tobie resztę życia. Wyjdiesz za mnie?

Na próżno czekał na odpowiedź. W końcu Jo uniosła głowę, ale nadal milczała. Pochylił się więc, łagodnie ujął jej lewą dłoń i spróbował włożyć pierścionek na palec serdeczny, lecz cofnęła rękę.

– Nie chcesz być moją żoną? – spytał Ross zrozpaczony.

– Chcę – odparła cicho. – Ale gdy usłyszysz całą prawdę, nie będziesz chciał ślubu.

# 13

Beth sięgnęła po słuchawkę telefonu stojącego na biurku.

– W holu czeka niejaka pani Christina Faulkner. Pyta, czy zechce pani ją przyjąć.

Beth była przygotowana, choć William ostrzegął, że do spotkania dojdzie w chwili, w której będzie się go najmniej spodziewała.

Odetchnęła głęboko.

– Przyślij ją na górę – poprosiła.

Czekając, powtarzała w myślach mantrę, która pomagała Williamowi skutecznie przesłuchiwać podejrzanych: *Słuchaj, słuchaj i jeszcze raz słuchaj, w nadziei, że powie coś, czego później będzie żałował.*

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Zwykle Christina wpadała do biura niezapowiedziana, zakładając z góry, że dla niej Beth rzuci wszystko. Lecz nie tego dnia.

– Wejdz – powiedziała Beth, nie ruszając się zza biurka.

Drzwi uchyliły się cicho. Kobieta, która zajrzała do biura, nie była dawną, dobrze znaną Christiną: odważną, pewną siebie, nawet dominującą. Przystanęła nieśmiało na progu, czekając na zachętę.

Beth jednak nie zaproponowała jej miejsca w wygodnym fotelu przy kominku, które Christina zwykle zajmowała bez pytania. Gestem wskazała jej krzesło przy biurku, naprzeciwko siebie, jakby przyjmowała kogoś z najniższych rangą podwładnych. Christina usłuchała potulnie, ciężko opadła na drewniane siedzisko i nadal milczała.

*Słuchaj, słuchaj i jeszcze raz słuchaj.*

– Nie wiem, od czego zacząć – odezwała się wreszcie drżącym głosem.

– Może dla odmiany od prawdy? – zasugerowała Beth.

Po bardzo długiej chwili milczenia słowa w końcu popłynęły rzeką:

– Przepraszam, że zachowałam się tak podle, i oczywiście zrozumiem, jeśli czujesz, że nigdy mi nie wybacysz.

*Słuchaj, słuchaj i jeszcze raz słuchaj.*

– Nie jestem taka jak ty: bezpośrednia, nieskomplikowana i do szpiku kości uczciwa. Między innymi dlatego tak bardzo cię podziwiam i zawsze byłam dumna z tego, że jestem twoją przyjaciółką.

*Nie daj się złapać na pochlebstwa, ostrzegął William. Słuchaj, słuchaj i jeszcze raz słuchaj.*

– Przywykłam do życia, w którym nie zawsze było miejsce na taką uczciwość, ale farsa, którą okazał się mój kolejny ślub, sprawiła, że oprzytomniałam i już się nie zmienię, bez względu na konsekwencje.

*Postaraj się pamiętać, że ona czasem nawet nie wie, kiedy kłamie, pouczał William. Prędzej czy później z pewnością odwoła się do twojej wyższej natury.*

– W ostatnich kilku tygodniach uświadomiłam sobie, jak bardzo sobie cenię naszą przyjaźń, i mam nadzieję, że jednak będziesz umiała mi wybaczyć, choć tak naprawdę nie masz powodu.

*Słuchaj, słuchaj i jeszcze raz słuchaj.*

– Gdybym mogła ci powiedzieć, gdzie jest Miles, uczyniłabym to, ale on nawet nie próbował się ze mną skontaktować od dnia ślubu. Widuję co najwyżej jego sługusa, tego parszywca Bootha Watsona, który powtarza mi, że mam trzymać język za zębami, jeśli chcę dostawać comiesięczne przelewy. To on nakazał mi przyjść dziś do ciebie i spróbować dowiedzieć się, czy William już wie, gdzie szukać Milesa. – Christina po raz pierwszy spojrzała w oczy Beth.

*Słuchaj, słuchaj i jeszcze raz słuchaj.*

– Pierwszy raz w życiu postanowiłam zrobić coś, co może nawet William nazwałby przyzwoitym czynkiem.

*Jeśli zaleje się łzami, dodał William, nie nabierz się i na to.*

Zaląła się łzami.

Beth odrobinę zmiękła.

– Galeria nigdy nie zapomni twojej nieocenionej pomocy w pozyskaniu Rembrandta, Rubensa i Vermeera. Na zawsze pozostaniemy twoimi dłużnikami.

– Wykluczone – odpowiedziała żarliwie Christina. – Poza tym muszę cię ostrzec, że jeśli Miles zostanie kiedyś zatrzymany i trafi z powrotem do więzienia, Booth Watson wie, że ma zgłosić się po Vermeera, a ja już nic nie będę mogła uczynić w tej sprawie.

Beth pomyślała po raz pierwszy, że być może Christina mówi prawdę, ale nie przestała słuchać, słuchać i jeszcze raz słuchać.

– Uwierz mi, ja naprawdę chcę udowodnić tobie i Williamowi, że jestem po waszej stronie. Jeśli tylko w jakiś sposób mogę dowieść...



*W chwili, gdy zaczniesz udawać, że jest po twojej stronie, i zapyta, co może zrobić, żeby tego dowieść, musisz przejść do ataku. Zaczynaj od czegoś skromnego, nauczał William, a gdy spełni twoje życzenie, rzuć jej na pokuszenie coś, czemu nie będzie umiała się oprzeć. A zanim wyjdzie, zadaj jeszcze jedno pytanie, żeby wyjaśnić, czy mówiła prawdę, czy była tylko posłańcem wypełniającym rozkazy chlebobdawcy.*

– Cóż za hojność – odpowiedziała Beth. – Muzeum liczy, że następnej jesieni uda się otworzyć wystawę Fransa Halsa. Wiem, że masz w kolekcji *Grającego na flecie*. Bardzo byśmy chcieli wypożyczyć go na sześć tygodni.

*Jeśli nie spełni prośby, powiedział William, będzie to oznaczało, że Miles nadal ma kontrolę nad całością kolekcji, ale ona nie będzie chciała przyznać, że tak jest, bo zostanie bez choćby jednej karty przetargowej.*

Christina zawahała się lekko.

– Myślę, że da się to zrobić.

– Dziękuję – odrzekła Beth, po czym rzuciła w wodę znacznie tłustszą przynętę: – To nam zrekompensuje fakt, że galerii nie stać na *Rybaków Caravaggia*, których niedawno nam zaproponowano, niestety za zbyt wygórowaną cenę. – Idealny dobór słów, pomyślała.

– Czy to jawna oferta? – Christina chwyciła przynętę.

– Nie, absolutnie – odrzekła Beth. – Lord McLaren zgłosił się do nas prywatnie. Zdaje się, że po przedwczesnej śmierci ojca ma problemy z objęciem spadku... urząd oczekuje od niego zapłaty dwudziestu milionów podatku przed końcem roku. Niestety, musiałam mu powiedzieć, że o takich kwotach możemy tylko pomarzyć. – Urwała na moment, radując się chwilą. – Naturalnie mówię ci o tym w zaufaniu.

– Naturalnie – powtórzyła Christina. – Ale cieszę się, że mogę pomóc przynajmniej w kwestii Fransa Halsa. Niech to będzie dowód moich dobrych intencji – dodała, wstając.

– Naprawdę niczego nie musisz mi udowadniać – powiedziała Beth, uśmiechając się ciepło. – Pozwolisz jednak, że jeszcze o coś spytam?

– O co tylko zechcesz – odparła prędko Christina.

– Gdzie jest teraz Miles?

Christina nie odpowiedziała od razu.

– W Buenos Aires – wymamrotała w końcu, jakby wyjawiała pilnie strzeżoną tajemnicę.

– Dziękuję – odpowiedziała Beth, choć wcale nie była pewna, czy Christina kłamie, czy naprawdę nie wie, gdzie jest jej były mąż. William będzie musiał

sam rozstrzygnąć ten dylemat.

Christina ruszyła w stronę wyjścia, wyglądała na jeszcze mniej pewną siebie, niż gdy przekraczała próg gabinetu.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, Beth sięgnęła po słuchawkę telefonu, ale zawahała się jeszcze na moment, po czym zrobiła to, czego William zwykle nie pochwalał. Wybrała jego prywatny numer w Yardzie.

– Płacą ci tysiąc funtów tygodniowo za sypianie ze mną? – powtórzył z niedowierzaniem Ross.

– Plus czynsz za mieszkanie i dodatek na zakup ubrań.

– Kto płaci?

– Agencja towarzyska w Paryżu, która zatrudniła mnie, żebym cię uwiodła.

– Czego oczekuje w zamian?

– Mam meldować o wszystkim, co mi powiesz, bez względu na to, jak nieistotne wydadzą mi się twoje słowa.

– I robiłaś to?

– Tak, ale niestety nigdy nawet nie wspominałeś o pracy, więc nie mam pojęcia, jak długo jeszcze będą oczekiwali moich usług.

Ross milczał przez dłuższą chwilę.

– W takim razie trzeba nam coś z tym zrobić – rzekł wreszcie. – Może powiedz im, że w końcu dokonałaś przełomu.

– Ale oni wiedzą, że nigdy nie postąpiłbyś niełojalnie wobec tego człowieka, którego nazywasz Jastrzębiem.

– To prawda, ale dlaczego miałbym odmówić sobie podrzucania ci kompletnie bezużytecznych informacji? – spytał, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Oczywiście musiałbym najpierw skonsultować ten plan z komendantem, a on z pewnością zapyta, kto płaci twojej agencji.

– Nie mam pojęcia – odrzekła Jo całkiem szczerze.

– Za to ja mam – stwierdził Ross. – Słyszałaś może kiedy nazwisko Miles Faulkner albo kapitan Ralph Neville?

– Nie. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że przedstawiono mnie człowiekowi, który opowiedział mi o tobie i polecił meldować się raz w tygodniu u niejakiego Booth Watsona.

– To by się zgadzało – oznajmił Ross, biorąc ją w ramiona. – Ale jest jeszcze jedno pytanie, na które muszę poznać odpowiedź, zanim zarobisz kolejny tysiąc funtów.

– Tak?

– Wyjdiesz za mnie?

– Co więc Jastrząb miał do powiedzenia na temat mojej pogawędki z Christiną?

– Rozpływał się z wdzięczności dla swej „specjalnej konstabl”. Teraz pozostaje nam mieć nadzieję, że Christina wspomni Boothowi Watsonowi o tej „bardzo poufnej” informacji, która ci się wymknęła. Bo jeśli to zrobi, to przeczuwam, że Faulkner nie oprze się pokusie i osobiście wybierze się do Szkocji, żeby przyjrzeć się obrazowi Caravaggia.

– A my będziemy mieli wtedy pewność, po czyjej stronie stoi Christina – dorzuciła Beth.

– Nie jestem pewny, czy ona sama wie, z kim trzyma.

– Ale jeśli wypożyczy galerii swojego Halsy...

– Jeżeli Faulkner na to pójdzie, powinnaś spróbować przekonać Christinę, że teraz znowu jej ufasz i wierzysz w każde jej słowo.

– Nawet jeśli sama nie wierzy we własne słowa – dopowiedziała Beth.

– Szybko się uczysz – pochwalił ją William. – Jestem przekonany, że powie Boothowi Watsonowi o Caravaggiu. To zaś przekona ich obu, że Christina jest po ich stronie.

– Chyba nie jestem dostatecznie przebiegła, żeby nadążyć za tą logiką.

– Jeżeli Faulkner pojedzie do Szkocji i spróbuje kupić Caravaggia, będę tam na niego czekał i trafi do pudła na bardzo długie lata. Christina będzie wtedy miała dość czasu, by położyć łapę na drugiej połowie jego kolekcji sztuki. Która, nawiasem mówiąc, z prawnego punktu widzenia i tak należy do niej, na mocy ugody rozwodowej.

– Nie jestem pewna, które z was jest bardziej podstępne – wyznała Beth.

– Ja tylko próbuję myśleć jak przestępca – odparł skromnie William, gdy wchodzili do kuchni.

– To kto dziś robi kolację?

– Moja kolej.

– „Moja kolej” sugeruje coś w rodzaju równego podziału obowiązków, a ty masz góra dwa dania w swoim repertuarze: spaghetti bolognese i spaghetti al pomodoro.

– Al dente czy rozgotowane, proszę pani? – spytał William, usłużnie podstawiając żonie krzesło.

– I tak nie zauważysz różnicy – mruknęła Beth, siadając przy stole.

– Prosił pan o pilne spotkanie. – Booth Watson zwrócił się do wchodzącego Lamonta. – Domyślam się, że to oznacza wiadomość godną mojej uwagi.

Booth Watson nigdy nie pozostawiał swemu „specjalnemu konsultantowi” nawet cienia wątpliwości co do tego, jakie doń żywi uczucia. Z wzajemnością, rzecz jasna.

– Detektyw sierżant Roycroft podsunęła mi ciekawe wieści na temat Warwicka i jego nowego zespołu.

Booth Watson bez słowa skinął głową.

– W tej chwili pracują nad pięcioma sprawami morderstw, które trafiły do sądu, ale z tej czy innej przyczyny nie zakończyły się wyrokami skazującymi. W czterech z nich występował pan jako obrońca. Napisałem wyczerpujący raport o każdej z nich, wraz z komentarzem o postępach wznowionych śledztw. – Mówiąc to, Lamont otworzył torbę kupioną w Sainsbury’s i wydobyl pięć teczek, które nie wzbudziły najmniejszego zainteresowania prawnika. – Zdobyłem też informację, która może być dla pana naprawdę cenna.

Booth Watson rozparł się wygodnie w fotelu. Zastanawiał się, co też takiego Lamont mógłby mu zakomunikować, o czym jeszcze by nie wiedział.

– Detektyw inspektor Ross Hogan ma nową dziewczynę, której najwyraźniej nie brakuje pieniędzy. Ma mieszkanie w odnowionej, zabytkowej części Chelsea, a zakupy robi przy Sloane Street.

Booth Watson, choć nadal udawał znudzonego, zaczął słuchać nieco uważniej.

– Jak się nazywa? – spytał obojętnym tonem.

– Josephine Colbert. Mieszka teraz w Londynie, ale to Francuzka, po trzydziestce, niedawno rozwiedziona.

– Orientuje się pan, skąd ma pieniądze?

– Na pewno nie od Hogana. Musiała nieźle się obłowić podczas rozwodu, żeby móc sobie pozwolić na życie w takim stylu.

– Ciekawe – mruknął Booth Watson.

Gdy Lamont wręczył mu kolejną teczkę, otworzył ją i przez kilka minut przeglądał zawartość. Z ulgą skonstatował, że były nadinspektor nie zdołał odkryć ani prawdziwej profesji panny Colbert, ani prawdziwego powodu, dla którego zaczęła się spotykać z Rossem Hoganem.

– Przydatne to – przyznał, po czym otworzył górną szufladę biurka i wyjął pękatą kopertę. – Ma pan tu także tygodniową wypłatę dla detektyw sierżant Roycroft, w wysokości stu funtów – przypomniał z naciskiem, przesuwając paczkę po blacie biurka.

– Naturalnie – odparł Lamont, który nigdy nie przekazał Jackie więcej niż pięćdziesiąt funtów i na pewno nie spotykał się z nią co tydzień.

– Coś jeszcze? – spytał Booth Watson, jasno dając mu do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

– Nie, panie radco – odparł Lamont. Postanowił, że nie wspomni Watsonowi o pierścionku zaręczynowym; taka informacja mogła być warta kolejną brązową kopertę podczas następnego spotkania, czyli już za dwa tygodnie. Wstał i nie podawszy ręki prawnikowi, wyszedł z gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi.

Booth Watson bez pośpiechu przejrzał zawartość pięciu teczek, specjalnie dla niego przygotowaną przez ekipę Warwicka. Wiedział, że trzeba będzie skontaktować się ze wszystkimi byłymi klientami, żeby ich ostrzec o wznowieniu śledztw. Wiedział i o tym, że po kilku płatnych konsultacjach doradzi im, żeby nie podejmowali żadnych działań.

Wreszcie powrócił do akt Josephine Colbert i przeczytał je po raz drugi. Odbył już w tym tygodniu bardzo produktywne spotkanie z urodziwą Francuzką i przypuszczał, że przyniosło on przełom, którego wyczekiwał. Detektyw inspektor Hogan, jak słusznie zauważył Lamont w swym raporcie, był kompletnie zadurzony w Jo, a Booth Watson życzył mu wielkodusznie, by to uczucie potrwało jak najdłużej. Panna Colbert również doniosła mu o pięciu sprawach morderstw, nad którymi pracował Warwick, skupiając się jednakże zwłaszcza na dwóch, które prowadził Hogan. Co ważniejsze, potwierdziła i to, że Ross ani razu nie wspomniał przy niej o Milesie Faulknerze, a to należało uznać za nadzwyczajny bonus. Brak wiadomości to dobra wiadomość, pomyślał prawnik i postanowił, że to właśnie powie Milesowi podczas kolejnej wizyty w dawnej kryjówce generała Franco.

Jednakże prawdziwym triumfem tego tygodnia było spotkanie z Christiną Faulkner. Usłyszał od niej, że do Fitzmolean zgłosił się lord McLaren, który niedawno odziedziczył nie tylko tytuł, ale i wynikające z tego przykre zobowiązania finansowe. W rezultacie nie miał wyboru – musiał sprzedać bezcenny obraz Caravaggia i miał nadzieję, że zarobi na nim co najmniej dwadzieścia milionów. Booth Watson zamierzał porozmawiać o tym z innym „specjalnym konsultantem”, zatrudnionym w urzędzie podatkowym.

Być może jest to świetna sposobność, pomyślał, by wyciągnąć procent od transakcji od obu stron, jeśli tylko uda się przekonać Milesa, by powierzył mi funkcję pośrednika. A wcześniej wybić mu z głowy ryzykowny wyjazd do Szkocji i osobiste podziwianie obrazu, bez względu na to, jak kusząca wydawała się wizja takiej wyprawy.

Booth Watson nie mógł się doczekać kolejnej wizyty w Barcelonie. Miał tyle do opowiedzenia swemu pracodawcy, że znowu mógł mu się wydać niezbędnym partnerem w interesach.

Zadowolony z siebie zamknął komplet świeżych dokumentów w szafie Milesa Faulknera, do której nawet jego sekretarka nie miała klucza.

# 14

– No dobrze, to kto zacznie? – spytał komendant.

Czyjaś ręka wystrzeliła w górę i Jastrząb skinał głową.

– W piątek wieczorem miałam kolejne spotkanie z Lamontem – powiedziała Jackie.

– Gdzie? – zapytał William.

– W małym pubie za stacją King's Cross, gdzie nie pojawiłyby się ani żaden policjant, ani szanujący się bandyta.

– Sądzisz, że on zaczyna wątpić w twoją lojalność?

– Nie wydaje mi się. Trochę za dużo z nim wypiałam i musiał mnie odwieźć do domu.

Gromki śmiech nagrodził jej odpowiedź.

– Prawda jest jednak taka – ciągnęła Jackie – że dyskretnie wylałam większość ginu do doniczki, która stała za mną. Dziwne, że nieszczęsna roślina przetrwała ten wieczór.

– Rozumiem – wtrącił znowu William – że w swobodnej rozmowie pochwaliłaś się, czym się ostatnio zajmujemy.

– Usłyszał dokładnie tyle, ile chcieliśmy mu przekazać. Głównie o pięciu starych sprawach, nad którymi pracujemy, ale na tyle ogólnikowo, że będzie musiał trochę powęszyć, zanim złoży kolejny raport Boothowi Watsonowi.

– Który z kolei przekaże informacje swym wielce szanownym byłym klientom. Będą mieli o czym myśleć, a przy okazji słono zapłacą za nowe usługi swego dawnego adwokata – dopowiedział William.

– Nie lekceważcie Lamonta – wtrącił Jastrząb. – Jeśli choćby pomyśli o tym, że z nim tak pogrywacie, nie tylko powie o tym Boothowi Watsonowi, ale jeszcze obróci to na swoją korzyść. Kto następny?

– Zacząłem dogłębne śledztwo w sprawie obu przestępczych rodzin, Roachów i Abbottów – odezwał się Ross – i powiem wam jedno: co za bydlaki! Każdy członek rodziny pełni określoną funkcję w organizacji. Terry Roach i Ron Abbott odpowiadają za eliminowanie każdego, kto wejdzie im w drogę. Abbott

to zawodowy zabójca, a jako że cały East End tak się boi jego rodziny, żaden świadek nie wyjdzie przed szereg, bo wie, że będzie następny do odstrzału.

– Jest aż tak źle? – spytał William.

– A Roach jest jeszcze gorszy – ciągnął Ross. – Abbott zabija pojedynczym strzałem z karabinu, trzymając odpowiedni dystans. Roach woli inną zabawkę: nóż kuchenny o ząbkowanym ostrzu. Wołają na niego „rzeźnik”, bo zdaje się, że według niego ofiara, którą uśmiercił zaledwie tysiącem cięć, to prawdziwy szczęściarz. To swoista wizytówka, która ma zniechęcać wszystkich potencjalnych rywali rodziny. Siedział w pudle już kilka razy, ale dzięki Boothowi Watsonowi nigdy dłużej niż dwa lata, za ciężkie uszkodzenie ciała. Dopóki nie będziemy mieli budżetu, który pozwoli na wysłanie w teren tuzina dobrze wyszkolonych ludzi, żeby mieli na niego oko, dopóty będzie bezkarnie zabijał. Może i mam pomysł albo dwa na to, jak go dopaść, ale jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić.

– Rozumiem – powiedział William. – Gdyby udało ci się przyskrzynieć choć jednego z nich, Ross, mógłbyś wpiąć sobie piórko do czapki.

– A wiesz, skąd się wzięło to powiedzenie? – wtrącił Paul.

– Wiem – odparł William – ale nie czas na dyskusje o starym angielskim zwyczaju zdobienia czapki ptasim piórem przez wojownika, który zabił wroga podczas bitwy... stąd zresztą wzięła się tradycja nadawania odznaczeń. Tylko że za skręcone kostki medali nie rozdają, detektywie sierżancie Adaja, więc może posłuchamy twojego raportu?

– Mój rekin lichwy, Max Sleeman – zaczął skarcony Paul – nadal pożyczka poważne sumy rozmaitym desperatom i nie waha się używać przemocy, jeśli nie spłacają długów na czas. Jak już wiecie, trzech jego klientów zniknęło z powierzchni ziemi krótko po tym, jak stali się niewypłacalni. Sleeman odzyskał pieniądze dopiero z masy spadkowej. Zapewne dzięki temu inni lepiej rozumieją, co ich czeka, jeśli ośmielą się złamać postanowienia ustnej umowy. Niewykluczone jednak, że znalazłem pewien sposób, żeby nie tylko dopaść Sleemana, ale i doprowadzić go do bankructwa. To tak zwany przypadek Capone'a.

– Unikanie podatków? – upewnił się William.

– Sądzę, że zdołam udowodnić, iż od wielu lat nie płaci podatków. Niedawno sąd najwyższy wydał wyrok sześciu lat więzienia w podobnej sprawie, lecz co ważniejsze, na mocy Ustawy o unikaniu opodatkowania z 1986 roku sędzia może nałożyć na winnego karę w wysokości pięciokrotności niezapłaconego podatku. Innymi słowy, Sleeman nie tylko wylądowałby za kratkami, ale



w dodatku bez grosza przy duszy, bo straciłby wszystkie aktywa na rzecz państwa. Kara stosowna do przestępstwa, nie sądzicie? – spytał Paul, najwyraźniej zadowolony z siebie.

– Być może – odparł komendant – ale i tak wolałbym dożywocie za trzy morderstwa, za które odpowiada. Jeśli to się nie uda, być może pójdziemy śladem niezapłaconych podatków. Ale ostrzegam cię, Paul, że i ta droga oznacza dla nas problemy. Procesy podatkowe ciągną się miesiącami, ławnicy rzadko kiedy orientują się w szczegółach, a przeciętny adwokat może zamieszać w głowach nawet najlepszych świadków. Bądź więc świadomy, ile pracy cię czeka i stresu... choćby dlatego, że sam spędzisz Bóg wie ile dni w roli świadka.

Paul już nie wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Jackie, opowiedz nam jeszcze, co porabiałaś, gdy nie udawałaś pijanej w towarzystwie naszego byłego nadinspektora.

– Kontynuowałam śledztwo w sprawie Clive'a Pugh, spryciarza, który zamordował żonę, żeby zgarnąć pieniądze z polisy. Podejrzewam, że właśnie snuje nowe plany: chciałby zostać wdowcem po raz drugi.

– Chyba żadna firma ubezpieczeniowa nie sprzeda mu kolejnej polisy – stwierdził Paul. – Nie po tym, jak wyrolował jedną z nich na ćwierć miliona.

– Tym razem nie będzie tracił czasu na układy z ubezpieczycielami – odparła Jackie. – Ma na oku zdobycz znacznie większą niż dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

– Na czym miałyby polegać nowy przekręt? – spytał William.

– Flirtuje ze starszą panią, której głównym atutem jest fortuna odziedziczona po zmarłym ojcu.

– I nie domyśliła się jeszcze, że ma do czynienia z poszukiwaczem złota? – zdziwił się William.

– Pugh jest o wiele za sprytny, żeby się z tym zdradzić – odrzekła Jackie. – Nie po to wzbogacił się poprzednim razem, żeby teraz nie robić dobrego użytku z pieniędzy. Jadają w najlepszych restauracjach, a gdy jeżdżą razem na wakacje, zatrzymują się w pięciogwiazdkowych hotelach i to on zawsze płaci rachunki. Nie zdziwiłabym się, gdyby wkrótce się oświadczył, bo w tym tempie szybko skończy mu się gotówka.

– Dlaczego uważasz, że i tę kobietę zamorduje? – zapytał Jastrząb. – Nie wystarczy mu, że do śmierci będzie korzystał z jej majątku?

– Wprawdzie jest od niego o dziesięć lat starsza, sir, ale jej ojciec dożył stu jeden lat. Co ważniejsze, kochanka naszego amanta, która moim zdaniem jest współodpowiedzialna za pierwsze morderstwo, nadal się przy nim kręci. Dlatego

nie zdziwmy się, gdy pewnego dnia przeczytamy w porannej gazecie, że „zamożna dziedziczka zginęła śmiercią tragiczną”.

– Pugh nie może przecież wierzyć, że ta sama sztuczka ujdzie mu płazem po raz drugi – obruszył się Ross.

– Jak mówiłam, jest bardzo sprytny, więc z pewnością już wie, co należy zrobić. – Raz jeszcze spojrzeli na Jackie z uwagą. – Otóż odkryłam, że już zabukował kolejne wakacje dla siebie i swej wybranki. W Republice Południowej Afryki.

– Gdzie tylko jedno morderstwo na dziesięć karane jest wyrokiem skazującym – uzupełnił William.

– Przecież zawsze możemy wystąpić o ekstradycję na podstawie paragrafu dziewiątego Ustawy o przestępstwach przeciwko osobie z 1861 roku – wtrącił Paul. Uciszył tym wszystkich z wyjątkiem Jastrzębia.

– O którym większość mieszkańców RPA nie ma bladego pojęcia – zareplikował komendant. – Zwłaszcza że w dzisiejszych czasach nawet sędziów można kupić.

– A może dobrze się zastanowi, czy warto, gdy Booth Watson mu powie, że znów pracujemy nad sprawą zabójstwa jego żony – zasugerował Paul.

– Wątpię – odparł Jastrzęb. – Pugh to hazardzista. Zastanowi się jedynie, czy wielkie pieniądze, które może zyskać, warte są ryzyka, że zostanie złapany i będzie musiał sownie opłacić południowoafrykańską policję.

– Jaka szkoda, że nie możemy cię wysłać na Boże Narodzenie do Kapsztadu, Jackie – powiedział William. – Podczas następnego spotkania mogłabyś nam opowiedzieć, co konkretnie wymyślił.

– A gdzie jest detektyw konstabl Pankhurst? – spytał nagle komendant, odsuwając na bok akta, które wcześniej podała mu Jackie. – Jestem bardzo ciekaw, jakie postępy zrobiła w sprawie tego bramkarza z klubu nocnego.

– Pojechała na urlop, sir – wyjaśnił William.

– Chyba nie z bramkarzem? – upewnił się Jastrzęb.

– Nie, sir. Z kapitanem Archibaldem Harcourt-Byrne’em.

– A to kto?

– Oficer Gwardii Grenadierów – wyjaśniła Jackie. – Nie mówiła nam o nim zbyt dużo, ale przypuszczam, że to poważna sprawa.

– Mam nadzieję, że jej nie stracimy – zmartwił się Jastrzęb, nagle zmieniając ton. – Jest świetną funkcjonariuszką... przed nią wspaniała kariera.

– To prawda – zgodził się William – ale konstabl Pankhurst jest równie niezależną osobą jak jej antenatka sufrażystka, więc jestem niemal pewny, że

zdoła okiełznać oficera gwardii, nadal przy tym łapiąc bandytów. Pozwólmy jej cieszyć się zasłużonym urlopem, a sami bierzmy się do roboty.

– Prędeż, skarbie, bo spóźnimy się na samolot – powiedział Archie.

– Spokojnie. Mamy wystarczająco dużo czasu – odparła beztrąsko Rebecca.

– Masz rację – przyznał, chwytając ją za rękę. – Do której bramki idziemy?

– Sześćdziesiąt trzy.

– Dlaczego mój samolot zawsze podstawiają na samym końcu lotniska...?

– A ja, zawsze gdy wracam do domu – podchwyciła Rebecca – muszę utknąć gdzieś za hordą czterystu turystów, którzy właśnie wysypali się z jumbo jeta. Ale nie dbam o to. Tak czekałam na te wakacje. Bóg jeden wie, ile czasu minęło od mojego ostatniego urlopu.

Gdy mijali strefę bramki numer 49, zauważyła go. Siedział w kącie sali pochłonięty lekturą „Timesa”. Zamrugła i spojrzała raz jeszcze, żeby się upewnić, że to nie pomyłka.

– Muszę skoczyć do toalety – powiedziała, puszczać dłoń Archiego. – Idź dalej, dogonię cię za parę minut.

Gdy tylko ukochany zniknął jej z oczu, pobiegła do najbliższego telefonu. Czy zastanie go jeszcze na odprawie u komendanta? A może już przy własnym biurku?

– Starszy inspektor Warwick – odezwał się znajomy głos, gdy już prawie straciła nadzieję.

– Dzień dobry, szefie, tu Rebecca.

– Zdawało mi się, że miałaś lecieć na urlop.

– I nadal mam, ale pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć, że właśnie widziałam Bootha Watsona czekającego na samolot.

– Nawet on ma prawo do urlopu.

– Jest ubrany w trzyczęściowy garnitur i ma przy sobie tylko neseser.

– Dokąd się wybiera?

– Do Barcelony.

– W takim razie ty też, konstabl Pankhurst. Zadzwoń do mnie, gdy tylko wylądujesz. Do tego czasu spróbuję wymyślić, jaki powinien być twój następny ruch.

– Czy mogę nieśmiało przypomnieć, sir, że jestem na wakacjach?

– Byłaś na wakacjach, konstabl Pankhurst. A teraz jesteś o krok od odkrycia kryjówki Milesa Faulknera.

– Ale ja...

– Żadne ale, konstabl. Druga taka okazja może nam się nie przytrafić.

William odłożył słuchawkę i zaraz wybrał numer do gabinetu komendanta, podczas gdy Rebecca ulżyła sobie, wygłaszając okolicznościową wiązanke inwektyw. Potem pobiegła do bramki numer 49, przez którą przechodzili już pasażerowie pierwszej klasy. Zerknęła na zegarek. Nie miała czasu na powrót do kontuaru British Airways i przebukowanie biletu. Wśliznęła się do księgarni WHSmith i zaczęła, aż Booth Watson okaże kartę pokładową i zniknie w tunelu wiodącym wprost do drzwi samolotu. Miała nadzieję, że Archie zacznie jej szukać i zaraz się pojawi. Chciała mu wytłumaczyć, co zaszło, ale nie miała okazji. Odczekała, aż ostatni pasażerowie przejdą odprawę, i podeszła do stanowiska. Wyjęła legitymację służbową i okazała ją stewardesie.

– Czekaliśmy na panią, pani konstabl – powiedziała dziewczyna. – Właśnie dzwoniли ze Scotland Yardu, żeby uprzedzić, że będzie pani chciała polecieć tym samolotem. Umieszczę panią w ostatnim rzędzie klasy ekonomicznej, przy tylnych drzwiach, więc wsiądzie pani ostatnia i wysiądzie pierwsza. – Wręczyła Rebecce bilet i dodała: – Udanego lotu, panno Pankhurst.

– Czy mam jeszcze dość czasu, żeby odszukać mojego chłopaka i powiedzieć mu, że nie polecimy razem?

– Niestety. Zaraz zamykamy bramkę.

Rebecca niechętnie zagłębiła się w długi, pusty tunel. Rzeczywiście weszła na pokład samolotu ostatnia. Jej humor nie poprawił się przez cały lot. Nieustannie wracała myślą to do Archiego, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś się do niej odezwie, to do inspektora Warwicka, którego miała wielką ochotę udusić, a nawet do Bootha Watsona, który zapewne siedział gdzieś z przodu, w biznesklasie, i nawet nie przyszło mu do głowy, że jest przyczyną wszystkich jej problemów.

Nad tym, co będzie dalej, zaczęła się zastanawiać, dopiero gdy samolot podchodził do lądowania w Barcelonie. Czy ktoś miał odebrać Bootha Watsona? Może zamierzał dotrzeć do miasta taksówką, autobusem albo pociągiem? Czy już zarezerwował pokój w hotelu? A jeśli tak, to czy właśnie tam miał się spotkać z Faulknerem? A może ktoś ma go zabrać prosto do nowej kryjówki? I co ona właściwie ma zrobić, gdyby tak się stało?

Przećwiczyła w myślach bodaj tuzin scenariuszy, nim koła samolotu zapiszczały na asfalcie pasa startowego, a gdy zatrzymywał się przy wolnym tunelu, jej mózg pracował już całkowicie w trybie detektywa.

Nie mając chwili do stracenia, pierwsza sprintem wyskoczyła z bloków, gdy tylko stewardesa otworzyła drzwi. Błyskawicznie zbiegła po stopniach na płytę

lotniska i pognęła do terminalu, by wmieszać się w tłum pasażerów idących do odprawy celnej. Dogonił ją jednak ktoś, kto poruszał się jeszcze szybciej.

– Proszę zwolnić i wziąć mnie pod rękę, detektyw konstabl – odezwał się głos nawykły do wydawania rozkazów.

Spojrzała ukradkiem na mężczyznę, który pojawił się u jej boku, i bez słowa wykonała polecenie.

– Proszę się nie oglądać. Spokojnie idziemy przed siebie, ja się wszystkim zajmę.

– Tak jest – odpowiedziała odruchowo.

– Jestem porucznik Sanchez z Narodowego Korpusu Policji – przedstawił się, nawet nie patrząc w jej stronę. – Mój dowódca rozmawiał przed chwilą z komendantem Hawksbym, który bardzo jasno wyraził się o tym, jak ważna jest pani wizyta w Hiszpanii. – Umilkł i nie odezwał się nawet wtedy, gdy przystanęli przed stanowiskiem celnika, który nie poprosił ich o paszporty, tylko zasalutował. Jemu, nie jej. Porucznik rozejrzał się, wybrał miejsce z niezłym widokiem na wszystkie osiem stanowisk odprawy celnej i rzekł: – Proszę mi go wskazać, gdy tylko go pani zauważy.

Rebecca zapatrzyła się na szeroki strumień pasażerów, którzy z paszportami w dłoniach rozchodzili się do długich kolejek. Minęło trochę czasu, zanim się odezwała:

– To on. Właśnie stanął w kolejce do stanowiska numer sześć. Tylko on nie wygląda na kogoś, kto przyjechał tu na wakacje.

– Trzydzięciowy garnitur, koło pięćdziesiątki, lekko łysiejący, ze skórzanym neseserem?

– To on.

Porucznik skinął głową komuś, kogo Rebecca nawet nie widziała. Gdy Booth Watson przeszedł odprawę, podążyli za nim do kontroli bagażu – nie zabrał w podróż niczego poza teczką – i dalej, do hali przylotów. Szybkim krokiem opuścił budynek i stanął w rzędzie czekających na taksówkę.

Rebecca spostrzegła młodego mężczyznę, który zatrzymał się tuż za nim. Gdy Booth Watson wreszcie doczekał się taksówki i wszedł do środka, młodzian zanotował jej numer rejestracyjny, ale nie wskoczył do kolejnego wozu, który właśnie się przy nim zatrzymał.

– Nie pojedzie za nim? – spytała, starając się, by w jej głosie nie było nuty rozpaczy.

– Nie możemy ryzykować – odparł porucznik. – Pani szef wyraził się jasno: jeśli ten człowiek domyśli się, że jest śledzony, wróci prosto na lotnisko, a wtedy

okaże się, że przybyła pani do nas na próżno. Ale proszę się nie martwić. Już wiemy, kto go wiezie. Wkrótce przesłuchamy taksówkarza i odezwiemy się do Scotland Yardu, gdy tylko będziemy wiedzieli, gdzie wysadził waszego człowieka.

– A jeśli po drodze przesiądzie się do innej taksówki?

– To przekona się, że to jeden z naszych wozów – odparł z pewnością w głosie Sanchez i skinął głową komuś po drugiej stronie ulicy.

– Z tego wynika, że byłam tu tylko posłańcem – stwierdziła Rebecca.

– Niezwykle atrakcyjnym posłańcem, jeśli wolno mi zauważyć, señorita.

– W poprawnej politycznie Anglii taki tekst nie uszedłby panu na sucho – zauważyła z uśmiechem Rebecca.

– Na szczęście jesteśmy w Barcelonie, nie w Anglii.

– I co ja mam teraz zrobić?

– Została pani wpisana na listę pasażerów najbliższego lotu do Florencji, gdzie w hali przylotów będzie na panią czekał jej narzeczony.

– Jakim cudem tego dokonaliście?

– Musiało zadziałać poczucie winy szefa, który omal nie zepsuł pani wakacji – odparł porucznik Sanchez, podając jej bilet pierwszej klasy do Florencji. – Mam nadzieję, że miło spędzi pani czas we Włoszech, señorita Pankhurst. Moja babka szczerze podziwiała pani przodkinię, choć prawdą jest, że moi rodacy potrzebowali jeszcze kilku lat, by wreszcie oddać kobietom prawo głosu.

Zasalutował i oddalił się, zanim zdążyła dopowiedzieć: „W 1931 roku”.

# 15

– Śledził cię ktoś?

– Nie – odparł Booth Watson. – Odkąd zjechaliśmy z autostrady, nie widziałem już żadnego innego samochodu.

– W dniu, w którym się to zmieni, znowu będę musiał się przeprowadzić.

– Dokąd?

– Mam już takie miejsce, do którego mógłbym się przenieść choćby jutro. Ale generał Franco korzystał z tej kryjówki przez dwadzieścia siedem lat i nikt nie odkrył jej istnienia. Nim minie tyle czasu, komendant od dawna będzie trupem, a starszy inspektor Warwick wesołym emerytem.

– Amen – przytaknął Booth Watson, po czym otworzył neseser i wyjął zeń kilka teczek. – Od czego mam zacząć?

– Od udowodnienia mi, że Lamont wart jest absurdalnych kwot, które wydaję na te jego „konsultacje”.

– Dopóki będzie miał kogoś w policji, warto będzie trzymać go na liście płac – ocenił Booth Watson. – Naturalnie jeśli będziemy pamiętać, że podrzuciłby narkotyki własnej babci, gdyby tylko stwierdził, że może coś na tym zarobić.

– Czy on i Roycroft są parą?

– Jestem w zasadzie pewny, że łączą ich tylko miłość do pieniędzy.

– Czyli nie sypiają z sobą?

– Nie, to zupełnie inny rodzaj partnerstwa. Podczas ostatniego spotkania w pubie Roycroft się upiła, a Lamont odwiózł ją do domu, zanim pojechał do siebie.

– Miała coś ciekawego do powiedzenia?

– Sprzedała mu garść informacji o starych sprawach, nad którymi pracuje teraz zespół Warwicka.

– Czy moja jest jedną z nich? – spytał Miles.

– Nie. Wydaje się, że o tobie zapomnieli. Twoje nazwisko nawet nie padło w rozmowie.

– Oby jak najdłużej – mruknął Faulkner. – Czy Lamont ma też na oku Josephine Colbert?

– Owszem – odparł prawnik, wyjmując z nesesera kolejną teczkę. – Zdaje się, że Colbert i detektyw inspektor Hogan są parą. Widują się trzy, czasem cztery razy w tygodniu. I wydaje się, że ta znajomość przynosi już pierwsze efekty. A raczej, co ważniejsze, brak efektów.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Colbert potwierdziła, że Hogan pracuje nad dwiema z pięciu starych spraw... chodzi o Abbottów i Roachów. Zgodnie z rozkazem ma donosić o wszystkich nazwiskach, które wymieni jej kochaś, a twoje, jak dotąd, nie padło.

– A może pytała Hogana, czy słyszał coś o kapitanie Ralphie Neville’u?

– Ależ skąd – zachnął się Booth Watson. – Przecież gdyby to zrobiła, zdemaskowałyby nie tylko siebie, ale i ciebie. Dopóki Hogan nie wspomina ani o Milesie Faulknerze, ani o Ralphie Neville’u, możemy być pewni, że twojateczka w świętym spokoju spoczywa gdzieś w Hayes, gdzie jest jej miejsce.

– Zapewniam cię, że jeśli Hogan próbuje się dobrać do Terry’ego Roacha, to zwyczajnie traci czas – rzekł Miles. – Nikomu na całym East Endzie nawet przez myśl nie przejdzie, żeby zeznawać przeciwko temu człowiekowi.

– Znasz Roacha? – spytał zaskoczony Booth Watson.

– Siedzieliśmy razem w więzieniu. Paru skazanych przekonało się, że nie należy z nim zadzierać, a gdy poszli pod prysznic, to także o tym, że krew jest gęstsza od wody.

Booth Watson wzdrygnął się mimowolnie.

– Uważasz, że panna Colbert jest warta tysiąca funtów tygodniowo? – spytał Miles, zapalając cygaro.

– Myśl o niej jak o polisie ubezpieczeniowej. Te z segmentu premium nigdy nie są tanie.

– Podobnie jak kobiety. A skoro już mowa o polisach ubezpieczeniowych... co słychać u Christiny?

– Jak dotąd dotrzymuje umowy – odparł Booth Watson. – Ze spotkania z Beth Warwick przyniosła mi dwie fascynujące informacje.

Miles w końcu wyglądał na zainteresowanego.

– Fitzmolean Museum dostało ostatnio od lorda McLarena ofertę sprzedaży *Rybaków* Caravaggia, ale kwota okazała się zbyt wysoka.

– To znaczy jaka?

– Dwadzieścia milionów funtów.

– Dlaczego McLaren rzuca na rynek jedno z najsłynniejszych płócien Caravaggia, które od pokoleń jest własnością jego rodziny?



– Rzuca, bo musi, ot i cała odpowiedź. Zdaje się, że siódmy lord McLaren ma poważne problemy podatkowe po śmierci ojca.

– Jak poważne?

– Jest dłużny dwadzieścia dwa miliony siedemset tysięcy funtów.

– Zatem wiemy, za jaką kwotę będzie gotów sprzedać obraz – stwierdził Miles.

– A jesteś zainteresowany kupnem?

– Oczywiście. Potrzebuję tylko kogoś, kto mógłby mnie reprezentować, bo w przeciwieństwie do Chrystusa nie umiem wstawać z martwych.

Booth Watson uśmiechnął się lekko.

– Z przyjemnością wystąpię w twoim imieniu.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, BW – odparł Miles. – Ale mówiłeś, że Christina przyniosła ci dwie informacje.

– Druga jest taka, że Fitzmolean szykuje na następną jesień wystawę prac Fransa Halsy, a pani Warwick poprosiła Christinę o wypożyczenie na sześć tygodni *Grającego na flecie*.

– Nie jej decydować o wypożyczeniu – odparował z niechęcią Faulkner.

– I dlatego to tobie doradzam, żebyś się zgodził.

– Bo?

– Pani Warwick nabierze pewności, że kolekcja jest w rękach Christiny, a co ważniejsze, pewności tej nabierze także jej mąż.

– *Rybacy* Caravaggia – opowiadał przewodnik – to bez wątpienia klejnot koronny w kolekcji McLarenów. Choć centralną postacią jest tu Chrystus, oko widza natychmiast kieruje się ku rybakom w łodzi. Znamienity historyk sztuki Kenneth Clark stwierdził, że wyraz zdumienia widoczny na twarzach apostołów, którzy po raz pierwszy widzą Chrystusa chodzącego po wodzie, można opisać tylko w jeden sposób: genialny.

– Ile toto warte? – spytał młodzian w T-shircie z reprodukcją dzieła Warhola.

– Krótko mówiąc, jest to obraz bezcenny – odparł przewodnik, starając się ukryć pogardę.

Na ten widok starszy dżentelmen siedzący na wózku inwalidzkim, z nogami przykrytymi kraciatym pledem, tylko się lekko uśmiechnął.

– Być może jednak – ciągnął przewodnik – zainteresuje pana, że pierwszy lord McLaren zakupił to arcydzieło od sprzedawcy w Mediolanie w roku 1786 za pięćdziesiąt gwinei. Wkrótce potem, gdy powrócił do Szkocji, powiesił je właśnie tu, w jadalni, gdzie można je podziwiać po dziś dzień.

Już niedługo, pomyślał mężczyzna na wózku.

– I to koniec naszej wycieczki – obwieścił przewodnik. – Mam nadzieję, że się państwu podobała.

W odpowiedzi usłyszał gromkie oklaski.

Przewodnik skłonił się lekko i dodał:

– Jeśli mają państwo ochotę odwiedzić nasz sklepik, napić się czegoś w kawiarni albo pospacerować po posiadłości, to serdecznie zapraszam. Życzę też bezpiecznej podróży do domu.

Stary człowiek na wózku podziękował przewodnikowi i wręczył mu hojny napiwek, nim pielęgniarka pomału wyprowadziła go z jadalni.

– Chciałbym zajrzeć do sklepiku – oznajmił.

– Oczywiście, sir – odpowiedziała, podążając za drogowskazami.

Starszy pan kupił pocztówkę przedstawiającą słynne płótno barokowego artysty oraz ilustrowany katalog całej kolekcji rodziny McLarenów, po czym pielęgniarka zawiozła go prosto do czekającej nań limuzyny. Po drodze spostrzegł policjanta w cywilnym ubraniu, który nawet na niego nie spojrzał, gdy pielęgniarka i szofer pomagali mu zasiaść na tylnej kanapie wozu.

Gdy limuzyna ruszyła w leniwym tempie, mężczyzna spojrzał na pierwszą stronę katalogu, przedstawiającą drzewo genealogiczne rodu McLarenów, poczynając od 1736 roku aż po dzień dzisiejszy. Wydawało się, że pierwszy lord McLaren dorobił się majątku już w pierwszych latach rewolucji przemysłowej, a jego zainteresowanie sztuką, z początku czysto amatorskie, stało się pasją, dopiero gdy osiągnął wiek średni, a po „europejskim tournée” zmieniło się w obsesję. Gdy umierał w 1822 roku, jego kolekcja była uważana za jeden z najwspanialszych zbiorów malarstwa znajdujących się w prywatnych rękach. Zanim limuzyna zatrzymała się przed wejściem na lotnisko w Aberdeen, starszy dżentelmen zdążył poznać do końca życiorys pierwszego lorda McLarena.

Atrakcyjna hostessa przejęła wózek od pielęgniarki, by przeprowadzić jego pasażera na sam początek kolejki do odprawy. Gdy tylko sprawdzono jego paszport, trafił prosto do podstawionego już samolotu.

W drodze do domu dowiedział się jeszcze sporo o tym, jak drugi i trzeci lord McLaren dodali do kolekcji Turnera, Constable’a i Gainsborough, czym jeszcze poprawili jej znakomitą reputację. Starszy pan opuścił samolot jako jeden z ostatnich, bogatszy także o wiedzę o tym, jak czwarty lord McLaren odkrył impresjonistów i nabył Moneta, Maneta i dwa Matisse’y, nim odszedł z tego świata.

Jadąc na wózku w stronę stanowiska celników, pochłonięty był lekturą życiorysu piątego lorda McLarena, który pragnął głównie nabywać dzieła swych rodaków i wieszać je obok obrazów włoskich, francuskich i angielskich mistrzów. To dlatego w kolekcji znalazły się też płótna McTaggarta, Raeburna, Peploe'a i Farquharsona. Niestety, szósty lord McLaren nie wykazywał zainteresowania sztuką, a jedynie szybkimi samochodami i jeszcze szybszymi kobietami, toteż zbiór pomniejszył się o kilka płócien, trzeba było bowiem jakoś sfinansować te ekstrawagancje. Gdy odszedł na zawał serca w wieku lat sześćdziesięciu trzech, pozostawił jedynemu synowi tytuł, natomiast nie pozostawił mu wyboru: rozstanie z Caravaggiem było jedynym wyjściem, jeśli nie chciał mieć zatargów z urzędem podatkowym.

Starszy pan bez pośpiechu przeszedł odprawę, a gdy znalazł się w hali przylotów, stwierdził, że dotarł też do ostatniej stronicy katalogu.

Szofer wyprowadził go przed terminal, wprost do samochodu zaparkowanego w strefie dla inwalidów. Usłużnie otworzył przed nim drzwi, a wtedy jego pan sprężystym krokiem powstał z wózka, podszedł do wozu i usadowił się z tyłu. Łazarz byłby z niego dumny.

## 16

– Gdzie bliźniaki? – spytał sir Julian, zanim Beth i William zdążyli powiesić płaszcze.

– Spędzają dzień z moimi rodzicami – odpowiedziała Beth, gdy przeszli do salonu.

– Szczęściarze z Arthura i Joanny. – Marjorie westchnęła.

– A tak *entre nous* – rzekł sir Julian – to wiedzcie, że gdy ostatnio była u nas Artemisia, szepnęła mi, że jestem jej ulubionym dziadkiem.

Beth uśmiechnęła się lekko.

– Mała sprytcuła, to samo powiedziała mojemu ojcu, gdy rano odwieźliśmy dzieci do Ewell.

– W takim razie trzeba będzie zmienić testament na korzyść Petera. – Sir Julian westchnął teatralnie.

– A mój ojciec pewnie zapisze wszystko Artemisii – stwierdziła Beth.

– Jako że William nigdy nie mówi nam o swojej robocie – odezwała się Marjorie, podając Beth filiżankę kawy – a Julian właściwie nie gada o niczym innym, chciałabym usłyszeć, nad czym ty teraz pracujesz.

– Muzeum chce następnej jesieni otworzyć wystawę Fransa Halsa.

– Często się zastanawiałam, jak właściwie wyglądają od kuchni przygotowania do tak poważnej imprezy.

– To długi i bolesny proces – przyznała Beth – który wymaga od nas cierpliwości, zdecydowania oraz szczodrości w rozdawaniu łapówek.

Sir Julian wyglądał na odrobinę zainteresowanego.

– Ile obrazów pokażecie?

– Jeśli dopisze mi szczęście, to sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt. Mamy nadzieję, że będzie wśród nich *Roześmiany chłopiec*.

– A gdzie jest w tej chwili? – spytał sir Julian.

– Należy do kolekcji Wallace’a – wyjaśnił William – więc przynajmniej nie będzie musiał odbyć dalekiej podróży.

– Czasem zapominam – przyznał sir Julian – że mój syn zaczynał studia od historii sztuki i gdyby nie wstąpił do policji, kto wie, może nawet byłby dziś

jednym z asystentów Beth.

– Aż taki sukces byś mi wróżył? – spytał drwiąco William.

– Zignorujmy smarkaczy, Beth – zaproponowała Marjorie. – Opowiadaj dalej o przygotowaniach do tej ważnej wystawy.

– O hojnych łapówkach – przypomniał jej mąż.

– Większość prac Halsa znajduje się w publicznych galeriach na całym świecie. Te najlepsze w Rijks w Amsterdamie, ale i Met oraz Ermitaż mają trochę wspaniałych autoportretów. A londyński Mansion House ma inny rarytas, czyli *Wesołego lutnistę*. Tyle że gdy się pożycza ważne dzieło z innej galerii, trzeba być przygotowanym na to, że prędzej czy później przyjdzie czas na rewanż.

– Na przykład? – zapytał sir Julian, siorbiąc kawę.

– Kolekcja Phillipisa w Waszyngtonie planuje urządzić za dwa lata wystawę prac Rubensa i już dostaliśmy prośbę o wypożyczenie na trzy miesiące *Zdjęcia z krzyża*. Mają za to trzy Halsy, a mnie zależy na dwóch z nich.

– Dwa Halsy za Rubensa to przyzwoity kurs wymiany – zawyrokował sir Julian.

– Ile obrazów Halsa znajduje się dziś w prywatnych rękach? – spytała Marjorie.

– Udało nam się wysledzić tylko jedenaście. Gdy na rynek trafia ważne dzieło tak znanego artysty jak Hals, zazwyczaj kupuje je któraś z galerii narodowych, co jest gwarancją, że płótno już nigdy nie będzie sprzedane.

– A także wybornym sposobem na podbicie cen tych nielicznych obrazów, które pozostają w prywatnych rękach – wtrącił William. – Podobnie jak wypożyczanie ich na wielkie wystawy.

– Skontaktowałam się ze wszystkimi jedenastoma prywatnymi kolekcjonerami – ciągnęła Beth – i zapytałam, czy byliby skłonni wspomóc nasz projekt. Trzech się zgodziło, ale na bardzo restrykcyjnych warunkach, czterech od razu odmówiło, a pozostałym czterem szkoda było czasu na odpowiedź.

– Niby dlaczego miałyby im nie zależeć na wypożyczeniu obrazów – zapytała Marjorie – skoro, jak powiedział William, w ten sposób mogą jeszcze podbić ich przyszłą cenę?

– Mellonowie i Rothschildowie tego świata doskonale o tym wiedzą i zawsze wspierają takie wystawy jak nasza. Odmawiają z reguły ci, którzy boją się, że ich własność może ulec zniszczeniu w transporcie. To dlatego tyle wysiłku wkładam w przekonanie pana Mority, żeby na chwilę rozstał się z cudownym autoportretem Halsa, który wisi w Tokio, bo należy do kolekcji Sony.

– A co z tymi, którzy nawet nie odpowiedzieli? – indagowała Marjorie.

– To często przestępcy, którzy nie życzą sobie, żeby na przykład urząd skarbowy zainteresował się nimi tylko dlatego, że ujawnią się jako właściciele cennych dzieł sztuki – wyjaśnił William. – Typowym przykładem niech będzie Miles Faulkner, którego niedawno pożegnaliśmy.

– Może pożegnaliśmy, a może nie – mruknął sir Julian.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał ostrożnie William.

– Booth Watson nie pojawia się w sądzie tak często jak dawniej, a mimo to nadal codziennie jada w Savoyu. Albo wybrał się na wcześniejszą emeryturę, co wydaje mi się mało prawdopodobne, albo nadal świadczy stałe usługi zamożnemu klientowi i nie musi szukać innych zleceń, jak większość adwokatów. Należy przy tym pamiętać, że niewielu ludzi zatrudnia na stałe prawnika, jeżeli nie musi.

– Zwłaszcza prawnika, który wiecznie przeszkadza własnej żonie usiłującej dowiedzieć się czegoś ciekawego o Fransie Halsie – odezwała się z delikatnym wyrzutem Marjorie.

– Wybacz – odparł sir Julian. – Zaczynam przynudzać.

Nikt nie zaprzeczył.

– Wspomniałaś, że czasem trzeba przewozić obrazy z drugiego końca świata – przypomniała Marjorie. – To chyba bardzo kosztowne?

– Niekiedy za bardzo – przyznała Beth. – Bardzo niewiele firm w Wielkiej Brytanii uważa się za na tyle solidne, by można im było powierzyć transport tak cennych dzieł. Znam pewnego kustosza, który obstaje przy tym, żeby dany obraz ani na chwilę nie zniknął z jego oczu, więc zamiast umieszczać płótno w ładowni, wozi je z sobą pierwszą klasą. To oczywiście musi kosztować, a nawet nie zaczęliśmy rozmowy o stawkach ubezpieczeniowych. Powodem, dla którego nie da się wypożyczyć Leonarda czy Michała Anioła z Watykanu, jest to, że londyński Lloyd's nigdy nie ubezpieczy takiego obrazu, a papież postanowił, że bez tego niemożliwe jest podpisanie umowy.

– A rząd nie mógłby pomóc w takiej sytuacji? – spytała Marjorie.

– Czasem wręcz przeszkadza – odrzekła Beth. – Gdy Ministerstwo Spraw Zagranicznych ma coś przeciwko krajowi, od którego chcemy wypożyczyć obraz, może najzwyczajniej w świecie odmówić nam licencji eksportowej.

– To zrozumiałe – rzekł sir Julian. – Wyobrażam sobie, jaki wrzask by się podniósł, gdyby Narodowe Muzeum Archeologiczne w Atenach zapragnęło pożyczyć od nas na sześć tygodni marmury Elgina.

– Jest jeszcze kwestia żydowska – rzekł William.

Tym razem nie odezwał się nawet jego ojciec.

– Są i takie wybitne dzieła w publicznych galeriach, które Niemcy ukradli żydowskim właścicielom podczas drugiej wojny światowej. Niektóre z nich zostały „wyzwolone” przez Rosjan i dziś można je oglądać w Leningradzie, a także kilku innych znanych muzeach bezpiecznie ukrytych za żelazną kurtyną.

– I prawowici właściciele nic nie mogą z tym zrobić? – spytała Marjorie.

– Niewiele – odparła Beth – dopóki władze tych państw nawet nie uznają roszczeń. A już na pewno nie użyczą zrabowanych dzieł krajom, w których można walczyć o zwrot zagrabionych obrazów z powództwa cywilnego.

– Nie wierzę, żeby Rosjanie byli jedynymi winowajcami – rzekł sir Julian. – Hermann Göring stworzył jedną z najbardziej imponujących kolekcji dzieł dawnych mistrzów na świecie i nie wydaje mi się, żeby wróciły one do przedwojennych właścicieli.

– Niektóre wróciły, ale nie było ich wiele. Po wojnie większość trafiła na wschód, nie na zachód. Nie zapominajmy, że to Armia Czerwona pierwsza wkroczyła do Berlina. I dlatego ten, kto chce dziś obejrzeć dzieła sztuki, które zebrała po drodze, musi się postarać o wizę.

– A co z Anglią? – spytała Marjorie. – Czy w naszych galeriach nie ma żadnych obrazów o wątpliwym rodowodzie?

– Ależ są – odparł William. – Trzy z najpiękniejszych płócien należących do Fitzmolean Museum to dar od znanego przestępcy.

– Zostały nam wypożyczone na stałe przez szczerą wdowę – sprostowała z naciskiem Beth.

– Która jest niemal warta swego zmarłego małżonka – odparował William. – A jeśli on nadal żyje, to możesz być pewna, że Booth Watson znajdzie sposób, by stałe wypożyczenie zamienić na czasowe.

– Dowód? – zażądał sir Julian, szarpiąc kłapy marynarki.

– Christinę Faulkner reprezentuje nie kto inny, jak radca królewski Booth Watson.

– To niezupełnie dowód, ale...

– Dzieci, dzieci – wpadła mu w słowo Marjorie. – Przestańcie.

– Jest jeszcze jeden, najpoważniejszy problem – ciągnęła Beth – który może się okazać nie do przezwyciężenia.

– Problem pieniędzy, jak sądzę – wtrącił sir Julian.

– Właśnie. Trzeba zgromadzić sześćdziesiąt do siedemdziesięciu dobrych płócien, żeby liczyć na w miarę pozytywne recenzje krytyków, które są niezbędnym warunkiem, by publiczność zechciała się pojawić w dostatecznej

liczbie, mniej więcej dziesięć tysięcy osób tygodniowo. Bo jeśli się nie pojawi, galeria pójdzie z torbami, o czym nieustannie przypomina mi mój szef.

– Skoro już o Timie Knoxie mowa – przypomniał sobie sir Julian. – Plotka głosi, że zostanie mu zaoferowana posada kustosza Kolekcji Królewskiej.

– Miejmy nadzieję, że to tylko plotka – odpowiedziała Beth – bo trudno byłoby go zastąpić.

– A czy w Kolekcji Królewskiej nie ma obrazów Halsy? – zapytała Marjorie, pilnując, by nie zoczyli z tematu.

– Są trzy – odparła Beth – a Jej Królewska Mość zawsze była bardzo hojna, gdy publiczne galerie zwracały się z prośbami o wypożyczenie dzieł.

– Nie mogę się doczekać waszej wystawy – powiedziała Marjorie.

– Na pewno dostaniecie zaproszenie na otwarcie – obiecała Beth. – A teraz, nawet jeśli nie spodoba się to Marjorie, chciałabym posłuchać o ostatniej sprawie, którą poprowadził Julian.

– A masz wolną godzinkę? – spytał sir Julian.

– Och, zacznijże wreszcie – skarciła go żona.

Sir Julian usiadł wygodnie i po krótkim namyśle wypowiedział jedno słowo:

– Oszustwo. – Umilkł na tak długo, jak tylko mógł wytrzymać, nim dodał: – Będę występował w imieniu Korony jako oskarżyciel wyjątkowo podstępnego cwaniaka, który był twarzą organizacji dobroczynnej rzekomo zajmującej się ratowaniem osłów, nad którymi znęcali się właściciele.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś dał się nabrać na tak oczywisty przekręt? – zdziwiła się Beth.

– Setki ludzi, jak się okazuje. Wystarczyło mu ogłoszenie na ćwierć strony w „Daily Telegraph” ze zdjęciem wygłodzonego osiołka i już pieniądze od darczyńców popłynęły szerokim strumieniem. Jak widać, jesteśmy narodem kanalii oraz miłośników zwierząt.

– A jeśli on naprawdę ratował te osły? – spytała Beth.

– Nie było żadnych osłów – odparł cierpliwie sir Julian. – Byli tylko beznadziejni romantycy, gotowi rozstać się z pieniędzmi, które trafiały wprost do kieszeni oszusta. I właśnie dlatego stać go na usługi pana Bootha Watsona, który w związku z tym pojawi się w końcu w Old Bailey. Nie zdziwię się natomiast, jeśli kilku dwunożnych osłów stanie na miejscu dla świadka, by złożyć zeznania.

Towarzystwo parsknęło śmiechem.

– Kiedy początek procesu? – spytał William.

– Mieliśmy zacząć jutro o dziesiątej – odparł sir Julian – ale Booth Watson zażądał odroczenia, na które niechętnie się zgodziłem. Podobno mój niegodny



przeciwnik ma ważne spotkanie w Szkocji, chociaż nie chciał się pochwalić z kim.

– A nie mówił, dokąd konkretnie się wybiera? – spytał William.

– Nie. Jak zawsze, wyjawiał tylko absolutne minimum informacji.

Beth i William spojrzeli po sobie bez słowa.

– Tato, mogę zadzwonić?

– Jasne, chłopcze. Najlepiej z mojego gabinetu.

– Dziękuję – powiedział William i szybkim krokiem wyszedł z salonu.

– Czy ja coś powiedziałem? – zmartwił się sir Julian.

– Nie. To Booth Watson czegoś nie powiedział – sprostowała Beth.

– Intrygujące.

– Mogę wam nawet powiedzieć, do kogo dzwoni William.

– Niewątpliwie do komendanta – domyślił się sir Julian. – I mogę jeszcze odgadnąć, co powie, kiedy wróci.

– „Wybacz, matko, ale muszę natychmiast wyjść” – przepowiedziała Beth. – „Wypadła mi taka nagła sprawa”.

Drzwi gabinetu otworzyły się po chwili i William wrócił w wielkim pośpiechu.

– Wybacz, matko, ale muszę już iść...

– Bo wypadła ci taka nagła sprawa? – spytał sir Julian.

– Skąd wiesz? – zdziwił się William.

– Nie wiem, ale nietrudno było zauważyć, że gdy tylko wspomniałem o Watsonie i Szkocji, poczułeś nagłą potrzebę skorzystania z telefonu.

William nie chwycił przynęty. Ucałował matkę w oba policzki, mówiąc:

– Przykro mi, że nie możemy zostać na lunch.

– Nie pozwól, żeby Booth Watson czekał na ciebie zbyt długo – poradził mu ojciec. – Gdy w grę wchodzi interesy jego klienta, potrafi być bardzo szybki.

– Do zobaczenia za dwa tygodnie – odpowiedział William, puszczając mimo uszu te pouczenia.

– Tylko pod warunkiem, że przywieziecie bliźniaki – zastrzegła Marjorie.

– Chociaż Artemisię możecie zostawić w domu – dorzucił smętnie sir Julian.

– Najwyraźniej ma plany względem innego mężczyzny.

– Podejrzewam, że ma plany względem was obu – sprostowała Beth.

Marjorie i sir Julian odprowadzili dzieci do drzwi frontowych.

Gdy się pożegnali, William umilkł na dobre i odezwał się, dopiero gdy pokonali szmat szosy wiodącej do Londynu.

– Myślisz, że Faulkner zaryzykuje i pojedzie obejrzeć Caravaggia? – zapytał.

– Kolekcjonerzy sztuki to ludzie z pasją – zauważyła Beth. – Zwykle nie pozwalają, by pośrednicy podejmowali decyzje w ich imieniu. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi dwadzieścia milionów funtów.

– W takim razie miejmy nadzieję, że towarzyszem podróży Bootha Watsona będzie projektant mody znany jako Ricardo Rossi.

– Ale jeśli się okaże, że Booth Watson jedynie reprezentuje klienta, a Faulkner w ogóle się nie pojawi – zmartwiła się Beth – będzie to kolejna daremna podróż.

– Niekoniecznie – zaproponował William – bo gdy Booth Watson będzie chciał dostarczyć obraz nabywcy, być może doprowadzi nas wprost do drzwi pewnego zapalonego kolekcjonera, który będzie czekał na progu z otwartymi ramionami, licząc, że powita Chrystusa, a zobaczy mnie.

Gdy Josephine ocknęła się następnego ranka, zastała Rossa siedzącego przy stole i piszącego list.

– Czy to list pożegnalny do mnie? – spytała żartem, przeciągając się.

Ross odłożył długopis.

– Nie. Postanowiłem zrezygnować z pracy w Met – odpowiedział wyjątkowo poważnym tonem.

– Przecież właśnie dostałeś awans.

– To już nie to samo, odkąd przestałem być tajniakiem – odparł Ross. – Nie mogę tak sobie siedzieć za biurkiem i sortować spinaczy, gdy dwa najgorsze zbiry z East Endu biegają na wolności i robią, co chcą.

– A jeśli Jastrząb nie pozwoli ci wrócić do dawnej roboty, jaki będziesz miał wybór?

– Zanim poszedłem do policji, służyłem w SAS, a moim dowódcą był major Cormac Kinsella, szurnięty Irlandczyk, który miał zwyczaj jeść na śniadanie grzanki z karaluchami.

– Smażonymi czy gotowanymi? – spytała Jo, by jakoś rozładować napięcie.

– Zwykle były jeszcze żywe, bo tak było trudniej. Jego zastępca, kapitan Gareth Evans, uważał z kolei, że smok to zbyt łagodne zwierzę, by mogło być symbolem Walii. Obaj odeszli ze służby przed czterdziestką i założyli biuro podróży „Koszmarne Wakacje”, które nie organizuje wycieczek ani do Monte Carlo, ani do Saint-Tropez.

– A dokąd jeszcze warto jechać? – spytała z westchnieniem Jo.

– Hasło reklamowe „Koszmarnych Wakacji” brzmi: „Przetrwaj dwa tygodnie z nami, a już nic nie będzie dla ciebie niemożliwe”. Oferują klientom trzy

poziomy doznań: „Niewygodny”, „Nieprzyjemny” oraz... zdecydowanie najbardziej popularny... „Nieznośny”.

– A to ciekawe. Opowiadaj – zachęciła go Jo.

– „Niewygodne” wakacje polegają na tym, że porzuca się ośmioosobową grupę gdzieś za kołem polarnym, żeby jakoś sobie poradziła przez dwa tygodnie. Dostaje jeden namiot i zapas jedzenia na tydzień. Każdemu klientowi wolno zabrać do tysiąca funtów w gotówce.

– A po co komu pieniądze w Arktyce?

– Można je wręczyć byłemu oficerowi SAS dowodzącemu grupą, żeby kupić sobie wcześniejszy powrót do domu.

– Z każdą chwilą brzmi to coraz bardziej intrygująco – stwierdziła Jo. – Ale myślę, że „Nieprzyjemne” wakacje będą w sam raz dla mnie.

– Dla takich dwunastu śmiałków mają zrzut w samym środku brazylijskiego lasu deszczowego, dwa tysiące mil od ujścia Amazonki. Dają im sześć kajaków i...

– Zapas jedzenia na tydzień – dopowiedziała Jo.

– Widzę, że zaczniesz chwytac. Klienci muszą wiosłować po rzece do najbliższej wioski, odległej może o trzysta mil, w uroczym towarzystwie aligatorów, anakond, piranii i wyjątkowo niegościnnych tubylców. Raczej trudno spokojnie przespać noc.

– Wierzę ci na słowo.

– I tam możesz podarować tysiąc funtów byłemu oficerowi SAS, a wtedy znikąd pojawi się motorówka, która odstawi cię do najbliższego miasta. Nie dostaniesz jednak swego paszportu ani biletu lotniczego, więc musisz dotrzeć do domu na własną rękę.

– Niby czemu ma to służyć?

– Temu, żebyś zastanowiła się dwa razy, zanim się poddasz.

– Nie jestem pewna, czy chcę poznać trzecią opcję.

– „Nieznośną”? Jeżeli nie odbędziesz turnusu „Niewygodnego” ani „Nieprzyjemnego”, nie możesz się nawet zgłosić do udziału.

– Bardzo jestem ciekawa, jak wygląda ich prospekt reklamowy.

– Na początek trafiasz do portu Quellón w Chile, gdzie dołączasz do załogi dość leciwego statku rybackiego. Przez pierwszy tydzień opływacie przylądek Horn, a potem kierujecie się wzdłuż wschodniego wybrzeża do Brazylii.

– To akurat brzmi niezłe.

– Do czasu, aż się zorientujesz, że nie możesz zejść z pokładu wcześniej niż w Rio, to jest dwa i pół tysiąca mil dalej. W tamtych stronach fale regularnie

przekraczają trzydzieści stóp wysokości. Za to dobra wiadomość jest taka, że możesz zjeść wszystko, co zdołasz sobie złowić.

– A co dostaję za tysiąc funtów?

– Wyrzucą cię na Falklandach, gdzie musisz mieć nadzieję, że gubernator wykaże zrozumienie dla faktu, iż nie posiadasz ani paszportu, ani pieniędzy. Niestety, to były oficer Special Boat Service, więc przypuszczalnie spędzisz resztę wakacji w celi z tuzinem argentyńskich bandytów, którzy jeszcze nie zapomnieli o niedawnej inwazji na wyspy.

– Dziwne, że nie każą ci wskoczyć do oceanu za ten tysiąc.

– Szalony major rozważał taką opcję, ale nawet on uznał, że byłaby to przesada.

– Ludzie naprawdę płacą za takie wakacje? – spytała z niedowierzaniem Jo.

– Lista chętnych czekających na swoją kolej jest bardzo długa. Liczą, że w ostatniej chwili wskoczą na miejsce jakiegoś mięczaka, który zrezygnuje.

– A mogę spytać, jaką rolę widzisz dla siebie w tym wszystkim?

– Zajmowałbym się selekcją byłych żołnierzy, którzy mieliby towarzyszyć grupom podczas wypraw. Przyjmowałibyśmy wyłącznie zgłoszenia od ludzi z doświadczeniem w SAS, SBS i Royal Marines.

– Teraz rozumiem, dlaczego cię wybrali – powiedziała Jo. – Naprawdę chcesz wziąć tę robotę?

– Zaczynam za sześć tygodni. Major zaproponował mi prawie dwa razy tyle forsy, ile teraz zarabiam.

– A przyda nam się każdy pens.

– Owszem, bo oni nie będą ci płacić po tysiąc funtów tygodniowo za wysłuchiwanie prywatnych opinii szalonego majora tak chętnie, jak za opinie szalonego komendanta. Dlatego to ja muszę się postarać o ten tysiąc tygodniowo, a wtedy będziemy mogli razem zacząć nowe życie.

– We troje – powiedziała cicho Jo, dotykając brzucha.

Dotarło do niego po chwili. Podskoczył wysoko, a gdy wylądował, rzekł:

– Musimy jak najszybciej wziąć ślub.

– Dlaczego?

– Moja matka jest staroświecką irlandzką katoliczką. Z upodobaniem używa takich pojęć, jak „węzeł małżeński”, „z nieprawego łoża” oraz „bękart”... jakby wciąż były modne.

– A co powie, jeśli się dowie, że byłam prostytutką?

– Mielibyśmy znacznie większy problem, gdybyś była protestantką.

# 17

– I tak oto dotarliśmy do końca wycieczki – oznajmił przewodnik. – Mam nadzieję, że się państwu podobała – dodał i jak zwykle rozległy się oklaski. – Jeśli chcieliby państwo zachować pamiątkę z tej wizyty, zapraszam do sklepiku na parterze. Mamy też kawiarnię dla spragnionych. Można zwiedzać posiadłość, ale proszę pamiętać, że dziś zamykamy bramę o trzynastej. Dziękuję.

William i Ross wyszli z salonu w ślad za grupą turystów, ale minąwszy sklepik oraz kawiarnię, skierowali się prosto ku drzwiom frontowym.

– Jeszcze dalej – powiedział William, gdy przemierzali rozległy, nieskoszony trawnik, idąc w stronę sporej kępy drzew rosnącej w pobliżu zamku. – Spostrzeżenia? – spytał, gdy nabrał pewności, że już nikt nie usłyszy tej rozmowy.

– Caravaggio nadal wisi na widoku, w salonie nad kominkiem.

– Zauważyłeś tam coś jeszcze?

– Stół nakryty dla czterech osób. Najwyraźniej spodziewają się Bootha Watsona na lunchu – zasugerował Ross. – Być może w towarzystwie klienta.

– Co z zabezpieczeniami? – indagował William.

– W zasadzie nie istnieją. Mniejsze obrazy są przyśrubowane do ściany i właściwie poza linką nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przyrzuć im się z bardzo bliska.

– System alarmowy?

– Penfold, od lat przestarzały.

– A czego nie widziałeś?

– Ochroniarzy. W publicznej galerii staliby w każdym pomieszczeniu, ale w prywatnym domu najwyraźniej panują inne zwyczaje.

– Wniosek?

– Jego lordowska mość może sobie pozwolić jedynie na absolutne minimum personelu, co Faulkner bez wątpienia również zauważy – odparł Ross. – Oczywiście jeśli się pojawi.

– Jeśli jeszcze go tu nie było – dorzucił William. – Nie zapominaj, że tutejsza policja mogła oddelegować do całodobowej obserwacji tylko jednego człowieka.

Ross nie odpowiedział.

– Wróćmy teraz do jadalni – zarządził William. – Zauważyłeś coś jeszcze?

– Galeria dla minstreli biegnie wokół całego pomieszczenia, na wysokości pierwszego piętra.

– Dostęp?

– Spiralne schodki. Tu także prawie żadnych zabezpieczeń poza liną i tabliczką „Wstęp wzbroniony” na najniższym stopniu.

– Coś jeszcze?

– Dokładnie naprzeciwko Caravaggia jest wielkie okno z widokiem na dziedziniec. Przypuszczam, że można przez nie zobaczyć bramę.

– I?

Tym razem Ross zamyślił się i nie odpowiedział.

– Po lewej stronie, na galerii minstreli, są niewielkie organy – przypomniał William. – Kto się tam schowa, na pewno nie będzie widoczny z dołu.

– A zmieścimy się obaj?

– Nie. Tylko Chórzysta – odparł z uśmiechem William. – Zresztą jeśli obaj znikniemy, możliwe, że przewodnik zauważy naszą nieobecność i zacznie nas szukać.

– Nie policzył nas na początku wycieczki.

– Słuszna uwaga – przyznał William, dotykając czoła w udawanym salucie. – Mimo to, gdy wycieczka dobiegnie końca, chcę, żebyś tu wrócił i wprowadził naszych chłopaków w szczegóły. Będą czekali w samochodach, gotowi wkroczyć do akcji, gdy tylko dostaną sygnał, że pojawił się Faulkner. Czy przewodnik wspominał jeszcze o czymś, co mogłoby nas zainteresować?

– Mówił, że brama posiadłości zostanie zamknięta o trzynastej.

– Co oznacza, że odbędzie się dziś jeszcze tylko jedna wycieczka. W takim razie w drogę, nie możemy się na nią spóźnić.

Raz jeszcze przemierzili lekko pochyły trawnik, tym razem w stronę zamku. Weszli do środka i William kupił kolejne dwa bilety od starszej pani siedzącej za biurkiem. Zaraz potem wmieszali się w kilkunastoosobową grupę, która zebrała się w holu w oczekiwaniu na kolejną wycieczkę.

Ross bez słowa przesunął się na czoło grupy, William zaś trzymał się z tyłu. Przewodnik wygłosił swą mowę wstępną i rozpoczął się obchód zabytkowych pomieszczeń. William nie mógł się oprzeć pokusie i wędrując z pokoju do pokoju, zatrzymał się przy kilku co znamienitszych dziełach wchodzących w skład kolekcji. Nie mógł się doczekać wieczoru, by opowiedzieć Beth

o Farquharsonie, Raeburnie i Peploe’em. Dopiero gdy wkroczyli ponownie do jadalni, wrócił do roli detektywa.

Ross pozostał na czele grupy i wraz z innymi słuchał opowieści o tym, jak pierwszy lord McLaren przed dwustu laty wszedł w posiadanie *Rybaków*.

William udawał, że podziwia portret jednego z mniej znanych konkurentów Caravaggia, i niby to przypadkiem przesunął się w stronę schodów wiodących na galerię. Przewodnik właśnie zakończył omawianie arcydzieła będącego ozdobą kolekcji i ruszył w kierunku sąsiedniego pokoju. Kilkoro zapaleńców nie oparło się pokusie – zostali jeszcze chwilę, by podziwiać Caravaggia, nim dołączyli do pozostałych.

Upewniwszy się, że jest sam, William zwinnie przestąpił nad liną i wspiął się po schodkach na górę. Dwa skrzypaneły na tyle głośno, że obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy ktoś usłyszał. Dotarłszy na górę, ruszył przed siebie, minął zakręt galerii i przycisnął się za organami.

Choć z tego miejsca miał świetny widok na wielkie okno wykuszowe, nie widział ani stołu, ani obrazu Caravaggia. Postanowił jednak, że zrobi to, co tak wiele razy przetestował w przeszłości: będzie siedział i czekał, zachowa anielską cierpliwość i cokolwiek się wydarzy, pozostanie skupiony.

Gdy przewodnik zakończył wycieczkę, Ross był jednym z pierwszych, którzy oddalili się od grupy, i czym prędzej opuścił zamek. Naturalnie zauważył, że choć przewodnik zaprosił wszystkich do sklepiku i kawiarni, to tym razem nie zachęcał do zwiedzania posiadłości. Nie zapomniał natomiast uprzedzić, że brama zostanie zamknięta już o trzynastej.

Ross zatrzymał się przy kępie drzew – stamtąd miał najlepszy widok i na drzwi frontowe, i na bramę, za którą zaczynał się podjazd wiodący do szosy. Wyjął z kieszeni radio i wcisnął zielony klawisz.

– Starszy inspektor Warwick nadal jest w budynku. Ja zająłem pozycję na zewnątrz, mniej więcej siedemdziesiąt jardów od wejścia. Jeśli pojawi się Faulkner, natychmiast dam wam znać.

– Zrozumiałem – zatrzeszczał w głośniku czyjś głos. – Jeśli usłyszymy nadjeżdżający samochód, pierwszy się o tym dowiesz.

– Przyjąłem. – Ross schował krótkofalówkę do kieszeni.

William spojrział w dal przez wielkie okno i zobaczył ostatnich członków grupy, którzy właśnie oddalali się w kierunku parkingu dla gości. Gdy usłyszał odgłos kroków gdzieś poniżej, wsunął się jeszcze głębiej w kąt między organami a ścianą, przyciskając podbródek do kolan.

Dwie rozgadane kelnerki dokonywały ostatnich poprawek w zastawie stołowej. Umilkły, gdy do jadalni wszedł ktoś jeszcze i odezwał się donośnym głosem:

– Chyba nie muszę wam przypominać, jak ważne jest to spotkanie dla jego lordowskiej mości? Musimy wszyscy zachować czujność. Czy to jasne?

– Tak jest – odpowiedziały chórem dwa wystraszone głosy.

Ross obserwował w milczeniu, jak zamykano bramę za ostatnim turystą. No, może nie całkiem ostatnim. Spojrzał w wielkie okno na pierwszym piętrze, zastanawiając się, jak sobie radzi William. Jeżeli nie przyjedzie samochód, ile czasu powinni wytrwać na pozycjach, zanim dojdą do wniosku, że nic się nie wydarzy i odbyli zupełnie niepotrzebną wycieczkę? Nie miał pojęcia, w jaki sposób William planuje wydostać się z zamku, ale jednego był pewny: szef niewątpliwie miał jakiś plan.

Zatrzeszczał głośnik krótkofalówki Rossa i głos z ewidentnie szkockim akcentem zameldował:

– Wóz z szoferem zmierza w kierunku zamku. Z tyłu widzę dwóch pasażerów. Powinni dotrzeć na miejsce mniej więcej za trzy minuty.

– Przyjąłem.

William znowu spojrzął przez okno i tym razem spostrzegł, że brama otwiera się z wolna. Chwilę później bmw wjechało na podjazd wiodący do drzwi frontowych zamku. Na moment zniknęło mu z oczu, za to Ross mógł bez przeszkód obserwować, jak wóz zatrzymuje się, a szofer wyskakuje zza kierownicy, by otworzyć tylne drzwi. Pojawiły się dwie postacie: elegancko ubrana kobieta, która pomaszerowała prosto ku drzwiom, a za nią mężczyzna w długim czarnym płaszczu, z neseserem w ręku.

Powitał ich na schodkach sam lord McLaren, ubrany w zielonkawą tweedową marynarkę i kilt w rodzinnych barwach, a także grube, brązowe wełniane skarpety oraz coś, co jego matka zapewne nazwałaby „rozsądnym obuwiem”. U jego boku stała starsza kobieta, której Ross nie rozpoznał. Gdy wszyscy weszli do środka, służba zamknęła frontowe drzwi.

William zdążył już zeszywnieć i marzył o tym, by się przeciągnąć, ale nie ośmielił się wykonać choćby najmniejszego ruchu, by nie wydać przy okazji żadnego odgłosu. Wreszcie z oddali dobiegł dźwięk gongu, a wkrótce potem do jadalni wkroczyła grupka ludzi zajętych beztroską rozmową.

– Właśnie tutaj od dwustu lat wisi obraz Caravaggia – oznajmił arystokratyczny głos, bez wątpienia należący do lorda McLarena.



Odpowiedziały mu zachwycone pomruki: „Coś wspaniałego”. „Znakomite”. „Arcydzieło”.

– Może usiądźmy już do lunchu – zaproponował gospodarz. – Pomyślałem, że może chcieliby państwo zająć miejsca naprzeciwko obrazu, żeby móc nim nacieszyć oczy – dodał, zwracając się do jednego z gości, który który pozostał milczący.

William usłyszał następnie szuranie odsuwanych krzeseł. Kelnerki zaczęły się krzątać, raz po raz wybiegając z jadalni. Dwa głosy rozmawiających były całkiem dobrze słyszalne, w przeciwieństwie do trzeciego, zapewne należącego do osoby siedzącej tyłem do Williama. Aż wreszcie rozbrzmiał głośno i wyraźnie, a także znajomo. Był to kobiecy głos i z całą pewnością nie należał do lady McLaren.

Ross trzymał się w cieniu drzew, próbując sobie wyobrazić, co dobrego podano na lunch po drugiej stronie nieprzenikniętych zamkowych murów. Obstawiał, że wędzonego łososia oraz bązanta upolowanego gdzieś na terenie posiadłości – pora roku wydawała się odpowiednia. Nieświadomie oblizał usta, nastawiając się na długie wyczekiwanie, aż w oknie pojawi się osobliwy minstrel. Pamiętał, że jeśli William uniesie kciuki w górę, trzeba będzie zawiadomić przez radio pozostałych funkcjonariuszy, by natychmiast wkroczyli do zamku, ale bez włączonych kogutów i syren. William miał dokonać aresztowania Faulknera, zanim jeszcze staną u drzwi frontowych. Gdyby jednak pokazał kciuk skierowany w dół, byłby to sygnał do dyskretnego odwrotu.

William z uwagą przysłuchiwał się rozmowie prowadzonej przy stole. Nie wszystkie słowa udało mu się jednak wychwycić, a jedna z osób jeszcze się nie odezwała.

– Może przejdziemy teraz do interesów? – zaproponował lord McLaren, gdy uporali się z daniem głównym.

– Proszę zdradzić, jaka suma pana interesuje – odpowiedział mu męski głos bez zbędnych ceregieli.

– Uważam, że trzydzieści milionów to uczciwa cena.

– A moim zdaniem raczej dwadzieścia.

– Obraz jest wart znacznie więcej – obruszył się McLaren.

– Zgodziłbym się z tą opinią, gdyby nie to, że to sprzedaż w trybie pilnym.

William żałował, że nie może zobaczyć miny jego lordowskiej mości.

– Gdy w grę wchodzi problemy z objęciem spadku, decydujący głos ma kupujący. – Głos umilkł na chwilę. – Jednakże w geście dobrej woli jestem skłonny zaoferować dwadzieścia dwa miliony, ale pod jednym warunkiem – dodał.

– Jakim mianowicie? – spytał wyraźnie zirytowany McLaren.

– Takim, że ta oferta będzie ważna tylko przez tydzień. W drugim tygodniu kwota obniży się do dwudziestu jeden milionów, a w trzecim do dwudziestu.

William uświadomił sobie, że Faulkner doskonale wie, jakiej kwoty potrzebuje lord McLaren na rozliczenie się z fiskusem, a najprawdopodobniej zna także datę, po której urząd skarbowy Jej Królewskiej Mości miał rozpocząć naliczanie karnych odsetek.

– Będę musiał to przemyśleć – odrzekł McLaren, bardzo się starając, by zabrzmiało to w miarę swobodnie.

– Zegar tyka – dorzucił męski głos. Słowa niewątpliwie pochodziły od Faulknera, ale wypowiedział je jego posłaniec.

– Zapraszam na kawę do salonu – powiedział McLaren, ignorując ukrytą groźbę.

Znowu zaszurały krzesła, a chwilę później czworo biesiadników opuściło jadalnię.

Te ciężkie, jakby wymuszone kroki musiał stawiać pośrednik przysłany przez Milesa Faulknera.

William ani drgnął, póki służba nie sprzątnęła ze stołu i nie oddaliła się, zamykając za sobą drzwi. Dopiero gdy ucichły wszystkie głosy, podpełzł do okna i uniósł dłonie z kciukami skierowanymi w dół. W tym momencie drzwi znowu się otworzyły, więc opadł na brzuch i znieruchomiał.

Ross zaklął kilka razy, zanim nawiązał łączność z policjantami czekającymi w samochodach i przekazał im prostą wiadomość:

– Opuuszczamy. Misja przerwana.

– Przykra sprawa, kolego – odpowiedział funkcjonariusz i głośnik zamilkł na dobre.

Minęła jeszcze godzina, zanim William i Ross zobaczyli, jak znowu otwiera się brama i bmw znika w oddali.

William nie ruszał się, dopóki nie nabrał pewności, że znowu został w jadalni sam. Ostrożnie wyjrzał zza balustrady i nie zobaczył nikogo, więc na palcach szedł po spiralnych schodkach i równie cicho przemierzył pokój, nie

odmawiając sobie ostatniego spojrzenia na Caravaggia. Nieznacznie uchylił drzwi i rozejrzał się, po czym wszedł do pustego holu, gotów schronić się w kawiarni lub sklepiku z pamiątkami, gdyby ktoś się nagle pojawił. Po cichu ruszył w stronę drzwi frontowych, z każdym krokiem czując się coraz pewniej. I właśnie miał nacisnąć klamkę, gdy usłyszał za plecami kobiecy głos:

– Czym mogę ci służyć, młody człowieku?

Wystraszony obrócił się na pięcie i ujrzał leciwą damę, która siedząc za biurkiem, podliczała wpływy z całego poranka.

– Dzień dobry. Ano tak... poproszę bilet na popołudniową wycieczkę po zamku – odpowiedział niemal płynnie, jednocześnie wyjmując z portfela jednofuntówkę.

– Przykro mi, ale dziś już zamknięte.

– A to szkoda. Bardzo chciałem zobaczyć Caravaggia.

– A czy ja cię tu nie widziałam tego ranka, młodzieńcze? – spytała kobieta, przyglądając mu się bliżej.

– Tak, to możliwe. Chodzi o to, że jutro wracam do Londynu i miałem nadzieję, że będę mógł jeszcze raz popatrzeć na obraz.

– Będziesz musiał przyjść jutro rano, a kto wie, być może będzie to ostatnia szansa.

– Nie rozumiem – zaryzykował William. – Przewodnik mówił, że to dzieło od dwustu lat jest ozdobą kolekcji lorda McLarena.

– To prawda, lecz niestety obawiam się, że mój syn nie ma wyboru i musi je sprzedać – wyjaśniła wdowa, wychodząc zza biurka. Przeszła na drugą stronę holu i nacisnęła klamkę. – Sam rozumiesz, młodzieńcze, podatek spadkowy – dodała z ciężkim westchnieniem, a chwilę później zamknęła za nim drzwi.

William już wiedział, kim była czwarta osoba przy stole.

– Czy Christina też była na lunchu? – spytała Beth, gdy późnym wieczorem mąż dołączył do niej w łóżku.

– Tak, i to ona udawała zainteresowaną kupnem obrazu – odparł William – ale negocjował głównie Booth Watson.

– A zatem raz jeszcze nabrałam się na jej kłamstwa. Obiecuję ci, że więcej jej nie popuszczę.

– W takim razie będziesz musiała ją zabić i mieć nadzieję, że to mnie przydzielą do sprawy morderstwa.

– Nie będziesz mi potrzebny – odparła Beth – ponieważ wiem, jak zabić ich oboje, nie przelewając nawet kropli krwi.

– Co ci chodzi po głowie? – spytał William.

– Gdyby Tim Knox doradził rządowi, że należy odrzucić prośbę lorda McLarena o wydanie licencji eksportowej dla *Rybaków*, argumentując taką decyzję „wyjątkową wartością obrazu dla kultury narodowej”, to minęłyby długie lata, zanim Faulkner dostałby go w swoje łapy. A tymczasem jedyną osobą, którą mógłby winić, byłaby Christina.

– To ostatnia rzecz, której mi potrzeba – odparł stanowczo William. – Komendant właśnie zatwierdził operację „Arcydzieło”, więc mam dla ciebie zadanie: musisz ustalić, komu zlecono przewiezienie obrazu do nowego właściciela.

– Wystarczy zadzwonić w kilka miejsc – odrzekła Beth. – Ale co ja będę z tego miała?

– To, że sprowadzę Faulknera w kajdankach, a wraz z nim obraz.

– Jeśli to ci się uda, poproszę Tima Knoxa, żeby zarekomendował kanclerzowi ciekawe rozwiązanie: niech umorzy jego lordowskiej mości podatek spadkowy w zamian za przekazanie Caravaggia narodowi.

– Jak to „narodowi”? – spytał niewinnie William.

– No, oczywiście mam na myśli Fitzmolean.

– Sam już nie wiem, która z was jest bardziej podstępna i pozbawiona skrupułów: ty czy Christina.

Beth zgasiła światło.

# 18

– Czyż nie jest piękna? – spytała z zachwytem Beth, gdy panna młoda i pan młody wkroczyli do sali i po raz pierwszy ujrzała Josephine.

– Ross wygląda na zakochanego bez pamięci – zauważył William.

– A ty byś nie był?

– Już dawno pogodziłem się z faktem, że utknąłem przy tobie na dobre. „Biedna dziewczka, panie, straszyletko, panie...”.

– „Ale moja” – dokończyła Beth.

– *Wszystko dobre, co się dobrze kończy.*

– Nie. *Jak wam się podoba*<sup>1</sup>.

– Właśnie na tym polega twój problem: jesteś na wpół wykształcony.

– A twój problem...

– Ciii – syknęła Beth, bo Ross i Jo właśnie stanęli przed urzędniczką stanu cywilnego.

– Witam w Starym Ratuszu w Marylebone – zaczęła mistrzyni ceremonii, zwracając się do wszystkich zebranych.

– Chyba nigdy nie przywyknę do tego, że kobiety mogą teraz udzielać ślubów – szepnęła Beth.

– Jesteś uroczo staroświecka – odpowiedział cicho William, chwytając ją za rękę.

– I tylko dlatego związałam się z tobą, Jaskiniowcu.

– Mam przyjemność poprowadzić ceremonię ślubną Rossa i Jo – kontynuowała urzędniczka. – Wypada mi zacząć od tego, że związek, który dziś zawierają, ma przetrwać do końca ich życia i w sensie moralnym i prawnym będzie równie wiążący jak przysięgi składane w kościele. Przejdźmy do ceremonii...

William jeszcze nigdy nie widział Rossa tak zrelaksowanego i szczęśliwego. Widok tego modnego, nowego garnituru, śnieżnobiałej koszuli i spinek w mankietach, a także czerwonego goździka w klapie niewątpliwie sprawiłby w bezbrzeżne zdumienie wielu przedstawicieli półświatka, wśród których

obracał się przez tak wiele lat. Na szczęście żaden z nich nie dostał zaproszenia na ślub.

Gdy urzędniczka z powagą poprosiła, by „ktokolwiek z obecnych, kto wie o przeszkodach natury prawnej uniemożliwiających zawarcie tego związku, zgłosił je teraz”, Beth mocniej ścisnęła dłoń Williama. Wiedział, że aż za dobrze pamiętała, jak Miles Faulkner próbował cynicznie zepsuć im dzień ślubu i jak z pomocą przyszła im Christina.

Nikt nie zgłosił przeszkód.

William nie powstrzymał uśmiechu, słuchając słów małżeńskiej przysięgi. Jakoś nie mógł oswoić się z myślą, że jeden z największych twardzieli, jakich dane mu było poznać, zakochał się tak beznadziejnie i bezgranicznie.

W sali rozległy się serdeczne brawa, gdy urzędniczka obwieściła:

– Z ogromną przyjemnością oświadczam, że w świetle prawa zawarliście związek małżeński. Możesz pocałować pannę młodą.

Pocałowali się więc, po raz pierwszy jako pan i pani Hogan.

– Zgłodniałem – szepnął William.

– Cierpliwości. Po ceremonii jesteśmy zaproszeni na lunch w hotelu Marylebone.

– Chyba nie dotrwam. Od tygodni nie jadłem porządnego posiłku.

Beth dość mocno kopnęła go w kostkę i tylko westchnęła bezradnie.

Weselnicy opuścili salę w ślad za młodą parą, a potem wszyscy razem zeszli po stopniach Starego Ratusza aż na chodnik. William trzymał Beth za rękę, gdy przechodzili na drugą stronę Marylebone Road, kierując się ku hotelowi.

Mężczyzna siedzący na przystanku po drugiej stronie ulicy w pośpiechu notował nazwiska wszystkich osób, które rozpoznał, a nie znał tylko trzech. Przyglądając się pannie młodej i panu młodemu, zastanawiał się, czy Hogan jest świadomy, że ożenił się z prostytutką. Tak czy inaczej, należało pilnie złożyć meldunek pracodawcy: nie mogli już polegać na raportach tej przepłaconej zdziury. W końcu wypatrzył detektyw Roycroft. Czy i jej nie mógł już ufać? Może informacje, które mu przekazywała, były przygotowywane przez Warwicka? Musiał założyć, że prawdziwy jest najgorszy scenariusz, a jednocześnie znaleźć jakieś dobre strony tego stanu rzeczy. Winą za dostarczanie fałszywych informacji mógł bez trudu obciążyć tę dziwkę, a nawet przypisać sobie zasługę ujawnienia jej zdrady. Być może tylko tak mógł sobie zagwarantować utrzymanie dotychczasowych dochodów.

Lamont nie ruszył się z miejsca, gdy goście weselni pomалу dryfowali w stronę pobliskiego hotelu. Gdy zniknęli mu z oczu, poszedł do najbliższej

budki telefonicznej i wybrał numer.

- Kancelaria – odezwał się głos w słuchawce. – Czym mogę służyć?
- Muszę pilnie porozmawiać z panem Boothem Watsonem.

– Na bogato – mruknął William, stając w kolejce do suto zastawionego stołu.

- Tylko pamiętaj, że próbujesz zrzucić kilka funtów – napomniała go Beth.

Nie zważając na jej protesty, wrzucił na talerz i kurczaka, i sałatkę, i pomidorki, po czym stanął przy przeciwległym krańcu stołu i ostatnie skrawki wolnego miejsca zasypał szynką, serem i młodymi ziemniakami. Owca

– Można wywlec faceta z jaskini – westchnęła Beth – ale choćby człowiek stanął na głowie, żeby go wychować, on zawsze pozostanie jaskiniowcem.

Sama nałożyła sobie plasterek wędzonego łososia, połówkę gotowanego jajka oraz odrobinę sałatki, po czym podeszła do Paula, zajętego rozmową z panną młodą. Na jego talerzu piętrzyła się jeszcze większa góra jedzenia.

– Jo, poznaj Beth Warwick, żonę Williama – odezwał się Paul, nie przestając żuć.

– Ross nie może się nachwalić twojego męża – powiedziała Jo. – Ale jak zapewne wiesz, naprawdę szczęśliwy był tylko jako tajny agent. Gdyby nie to, pewnie nawet by nie pomyślał o odejściu ze służby.

– A William jest jego przeciwieństwem – odparła Beth. – Przez krótki czas pracował pod przykrywką, ale nie mógł się doczekać powrotu do Yardu i pracy z zespołem.

- Pewnie dlatego stanowią taką dobrą parę – zauważył Paul.

- Mogę spytać, gdzie spędzicie miesiąc miodowy?

– Ross dał mi cztery opcje – odpowiedziała Jo. – Albo jeden z trzech wariantów Koszmarnych Wakacji, albo wycieczka po winnicach w dolinie Loary, połączona z degustacją najlepszych win i arcydzieł miejscowej kuchni, a zakończona długim weekendem w paryskim hotelu Ritz Carlton.

- Pewnie niełatwo było podjąć decyzję – stwierdziła kpiąco Beth.

– Namyslałam się całą nanosekundę – przyznała Jo. – Ale gdy tylko wrócimy, Ross chce doświadczyć na własnej skórze tych Koszmarnych Wakacji, podczas gdy ja zostanę w domu, żeby wszystko przygotować dla małej Josephine... albo Josepha.

– Zaprosił mnie na „Nieprzyjemne” wakacje – wtrącił Paul – ale niestety nie znalazłem wolnej daty w moim szczelnie wypełnionym terminarzu.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Beth rozejrzała się po sali i dostrzegła w pobliżu starszą panią pochłoniętą rozmową z komendantem.

– Muszę przyznać, że małżeństwo mojego syna to dla mnie niespodzianka – mówiła właśnie staruszka.

– Mam nadzieję, że przyjemna, pani Hogan – odparł Jastrząb. – Może pani być dumna z syna. Bardzo żałuję, że go tracimy.

– Bardzo przyjemna, panie komendancie. Ale trudno, żebym nie zauważyła, jako dobra katoliczka, że biorą ten ślub w samą porę – powiedziała pani Hogan, spoglądając na swą synową.

– Obawiam się, że ja sam jestem raczej byłym katolikiem – odrzekł Jastrząb.

– Na tyle byłym, żeby wcale się nie przejmować jej poprzednią profesją?

Komendant nie znalazł stosownej odpowiedzi.

– A kto to rozmawia z Williamem? – spytała Jackie, dołączając do Paula w kolejce po dokładkę.

– Major Cormac Kinsella, nowy szef Rossa. Kompletny świr, więc Ross będzie się przy nim czuł jak w domu – dodał Paul, ładując na talerz ostatnie udko kurczaka.

– To kiedy przejmuje pan Rossa? – spytał William.

– Od pierwszego – odparł major Kinsella. – Innymi słowy, po powrocie z podróży poślubnej zostanie u pana już tylko na dwa tygodnie.

– Za to w najlepszym momencie – stwierdził William. – Mamy ostatnie zadanie, którego nie wykonam bez niego.

– A mogę spytać jakie? – zainteresował się Kinsella. – Ross ani słowem nie wspomina mi o tym, czym się zajmuje w Yardzie.

– I ja też tego nie zrobię – odrzekł William. – Straciłbym robotę.

– Gdyby tak się kiedyś stało... – podchwycił major, wyjmując wizytówkę z wewnętrznej kieszeni. – Proszę o kontakt.

– Niby dlaczego miałby dołączyć do pana? – spytała Beth, przystając u boku męża.

– Mamy szczęście, że Ross będzie z nami pracował jako starszy operator, pani Warwick – odparł Kinsella – ale przypuszczam, że wkrótce będę szukał kogoś na moje stanowisko, czyli nowego dyrektora zarządzającego. Powiem wprost: moim zdaniem pani mąż nadaje się idealnie do wprowadzenia firmy na nowy poziom.

– A jakież to poziom można odkryć powyżej „Nieznośnego”?

– Poziom, na którym można dostać pensję w wysokości osiemdziesięciu tysięcy funtów rocznie, a do tego akcje firmy oraz udział w zyskach.

– Dlaczego sądzi pan, że sprawdziłbym się w tej roli? – spytał William. – Przecież znamy się od dziesięciu minut.



– Wiem, że jest pan najmłodszym detektywem starszym inspektorem w dziejach Policji Metropolitalnej, a Ross uważa, że nigdy nie miał nad sobą lepszego zwierzchnika. Przyznam szczerze, że decyzję podjąłem, zanim jeszcze podaliśmy sobie ręce.

– Lepiej niech pan o tym nie wspomina komendantowi – zasugerowała Beth.

– O czym ma mi nie wspominać? – zagrział Jastrząb, podchodząc bliżej.

– Major Kinsella właśnie zaproponował Williamowi posadę – odpowiedziała Beth nie bez satysfakcji.

– Po moim trupie – oświadczył Hawksby.

– Skoro to jedyne wyjście... – odparł z uśmiechem Kinsella.

– Zrobię wszystko, żeby pana powstrzymać – dorzucił Jastrząb. – Mam względem starszego inspektora Warwicka wielkie plany, w których nie mieści się prowadzenie wakacyjnych obozów. Co więcej, z rozkoszą zatłukę każdego, kto mi wejdzie w drogę.

– A czy Ewangelie nie uczą nas, że myślenie o morderstwie jest równie paskudną sprawą jak sam uczynek? – spytała Beth, próbując rozładować atmosferę.

– Jeśli tak – odpowiedział komendant – to będę musiał poprosić Pana, żeby rozpatrzył jeszcze co najmniej pięćdziesiąt moich wykroczeń tego typu. Zresztą muszę przyznać, że w tej chwili nie jest pan nawet na szczycie mojej listy – dodał, spoglądając spode łba na majora.

William uśmiechnął się, ponieważ doskonale wiedział, kto jest na szczycie listy wrogów komendanta.

– Tak czy inaczej – ciągnął Jastrząb – i ja będę pewnie niedługo żegnał się ze służbą, a ktoś musi zająć moje miejsce.

Tym razem umilkła nawet Beth, a Williama wyrwał z zamyślenia dopiero szept, który rozległ się tuż przy jego uchu:

– Możemy zamienić słowo, zanim ruszymy z Jo na lotnisko?

– Jasne – odparł William, zostawiając majora Kinsellę na pastwę komendanta.

– Na pewno zdążę wrócić przed wielkim finałem? – spytał Ross, upewniwszy się, że nikt inny nie słucha.

– Opóźniłem akcję o tydzień specjalnie po to, żebyś zdążył. Bez ciebie nie chcę zaczynać.

– A co mieli do powiedzenia spece od logistyki, gdy się dowiedzieli, że Yard będzie im towarzyszył?

– Zachwyceni nie byli, ale ogarnęli się, gdy Jastrząb przypomniał im, że to władze muszą zatwierdzać większość zleceń, które dostają. Boczyli się kilka dni,

aż w końcu zadzwonił do ich prezesa minister spraw wewnętrznych. Podobno rozmowa nie była długa.

– Nie mogę się doczekać – przyznał Ross.

– Tylko nie pozwól, żeby Jo to usłyszała – upomniał go William – bo coś mi się zdaje, że ma dla ciebie inne plany na najbliższe dziesięć dni. Odpoczywaj więc i ciesz się minimiesiącem miodowym. Będziesz mi potrzebny w najlepszej formie, jeśli ma się udać największa operacja, w jakiej dane mi uczestniczyć.

– Większa od „Konia trojańskiego”? – spytał Ross.

– To była operacja komendanta. Operacja „Arcydzieło” jest moja.

Ross spędził tydzień, zwiedzając dolinę Loary, sącząc najlepsze wina (choć nie pozwolono mu dopić do końca ani jednego kieliszka) oraz pochłaniając rozliczne dania *nouvelle cuisine* (tylko po to, by znowu czuć głód tuż przed snem). Przez ostatnie trzy dni cieszył oczy widokami Paryża, nie mając pojęcia, że wkrótce tu powróci. Każdego ranka biegał pięć mil, a potem razem z Jo jadł na śniadanie croissanty, popijając kawę. Doświadczenie to nauczyło go, że Francuzi nie pojęli jeszcze, czym powinien być prawdziwy poranny posiłek. Pod jego nieobecność starszy inspektor Warwick i komendant spędzali niemal cały swój czas, dopracowując ostatnie szczegóły operacji, która wymagała niewiarygodnej koordynacji działań.

Gdy w poniedziałkowy rano opalony Ross ponownie zjawił się w pracy, wszystko było gotowe – brakowało już tylko rozkazu dowódcy.

– Jeśli to się uda – powiedział Ross, gdy po raz ostatni krok po kroku przejrzeni z Williamem plan operacji – to odejdę ze służby jako szczęśliwy człowiek. I to wcale nie dlatego, że już nie będziesz moim szefem – dorzucił ze śmiechem.

– A jeśli się nie uda – odparł całkiem poważnie William – to i ja odejdę ze służby, z tym że nadal będę twoim szefem.

1. .Cytat z *Jak wam się podoba* Szekspira w przekładzie Leona Ulricha. [\[wróć\]](#)

# 19

Choć Beth próbowała mu to naświetlić, William nawet sobie nie wyobrażał, jak długi może być proces pakowania cennego dzieła sztuki i jak wielu ludzi potrzeba, by tego dokonać.

Kluczową osobą w ekipie był Ian Posgate, starszy broker z Lloyd's of London – firmy, która ubezpieczyła Caravaggia od potencjalnych uszkodzeń w transporcie, a także zobowiązała się do wypłacenia 21 milionów funtów odszkodowania, gdyby obraz nie dotarł do celu. Posgate był wniebowzięty, gdy się dowiedział, że w rolę jego asystentów na czas podróży wcielią się funkcjonariusze policji.

William i Ross trzymali się na uboczu i z zaciekawieniem przyglądali pracy zawodowców. Pan Benmore, starszy specjalista w firmie zajmującej się transportem dzieł sztuki, miał niebagatelne doświadczenie: zdarzało mu się już przewozić prace Goi, Rembrandta i Velázquez. Ostatnio jednak pozwolił, by jeden z jego pomocników zajął się Warholem na zlecenie galerii Tate. Pan Benmore nie lubił sztuki współczesnej.

Długotrwały proces rozpoczęło czterech techników, z których dwaj wdrapali się na drabiny, a pozostali mocno zaparli się nogami o parkiet tuż przy ścianie. Powoli, po kilka ogniw łańcucha naraz, w kontrolowany sposób opuszczali obraz ku podłodze. William miał wrażenie, że lord McLaren wygląda jakby starzej, gdy tak z zadartą głową wpatrywał się w ciemny prostokąt na ścianie – miejsce, w którym ozdoba rodzinnej kolekcji spędziła ostatnich dwieście lat.

Gdy dolna część ramy znalazła się na wysokości talii dolnej pary techników, wszyscy czterej unieśli nieco obraz, by uwolnić go z łańcucha, po czym ostrożnie opuścili go na ułożone rzędem bloki elastycznej pianki. Odpocząwszy chwilę, umocowali go w dodatkowej ramie, przygotowanej specjalnie na czas podróży. Wykonał ją, z niemałym kunsztem, stolarz, który nigdy nie widział samego dzieła sztuki; dostarczono mu jedynie dokładne wymiary ozdobnej złoczonej ramy.

Gdy obraz został unieruchomiony, okryto go jeszcze mocno naciągniętą folią polietylenową, a następnie ekipa techników pod wodzą pana Benmore'a,

ostrożnie manewrując, ustawiła cenny ładunek w bardzo solidnej skrzyni, zbudowanej przez tego samego stolarza. Była to operacja wymagająca nie tylko zręczności i wprawy, ale także niemałej siły. Teraz, upewniwszy się, że ładunek nie poruszy się we wnętrzu skrzyni podczas długiej podróży do Barcelony, pan Benmore musiał już tylko szczelnie zamknąć jej wieko, używając w tym celu elektrycznej wkrętarki. Ross naliczył dwadzieścia cztery wkręty.

Wreszcie pan Benmore raz jeszcze przyjrzał się swemu dziełu i wyraźnie zadowolony zarządził przerwę na herbatę.

Dwadzieścia minut później znowu przystąpili do pracy. Dwaj technicy unieśli skrzynię może o stopę nad podłogę, a ich koledzy wsunęli pod nią płaski wózek. Gdy na nim osiadła, wolniutko wywieźli ją z jadalni na korytarz i dalej, ku drzwiom frontowym. Na całej trasie marmurową podłogę chroniła mata z tworzywa sztucznego.

Gdy dotarli do głównego holu, William zerknął na dziedzica, który otaczał ramieniem znaną mu już sędziwą kobietę. Z trudem powstrzymywała łzy, jakby żegnała zmarłego krewnego.

Obraz przez cały czas pozostawał w pozycji pionowej: i wtedy, gdy wstawiano go do skrzyni, i wtedy, gdy skrzynię mocowano pasami w klimatyzowanej budzie ciężarówki o specjalnym, pneumatycznym zawieszaniu. Specjaliści chcieli mieć pewność, że *Rybacy* nie wypadną z łodzi podczas podróży.

Podczas podróży na lotnisko w Aberdeen ciężarówka ani razu nie przekroczyła prędkości trzydziestu mil na godzinę.

William i Ross jechali za nią nieoznakowanym wozem policyjnym. Prywatny odrzutowiec czekał na nich na lotnisku, na którym takie maszyny widywało się znacznie częściej niż samoloty rejsowych przewoźników.

Pan Benmore wysiadł z szoferki, by wprawnie pokierować pracą techników, którzy z niezmienną ostrożnością przetransportowali obraz do ładowni samolotu. I tam umocowali go pasami w pozycji pionowej. Pan Benmore i towarzyszący mu przedstawiciel ubezpieczalni ani na chwilę nie spuścili z oczu drewnianej skrzyni, póki nie zamknęła się za nią masywna furta. Dopiero wtedy do maszyny odlatującej do Barcelony wsiadło czterech pasażerów.

Gdy dwie godziny później samolot wylądował na hiszpańskiej ziemi, na placu parkingowym czekał już porucznik Sanchez.

On także był świetnie przygotowany. Posłuszni nieco nerwowym tym razem rozkazom pana Benmore'a, czterej miejscowi policjanci w kombinezonach

roboczych wyprowadzili skrzynię z luku towarowego i w niezmienionej pozycji umocowali ją pasami we wnętrzu kolejnego klimatyzowanego furgonu.

Ross wszedł do kabiny wraz z Sanchezem, pan Benmore zaś, pan Posgate oraz William wskoczyli do budy. Gdy William zapukał w ścianę szoferki, Sanchez uruchomił silnik i w tempie konduktu pogrzebowego rozpoczęli ostatni etap podróży.

Booth Watson przyleciał wcześniej, porannym samolotem, na comiesięczne spotkanie ze swym najcenniejszym klientem.

Jak się przekonał, Miles był w wyjątkowo dobrym humorze, niecierpliwie bowiem wyczekiwał przybycia swego najnowszego nabytku. Usiedli razem w salonie, naprzeciwko pustego miejsca na ścianie nad kominkiem, gdzie wkrótce mieli zacumować *Rybacy*.

– Dopóki czekamy – rzekł Faulkner – zacznij może swój raport o tym, co nowego słychać w Londynie.

– Mam trochę dobrych i trochę niezbyt dobrych wieści – zapowiedział Booth Watson, otwierając neseser, by jak zwykle wyjąć zeń plik dokumentów. – Obawiam się, że nie możemy już ufać tej twojej dziwce, która składała mi meldunki. Cóż, nie konsultowałeś się ze mną, gdy zlecałeś jej tę misję.

– Dalej – rzucił Miles, niespecjalnie próbując ukryć irytację.

– Dwa tygodnie temu, w Starym Ratuszu w Marylebone, Josephine Colbert poślubiła detektywa inspektora Rossa Hogana, czyli człowieka, którego za twoje pieniądze miała uwieść, by donosić nam o poczynaniach zespołu Warwicka. Wydaje się, że w tej chwili jest pełnoprawnym członkiem tej ekipy.

– Natychmiast wykreśl ją z listy płac – zarządził Faulkner, już nie zirytowany, tylko wściekły.

– Wykreślona – odparł Booth Watson. – Czy coś jeszcze mam zrobić w jej sprawie?

– Nie musisz zaprzętać sobie tym głowy. A mnie bardziej interesuje to, jak się o tym dowiedziałeś, bo jakoś trudno mi uwierzyć, że zaprosili cię na ślub.

– Od pewnego czasu Lamont obserwował Hogana. Wypada mi wspomnieć, że jego zdaniem nie można wykluczyć, iż detektyw sierżant Roycroft już nie siedzi w naszej kieszeni. Być może jest lojalna wobec Warwicka.

– Powiedz Lamontowi, żeby dalej się z nią spotykał. Niech się nie dowiedzą, że ją rozgryźliśmy. A skoro wiemy, komu naprawdę służy, z wielkim zainteresowaniem poczytam jej najbliższy raport. I postaraj się, żeby Lamont nie miał powodów do narzekania.

– Lamonta uszczęśliwia tylko jedno – odrzekł Booth Watson – a nasz przeciwnik nie może mu tego zapewnić.

– To samo dotyczy Christiny. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby zmieniła barwy klubowe.

– To raczej nam nie grozi. Ona wie, że jeśli cię wystawi i dołączy do pani Warwick, będzie mogła zapomnieć o domu na wsi, o mieszkaniu w mieście, o prywatnym szoferze, o wizytach w salonach krawieckich, o lunchach z przyjaciółkami, a już na pewno o przystojnych chłopaczkach. Będzie sypiać w gościnnym pokoju u Warwicków i w najlepszym razie zadowalać się resztkami z ich stołu. Nie sądzę, żeby na to poszła.

– To po co w ogóle jej płacimy? – spytał Faulkner.

– Dopóki utrzymuje dobre stosunki z żoną Warwicka, jest naszym najlepszym źródłem informacji o jego planach. Wydaje się też podatna na inny rodzaj przekupstwa...

– Do czego zmierzasz? – warknął Faulkner.

– Christina doniosła mi, że jej ostatnie spotkanie z panią Warwick przebiegło całkiem pomyślnie. Jej zgoda na wypożyczenie Fransa Halsa na wystawę w Fitzmolean została przyjęta z wielkim zadowoleniem.

– Mojego Fransa Halsa – wycedził Miles.

– Rozstaniesz się z nim tylko na kilka tygodni. To niewielkie poświęcenie, jeśli zważyć potencjalne konsekwencje.

– Tylko dopilnuj, żeby obraz wrócił do mnie dzień po zamknięciu wystawy. Coś jeszcze?

– Tak – odparł Booth Watson. – Zakup Caravaggia niemal doszczętnie pozbawił cię aktywów w Londynie.

– Odbudujemy je, gdy przejęcie firmy Marcel i Neffe dojdzie do skutku. I nie zapominaj o gotówce, którą wciąż mam w skrytkach depozytowych u Rashidiego.

Booth Watson wolał nie mówić swemu klientowi, że to źródło funduszy także wysycha, choć z zupełnie innego powodu.

Faulkner spojrział na zegarek.

– Jeśli mój odrzutowiec wylądował punktualnie, obraz powinien tu dotrzeć mniej więcej za godzinę, więc może zjemy lunch?

Porucznik Sanchez uruchomił silnik, wrzucił pierwszy bieg i posłusznie wykonał wielokrotnie przypominane polecenie pana Benmore'a: trzymał się przez cały czas prawego pasa ruchu i nie przekraczał prędkości dozwolonej na autostradzie.

Ross siedział przy nim w milczeniu, rozglądając się bacznie i usilnie próbując przewidzieć nieprzewidziane. Odkąd włączyli się do ruchu na autostradzie, wypatrywał już cztery nieoznakowane motocykle policyjne – dwa z przodu, dwa z tyłu – których kierowcy bardzo się starali udawać, że zupełnie przypadkiem jadą właśnie tą trasą. Gdy zjechali na zwykłą szosę, uruchomił kamerę, żeby zarejestrować pozostałe etapy podróży.

Porucznik spojrział na niego zazdrośnie.

– Standardowe wyposażenie Scotland Yardu? – spytał.

– Bynajmniej. Prezent od żony.

– Ja dostaję od mojej wyłącznie kolejne córki – wyznał Sanchez.

– Ile się uzbierało?

– Trzy. Ale jeszcze się nie poddałem – odparł Hiszpan. Zaraz potem dotarli na skraj lasu i, nie mając innego wyjścia, zatrzymał furgon.

Ross wyłączył kamerę i wsunął ją do schowka, Sanchez zaś załomotał w tylną ścianę kabiny, by dać znać towarzyszom, że dotarli na miejsce.

William spojrział z ukosa na pana Benmore'a, który wyglądał na bardzo zestresowanego i pocił się obficie.

Porucznik Sanchez nacisnął klakson, płosząc stadko ptaków z koron okolicznych, całkiem dorodnych sosen. Właśnie zamierzał zatrąbić po raz drugi, gdy z lasu wyłonił się wózek golfowy i chwilę później zatrzymał się przed furgonem.

Dwaj muskularni mężczyźni, którzy z niego wysiedli, bez pośpiechu okrążyli wóz. Jeden z nich otworzył drzwi kierowcy i zamienił kilka słów z Sanchezem, który na każde pytanie miał dobrze przygotowaną odpowiedź. Ochroniarz pozdrowił go niedbałym salutem i wrócił do swego kolegi, czekającego przy otwartych już tylnych drzwiach furgonu. Razem obejrzelik wielką drewnianą skrzynię, policzyli pasażerów, zerknęli do papierów i z trzaskiem zamknęli drzwi, by powrócić do swego wózka. Jeden z nich machnął ręką na znak, że Sanchez ma jechać za nim.

Ross wydobyl kamerę ze schowka i nacisnął guzik, by tym razem utrwalic powolną jazdę krętą, nieoznaczoną dróżką przez las. Nie przestał filmować, gdy pokonali drewniany mostek nad bystrym potokiem i chwilę później wyjechali na otwartą przestrzeń, gdzie dominowała bryła imponującej rezydencji.

Sanchez poprowadził furgon śladem wózka golfowego, przez starannie przystrzyżony trawnik, aż na żwirowy podjazd przed frontowymi drzwiami domu. Ross raz jeszcze powtórzył w myślach plan A. Gdyby na progu stanął

Faulkner, miał natychmiast przejść na tyły wozu i udawać, że nadzoruje rozładunek, by nie zostać rozpoznany przez zbiegłego więźnia.

Kiedy zaś Faulkner skierowała się z powrotem do domu w ślad za skrzynią, czterech uzbrojonych policjantów miało go pochwycić i skuć. Sanchez dokonałby formalnego aresztowania i odczytał zatrzymanemu jego prawa.

Gdyby okazało się, że ochroniarze próbują stawić opór, z odsieczą przybyliby motocykliści niecierpliwie wyczekujący rozkazów u zjazdu z autostrady. Mogli tu dotrzeć w kilka chwil.

Drzwi rezydencji otworzyły się i stanął w nich lokaj. A Faulknera nie widać, bo niby dlaczego miałyby pójść łatwo, pomyślał Ross i przystąpił do realizacji planu B.

Wysiadł z szoferki wraz z Sanchezem i razem, bez pośpiechu, przeszli na tył wozu, gdzie pan Benmore kierował już wyładunkiem skrzyni. Zdążył zresztą poskarżyć się Williamowi na czterech amatorów, którzy zajęli miejsce jego doświadczonych techników, ale nic nie wskórał. Przy akompaniamencie stękania i jęków skrzynia została wreszcie wystawiona z furgonu. Niosący ją czterej policjanci weszli do domu za Sanchezem i lokajem; tuż za nimi kroczyli Ross i pan Benmore. William został w samochodzie, by nie rzucać się w oczy gospodarzowi, choć Faulkner jeszcze się nie pojawił.

Gdy drzwi frontowe wreszcie się zamknęły, opuścił niżej daszek bejsbolówki, dyskretnie wysiadł z budy furgonu i zajął miejsce za kierownicą. Nie mógł ryzykować; wiedział doskonale, że poszukiwany rozpoznałby go w mgnieniu oka. Bardzo pragnął aresztować go osobiście, ale pocieszała go myśl o tym, iż lada chwila drzwi znowu się otworzą i ujrzy na progu Sancheza, z triumfalną miną prowadzącego skutego Faulknera. Wyobrażał sobie też nietęgą minę pana Benmore'a na wieść o tym, że obraz musi natychmiast powrócić do Szkocji, bo taki układ został zawarty między komendantem, Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i hiszpańską policją.

Czterej policjanci ze skrzynią, która była ich biletem wstępu do rezydencji Faulknera, powoli przemierzali przestronny hol, podczas gdy Sanchez gawędził z lokajem. Wreszcie dotarli do salonu, gdzie na pustym miejscu nad kominkiem *Rybacy* mieli nigdy nie zawisnąć.

Policjanci ostrożnie postawili skrzynię na dywanie i cofnęli się o krok, by pan Benmore mógł przystąpić do działania wymagającego równie wielkiej wprawy, jak dotychczasowe jego czynności: rozpakowywania.

Gdy jeden po drugim usuwał wkrety, Ross niespiesznie przesunął się i stanął za otwartymi drzwiami, by nie dać się zaskoczyć wchodzącemu Faulknerowi.



Kiedy po usunięciu wszystkich dwudziestu czterech wkrętów wreszcie można było zdjąć wieko, pan Benmore zajął się demontażem tymczasowej ramy oraz usunięciem folii chroniącej płótno. Dopiero teraz, przyjrząwszy się z satysfakcją swemu dziełu, mógł polecić niewprawnym pomocnikom, by ostrożnie wydobyli obraz ze skrzyni, ujmując go za cztery rogi złoczonej ramy. Bodaj tuzin razy powtórzył przy tym słowo *lentamente*, a widać było, że nie nawykł do powtarzania poleceń.

Gdy policjanci pochylili się, by pochwycić ramę, Ross mimowolnie zrobił krok naprzód, by przyrzeć się bliżej arcydziełu. W tej samej chwili do salonu wrócił lokaj, a o krok za nim szedł jego pan.

Ross cofnął się błyskawicznie za drzwi, lecz Faulkner zdążył go dostrzec i rozpoznać, a na jego twarzy odmalował się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Odwrócił się na pięcie i puścił się biegiem w głąb holu. Ross natychmiast ruszył za nim, a Sanchez trzymał się może o jard za nim.

Lokaj zastąpił im drogę w progu salonu i zaraz upadł, powalony potężną szarżą, za którą Ross niewątpliwie wyleciałby z boiska do rugby, lecz mimo to zdołał kupić swemu chlebobdawcy kilka cennych sekund.

Ross pognał dalej, z każdym susem skracając dystans. Ku jego zaskoczeniu, dotarłszy do końca korytarza, Faulkner przystanął, by spojrzeć na zegarek, zanim otworzył drzwi i zaraz zatrzaskał je za sobą. Wystarczył jeden agresywny atak barkiem, by Ross nabrał pewności, że tej przeszkody nie sforsuje tak prostym sposobem.

Słyszając donośny łomot ciała zderzającego się z drzwiami, Faulkner tylko uśmiechnął się złośliwie. Kilkoma krokami przemierzył gabinet i zatrzymał się przed ciężkimi stalowymi wrotami. Posługując się zegarkiem, wpisał ośmiocyfrowy kod i masywne drzwi otworzyły się posłusznie. Przystąpił nad progiem, pociągnął za sobą stalowe skrzydło i odczekał, aż wskoczą na miejsce cztery ciężkie zasuw.

Raz jeszcze stuknął palcem w zegarek i zaczekał, aż jego tarcza się rozświecili, po czym wpisał drugi kod, który otworzył kolejne stalowe drzwi. Gdy zatrzaskał je za sobą, odetchnął z ulgą i długim ciągiem schodów zstąpił w swój inny świat. Doskonale wyćwiczone zniknięcie przebiegło zgodnie z planem, lecz wiedział, że kolejny krok będzie musiał bardzo starannie przemyśleć.

Gdy dotarł do tajnego gabinetu, od razu podszedł do telefonu.

## 20

Lokaj bez wahania wręczył klucze rozwścieczonemu Rossowi. Dobrze wiedział, że jego szef miał już dość czasu, by uciec.

Ross znowu pobiegł w głąb korytarza, gdzie Sanchez, William i jeszcze dwaj funkcjonariusze usiłowali sforsować drzwi. Jak dotąd zyskali jedynie kolekcję siniaków na ramionach.

Pospiesznie otworzył zamek. Nie byli zbyt zdziwieni, gdy okazało się, że pokój jest pusty.

– Przyjrzyjcie się bliżej tym metalowym drzwiom – powiedział William. – Powiedzcie mi, co widzicie i, co ważniejsze, czego nie widzicie.

– Ani klamki, ani zamka – zameldował natychmiast Ross.

– Ani mechanizmu szyfrowego – dodał Sanchez. – Jak je otworzyć?

– Podejrzewam, że tylko jedna osoba może nam to objaśnić – odparł William.

W tym momencie do gabinetu wszedł lokaj, niosąc wielką tacę z drinkami. Ross miał teraz ochotę przyłożyć mu jeszcze mocniej.

– Jak otworzyć te drzwi? – spytał William.

– Nie mam pojęcia, sir – odpowiedział służący, stawiając tacę na stoliku. Jego mina sugerowała, że być może nawet mówi prawdę.

William właśnie miał mu zadać kolejne pytanie, gdy zadzwonił telefon stojący na biurku. Gestem nakazał lokajowi, by odebrał.

– Dzień dobry, tu rezydencja pana Sartony. W czym mogę pomóc?

William wyjął z kieszeni notes i długopis. Zanotował nazwisko i podkreślił je, słuchając połówki dialogu.

– Jeszcze tam są?

– Tak, sir. Obawiam się, że pan Sartona jest za granicą. Czy mam zapisać wiadomość?

– A Booth Watson został?

– Tak, sir. Chętnie się z panem spotka po powrocie.

– Zadzwoń do mnie, gdy tylko się upewnisz, że wszystkie platfusy zabrały manatki i są w drodze do Barcelony.

– Naturalnie, sir. Przekażę, że pan dzwonił. – Lokaj odłożył słuchawkę i spojrzał na Williama. – Czy będę mógł jeszcze w czymś panom pomóc?

Ross zacisnął pięść i zrobił krok naprzód.

– Nie, dziękuję – odpowiedział William, zwinnie stając pomiędzy nimi. – Prawdę mówiąc, chyba będzie najlepiej, jeśli pan stąd wyjdzie.

– Wedle życzenia – odparł lokaj i skłoniwszy się lekko, bez słowa opuścił gabinet.

William zaczekał, aż zamkną się drzwi.

– Jeżeli chcemy się dowiedzieć, co się za tym kryje – rzekł, wskazując na stalowe wrota – to będzie nam potrzebny dość ciężki sprzęt.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić – zauważył Sanchez. – To miejsce było niegdyś kryjówką Franco, a dziś to zabytek, więc nie możemy tu niczego tknąć bez pozwolenia sądu.

– Albo nie będziemy nikogo pytali o pozwolenie – zasugerował Ross.

– Nic z tego – odparł William, kręcąc głową. – Postaraj się pamiętać, Ross, że nie jesteśmy w zaułkach Battersea. Nie mamy tu żadnych uprawnień.

– A kogo to obchodzi, Chórzysto? – rzucił wyzywająco Ross, nie mogąc powstrzymać frustracji.

– Mnie – wtrącił Sanchez. – Bo nie jesteśmy nawet w zaułkach Barcelony.

– A zresztą – dodał William – możecie być pewni, że Faulkner zaraz zadzwoni do swego hiszpańskiego prawnika, a ten zjawi się tu z sądowym nakazem przerwania wszelkich działań, zanim zdążymy powiedzieć „palnik acetylenowy”.

– Możemy też poczekać. Kiedyś w końcu będzie musiał stąd wyjść – zaproponował Ross.

– Założę się, że za tymi drzwiami kryje się osobny świat – odparł William. – Bóg jeden wie, ile czasu musielibyśmy tu kręcić młynka palcami, zanim Faulkner postanowiłby do nas wrócić.

– A wcześniej jego prawnik załatwiłby nam nakaz opuszczenia posiadłości – dodał Sanchez.

William skinął głową, ale Ross nie wyglądał na przekonanego.

– Jestem nawet prawie pewny, że wiem, kto jest tym jego prawnikiem – ciągnął Sanchez. – I dlatego sądzę, że nic tu nie zdziałamy, póki sąd nie usunie wszystkich kłód, które zostaną nam rzucone pod nogi.

– Ile to może potrwać? – spytał Ross.

– Dni, tygodnie, a może miesiące – odparł Hiszpan.

Znowu zadzwonił telefon, lecz umilkł po dwóch sygnałach i William domyślił się, że ktoś podniósł słuchawkę w innym pomieszczeniu.

Sanchez rzucił się do telefonu, by usłyszeć większą część rozmowy między lokajem a kobietą, z którą w przeszłości niejedną raz miał okazję krzyżować szpadę.

– Kto dowodzi? – spytał rzeczowy głos.

– Porucznik Sanchez – odpowiedział detektyw, wtrącając się do rozmowy.

– Dzień dobry, poruczniku – przywitała go prawniczka takim tonem, jakby gawędziła z młodszym kolegą.

– Dzień dobry, señora.

– Żebyśmy się od razu dobrze zrozumieli, poruczniku – zaczęła, starając się, by jej słowa brzmiały spokojnie i rozsądnie. – Jeśli tylko zastanę w domu mojego klienta jakiegokolwiek ślady działania policji, bez wahania złożę pozew i będzie pan osobiście odpowiadał za swoje czyny. Czy to jasne?

– Tak, señora.

– Świetnie, ale żeby nie okazało się, że czegoś pan nie pojął, poruczniku Sanchez, zapytam jeszcze raz: rozumiemy się?

– *Absolutamente*, señora – odparł Sanchez i cisnął słuchawkę na widełki.

– Zatem Faulkner znowu nam się wymknął – stwierdził Ross.

– Niekoniecznie – odrzekł Hiszpan. – Wyślę parę wozów patrolowych na drogę łączącą rezydencję z węzłem autostradowym. Jeśli spróbuje stąd uciec, będziemy na niego czekać.

– A co z drugą stroną domu? – spytał William.

– Jest tam stromy klif. Franco nieprzypadkowo wybrał to miejsce. Nie chciał dać się zaskoczyć. Na naszą niekorzyść przemawia także to, że Faulkner z pewnością wie, iż nie mam dość środków, by zarządzić dłuższą akcję obserwacyjną dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dziś wszystko rozbija się o budżet – dodał z westchnieniem.

– Wobec tego wrócimy tam, gdzie się nas najmniej spodziewa – oznajmił William.

– Bardzo proszę, informujcie mnie o wszystkim – odparł Sanchez. – Tak się składa, że chciałbym jeszcze wpaść na tego Faulknera.

Ross uśmiechnął się, ale nie skomentował.

– Tymczasem zaś – ciągnął Sanchez – raczej niewiele tu zdziałamy, więc może po prostu odwiozę was na lotnisko?

William odwrócił się i zobaczył Rossa na klęczkach, uważnie badającego lewy narożnik metalowych drzwi.

– Coś ciekawego? – spytał.

– Nic, sir – odparł Ross, wstając powoli.

Użycie słówka „sir” odpowiedziało Williamowi, że Ross zauważył coś, o czym niekoniecznie chciał mówić w obecności Sancheza.

Ross i William opuścili gabinet w ślad za hiszpańskim porucznikiem. Mniej więcej w połowie długości korytarza William przystanął, by przyjrzeć się bliżej *Grającemu na flecie* wiszącemu na ścianie, a czyniąc to, zmarszczył brwi.

– Coś szczególnego w tym obrazku, szefie? – spytał Ross.

– Niestety, tak. Moja żona nie będzie zachwycona, gdy jej powiem, że może go skreślić ze swej listy.

Faulkner odłożył słuchawkę w swym podziemnym gabinecie zadowolony ze sposobu, w jaki jego hiszpańska prawniczka rozwiązała bieżący problem. Nie miał wątpliwości, że policjanci wkrótce opuszczą jego dom, ale ile czasu potrzebowali, by powrócić jeszcze większymi siłami?

Otworzył prywatny notes z numerami telefonów i przez chwilę wertował go w poszukiwaniu litery R, mając nadzieję, że dane będą aktualne. Potem rozparł się wygodnie w fotelu, zastanawiając się, co dokładnie powinien powiedzieć, nim wreszcie sięgnął po telefon i wybrał numer.

Sygnał wybrzmiewał przez jakiś czas, zanim ktoś wreszcie zdecydował się podnieść słuchawkę.

– Kto mówi? – odezwał się głos.

– Miles Faulkner. Być może pan mnie nie pamięta, ale...

– Pan Faulkner. Jakże mógłbym zapomnieć? Czemu zawdzięczam tę miłą niespodziankę?

– Z kim rozmawiam?

– Z głową rodziny.

– Chciałbym przekazać wiadomość pańskiemu synowi, Terry’emu.

– Zamieniam się w słuch, panie Faulkner.

– Chcę, żeby wykonał dla mnie pewną robotę.

– Rozumiem. Najpierw jednak musimy uzgodnić cenę.

– Jaka jest bieżąca stawka?

– To zależy od tego, jak znaną osobą jest podmiot.

– Chodzi o żonę funkcjonariusza policji.

– Tanio nie będzie, panie Faulkner.

– Ile?

– Powiedzmy, że dziesięć tysięcy.

– Zgoda – odpowiedział Miles, wiedząc, iż nie jest to najlepszy moment na targi.

– W jaki sposób otrzymam honorarium?

– Były nadinspektor Bruce Lamont dostarczy gotówkę jutro rano.

– Z pewnością wie, gdzie nas szukać – zauważył głos. – Teraz potrzebne mi już tylko nazwisko.

– Chyba wolałem prywatny odrzutowiec Faulknera – powiedział Ross, gdy zajęli miejsca w jednym z tylnych rzędów w klasie ekonomicznej.

– Innych lotów nie było – odparł William – i prawdę mówiąc, mamy szczęście, że w ostatniej chwili udało się jeszcze zdobyć te dwa bilety.

– A gdzie panowie Benmore i Posgate, jeśli wolno spytać?

– Z przodu, w pierwszej klasie, razem z Chrystusem i czterema rybakami.

– No cóż – mruknął Ross. – Jeśli czeka nas przymusowe lądowanie w Kanale, przynajmniej jeden z nas będzie umiał chodzić po wodzie.

William zaczekał, aż samolot wzbije się w powietrze i osiągnie pułap przelotowy, po czym otworzył notes.

– Zauważyłeś coś, co mi umknęło? – zapytał.

– Potrzebowalibyśmy transgalaktycznego lotu, żeby to wszystko obgadać – odparł Ross. – Lepiej ty zacznij.

– Może od rozmowy telefonicznej, którą lokaj przeprowadził w naszej obecności – zaproponował William, ignorując szczeniacką przechwałkę podwładnego. – Jestem w zasadzie pewny, że dzwonił Faulkner.

– Dlaczego?

– Gdy tylko lokaj podniósł słuchawkę, od razu wiedział, z kim rozmawia.

– Skąd ta pewność?

– Dwa razy powiedział „tak, sir”, a zakończył słowami „naturalnie, sir” – odparł William, zerknąwszy do notatek. – Moim zdaniem brzmiało to jak deklamowanie wyuczonego tekstu, przygotowanego specjalnie na taką ewentualność.

– Spekulacja – ocenił Ross. – Potrzebowalibyś czegoś znacznie solidniejszego, żeby przekonać ławę przysięgłych.

– Zgoda. Gdy kilka minut później zadzwoniła prawniczka Faulknera, rozległ się normalny, podwójny sygnał, typowy dla połączenia z zewnątrz, ale za pierwszym razem był to pojedynczy dzwonek. Ktoś telefonował z domu.

– Nieźle. Ale widziałem, że lokaj zdradził się czymś jeszcze... coś wtedy zanotowałeś.

– Sartona. Najwyraźniej miałem uwierzyć, że to nowa tożsamość Faulknera, ale bardzo wątpię, żeby takie nazwisko figurowało w jego paszporcie, z którym w końcu spróbuje wymknąć się z potrzasku.

– Dobra robota, Chórzysto, ale jestem gotowy przebić twojego asa.

William nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o tym, że Ross jest jedną z ostatnich osób w policji, które mają jeszcze odwagę nazywać go Chórzystą, i to w rozmowie. Zamknął notes, usiadł wygodniej i słuchał.

– Gdy drzemałeś sobie w furgonie, a ja goniłem korytarzem za Faulknerem, on nagle zwolnił i spojrzał na zegarek. Który bandzior, pomyślałem, sprawdza czas w chwili, gdy goni go gliniarz? A on dotknął tarczy i w tym momencie zaświeciła.

– Jak więc brzmi odpowiedź na twoje retoryczne pytanie, inspektorze?

– On już wiedział, że te drzwi w gabinecie zaraz się otworzą, bo taki był jego plan na wypadek ucieczki przed policją.

– Dobrze, ale w jaki sposób opowieść o świecącym zegarku ma pasować do teorii Rossa?

– Po pierwsze, trzeba sobie zadać pytanie, dlaczego na czymś, co wygląda jak drzwi sejfu, nie ma ani klamki, ani zamka.

– Dlaczego, twoim zdaniem?

– To nie był zegarek, tylko klucz zdalnie otwierający te ciężkie metalowe drzwi. Gdy zaświeciła się tarcza, pewnie musiał już tylko podać kod.

– To by wyjaśniało, jakim cudem zniknął bez śladu, a mimo to chwilę później spokojnie zadzwonił do swego lokaja.

– A jeśli jesteś ciekaw – ciągnął Ross – to mogę ci podać nazwę firmy, która wykonała te drzwi.

– NP – odpowiedział William, kontynuując grę. – Takie litery były wygrawerowane w lewym dolnym rogu.

– Nieźle, Chórzysto, ale czy wiesz, od czego ten skrót?

– Nie wiem, za to przeczuwam, że zaraz mnie oświecisz.

– Nosey Parker. Innymi słowy, pułkownik Parker jest jedynym człowiekiem, który może nam podpowiedzieć, jak otworzyć te drzwi.

– Zdawało mi się, że za tydzień odchodzisz ze służby.

– Być może trochę opóźnię ten krok, specjalnie po to, żeby udowodnić słuszność mojej teorii.

– A komu potrzebny eksgliniarz, który zamierza pracować w biurze podróży prowadzonym przez kompletnych świrów?

– Tobie – odparował Ross i wyjął niewielkie blaszane pudełko z wewnętrznej kieszeni marynarki. Otworzył je, ukazując zarys klucza odbity w plastycznej masie.

– Do drzwi gabinetu Faulknera?

– Gdybym zabrał klucz, kazałby wymienić zamek, zanim dotarlibyśmy na lotnisko.

– Coś jeszcze?

– Tak. – Ross wyjął z kieszeni miniaturową kamerę. – Nagrałem jedyną bezpieczną drogę przez las, aż do frontowych drzwi rezydencji. Jak widzisz, beze mnie nie miałbyś szans.

William przyznał się do porażki i podał Rossowi rękę w chwili, gdy pojawiła się stewardesa, by wręczyć im po plastikowej tacce z porcją ryżu i wołowiny oraz saszetką brązowego sosu.

– Coś jeszcze? – powtórzył po chwili William.

– Owszem – odparł Ross. – Wolałbym siedzieć tam z przodu, w pierwszej klasie, obok Chrystusa.

– Myślę, że Chórzysta ma większe szanse...

– Lepiej zbawić jednego grzesznika – odparł Ross.

Faulkner pochylił się nad biurkiem i podniósł słuchawkę.

– Horyzont czysty, sir – zameldował lokaj. – Nasz człowiek na lotnisku właśnie dzwonił. Widział, jak obaj wsiedli do samolotu lecącego do Londynu.

– Obaj? – powtórzył Faulkner.

– Starszy inspektor William Warwick i jego zastępca, inspektor Ross Hogan.

– Żonę starszego inspektora czeka wkrótce przykra niespodzianka... i nie mam na myśli tego, że nie dostanie mojego Fransa Halsa na jesienną wystawę – powiedział Faulkner i rzucił słuchawkę. Wyszedł z pokoju, wspiął się po schodach, dotknął tarczy zegarka, a następnie wpisał ośmiocyfrowy kod. Gdy otworzyły się wewnętrzne drzwi, wkroczył do wnętrza „sejfu” i powtórzył operację, by przedostać się do gabinetu na parterze rezydencji.

Za progiem ujrzał Collinsa, który czekał na niego ze smukłym kieliszkiem szampana na srebrnej tacy. Faulkner pochwycił trunek, nie zatrzymując się przy służącym, i spytał:

– Pan Booth Watson jest jeszcze z nami?

– Tak, sir. Czeka na pana w salonie.

Miles rozejrzał się po gabinecie, noszącym ewidentne ślady niedawnego przeszukania.



– Widzę, że starszy inspektor zostawił swoją wizytówkę – wymamrotał, po czym energicznym krokiem ruszył w stronę salonu, zatrzymując się w korytarzu tylko na moment, by poprawić krzywo wiszący obraz.

Booth Watson wstał, widząc nadchodzącego klienta. Faulkner opadł na najbliższy fotel i spojrzał chmurnie na niepotrzebny podwójny hak umocowany w ścianie.

– A zatem Caravaggio był niczym więcej, jak tylko przynętą, dzięki której odnaleźli moją kryjówkę.

– Na to wygląda – przyznał Booth Watson. – I pewnie nie ucieszy cię wieść, że zabrali obraz z sobą.

– Tylko dopilnuj, żeby czeku nie dało się zrealizować.

– Już rozmawiałem z bankiem. Jego lordowska mość pospieszył po wypłatę tego ranka i właśnie miał spieniężyć czek, gdy zadzwoniłem.

– I tak zdobędę ten obraz – oświadczył Miles, uparcie wpatrując się w puste miejsce nad kominkiem.

Booth Watson powstrzymał się od komentarza.

– Jakim cudem uniknąłeś spotkania z policją?

– Collins zaprowadził mnie do służbówki na piętrze. Przeczekałem nalot pod łóżkiem pokojówki.

– Policja nie przeszukała tego pokoju?

– Ktoś zajrzał, ale widząc ogrodnika baraszującego na łóżku z pokojówką, tylko przeprosił i wyszedł. Tak czy inaczej, jedno jest pewne: ten dom będzie odtąd pod nieustanną obserwacją.

– Zawsze wiedzieliśmy, że pewnego dnia to nastąpi. A przynajmniej ja byłem na to przygotowany – odparł Faulkner. – Tymczasem jednak potrzebuję planu ucieczki, bo nie ulega wątpliwości, że oni wkrótce tu wrócą.

– Ale kiedy i jak chciałbyś uciec? – spytał Booth Watson. – Trzeba przyjąć, że policja patroluje okoliczne drogi dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nie zamierzam korzystać z dróg.

– Przecież sam mi mówiłeś, że po drugiej stronie rezydencji jest tylko strome urwisko, nic więcej.

– Tak by było, gdyby Franco nie kazał zbudować tunelu z podziemnego gabinetu aż na plażę. Niemniej jednak nie jestem jeszcze gotowy do przeprowadzki, więc po powrocie do Londynu czeka cię sporo pracy. Po pierwsze, skontaktujesz się z kapitanem mojego jachtu i powiesz mu, że ma być gotowy do wyjścia w morze w każdej chwili.

– A co z kolekcją?

– Ulotni się stąd wraz ze mną. Tam, dokąd się wybieram, może być jedynym moim kapitałem.

– Jeśli wolno coś zasugerować – rzekł Booth Watson – to stanowczo doradzam, żebyś nocował nadal w zamkniętym gabinecie. Jeśli Warwick zdecyduje się na nocną wizytę, musisz mieć czas na ewakuację.

– Słusznie, BW. Zaraz każę Collinsowi przynieść łóżko polowe.

– Mam się zająć czymś jeszcze, gdy wrócę do Londynu?

– Owszem. Przekażesz Lamontowi dziesięć tysięcy funtów w gotówce i powiesz mu, żeby jutro rano dostarczył je Terry’emu Roachowi.

Booth Watson, doświadczony radca królewski, nigdy nie zadawał pytań, na które wolał nie znać odpowiedzi.

## 21

– To które z europejskich miast odwiedziłeś tym razem, mój Jaskiniowcu? – spytała Beth, nalewając Williamowi drugą filiżankę czarnej kawy.

– A dlaczego sądzisz, że nie było mnie w Londynie?

– Wczoraj musiałam pożyczyć kilka funtów i zauważyłam, że masz w portfelu głównie pesety.

– Zdefiniuj słowo „pożyczyć”.

– Oddam całą kwotę w bliżej nieokreślonej przyszłości.

– Raczej bliskiej czy raczej dalekiej? – indagował William, smarując grzanekę marmoladą.

– Postaram się jeszcze w tym życiu – odrzekła, całując go w czoło. – A ty przestań zmieniać temat i mów prawdę: dokąd cię pognało ze Szkocji?

– Naprawdę myślisz, że byłem w Szkocji?

– Oprócz tysiącpesetowego banknotu znalazłam też bilet w jedną stronę do Aberdeen, a z tego, co wiem, peseta nie jest jeszcze legalnym środkiem płatniczym w Szkocji.

– Tysiąc peset to jakby więcej niż kilka funtów.

– Przestań zmieniać temat – powtórzyła Beth. – Wydedukowałam już, że pewnie wybrałeś się do Szkocji na spotkanie z lordem McLarenem, a mówiąc ściślej, z jego Caravagiem. A mogłeś to zrobić jedynie w nadziei, że zastaniesz tam Milesa Faulknera. Spodziewam się jednak, że fatygowałeś się nadaremnie, bo Faulkner wydelegował jedynie swego ziemskiego przedstawiciela.

William smarował masłem kolejną grzanekę.

– Nie dbam o to, czy powiesz mi prawdę – ciągnęła Beth. – Jestem umówiona na lunch z Christiną i nie wątpię, że i tak wszystkiego się dowiem.

Myśl o tym, że Beth już wkrótce dowie się, że obiecany przez Christinę Frans Hals jednak nie pojawi się na jesiennej wystawie, była dla Williama dość przykra. Zwłaszcza że była to jego wina.

– Muszę już lecieć – powiedział, dopiwszy kawę – bo spóźnię się na odprawę u komendanta.

– Zostały ci jeszcze jakieś pesety? – spytała Beth, nachylając się, by dać mu drugiego całusa.

– Ojciec mnie przestrzegał przed takimi jak ty – odparł William, wręczając jej banknot pięciofuntowy.

– Uwielbiam twojego ojca – powiedziała Beth.

Komendant zajął miejsce u szczytu stołu i stwierdził z zadowoleniem, że stawili się wszyscy członkowie zespołu. Spojrzał w prawo i rzekł:

– A więc on już wie, że my wiemy.

– Tak jest – odpowiedział William. – Co oznacza, że nie mamy zbyt wiele czasu na opracowanie nowego planu, jeśli chcemy go dopaść, zanim znowu zniknie.

– My? – rzucił Jastrząb.

– Ross zgodził się zostać o miesiąc dłużej. Chce mieć pewność, że Faulkner nie wymknie się po raz trzeci.

– Czy istnieje coś, czego byś nie zrobił, byle tylko wrócić do tajniackiej roboty, detektywie Hogan? – spytał Jastrząb, kierując spojrzenie ku przeciwnej stronie stołu.

– Zdaje się, że nie – odparł William, zanim Ross zdążył odpowiedzieć. – Hiszpańska policja udzieliła nam pełnego wsparcia, ale porucznik Sanchez uważa, że byłoby dobrze, gdyby zamienił pan słowo ze swym odpowiednikiem w Barcelonie.

– Zadzwońię jeszcze tego ranka – zapewnił go Jastrząb. – Tylko dopilnujcie, żebym wiedział o wszystkim, co zaplanujecie. Naprawdę o wszystkim.

– Tak jest – odpowiedział William, choć wiedział doskonale, że nie będzie to możliwe, jeśli Ross nie zacznie się spowiadać przed nim ze wszystkich swoich pomysłów.

– A wy? Co porabialiście, gdy detektyw starszy inspektor Warwick i detektyw inspektor Hogan buszowali po Europie za pieniądze podatników? Zacznijmy od detektyw Pankhurst.

– Darren Carter – zaczęła Rebecca – nadal pracuje jako bramkarz w klubie Eve, ale nie mogę się do niego przyczepić za nic poza okazjonalnym paleniem skrętów w zaułku podczas przerw. W swobodnej rozmowie po paru pintach piwa nadal jest skłonny wierzyć, że mu się upiekło.

– A co z właścicielem klubu, czyli współwinnym? – spytał Jastrząb.

– Właśnie złożył podanie o rozszerzenie koncesji. Chciałby sprzedawać trunki do drugiej w nocy.

– Pogadaj z urzędnikami, niech mu odrzucą to podanie. A gdy spyta o powód, każ im powiedzieć, żeby zadzwonił do mnie.

– Zrobi się – mruknęła Rebecca, notując rozkaz.

– I żebyśmy się dobrze zrozumieli, detektyw konstabl – dodał Jastrząb, patrząc prosto w oczy Rebecce. – Nie będę usatysfakcjonowany, póki ten klub nie zostanie zamknięty, a ci dwaj łajdacy nie trafią za kratki.

– Tak jest – odpowiedziała. Tym razem nie musiała notować.

– A co nowego u ciebie, detektywie sierzancie Adaja? Dobre wieści?

– I tak, i nie, sir – odparł Paul. – Sleeman nadal pożyczka pieniądze na złodziejski procent i grozi bolesnymi, niezapisanymi w umowie konsekwencjami każdemu, kto nie płaci na czas. I niestety niewiele mogę z tym zrobić.

– Dlaczego? – spytał William.

– Wszystkie ofiary wymuszeń, które do tej pory przesłuchałem, milczą jak zaklęte. Niektóre twierdzą wręcz, że w życiu nie słyszały o Sleemanie. Nawet te, które niedawno straciły palec.

– Najwyraźniej bardziej boją się Sleemana niż nas – podsumował Ross.

– Trudno im odmówić racji – zauważył William.

– A czy jesteś choć trochę bliżej odnalezienia trzech zaginionych?

– Nie, sir. Przepadli bez śladu. Co jednak nie przeszkadza zbirom Sleemana pukać do wdów i wyciągać od nich kolejne raty.

– Może w przyszłości któraś z nich będzie bardziej skora do współpracy – zasugerował Jastrząb.

– Nie liczyłbym zbyt na to, sir. Gdy pytam o Sleemana, wszystkie zgodnie twierdzą, że nigdy o nim nie słyszały.

– Wobec tego możemy liczyć tylko na to, że dorwiemy go, zanim zniknie kolejna ofiara.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić, sir. Kolejną ofiarą może być każdy z bodaj tuzina ludzi – odparował Paul, spoglądając na długą listę nazwisk. – A ja mam tylko trzech detektywów konstabli do pomocy, w tym jednego świeżaka.

– Tylko mi tu nie jęczcie o brakach kadrowych – uprzedził komendant. – Sleeman i jego siepacze mają spędzić Boże Narodzenie w celi.

Paul nie podniósł głowy.

– Teraz ty, Jackie. Co słyhać u twojego przyszłego żonobójcy? Czy jego następna ofiara w końcu przejrzała na oczy?

– Niestety nie, sir. Właśnie w zeszłym tygodniu została panią Pugh podczas raczej skromnej ceremonii w ratuszu w Chelsea. Następnego ranka nowożeńcy rozpoczęli miesiąc miodowy, odlatując do Kapsztadu. Proszę się zbytnio nie

dziwić, jeśli zrozpaczony i jeszcze bogatszy wdowiec, który za parę tygodni wróci do Anglii, nie będzie się nosił na czarno.

– Domyślam się, że odpowiednie służby w Kapsztadzie otrzymały stosowną informację i będą miały na oku pana Pugh?

– Zmarnowałam tydzień tylko na to, żeby ustalić, z kim tam mogę porozmawiać – odrzekła Jackie. – A gdy wreszcie to zrobiłam, usłyszałam, że mój szanowny kolega ma czterdzieści dziewięć przypadków morderstw do ogarnięcia, więc raczej nie będzie miał czasu martwić się o to, że w niedalekiej przyszłości wydarzy się kolejne. Powiedział też, że zadzwoni, gdy tylko czegoś się dowie. Jak dotąd cisza.

– Nie brzmi to zachęcająco – przyznał William.

– A może powinnaś polecieć do Kapsztadu i po cichu zamienić słówko z panią Pugh? – zaproponował Ross. – Niech wie, że ten miodowy miesiąc nie potrwa miesiąc i że z tym panem zdecydowanie nie będzie żyła długo i szczęśliwie.

– Jeśli Jackie to zrobi – powiedział William – to Pugh na pewno nas pozwie, a następnie zaplanuje morderstwo w taki sposób, że niczego mu nie udowodnimy.

– Bardzo śmieszne, inspektorze – mruknął kwaśno Jastrząb. – Gorzej, że nawet gdybyśmy chcieli, to nie mamy środków, żeby wysłać Jackie do Afryki.

– To co mam robić? – spytała Jackie.

– Na razie możesz tylko czekać. Otworzysz sprawę ponownie, jeśli małżonkowie wrócą razem do Anglii.

– A jeśli nie wrócą?

– To znajdziemy ci inną sprawę – odparł William.

– Skupmy się teraz na sprawie Rona Abbotta i Terry’ego Roacha – rzekł komendant. – Jakie wieści z tego frontu, Ross?

– W zasadzie o wszystkim pan już wie, sir. Obie rodziny nadal skaczą sobie do gardeł. Obawiam się, że już wkrótce ten konflikt zmieni się w otwartą wojnę.

– Nie możemy do tego dopuścić – stwierdził Jastrząb. – Choćby dlatego, żeby nie pozwolić dziennikarzom na pisaninę o „dzielnicach, do których lepiej nie chodzić” i niedostatecznym zaangażowaniu policji. Williamie, skoro pozostałe trzy sprawy jakby utknęły, a detektyw Hogan wkrótce nas opuści, osobiście zajmiesz się problemem Abbottów i Roachów.

– Kosztem operacji „Arcydzieło”? – spytał William. – Bo tak się składa, że mamy z Rossem nowy plan, który sprowadzi Faulknera z powrotem do Anglii, gdzie będzie mógł odsiedzieć do końca swój dziesięcioletni wyrok.

– Plus to, co dostanie od sądu w prezencie za ucieczkę – dorzucił Ross.

– Nie jesteśmy łowcami nagród – odparł Jastrząb. – Musicie mieć więcej niż pięćdziesiąt procent szans na powodzenie tej akcji, inaczej nie wyrażę na nią zgody.

– Dziś po południu mam spotkanie w firmie, która instalowała metalowe drzwi w gabinecie Faulknera – powiedział Ross. – Możliwe, że właśnie ta rozmowa przechyli szalę na naszą korzyść.

– Jeśli zdradzą wam, w jaki sposób można je otworzyć – rzekł Jastrząb – to macie u mnie pintę.

– Ja dostałem tylko pół za sukces w sprawie „Konia trojańskiego” – poskarżył się Paul.

– To i tak więcej, niż ci się należało – odparował William – zważywszy na fakt, że większość wieczoru spędziłeś na izbie przyjęć ze skreconą kostką.

Pozostali członkowie zespołu zabębnilo dłońmi o blat stołu na znak poparcia, a Paul już nie zaprotestował. Uratowała go sekretarka komendanta, wbiegając do pokoju.

– Morderstwo kobiety w South Kensington – zameldowała. – Proszę o wsparcie Yardu.

– Powiedz im, żeby ściągnęli ekipę z lokalnego posterunku, Angelo – polecił komendant. – Czy oni nie wiedzą, że mamy własne problemy na głowie?

– Funkcjonariusz, z którym rozmawiałam, zapewnił mnie, że normalnie tak właśnie czynią – odparła Angela – ale z gardła tej kobiety sterczy nóż kuchenny o ząbkowanym ostrzu.

– Roach – stwierdzili jednocześnie William i Ross, zrywając się na równe nogi.

– Powiedz im, że już jedziemy – rozkazał William. – Jackie, dopilnuj, żeby przed bramą czekał na nas samochód. Niech oficer dyżurny skontaktuje się ze mną przez radio, po drodze wysłucham pełnego raportu.

Razem z Rossem pobiegli w stronę drzwi, lecz William zatrzymał się jeszcze, odwrócił i rzekł:

– Paul, komunikat do wszystkich funkcjonariuszy na służbie: poszukiwany Terry Roach, uzbrojony i niebezpieczny. Na pewno nie oddalił się zbyt daleko, więc tym razem kluczowe będzie nie pierwszych czterdzieści osiem godzin, ale pierwszych czterdzieści osiem minut. Jeżeli nie aresztujemy go, zanim wróci do East Endu, będzie miał żelazne alibi i tuzin świadków, którzy przysięgną na własne życie, że przez cały dzień nie wyściubił nosa poza Whitechapel.

Paul natychmiast sięgnął po telefon, a William wybiegł na korytarz, na którym nie dostrzegł już Rossa. Pognał w dół, przeskakując po dwa stopnie – nie mógł tracić czasu w oczekiwaniu na windę. Gdy wbiegał do holu głównego, Danny właśnie zatrzymywał wóz przed wejściem do budynku.

William wyskoczył z bramy w chwili, gdy Ross sadowił się na tylnej kanapie, nie zamknąwszy za sobą drzwi. William nie zdążył nawet ich zatrzaskać, a już włączali się do ruchu.

Gnali na sygnale, nie zważając na czerwone światło na skrzyżowaniu z Victoria Street. Kilka samochodów zahamowało gwałtownie, a ich kierowcy dali upust złości, nie szczędząc klaksonów.

– Wiemy dokładnie, gdzie to się stało? – spytał William, wpijając palce w oparcie przedniego fotela.

– Prince Albert Crescent – odpowiedział Danny.

Mijali właśnie Palace Theatre, mknąc w stronę stacji metra Hyde Park Corner. Raz po raz samochody umykały na prawo lub na lewo, ustępując im z drogi.

Pierwszą myślą Williama było to, że przy Prince Albert Crescent mieści się Fitzmolean Museum. Robił wszystko, by wyrzucić ją z głowy, więc gdy rozległ się sygnał radia, chciwie pochwycił mikrofon.

– Starszy inspektor Warwick – wyrecytował.

– Tu inspektor Preston, sir, oficer dyżurny w West End Central. Właśnie rozmawiałem z detektyw Roycroft, kazała mi natychmiast skontaktować się z panem.

– I słusznie – rzucił zwięźle William.

– Przy Prince Albert Crescent znaleziono kobietę z podejrzanym gardłem – zameldował Preston. – Wygląda na to, że to zabójstwo z premedytacją. Sprawca musiał znać ofiarę.

– Znamy jej tożsamość?

– Nie, sir. Przechodzień widział samochód, który zatrzymał się przy niej. Wsiadł z niego mocno zbudowany mężczyzna z pończochą na twarzy. Pociął twarz ofiary, zanim poderznął jej gardło, a następnie wskoczył do wozu, który odjechał z dużą prędkością. Wszystko trwało ledwie kilka sekund.

– Ktoś zanotował numer rejestracyjny?

– Detektyw sierżant Adaja pytał o to samo. Niestety, świadek wie tylko tyle, że to było czarne bmw.

– Ma pan rysopis tej kobiety?

– Trudno coś powiedzieć... Ma zmasakrowaną twarz.

William czuł w piersi nieznośny łomot serca.



– Broń? – spytał krótko.

Danny prawie nie zwalniał, klucząc między samochodami.

– Nieduży nóż o cienkim, zębatym ostrzu. Sprawca zostawił go w gardle ofiary, prawie jakby chciał, żebyśmy wiedzieli, z kim mamy do czynienia.

– Bo chciał – odpowiedział William. Z oddali dobiegło zawodzenie innej syreny. – Niech pan nie dopuszcza do ciała ratowników medycznych, póki tam nie dotrę.

– Zrozumiałem, sir – odpowiedział Preston.

Przechodnie odprowadzali ich zaciekawionym wzrokiem, gdy gnali obok Harrodsa. Gdy byli blisko celu, William pomodlił się w duchu, próbując przekonać sam siebie, że niepotrzebnie daje się ponieść emocjom. Wreszcie Danny przyhamował lekko i skręcili w Prince Albert Crescent; wskaźnik prędkościomierza nawet teraz dosięgał pięćdziesięciu mil na godzinę. Już z kilkuset jardów trudno było nie zauważyć gromady policjantów i jeszcze liczniejszej grupy gapiów tłoczących się po drugiej stronie ulicy.

Danny z piskiem opon zatrzymał samochód o kilka stóp od biało-niebieskiej taśmy otaczającej miejsce zbrodni.

William wyskoczył, przykucnął pod taśmą i pobiegł w stronę nieruchomego ciała spoczywającego w kałuży krwi. Nie dotarł do niego. Nogi ugięły się pod nim i opadł na kolana.

– Nie! – ryknął.

Sekundę później Ross przystanął u jego boku. Dostał gwałtownych torsji, gdy zobaczył, kto leży na chodniku.

Inspektor Preston zdziwił się mocno, widząc, że dwaj tak doświadczeni funkcjonariusze zareagowali na widok ofiary niczym żółtodzioby, którym przydzielono pierwszą sprawę morderstwa.

– Pan wie, kto to jest? – spytał niepewnie.

– Wiem – odpowiedział William, łagodnie tuląc w ramionach ciało denatki. – I zabiję tego, kto jej to zrobił.

## 22

William zawsze chciał zabrać Beth do Paryża na długi weekend. Tak często rozmawiali o zwiedzaniu Luwru, Musée d'Orsay i oczywiście Musée Rodin. Mieli ochotę podziwiać wystawy przy rue de Rivoli, a może nawet kupić olejne płótno od któregoś z ulicznych artystów z Montmartre'u, mając w pamięci historię Amerykanki, która za kilka franków nabyła w ten sposób obraz Picassa – tylko dlatego, że wpadł jej w oko.

Popłynęliby stateczkiem po Sekwanie, wypili odrobinę za dużo wina, skosztowaliby *coq au vin* oraz serów, których nie znajdzie się nigdzie indziej na świecie, a potem wróciliby do przytulnego pensjonatu na lewym brzegu rzeki. Oparliby się pokusie wspinaczki po niezliczonych schodach wieży Eiffla i z pokorą dołączyliby do tabunu turystów w zatłoczonej windzie, by rozkoszować się spektakularną panoramą jednego z najbardziej romantycznych miast na świecie. Zrobiliby to, lecz nie w ten weekend.

Wysiadłszy z pociągu przy Gare du Nord, William ruszył na poszukiwanie taksówki. Podał kierowcy adres na przedmieściu Paryża i dwadzieścia minut później byli już przed kościołem de la Vierge Marie. Zapłaciwszy taksówkarzowi pięćdziesiąt franków, William dołączył do żałobników zdążających gęsiego ścieżką ku otwartym drzwiom we wschodniej ścianie świątyni.

Trzy pierwsze ławki zajęła grupa kilkunastu najelegantszych kobiet, jakie zdarzyło się Williamowi spotkać. Bez pośpiechu przeszedł jeszcze kilka kroków i zajął miejsce w ławce tuż za przyjacielem pogrążonym w modlitwie.

Gdy zegar na kościelnej wieży wybił godzinę, zjawił się ksiądz. Zatrzymał się na schodach przed ołtarzem i z godnością rozpoczął nabożeństwo żałobne. William nie rozumiał wszystkich słów, ale pamiętał ze szkoły akurat tyle francuszczyzny, żeby orientować się, o czym mowa. Wychwycił nawet poruszające tony w wystąpieniu starszego dżentelmena, który – jak mu się wydawało – musiał być krewnym lub bliskim przyjacielem rodziny zmarłej.

Gdy msza dobiegła końca, wszyscy zebrali się na przykościelnym cmentarzu. Spoglądając na trumnę z wolna znikającą z powierzchni ziemi, William cieszył

się w duchu, że nikt ze stojących wokół niej nie widział zmarłej w jej ostatnich chwilach, w kałuży krwi na londyńskim chodniku. Zapamiętali ją jako piękną kobietę. Jedynym pocieszeniem w tej ponurej tragedii było to, że cudem uratowano jej nienarodzoną córkę. Nie byłoby na to szans, gdyby Roach wiedział, że żona Rossa Hogana jest w ciąży.

Ksiądz uczynił znak krzyża i pobłogosławił żałobników, a chwilę potem piękne dziewczyny kolejno ucałowały Rossa w oba policzki, jasno dając mu do zrozumienia, jak bliska była im jedyna kobieta, którą w życiu kochał.

William był jednym z ostatnich, którzy czekali, by złożyć wdowcowi kondolencje. Trudno mu było wyrazić słowami to, co czuł. Twardy, cyniczny policjant rozkleił się w jednej chwili, gdy William objął go i szepnął:

– Tak mi przykro.

– Nie zobaczymy się przez parę dni – zapowiedział Ross. – Mam rachunki do wyrównania. Wrócę, gdy tylko skończę.

William rozmyślał o tych słowach, jadąc taksówką na dworzec, a także w pociągu wiozącym go na lotnisko i w samolocie lecącym na Heathrow. Obawiał się, że Ross wyznaczył sobie nową, tajną misję, której szczegółów nie zdradzi ani jemu, ani komendantowi.

Ross zamierzał wrócić do Londynu najbliższym lotem i bez zwłoki przystąpić do realizacji pierwszej części planu. I tak właśnie by uczynił, gdyby nie zatrzymał go starszy dżentelmen, ten sam, który wygłosił wcześniej wzruszającą – acz niezbyt zrozumiałą – elegię.

– Przepraszam, panie Hogan. Nazywam się Pierre Monderan – powiedział mężczyzna po angielsku, z ledwie cieniem francuskiego akcentu. – Byłem doradcą finansowym pańskiej świętej pamięci żony – wyjaśnił, wręczając Rossowi tłoczoną wizytówkę. – Może moglibyśmy gdzie usiąść? Potrzebuję kilku chwil, żeby o czymś panu powiedzieć.

– Żałuję, że nie zrozumiałem wiele z tego, co miał pan do powiedzenia o Jo – rzekł Ross, siadając na ławce obok pana Monderana. – Widziałem, jak przyjęły pańskie słowa jej przyjaciółki.

– Bardzo miło mi to słyszeć – odparł Monderan, po czym wyjął z kieszeni płaszczka kopertę i podał ją Rossowi. – Przetłumaczyłem moją mowę. Bardzo szanowałem pańską żonę i pomyślałem, że może w wolnej chwili będzie pan chciał przeczytać. Przedwczesna śmierć Josephine sprawiła, że przypadł mi w udziale smutny obowiązek. Otóż od dłuższego czasu zajmuję się jej osobistymi finansami, a także finansami innych dziewcząt z syndykatu.

– Syndykatu?

– Tak nazwały wszystkie aktywa należące do ich firmy, zarejestrowanej pod nazwą Dziewice-Westalki. Dwanaście młodych kobiet inwestowało po dziesięć tysięcy franków miesięcznie we wspólne przedsięwzięcie, którym zarządzałem w ich imieniu. Z niemałym powodzeniem, jak się pan zaraz przekona. Chodziło o to, by... gdy nadejdzie czas wycofania się z zawodu... żadna z nich nie musiała lękać się o przyszłość. Nieszczęsna Josephine nie skorzysta jednak ze swej inwestycji, a schedę po niej przejmie pan, jako najbliższa rodzina.

Mówiąc to, pan Monderan wyjął z wewnętrznej kieszeni wąską białą kopertę i wręczył ją Rossowi.

– Naprawdę nie miała żadnej rodziny ani bliskich przyjaciół? Nikogo, kto miałby pierwszeństwo przede mną?

– Nigdy mi nie wspominała o krewnych, a co się tyczy przyjaciółek, to zapewniam, że o ich dobrobyt nie musi się pan martwić.

– Może chociaż wskazała jakąś instytucję dobroczynną? – spytał Ross. Bardzo nie chciał zaglądać do białej koperty.

– Nie, a ja nie podejmę tej decyzji w jej imieniu – odparł pan Monderan. – Gdyby jednak był pan moim klientem, to przypomniałbym uprzejmie, że ma pan córkę, która może skorzystać na zapobiegliwości swej matki.

To rzekłszy, monsieur Monderan wstał, skłonił się lekko i odszedł, dopełniwszy obowiązków powiernika.

Ross spojrział na zaklejoną kopertę. Czuł się winny, że nawet nie pomyślał o przyszłości własnej córki. Minęło sporo czasu, zanim rozdarł papier i wyjął czek wypisany na „pana Rossa Hogana, kawalera QGM”. Uśmiechnął się, wspominając upór Jo, która kilka razy podpytywała go, co takiego zrobił, że nagrodzono go Medalem Królowej za Odwagę. Za każdym razem udawało mu się delikatnie zmienić temat.

Długo spoglądał na czek i trzy razy liczył zera, zanim dotarło doń, że oto pierwszy raz w życiu może powiedzieć o sobie, że jest zamożnym człowiekiem. Tyle że w głębi duszy czuł się teraz nędzarzem i podarłby ten świstek w mgnieniu oka, gdyby tym sposobem mógł przywrócić Jo do życia.

Tego wieczoru Beth nie musiała pytać Williama, w którym zagranicznym mieście spędził dzień – wiedziała o wszystkim. Chciała nawet towarzyszyć mu w podróży do Paryża i nie przyjęłaby odmowy, gdyby nie to, że Artemisia właśnie złapała ospę wietrzną, co oznaczało, że – jak zawsze – lada chwila

rozchoruje się także Peter. Niemniej jednak, opiekując się dziećmi, przez cały dzień rozmyślała o Josephine.

Właśnie miała poczytać bliźniakom bajkę na dobranoc, gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi. Zbiegła na dół i ujrzała Williama wieszającego płaszcz. Stali przytuleni przez długą chwilę, zanim spytał:

– Co z Artemisią?

– Wraca do siebie, za to Peter, zgodnie z przewidywaniami, właśnie zaczyna chorować. Mieli nadzieję, że poczytasz im książkę.

– Jasne, że poczytam. A potem, przy kolacji, opowiem ci o wszystkim, co się wydarzyło w Paryżu – dodał, choć tak naprawdę nie zdecydował jeszcze, ile powinien jej powiedzieć.

Z ciężkim sercem pomaszerował na piętro, lecz poweselał nieco, gdy tylko wkroczył do dziecinnego pokoju, a maluchy zeskoczyły z łóżka i entuzjastycznie wczepiły się w jego nogi. Pomyślał zaraz o Rossie i o tym, ile radości przyniesie mu wychowywanie córki. Z zadumy wyrwał go rzeczowy komunikat od Artemisii:

– Doszliśmy do rozdziału trzeciego. Chcemy wiedzieć, co dalej z konstabłem Plodem!

Uśmiechnął się do niej, ciesząc się w duchu, że krosty pomалу zaczynają znikać z jej buzi, zaraz jednak zmarszczył brwi, widząc nowe na policzkach Petera.

– Pamiętajcie – rzekł William – że konstabl Plod zawsze powtarza swoim dzieciom: nie wolno drapać krost!

Peter skinął główką.

– To na czym skończyliśmy?

– Jak konstabl Plod usłyszał, że ma jechać do rezydencji – pospieszyła z odpowiedzią Artemisia. – Natychmiast!

– A pamiętacie, co zginęło z domu?

– Perłowy naszyjnik lady Doubtful.

– A jak ma na imię żona konstabla Ploda?

– Beryl! – odpowiedziała Artemisia. – Beryl uważa, że powinien już być inspektorem.

William pokiwał głową i zaczął czytać.

– „Gdy konstabl Plod dotarł do posiadłości, oparł rower o ścianę szopy i dołączył do innych policjantów, którzy szukali tropów. Bardzo wątpił, czy coś odkryją, mocno bowiem wierzył, że była to wewnętrzna robota”.

– Co to jest wewnętrzna robota?

– Konstabl Plod uważa, że perły musiał ukraść ktoś, kto mieszka albo pracuje w tym domu.

– Ale kto? – spytała Artemisia.

– Nie mam pojęcia – odparł William i przewrócił kartkę, wprawnie ukrywając ziewnięcie.

– Tatusiu, przecież jesteś detektywem. Musisz wiedzieć! – stwierdziła Artemisia, mistrzyni niepodważalnej dziecięcej logiki.

– „Konstabl Plod spostrzegł, że frontowe drzwi rezydencji właśnie zostały otwarte” – ciągnął William, puszczając mimo uszu jej słowa – „i że inspektor Watchit, wyraźnie zadowolony z siebie, wyprowadza z domu pomywaczkę, która od lat służyła państwu Doubtful. Wiedział, że Elsie nie ukradłaby nawet czekoladowego herbatnika z tacy na herbatę, a tym bardziej perłowego naszyjnika. Plod postanowił, że wróci na posterunek i przywoła Watchita do porządku, zanim nieszczęsna dziewczyna zostanie oskarżona o coś, czego nie zrobiła. Wrócił więc do swego roweru i właśnie miał włożyć kask, gdy zauważył na podjeździe furgonetkę sklepu rybnego, która jak co dnia przywiozła świeży towar. Plod zdziwił się nieco, gdy pan Nettles, właściciel sklepu, zatrzymał wóz przed frontowymi drzwiami, a nie na tyłach domu, od strony kuchni. Nettles tymczasem wygramolił się z kabiny, lecz zanim zdążył nacisnąć guzik dzwonka, lady Doubtful otworzyła przed nim drzwi. Wręczyła mu spore kartonowe pudełko i czym prędzej zniknęła w głębi domu.

Dlaczego Nettles nie podjechał od kuchni i nie dał ryb kucharce, jak to czynił w każdy piątek?, zastanawiał się Plod. Nie miało to sensu, więc uznał, że trzeba zbadać sprawę. Podszedł do furgonetki, gdzie pan Nettles zdążył już położyć karton na fotelu pasażera i usadowił się za kierownicą, gotów do odjazdu.

Plod zapukał w okno i rzekł:

– Co tam kombinujesz, mój chłopcze?

Nettles poczerwieniał na twarzy niczym światło na skrzyżowaniu. Czym prędzej uruchomił silnik, wrzucił od razu trzeci bieg i popędził ku bramie posiadłości. Plod wbiegł po schodkach i załomotał do drzwi rezydencji. Lokaj otworzył mu po kilku chwilach i usłyszał, że musi natychmiast zamknąć elektryczną bramę. Tak też uczynił – w samą porę, by zatrzymać Nettlesa u bramy”.

– Myślę, że na dziś wystarczy – powiedział William.

– Nie, tatusiu! – zawołali chórem Artemisia i Peter. – Jeszcze!

– No dobrze, ale tylko parę stron – odparł William, wzdychając przesadnie. – „Trzej inni policjanci prędko otoczyli furgonetkę, konstabl Plod zaś otworzył

drzwi po stronie pasażera i wyjął z szoferki kartonowe pudełko. Otworzył je. Było pełne muszli małży, a gdy uchylił jedną z nich, ujrzał w środku perłę. Plod wiedział, że perły znajduje się raczej na dnie oceanu, a nie w kartonowych pudełkach”.

Z korytarza dobiegł sygnał telefonu. William odłożył książkę i zapytał:

– Odbierzesz, Beth? Pan Plod zaraz dopadnie prawdziwego bandytę. – Spojrzał na dzieci i znowu zaczął czytać. – „Konstabl Plod natychmiast aresztował pana Nettlesa i polecił dwóm kolegom policjantom, by odstawili go na posterunek, wraz z dowodami.

– Co mam powiedzieć, gdy inspektor Watchit zapyta, co zamierzasz teraz robić? – zapytał jeden z funkcjonariuszy.

– Powiedz mu, że zajrzę jeszcze do rezydencji, żeby aresztować prawdziwego winowajcę – odparł Plod.

– Pewnie się zdziwi, gdy się dowie kto...” – William urwał w pół zdania, bo Beth zajrzała do pokoju.

– Dzwoni James – powiedziała.

– James?

– James Buchanan z Nowego Jorku.

– Mamusia poczyta wam dalej – zarządził William. – Muszę odebrać.

– Przecież nie dowiesz się, kogo aresztuje pan Plod! – zaproponowała Artemisia.

– Mamusia na pewno mi powie – odparł William, wstając z łóżka. Mijając Beth, zamienił książkę na słuchawkę, którą trzymała w ręku. – Cóż za miła niespodzianka – powiedział, zanim James zdążył się odezwać.

– Możliwe, że będzie panu mniej miło, gdy wyjawię, dlaczego dzwonię – odpowiedział James. – A dzwonię, żeby prosić o radę w dość żenującej sytuacji.

– Jestem do dyspozycji – odparł spokojnie William.

– Otóż niedawno odkryłem, że mój najbliższy przyjaciel z Choate posłał kogoś innego, żeby napisał za niego egzamin do Harvardu.

– Dowód?

– Najpierw poprosił mnie, ale odmówiłem. Kiedy jednak ogłoszono nazwiska przyjętych, okazało się, że mój przyjaciel jest w pierwszej piątce.

– Co oznacza, że ktoś inny musiał nie dostać się na studia. Ktoś, na kogo stawiała cała klasa. Pewniak.

– Ma pan rację. Mogę podać jego nazwisko. To chłopak z niepełnej rodziny, zawsze bez pieniędzy, za to ze stypendium za dobre wyniki.

– I zapewne chciałbyś wiedzieć, w jaki sposób powinieneś podzielić się swymi podejrzeniami z władzami uczelni?

– Tak jest. Bardzo jestem ciekaw, co by pan zrobił na moim miejscu.

William milczał tak długo, że James w końcu odezwał się pierwszy:

– Jest pan tam jeszcze?

– Jestem – odrzekł William. – Muszę przyznać, że w swoim czasie stanąłem przed bardzo podobnym dylematem. O jeden raz za dużo przyłapałem kogoś... nie przyjaciela, ale kolegę... na kradzieży w szkolnym sklepiku.

– I doniósł pan na niego dyrektorowi?

– Tak, w końcu to zrobiłem – odpowiedział William – ale nie ma dnia, żebym się nie zastanawiał, czy nie lepiej było przymknąć wtedy oko.

– Ale dlaczego? – zdziwił się James. – Przecież zrobił pan to, co należało zrobić.

– Z początkiem nowego semestru chłopak wyleciał do innej szkoły, a rok później wydali go za używanie narkotyków.

– Pan też jakoś na tym ucierpiał?

– Powiedzmy, że nie stałem się ulubieńcem klasy. Koledzy nazywali mnie kapusiem i zdrajcą, nie zawsze za moimi plecami.

– Kije i kamienie kości mi połamią, ale twoje słowa nigdy mnie nie zranią – mruknął James.

– Nie tak dawno przydarzyło mi się coś podobnego – dodał w zamyśleniu William. – Musiałem zbadać sprawę funkcjonariusza, z którym studiowałem w szkole policyjnej. Mieliśmy powody przypuszczać, że w swoim rewirze przyjmuje łapówki od lokalnego barona narkotykowego. W tym wypadku poleciały kamienie.

– I udało się panu zebrać dowody wystarczające do aresztowania?

– Więcej niż wystarczające. Dziś mój kolega odsiaduje wieloletni wyrok, choć i ta sprawa nie przysporzyła mi popularności. Jeśli jednak nadal myślisz o pracy w tej branży, nie możesz stosować innych zasad wobec przyjaciół, a innych wobec nieznanych lub, co gorsza, nielubianych osób.

– Jutro z samego rana złożę wizytę u dyrektora – oznajmił James. – Powiem mu o swoich podejrzeniach.

– Podejrzenia to jeszcze nie dowody – przypomniał mu William. – A przy okazji: przekonasz się, czy działa jego kompas moralny. Zwłaszcza w takiej sprawie.

– Dlaczego „zwłaszcza w takiej sprawie”? – zapytał James.



– Tu chodzi o przyszłość dwóch młodych mężczyzn. Od decyzji dyrektora szkoły będzie zależało całe ich życie. Daj mi znać, jak się zakończy ta sprawa.

– Tak zrobię, sir, a tymczasem pozwolę panu wrócić do konstabla Ploda. Pani Beth wspomniała, że właśnie miał aresztować bandytę.

– Owszem, a to także historia z zaskakującym finałem. Ale mam do ciebie jeszcze jedno pytanie, James: czy i ty dostałeś się do Harvardu?

– Tak jest. Zdobyłem otwarte stypendium Johna Quincy’ego Adamsa.

– Oto i człowiek, który nie przymknąłby oka.

– Powiniennem o czymś wiedzieć na temat waszej wycieczki do Paryża? – spytał Jastrząb.

– Ross jakoś przetrwał pogrzeb, ale trochę mnie martwi to, co mi powiedział po nabożeństwie.

– Oświeć mnie.

– Zapisałem sobie dokładnie to, co usłyszałem, jadąc taksówką do Gare du Nord. – William otworzył notes. – „Nie zobaczymy się przez parę dni. Mam rachunki do wyrównania. Wrócę, gdy tylko skończę”.

– Rachunki do wyrównania? Z Faulknerem, jak sądzę – rzekł komendant. – Orientujesz się może, co takiego zaplanował na najbliższe dni?

– Sądzę, że zamierza zabić Roacha.

– Czy ktoś mógłby go za to winić? – wymamrotał Jastrząb.

– Nie będzie to łatwe, nawet dla kogoś tak wyszkolonego jak Ross – zauważył William.

– Nie zapominaj, że cztery lata służył w SAS, cztery w wydziale zabójstw, a ostatnie trzy spędził jako tajniak. Nie przypuszczam, żeby znalazło się wielu ludzi lepiej przygotowanych do zabijania.

– Myślę, że powiniennem go wezwać – rzekł William – i wyraźnie naświetlić mu potencjalne konsekwencje.

– Zgoda – odparł Jastrząb – ale jeśli masz go powstrzymać przed czymś, czego może później żałować, najpierw musisz go namierzyć. Poza tym, jeśli naprawdę uda mu się zabić Roacha, będziemy mieli jeszcze większy problem.

– Mianowicie?

– Ross wróci do pracy po kilku dniach i oznajmi, że jest w żałobie albo musi opiekować się córką, lecz mimo to chciałby przyłożyć rękę do sprowadzenia Faulknera z powrotem za kratki. Tymczasem w głowie mu będzie tylko jedno: w jaki sposób go zabić.

## 23

Włóczęga szedł wolno ulicą, pchając przed sobą wiekowy wózek, a z kącika jego ust zwisał sflaczały pet. Miał na sobie stary wojskowy płaszcz, niemal sięgający ziemi. Cztery ordery zdobyte w boju – jedyny autentyczny element przebrania – wskazywały, że jest weteranem jednej z dawno zapomnianych wojen. Kosmyki ciemnych, splątanych włosów wystawały spod wełnianej czapki, która w poprzednim życiu mogła być ocieplaczem na imbryk. Woń, jaką roztaczał wokół siebie weteran, czuć było z kilku jardów, a jego policzki pokrywał szczeciniasty zarost. Mijali go różni ludzie i także rozmaite były ich reakcje: od współczucia (głównie kobiety) po odrazę (wytatuowane nastolatki). Ktoś nawet podarował mu funta, pewnie wiedziony poczuciem winy.

Włóczęga dotarł do pubu, zza którego drzwi dobiegały głośnie dźwięki *I Can't Get No Satisfaction*. Spokojna głowa, satysfakcja gwarantowana, i to już niedługo, obiecał sobie w duchu.

Mijając pub, obserwował dwóch bramkarzy, którym wyznaczono prostą misję: strzec drzwi, by żaden nieproszony gość nie popsuł jubilatowi zabawy. Pamiętał, że przed laty aresztował jednego z nich, lecz ochroniarz nie zwrócił najmniejszej uwagi na przechodzącego dziada. Lecz nawet gdyby zerknął do wózka, nie dostrzegłby niczego podejrzanego: rozdarty karton płatków kukurydzianych, wgniecione, blaszane pudełko zawierające niegdyś „Najlepsze herbatniki Edynburga”, tekturowe opakowanie po chusteczkach oraz paczkę marlboro, z której smętnie wystawał samotny papieros. Obok leżał tylko kłęb przetartych koców, których nie przyjęłaby nawet najpodlejsza noclegownia.

Dotarłszy do świateł na skrzyżowaniu, włóczęga nacisnął guzik i karnie zaczekał na zielone, nim ruszył dalej. Utrzymywał stałe, wolne tempo aż do kolejnego skrzyżowania, będącego nieoficjalną linią demarkacyjną oddzielającą dwa imperia: Roachów i Abbottów. Po drugiej stronie ulicy trzymało straż dwóch agresywnie wyglądających konusów, których jedynym zadaniem było pilnowanie, by żaden z Roachów nie zabłąkał się na terytorium należące do Abbottów. Włóczęga przystanął i poprosił o ogień.

– Spieprzaj, dziadu – padła natychmiastowa odpowiedź.

Usłuchał. Szedł dalej, aż dotarł do ciemnego zaułka, w który nie zapuściliby się nawet najbardziej owładnięci żądzą kochankowie. Po zmroku nie zaglądali tu tym bardziej policjanci.

Przystanął z wózkiem mniej więcej w połowie zaułka, zdjął z głowy imbrykowy ocieplacz i schował go do kieszeni płaszcza, który następnie złożył i umieścił obok koców. Jego włosy nadal były splątane i brudne, twarz zarośnięta, a bukiet woni nokautujący, lecz teraz mężczyzna w czarnym dresie i czarnych sportowych butach przynajmniej mógł wreszcie się wyprostować. Rozejrzał się w obu kierunkach. Nikt go nie obserwował, nawet bezpański kot.

Sięgnął do kartonu po płatkach i wyjął zeń kolbę karabinu. Następnie odchylił wieko pudełka edynburskich herbatników i ostrożnie wydobył celownik noktowizyjny. Wreszcie odkręcił rączkę wózka i puknął delikatnie w jej koniec. Ze środka wysunęła się smukła, doskonale wyważona lufa. Potrzebował ledwie kilku chwil, by złożyć karabin snajperski Remington M40. Sam wybrałby pewnie inny model, ale tak się złożyło, że była to ulubiona broń Rona Abbotta. W końcu włożył do kieszeni dresu paczkę marlboro i sprężystym krokiem ruszył w stronę budynku na samym końcu uliczki. Z wprawą rasowego włamywacza wdrapał się po rurze spustowej, niemal bezwiednie przypominając sobie czasy blokady ambasady w Iranie, gdzie służył jako młody kapral SAS, o którym pisano potem w gazetach.

Dotarłszy na ostatnie piętro, spojrzął w dół i upewnił się, czy nikt go nie zauważył. Dobrze wytyczył trasę swej nocnej wyprawy: to miejsce było widoczne jedynie ze starego magazynu, którego bramy zamykano każdego dnia już o osiemnastej.

Wdrapał się na dach i wolniutko popęzł ku jego przeciwległej krawędzi. Od sąsiedniego budynku, który obrał sobie za cel, dzieliło go dziesięć stóp i dziewięć cali. Dystans nie stanowił problemu dla kogoś, kto przećwiczył skakanie z karabinem na ramieniu, osiągając regularnie wyniki nieco przekraczające czternaście stóp.

Cofnął się o kilka kroków, przykucnął nieco, a potem puścił się sprintem ku krawędzi dachu, ostatnim susem osiągając prędkość maksymalną. Odbił się z kilkucalowym zapasem i poszybował w powietrzu jak olimpijczyk, by wylądować na sąsiednim budynku bezpieczne kilka stóp od krawędzi. Przyklęknął teraz, by uspokoić oddech. Nie ruszył dalej, póki jego puls nie ustabilizował się na poziomie spokojnych pięćdziesięciu czterech uderzeń na minutę.

Wreszcie popęzł na skraj dachu, ale nie spojrział w dół. Nigdy nie przyznał się swemu dawnemu dowódcy, pułkownikowi Parkerowi, że ma lęk wysokości. Wstał po kilku minutach, by rozejrzeć się po okolicy. Był zadowolony, w czym zresztą nie było nic zaskakującego, bo bardzo starannie wybrał miejsce akcji. Znajdował się dokładnie nad mieszkaniem Rona Abbotta, który – co ustalił bez większego trudu – był osobnikiem przywiązanym do własnych nawyków. W SAS byłby to grzech śmiertelny, pomyślał Ross, czyniący z człowieka nader łatwy cel dla wroga. Abbott spędzał wszystkie czwartkowe wieczory z rodziną – jeździli do Romford na wyścigi psów i z wielką regularnością tracili masę nielegalnie zdobytych pieniędzy. Kolejnym elementem rytuału były kolacje w miejscowym klubie nocnym, bynajmniej niesłynącym z wybornej kuchni. Abbott wracał do domu zwykle koło pierwszej w nocy, zawsze z dziewczyną u boku, a niekiedy z dwiema.

Drugim powodem, dla którego Ross wybrał właśnie to miejsce, był doskonały widok na pub, w którym w tej chwili w najlepsze trwało urodzinowe przyjęcie. W linii prostej dzieliło go od celu równo dwieście czterdzieści jardów i był to dystans niestanowiący najmniejszego problemu dla strzelca ze snajperką.

Oparł kolbę karabinu o bark i naprowadził krzyżujące się linie w teleskopowym celowniku na czoło jednego z bramkarzy. Utrzymał broń w tej pozycji przez dwie minuty, nim opuścił ją, żeby odpocząć.

Spodziewał się, że będzie musiał poczekać dłuższy czas, nim na horyzoncie pojawi się prawdziwy cel. Cóż, w końcu były to trzydzieste czwarte urodziny. Wyjął z kieszeni paczkę marlboro, ostrożnie wydobył z niej sześć pięknie wypolerowanych naboju i ustawił je przed sobą niczym żołnierzy na paradzie. Uzbrowiwszy się w cierpliwość, usiadł wygodniej, lecz ani na chwilę nie stracił czujności.

Tuż po północy z pubu wytoczył się pierwszy z imprezowiczów, nieznany Rossowi. Drugim, który pojawił się kilka minut później, był Stan, stryj Terry'ego Roacha, od dwudziestu lat stały bywalec angielskich więzień; obecnie ponoć wysłany przez rodzinę na przymusową emeryturę.

Ross raz jeszcze uniósł karabin do ramienia, tym razem biorąc na cel pomarszczone czoło stryja Stana. Nacisnął spust. Rozległo się ciche szcęknięcie i Stan ruszył w swoją drogę, kompletnie nieświadomy, iż przez chwilę był celem ćwiczebnym.

Ross nie spodziewał się, by ten, na którego czekał, pojawił się wcześniej niż za godzinę, lecz mimo to wcisnął do magazynka sześć naboju. Na wszelki wypadek.

I rzeczywiście, przez kolejną godzinę podchmieleni goście wyłaniali się z drzwi pubu i niepewnym krokiem pieszo oddalali się w kierunku swych domostw. Taksówkarze unikali tej ulicy nawet w samo południe.

Aż wreszcie, bez ostrzeżenia, zjawił się jubilat. Zatoczył się dość bezwładnie na chodniku przed lokalem, w asyście dwóch kumpli, którzy nie wyglądali na zdolnych do tego, by go podtrzymać.

Ross spokojnie wyjął telefon i wybrał numer 999.

– Policja, straż pożarna czy pogotowie? – zapytał dyspozytor.

– Policja – odparł stanowczo Ross.

Terry Roach znowu się zachwiał, lecz w ostatniej chwili chwycił się parapetu.

– Tu policja, w czym mogę pomóc?

– Strzelanina przy Plumber's Road w Whitechapel! – wyszeptał z przejęciem, udając mocno zdyszanego.

– Zechce pan podać...

Ross wyłączył telefon. Pamiętał, że będzie musiał się go pozbyć.

Raz jeszcze oparł kolbę karabinu o bark, podtrzymując lufę lewą ręką. Linie celownika znowu skrzyżowały się na czole wroga – tej nocy w Whitechapel, tak jak niegdyś w Omanie. Zaraz jednak wycelował niżej, w prawą rzepekę jubilata, pamiętając słowa starego sierżanta: „Skoncentruj się, oddychaj normalnie i naciskaj spust jednym płynnym ruchem, bez rwania”. Zastosował się do tej rady i pocisk ze świstem pomknął w stronę celu. Sekundę później Roach padł na ziemię i wijąc się z bólu, zacisnął dłonie wokół prawej nogi.

Dokładnie tak, jak Ross przewidywał, dwaj towarzysze usiłowali wciągnąć rannego z powrotem do pubu. Nieznacznie opuścił lufę, tym razem mierząc w krocze. Huknął strzał i Roach natychmiast zapomniał o kolanie: obiema rękami chwycił to, co zostało z jego klejnotów. Zdaje się, że trafiłem w dziesiątkę, pomyślał Ross. Jeden z kumpli nadal próbował holować rannego w stronę pubu, ile sił w płucach wzywając pomocy, za to drugi zmienił zdanie i puścił się biegiem w przeciwnym kierunku.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i na chodniku pojawiła się gromada członków rodziny Roachów w asyście innych członków gangu. Ktoś wskazał palcem w kierunku Rossa i niemal wszyscy ruszyli w tę stronę. Złożył się do strzału po raz ostatni, lecz tym razem nie wycelował w czoło Roacha, by skrócić jego cierpienia, ale kilka cali niżej. Trzecia kula weszła w ciało tuż ponad jabłkiem Adama, przebiła kark na wylot i utkwiała w ścianie pubu.

Ross spojrzał w dół. Jedno po drugim, w oknach zapalały się światła. Tak naprawdę interesowało go tylko jedno z nich i nie musiał długo czekać.

Położył karabin obok trzech łusek, odwrócił się i wziął głęboki wdech, a potem ruszył sprintem ku przeciwległej krawędzi dachu i skoczył. Tym razem leciał jeszcze wyżej niż poprzednio, między innymi dlatego, że nie dźwigał już broni. Wylądował bezpiecznie, przetoczył się w kontrolowany sposób i natychmiast znowu poderwał się do biegu. Nim dotarł do narożnika budynku, usłyszał zawodzenie syreny policyjnej. Schodzenie po rurze spustowej było oczywiście trudniejsze i powolniejsze niż wspinaczka, o czym wie każdy alpinista.

Zeskoczywszy na ziemię w znajomym zaułku, podbiegł do swego porzuconego dobytku. Zarzucił na plecy długi płaszcz i naciągnął na uszy wełniany ocieplacz do imbryka. Zdołał dojść do wylotu uliczki, gdy usłyszał bliskie już głosy. Skręcił w stronę miejsca, które chwilę wcześniej ostrzelał. Rzykował, ale nie mógł sobie pozwolić na to, żeby ludzie, których głosy słyszał – bez względu na to, po czyjej byli stronie – pomyśleli, że ucieka z miejsca zbrodni. Jeden z nich zwolnił, gdy się mijali, przewrócił jego wózek na jezdnię i spojrzął przelotnie na jego rozsypaną zawartość. W wózku jednak nie było już nic do ukrycia.

Zebrawszy swoje dobra, Ross znowu pomaszerował w kierunku pubu. Linia demarkacyjna już nie istniała. Zaczęła się otwarta wojna.

Pierwszy wóz policyjny zatrzymał się z piskiem opon przed wejściem do pubu Plumber's Arms, a kilka chwil później na ulicy kłębił się już tłum uzbrojonych i opancerzonych policjantów z tarczami. Otoczywszy napotkanych członków obu gangów, bez ceregieli pakowali ich do najbliższych policyjnych furgonetek.

Ross nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok Chórzysty, który kierował operacją, stojąc na chodniku przed pubem. Przeszedł tuż obok niego i pewnie nawet by się nie obejrzał, gdyby nie usłyszał donośnego łoskotu ciała upadającego na jezdnię. To był jego jedyny błąd.

## 24

Ross poszedł spać krótko po drugiej, lecz już o piątej znowu był na nogach, czekało go bowiem spotkanie z kieszonkowcem Jimmym. Co oczywiście nie oznaczało, że stary złodziej spodziewał się wizyty inspektora Scotland Yardu w porze śniadania.

Ross wziął długi zimny prysznic, umył włosy, a następnie za pomocą brzytwy pozbył się mało stylowego zarostu. Spojrzał na zegarek i stwierdził z zadowoleniem, że na pewno zdąży zjawić się przed Jimmym w kawiarni opodal mostu Putney. Po spotkaniu z recydywistą zamierzał wrócić na drugi brzeg Tamizy, gdzie miał do załatwienia jeszcze ważniejszą sprawę w Chelsea.

Jeśli mógł coś powiedzieć o Jimmym z niezachwianą pewnością – nie licząc tego, że był on niezrównanym fachowcem w swej branży – to że nigdy nie szedł do pracy o pustym żołądku. Choć miał za sobą kilka wyroków, niejedną raz udało mu się przekonać przysięgłych, że jest tylko ofiarą biedy i błędów wychowawczych, a jeśli otrzyma jeszcze jedną szansę, zmieni się diametralnie i rozpocznie nowe życie. Spędziłby za kratkami o wiele więcej lat, gdyby kolejne ławy znały go z poprzednich występów, lecz wiara w uczciwe traktowanie oraz mit o drugiej szansie zawsze miały się w Wielkiej Brytanii znakomicie.

Ross dotarł do lokalu krótko przed siódmą, zamówił czarną kawę i usiadł na wysokim stołku przy samym końcu baru. Złodziej przybył po wpół do ósmej, zajął swe ulubione miejsce przy oknie i zaczął czytać „Sun”.

Ross odczekał, aż pojawiła się kelnerka z daniem, które Jimmy jadał każdego ranka: talerzem z dwoma sadzonymi jajkami, bekonem, fasolką, grzybami, pomidorami i smażonymi ziemniakami. Nie ulegało wątpliwości, że zgadza się z opinią Williama Somerseta Maughama, iż „chcąc dobrze zjeść w Anglii, należy spożywać śniadanie trzy razy dziennie”. Co oczywiście nie oznacza, że słyszał o Maughamie.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, inspektorze? – spytał nerwowo Jimmy, gdy Ross zajął miejsce naprzeciwko niego. – Tak wcześnie rano nie znajdzie pan przy mnie żadnych kompromitujących dowodów.

– Potrzebuję twojej pomocy, Jimmy.

– Nie jestem kapusiem, nigdy nie byłem i nigdy nie będę. To nie mój styl.

– Nie służę już w policji – odparł Ross. – Zrezygnowałem.

Jimmy nie wyglądał na przekonanego, póki na środku stolika nie pojawił się zwitek banknotów.

– Co niby miałbym zrobić, żeby zasłużyć na taką kupę kasy? – spytał kieszonkowiec, spoglądając łapczywie na pieniądze.

– Chcę, żebyś dla odmiany coś komuś zwrócił – odparł Ross, po czym wyjaśnił szczegółowo, co ma na myśli.

Zanim Jimmy skończył śniadanie, dwieście funtów zniknęło ze stolika.

– Dostaniesz drugie tyle, ale dopiero po robocie.

– W takim razie potrzebne mi tylko dwie informacje: gdzie i kiedy.

– Odezwę się – odpowiedział Ross. – Wiem, gdzie cię znaleźć.

To rzekłszy, wstał i właśnie miał sprawdzić godzinę, by się upewnić, czy zdąży na kolejne spotkanie, gdy stwierdził, że już nie ma zegarka. Wyciągnął rękę i czekał.

Kieszonkowiec Jimmy wzruszył ramionami, zwrócił mu roleksa i rzekł:

– Nie chciałem, żeby pan pomyślał, że jestem bez formy, inspektorze.

– Gratuluję, starszy inspektorze – powiedział komendant, gdy tego samego ranka William zajrzał do jego gabinetu.

– Ale czego, sir?

– Rozwiązania problemu Roachów i Abbottów.

– A czy to na pewno moja zasługa? – spytał zamyślony William.

– Jak to? Przecież to twoja ekipa zgarnęła czternastu członków gangu, a dwóch najgorszych, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, odmeldowało się na cmentarz.

– Może zbyt szczęśliwym?

– Wszystkie dowody wskazują na to, że to Ron Abbott zastrzelił Terry’ego Roacha. Wszystkie, z karabinem i łuskami włącznie. Nieczęsto zdarza nam się taka gratka.

– Takie gratki zdarzają się wtedy, gdy ktoś dokładnie zaaranżuje sytuację na korzyść grającego – stwierdził William.

– Niby kto? – spytał Jastrząb.

– Ten, kto zostawił narzędzie zbrodni i trzy łuski na dachu budynku, w którym... całkiem przypadkowo... mieszkał Abbott.

– Przecież dwaj ludzie Roachów dopadli Abbotta na tymże dachu! Nasi chłopcy przybyli w samą porę, żeby zobaczyć, jak zrzucają go stamtąd.



– W samą porę – powtórzył William. – Czy to nie cudowny zbieg okoliczności, że zatroskany obywatel zadzwonił na policję o pierwszej trzynaście nad ranem, a nasi ludzie dotarli na miejsce akurat w odpowiednim momencie, żeby usłyszeć trzeci strzał? Gdy i ja się tam zjawiłem, Roach jeszcze żył. Dlatego podejrzewam, że ktoś nas wezwał, zanim padł pierwszy strzał.

– Do czego zmierzasz, Williamie? – spytał komendant znacznie poważniejszym tonem.

– Jako inspektor prowadzący śledztwo... do prawdy, oczywiście.

– I doszedłeś już do jakichś wniosków?

– Przeczucie mówi mi, że sprawcą jest ktoś, kto wziął urlop z ważnych powodów rodzinnych, ale nie jest w szczególnie rodzinnym nastroju. Przyznaję, że to dwaj członkowie gangu Roachów zrzucili Abbotta z dachu budynku, ale przypuszczam, że i to było częścią planu Rossa.

– Skoro to nie Abbott zabił Roacha, to dlaczego znaleźli go na dachu?

– Myślę, że był u siebie, gdy rozległy się strzały, i poszedł na górę sprawdzić, co się dzieje. Czy to nie dziwne, że znaleziono w jego mieszkaniu broń identyczną jak ta, z której popełniono morderstwo? Bo ja na przykład chciałbym wiedzieć, po co komu dwa takie same karabiny.

– A masz coś więcej niż przeczucie?

– Na dachu znaleziono też puste opakowanie po papierosach marki Marlboro.

– Wielu ludzi pali marlboro, nie wyłączając mnie. Musisz się bardziej postarać, mój inspektorze.

– Gdy nasi ludzie łapali pozostałych członków gangu, Ross przeszedł tuż obok mnie. Przebrany za menela, prowadził zdezelowany wózek dziecięcy.

– To dlaczego nie zapytałeś go, co tam robi?

– Usiłowałem przesłuchać Roacha, zanim ratownicy medyczni zanieśli go do karetki.

– On jeszcze żył? – spytał z niedowierzaniem Jastrząb.

– I pożył jeszcze dwadzieścia minut, co, jak przypuszczam, także było elementem planu Rossa.

– Nie możesz jednak dowieść, że ten włóczęga to naprawdę był Ross.

– Miał na piersi cztery odznaczenia wojskowe.

– Wobec tego będziesz musiał przesłuchać mniej więcej dziesięć tysięcy podejrzanych.

– Od razu mogę skreślić dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy nie otrzymali Medalu Królowej za Odwagę.

– Ross nie popełniłby takiego błędu.

- I dlatego nie uważam, że to błąd. On chciał, żebym zauważył ten medal.
- To dlaczego od razu go nie aresztowałeś?
- Dlatego, że w tym momencie, ledwie o kilka stóp ode mnie, na jezdni wylądowało ciało Abbotta. Przyznaję, że przykuło moją uwagę.
- Wezwiesz go na przesłuchanie? – spytał Jastrząb.
- A po co? Ma gotowy zestaw odpowiedzi na każde pytanie i świetnie wie, że nie mamy żadnych dowodów, które udałoby się obronić przed sądem.
- Chcesz, żeby nadal był członkiem twojego zespołu i poszukiwał z wami Faulknera?
- Bez niego nie posunęlibyśmy się w tej sprawie nawet o krok – odparł William. – A już na pewno nie dotarlibyśmy dalej niż do gabinetu Faulknera.
- Jeżeli masz rację, jeżeli to naprawdę on zamordował Roacha, to lepiej dopilnuj, żeby był nieuzbrojony, gdy będziecie wkraczali do domu Faulknera. Czuję, że jest gotowy zabić go bez względu na to, ilu będzie świadków.

Drzwi otworzył mężczyzna znacznie od niego wyższy. Zanim założył ręce na piersi, na kłykciach obu zaciśniętych pięści dało się dostrzec tatuaż „HATE”.

- Co mogę dla pana zrobić? – odezwał się głos.
- Za plecami ochroniarza dostrzegł starszka o pomarszczonym obliczu, siedzącego za dębowym biurkiem w krytym skórą fotelu, który zdawał się go połykać.
- Chciałbym pożyczyć tysiąka, panie Sleeman – powiedział nieśmiało. Niepozorny dziadunio jakimś sposobem wydawał mu się jeszcze bardziej odrażający niż tępak strzegący drzwi.
- Po co? – spytał Sleeman, prawie nie poruszając cienkimi wargami.
- Chcę kupić samochód.
- Po co? – powtórzył.
- Dostałem ofertę pracy. Mógłbym zostać przedstawicielem handlowym firmy farmaceutycznej, tylko powiedziałem im, że mam samochód.
- A ma pan jakieś zabezpieczenie?
- No... samochód. Poza tym będę zarabiał dwieście funtów tygodniowo plus premia.
- Gdzie pan mieszka?
- W małym szeregowcu w Chelsea.
- Jest pan właścicielem?
- Nie, jeszcze nie.
- Jeszcze?

– Zostało mi szesnaście lat hipoteki.

– Będzie mi potrzebna karta pojazdu i umowa kredytu hipotecznego. Mój człowiek odbierze je wieczorem – powiedział Sleeman, ruchem głowy wskazując na ochroniarza wciąż stojącego przy drzwiach. – Jedno i drugie zwrócę, ale dopiero wtedy, gdy zwróci pan dług do ostatniego pensa. Z odsetkami, ma się rozumieć.

– A na jakich warunkach?

– Dam panu tysiąc funtów – odparł Sleeman – a w zamian oczekuję trzech rat po sześćset funtów, płatnych co miesiąc.

– Przecież to prawie sto procent zysku! – zaprotestował.

– Chce pan samochód? Takie są moje warunki. Wóz albo przewóz.

Wahał się na tyle długo, że Sleeman bez słowa otworzył kluczykiem szufladę biurka, wyjął pęk pięćdziesięciofuntowych banknotów i nawet ich nie przeliczając, popchnął je ku krawędzi biurka.

Mężczyzna przez chwilę spoglądał na pieniądze, a potem drżącą ręką sięgnął po nie i odwrócił się ku drzwiom.

– Zanim pan wyjdzie – odezwał się Sleeman – muszę uprzedzić, że mój poborca będzie się pojawiał pierwszego dnia miesiąca. Gdyby przyszło panu na myśl nie zapłacić bez zwłoki którejś z rat, nie będę przysyłał upomnień na piśmie. Poborca postara się, żeby pan więcej nie zapomniał o długu.

Mężczyzna wzdrygnął się, a wtedy jeden z banknotów wypadł mu z ręki i wylądował u stóp ochroniarza. Goryl schylił się, podniósł pięćdziesięciofuntówkę i oddał ją bez komentarza.

– Do zobaczenia pierwszego – rzucił po chwili, otwierając drzwi. – Lepiej, żebym pana zastał w domu.

– Na pewno będę – obiecał Ross.

## 25

– Możliwe, że osiągnąłem przełom w sprawie Sleemana – powiedział detektyw sierżant Adaja, siadając na krześle przed biurkiem Williama.

– Opowiadaj, Paul. – William odłożył długopis i usadowił się wygodniej w fotelu.

Paul podał mu przezroczystą torebkę na dowody zawierającą pojedynczy banknot pięćdziesięciofuntowy.

– Anonimowa osoba zostawiła to dla mnie w recepcji budynku.

– Domyślam się, że już kazałeś poszukać odcisków palców. Znalazłeś jakieś?

– Moje – przyznał Paul.

– Idiota. Czyjeś jeszcze?

– Maxa Sleemana.

– To już lepiej. A sądząc po twojej dumnej minie, zaraz usłyszę coś jeszcze bardziej zaskakującego.

– Leonida Wierienicza.

– Psychopaty, którego wyrzucili z rosyjskiej mafii, bo był zbyt brutalny?

– Właśnie tego.

– Zdawało mi się, że odsiaduje dożywocie w dreźnieńskim więzieniu.

– Odsiadywał, póki nie poznał niejakiego pułkownika Putina i nie stał się bardziej użyteczny na wolności – wyjaśnił Paul. – Nie rozumiem tylko, w jaki sposób przedostał się przez granicę.

– To chyba żaden wyczyn dla kogoś z takimi kontaktami, jakie posiada Sleeman, i to w obu półświatkach – odparł William. – Jak rozumiem, teraz wystarczy odnaleźć delikwenta.

– To nie takie proste. W Moskwie mówili na niego Szepcząca Śmierć.

– Ktokolwiek zostawił ten banknot w recepcji, musiał dobrze wiedzieć, gdzie go szukać.

– Tylko że nie mam pojęcia, kto to był.

– A ja mam – odparł William.

Ross jeszcze nigdy nie podróżował klasą biznes, ale jako że w ciągu ostatnich kilku nocy bardzo niewiele spał, a potrzebował być w pełni sił po dotarciu do Kapsztadu, mimo niechęci dopłacił do biletu. Spojrzał w niebo i dotknął obrączki, raz jeszcze dziękując w duchu Jo, o której prawie nie przestawał myśleć.

Wiedział, że ma tylko parę dni na przekazanie pani Pugh ostrzeżenia o grożącym jej niebezpieczeństwie, zwłaszcza że nadrzędnym celem pozostawały łowy na Milesa Faulknera. Gdyby Chórzysta wezwał go teraz na pomoc, musiałby rzucić wszystko i czym prędzej wrócić do Anglii. Oczywiście zakładając, że Chórzysta zdołałby go namierzyć.

Ułożył się w wygodnym fotelu, licząc na długi, nieprzerwany sen i ciesząc się w duchu, że sąsiednie miejsce jest wolne.

Steward właśnie miał zamykać drzwi samolotu, gdy na pokład wtoczył się niemal bez tchu otyły mężczyzna. Krocząc ciężko i dysząc, zerkał na numery siedzeń. Spoglądając w iluminator na oddalający się rękaw terminala, Ross liczył po cichu, że spóźniony pasażer go ominie, lecz w tym momencie skrzypnęła skóra i nieznajomy opadł ciężko na sąsiedni fotel, wciąż chciwie łapiąc powietrze.

– Ledwie zdążyłem – wysapał.

Ross zerknął na swego nowego sąsiada, który mógł swobodnie zrzucić kilkanaście funtów i nadal miałby sporą nadwagę. Doskonały kandydat na klienta „Koszmarnych Wakacji”, pomyślał.

Postanowił, że gdy tylko samolot osiągnie pułap przelotowy, rozłoży fotel, nakryje się kocem, zasłoni oczy i nie da znaku życia, póki steward nie zawoła: „Panie i panowie, proszę zapiąć pasy, podchodzimy do lądowania”.

– Czołem – powiedział towarzysz jego jedenastogodzinnej podróży, wyciągając rękę na powitanie. – Larry T. Holbrooke Trzeci. Co cię sprowadza do Kapsztadu, kolego?

Ostatnim, czego Ross teraz potrzebował, był gadatliwy Amerykanin, który co gorsza sprawiał wrażenie porządnie wyspanego. Przez chwilę zastanawiał się, co by się stało, gdyby odpowiedział zgodnie z prawdą: „Nadzieja, że powstrzymam pewnego nader nieprzyjemnego typu, który chciałby zamordować żonę, odziedziczyć jej fortunę oraz żyć długo i szczęśliwie”.

– Ross Hogan. Jadę na wakacje i mecz testowy krykieta – odpowiedział, ściskając dłoń Amerykanina. Te słowa jakby zatrzymały rozmowę, ale tylko na chwilę.

– Szczęściarz z ciebie. Ja lecę w interesach. Już nie pamiętam, kiedy byłem na wakacjach. Powiedz no, Ross, czym się zajmujesz?

Ross nie odpowiedział od razu. Gdy wstępował do SAS, podpisał dokumenty wymagane ustawą o tajemnicy wojskowej, nikomu więc nie mógł zdradzić, czym się zajmuje. Tego się trzymał, odkąd pracował w policji.

– Pracuję w biurze podróży. A ty? – spytał i od razu pożałował.

– Jestem brokerem finansowym, a specjalizuję się w egzekucji długów krótkoterminowych. Jeśli więc chciałbyś odzyskać od kogoś większą sumę pieniędzy, to jestem do usług.

Ross nagle przestał być senny.

– Jak to właściwie działa? – spytał, zapinając pas.

– Wyobraźmy sobie, że twoje biuro podróży ma problemy z płynnością finansową. Macie solidnych klientów, ale zwykle mija sześćdziesiąt, a może i dziewięćdziesiąt dni, zanim zapłacą za usługi, podczas gdy wy ponosicie koszt: wynajmu, płac i tak dalej. Otóż ja skupuję takie długi, a wtedy wy możecie dalej robić swoje, nie musząc martwić się chwilowymi brakami gotówki.

– Ale w jaki sposób zarabiasz? – zainteresował się Ross.

– Czekam sześćdziesiąt albo dziewięćdziesiąt dni, kasuję pełną kwotę długu, a następnie pobieram od was prowizję, czyli dwa do trzech procent, w zależności od tego, jak długo współpracujemy.

– A jeśli nasz klient nie zapłaci po dziewięćdziesięciu dniach? Przecież stracisz całą kwotę.

– Straciłbym i właśnie dlatego zajmuję się tylko firmami, które mają wysoki rating według Standard and Poor's. Mój biznes nie polega na ryzykowaniu, więc może nie robię na nim wielkich pieniędzy, ale całkiem nieźle stoję. Mój dziadek, który założył firmę, mawiał, że jeśli tylko potraktujesz ludzi uczciwie, to wrócą i dalej będą chcieli robić z tobą interesy.

– Larry... Mam pewien problem, z którym być może mógłbyś mi pomóc. Najpierw jednak muszę się do czegoś przyznać: nie pracuję w biurze podróży, a o tej porze roku nie rozgrywa się meczów testowych. Jestem detektywem inspektorem w Policji Metropolitalnej. – To rzekłszy, wyjął legitymację służbową, którą Larry obejrzał w skupieniu.

– Scotland Yard, jak Boga kocham! Z przyjemnością ci pomogę, detektywie, ale cóż takiego mogę zrobić, z czym nie poradziłaby sobie wasza niezawodna policja?

– Na początek mógłbyś mi doradzić, w jaki sposób się rozprawić z lichwiarzem, z którym twój dziadek z pewnością nie chciałby robić interesów.

– Czy będą panowie jedli obiad? – spytała stewardesa, podając im menu.

– Naturalnie – odpowiedział Larry.

– Ja też – dodał Ross.

– No dobra – rzekł Larry, gdy złożyli zamówienie. – Wprowadź mnie w sprawę, tylko powoli. Nie pomijaj żadnych szczegółów, choćby wydawały się nie wiem jak nieistotne.

Nie żałując czasu, Ross opowiedział mu o wszystkim, czego policja zdołała się dowiedzieć na temat Maxa Sleemana, jego współpracowników oraz metod, jakie stosowali, by mieć pewność, że ich klienci będą terminowo spłacać długi.

Zanim Larry T. Holbrooke Trzeci przedstawił swoją opinię, stewardesa zdążyła zabrać tace i podać kawę.

– Fascynujące – mruknął, wrzucając do filiżanki trzy kostki cukru. – Dwoma słowami odsłonięś piętę achillesową Sleemana, którą będziesz mógł wykorzystać.

– Jeśli tylko odgadnę, o które słowa chodzi.

Larry wyraźnie się ożywił.

– Ty masz w ręku łuk, detektywie, a ja mogę dostarczyć ci strzały.

– Detektywi potrzebują tropów – przypomniał mu Ross.

Larry pociągnął łyk kawy, zanim sięgnął do kołczanu po strzałę.

– Mówiłeś, że kiedy Sleeman ma odebrać pierwszą ratę w wysokości sześciuset funtów?

– Pierwszego, bez zwłoki.

– „Bez zwłoki”. Oto te dwa słowa, które musisz wykorzystać. Dzięki nim wiesz, gdzie i kiedy pojawi się poborca.

– Pory nie mogę być pewny – zaoponował Ross.

– Będziesz pierwszym klientem, którego odwiedzi tego ranka – stwierdził Larry, przyglądając się, jak steward dolewa im kawy.

– Skąd ta pewność?

– Pierwszą ratę zawsze najłatwiej odzyskać. Dopiero kolejne, gdy dłużnik popada w coraz większe i większe kłopoty, gdy nie jest w stanie zapłacić, choćby chciał... to wtedy zaczynają się prawdziwe problemy. Ja zawsze daję klientom kilka dni swobody, ale to dlatego, że nie interesuje mnie jednorazowa współpraca. Inaczej jest ze Sleemanami tego świata, działającymi w branży gróźb i nieprzekraczalnych terminów. Musisz więc w wyznaczonym dniu czekać

na poborcę z sześcioma setkami w ręku. Zapłać, a będziesz na dobrej drodze do szczęśliwego finału.

– Wiem, że zaraz mi wyjaśnisz dlaczego – powiedział Ross.

– Nie zapominaj, w jaki sposób on spędzi resztę dnia: będzie zbierał pieniądze od mniej skłonnych do współpracy klientów. I możesz być pewny, że najbardziej opornego zostawi sobie na koniec. Mam przeczucie, że będziesz chciał być w pobliżu, gdy złoży mu wizytę.

– Ależ ze mnie osioł – mruknął Ross.

– Ależ skąd. Robię w tym biznesie od ponad trzydziestu lat i los zetknął mnie nie raz z kanciarzami równie bezlitosnymi jak ten twój Sleeman. Pewnie ucieszy cię wiadomość, że tacy jak on zwykle umierają w samotności i nikt nie przychodzi na ich pogrzeby.

– A jeśli nie dopisze mi szczęście?

– Wtedy musisz być gotowy na kolejną próbę, pierwszego dnia następnego miesiąca.

Ross zastanawiał się już, gdzie będzie mógł zaparkować. I w jaki sposób...

– Jeszcze jedno pytanie, zanim spróbuję złapać parę godzin snu – przerwał mu rozmyślenia Larry, gdy steward zabrał mu filiżankę po kawie i złożył stół.

– Jak bardzo niedawno straciłeś żonę?

Ross był tak zaskoczony, że potrzebował chwili, by się pozbierać i odpowiedzieć.

– Kilka tygodni temu. Skąd wiedziałeś?

– Ja straciłem Marthę sześć lat temu – odparł Larry – i nadal nie przestaję dotykać obrączki. Nie słuchaj pocieszeń, że z czasem będzie łatwiej. Nie będzie. Gdyby było, nie miałbym pięćdziesięciu funtów nadwagi i nie spędzałbym życia w samolotach. – To rzekłszy, rozłożył fotel, naciągnął koc aż pod brodę i zamknął oczy.

– Dziękuję – powiedział Ross, ciesząc się w duchu, że ten bystry i przyzwoity człowiek zajął miejsce właśnie obok niego.

– Dowódca ochrony lotniska Heathrow na linii pierwszej, szefie – zameldował Paul.

William podniósł słuchawkę i usłyszał znajomy głos.

– Dzień dobry, sir. Mówi Geoff Duffield. Prosił pan, żebym dał znać, gdy detektyw inspektor Ross Hogan zarezerwuje sobie bilet na lot międzynarodowy.

– Zamieniam się w słuch – odparł William.



– Otóż zarezerwowałam i wczoraj o dwudziestej pierwszej trzydzieści wszedłam na pokład samolotu. Lot BA027 do Kapsztadu. Mam potwierdzenie, że wylądowałam na miejscu dziś rano o dziewiątej czasu lokalnego.

– Dziękuję – powiedział William. – Zaplanowałam też powrót?

– Jeszcze nie, sir. Ale to bilet otwarty. Dam znać, gdy tylko dokonam nowej rezerwacji.

– Wróci przed końcem tygodnia – stwierdził William, niczego nie wyjaśniając.

## 26

– Czy byłby pan łaskaw podpisać się w księdze gości, sir? – zapytała recepcjonistka, odwracając wielki, oprawiony w skórę wolumin. W tej samej chwili zadzwonił telefon na kontuarze, więc sięgnęła po słuchawkę i dodała: – Dzień dobry, tu hotel Mount Nelson, czym mogę służyć?

Ross zaczął przeglądać wpisy na ostatnich stronicach, szukając państwa Pugh. Wiedział, że planowali zameldować się w hotelu na początku tygodnia.

– Mogę jakoś pomóc? – spytała recepcjonistka, gdy odłożywszy słuchawkę, zauważyła, że Ross wpatruje się w jeden z wpisów w księdze gości.

– Owszem – odparł bez zająknięcia. – Właśnie sprawdzałem, czy przyjechał już mój przyjaciel, Larry T. Holbrooke Trzeci.

– Niestety, nie mamy obecnie gościa o takim nazwisku – odpowiedziała uprzejmie recepcjonistka. Ross wyglądał na lekko rozczarowanego, gdy podała mu masywny metalowy klucz. – Pokój trzydzieści trzy, trzecie piętro. Bagażowy zajmie się pańską walizką. Życzę przyjemnego pobytu.

Ross nie miał w planach niczego przyjemnego.

– Dziękuję – powiedział i ruszył w stronę windy śladem bagażowego. Po drodze zerknął na wiszące na ścianie zdjęcie Winstona Churchilla, siedzącego na hotelowej werandzie z cygarem i dużym kieliszkiem brandy.

Dotarłszy na trzecie piętro, podążył za swym przewodnikiem szerokim korytarzem wyłożonym grubą, miękką wykładziną. Tu ściany zdobiły fotografie w sepii przedstawiające królową matkę, Jana Smutsa i Cecila Rhodesa, a przypominające o dawnych latach świetności hotelu, z którymi najwyraźniej ciężko mu było się pożegnać. Bagażowy otworzył drzwi pokoju numer 33, wszedł do środka i ustawił walizkę na stojaku przy łóżku. Ross podziękował i wręczył mu napiwek.

Potem podszedł do wielkiego okna i przez chwilę w zachwycie podziwiał panoramiczny widok na Górę Stołową, okoloną białymi chmurkami niczym puchową kołdrą. Odwrócił się wreszcie, spojrzął na królewskie łożo i mimowolnie znowu pomyślał o Jo. Zrzucił marynarkę i położył się tylko po to,

żeby sprawdzić, czy materac jest wygodny, ale gdy przymknął powieki, natychmiast zapadł w głęboki sen.

– To do ciebie, szefie – szepnął Paul, podając mu słuchawkę. – Niejaki porucznik Sanchez, dzwoni z Barcelony.

– Cześć, Juan – powiedział William. – Jakież postępy?

– Owszem. Moja żona znowu jest w ciąży. Mamy nadzieję, że tym razem będzie chłopiec.

– Gratuluję – odparł ze śmiechem William – ale nie całkiem o to mi chodziło.

– W wiadomej sprawie też mam dobre nowiny – poinformował go Sanchez. – Po tym, jak komendant Hawksby zadzwonił do mojego szefa, kolejny etap operacji „Arcydzieło” otrzymał jego błogosławieństwo, choć z kilkoma zastrzeżeniami.

– Znamy już datę akcji? – spytał William.

– Zaczynamy w najbliższą niedzielę. Myślę, że dłużej nie możecie zwlekać. Będziemy musieli spotkać się nieco wcześniej, żeby dogadać szczegóły. Mógłbym przylecieć do Londynu w środę, jeśli to ci pasuje.

– Doskonale – odparł William, zajrzawszy do kalendarza. – Gdzie zamierzasz nocować?

– Miałem nadzieję, że polecisz mi niedrogi hotel w pobliżu Scotland Yardu.

– Londyn raczej nie słynie z niedrogich hoteli. A może chciałbyś zatrzymać się u mnie? Będziesz miał okazję poznać Beth i bliźniaki.

– Dziękuję – odrzekł Juan – ale czy nie byłoby to...

– Zatem ustalone. Zadzwonź do mnie z recepcji, gdy tylko dotrzesz do Scotland Yardu. – William odłożył słuchawkę, spojrzął na siedzącą w kącie Jackie i dodał: – Znajdź mi inspektora Hogana. Będzie mi potrzebny na odprawie z porucznikiem Sanchezem, w czwartek o dziewiątej rano. Bez niego stracimy czas.

– Ale gdzie go szukać? – spytała Jackie. – Wiem tylko, że nie ma go w domu.

– Sprawdź w kapsztadzkiem hotelu, w którym zatrzymali się państwo Pugh.

– Znasz może jego nazwę?

– Nie, detektyw Roycroft. Pomyślałem nieśmiało, że może zostawię ci coś do zrobienia.

Ross ocknął się z bardzo realistycznego snu i stwierdził, że nadal ma na sobie ubranie. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie właściwie jest. Spojrzął na zegarek. Była 18.18. Pora wrzucić pierwszy bieg, pomyślał. Zwłóknął się z posłania,

rozebrał się i rzucił ubranie na krzesło, po czym zamknął się w łazience i wziął długi prysznic.

Strumienie zimnej wody skutecznie przywróciły go do życia, a nawet pomogły wrzucić drugi bieg, co przejawiało się dopracowaniem wstępnego planu działania. Gdy wychodził spod prysznica, trąc ciało ręcznikiem, działał już na trzecim biegu, ale nadal nie rozgryzł kluczowego szczegółu: jak zaaranżować spotkanie z panią Amy Pugh w taki sposób, żeby jej mąż nie zorientował się, co się święci.

Gdyby mógł spędzić z nią choć kilka minut sam na sam, sprzedałby jej starannie przygotowaną historyjkę: jest agentem ubezpieczeniowym i czuje się zobowiązany powiadomić ją, że czcigodny małżonek wykupił polisę na jej życie wartą okrągły milion funtów. Następnie spytałby, czy są jej znane okoliczności śmierci jego pierwszej żony. Gdyby odpowiedziała twierdząco, zadałby kolejne pytanie, a jeśli nie, wyrecytowałby kolejny świetnie skomponowany tekst.

Włożył świeżą białą koszulę, krawat klubu golfowego oraz garnitur, w którym wyglądał jak ktoś, kto czuje się jak w domu w pięciogwiazdkowym hotelu, a nie w pustym, ciemnym zaułku. Wkładając do kieszeni klucz i kierując się ku hotelowej restauracji, działał już na najwyższych obrotach.

Niewykłuczone, że przyszło mu zatrzymać się w przybytku o nieco prowincjonalnym charakterze – Jo powiedziałaaby pewnie, że uroczym – ale gdy tylko wkroczył do sali Nelsona, wystarczyło mu jedno spojrzenie na jej kierownika i już wiedział, że trafił na absolutnego profesjonalistę.

– Mogę spytać o numer pokoju, sir? – odezwał się wysoki, szczupły mężczyzna w długim fraku i prążkowanych spodniach.

– Trzydzieści trzy – odpowiedział Ross. Rozglądał się przez moment, nim zatrzymał wzrok na parze siedzącej w przytulnej łoży na końcu restauracji. Stolik po jej lewej stronie był zajęty; po prawej – wolny.

Kierownik sali przerwał mu rozmyślenia.

– Będzie pan jadł kolację w pojedynkę, sir, czy ktoś do pana dołączy?

– Będę tu sam przez najbliższe dwa dni. Zastanawiam się, czy mógłbym zająć tę łożę przy oknie.

Kierownik spojrzał na listę.

– Niestety, sir, jest już zarezerwowana na ten wieczór.

Ross wyjął portfel, wybrał banknot pięćdziesięciorandowy i położył go na liście rezerwacji.

– Proszę za mną, sir – powiedział kierownik sali, uśmiechając się niemal serdecznie.

Nie ma w nim nic prowincjonalnego ani uroczego, pomyślał Ross, podziwiając, jak jego rozmówca chowa banknot do kieszeni ze zręcznością Jimmy'ego kieszonkowca.

Idąc za nim ku łożu, zgarnął z małego stolika egzemplarz „New York Timesa”. Usiadł plecami do państwa Pugh, rozłożył gazetę i zaczął czytać. Gdyby z jakiegoś powodu spojrzeli w jego stronę, odruchowo uznaliby go za Amerykanina. Odchylił się nieco do tyłu i choć rozumiał tylko niektóre słowa padające z ust pani Pugh, świetnie słyszał niemal każde zdanie jej małżonka.

Przy stoliku zatrzymał się sommelier z kartą win.

– Czy mogę coś panu zaproponować, sir, zanim złoży pan zamówienie?

Ross przyjrzał się długiej liście nazw. Pamiętał, jak Jo opowiadała mu, że południowoafrykańskie winnice produkują teraz trunki ustępujące jakością jedynie francuskim, choć oczywiście żaden Francuz nie zgodziłby się z tą opinią. Karta win potwierdziła jeszcze jedno jej spostrzeżenie: rzeczywiście, tutejsze produkty były znacznie tańsze od francuskich. Zdecydował się na pół butelki Malbec z Prowincji Przylądkowej Zachodniej, a gdy kelner się oddalił, wyjął z wewnętrznej kieszeni papierośnicę i położył ją na stoliku.

„W Genewie początek rozmów pokojowych między Irakiem a Iranem”, głosił nagłówek na pierwszej stronie gazety. Ross zapewne przeczytałby artykuł z wielkim zainteresowaniem, gdyby nie to, że bardzo się starał usłyszeć, o czym rozmawia para przy sąsiednim stole.

– Zdecydował się pan? – zapytał nieśmiało kelner, który od dłuższej chwili czekał z otwartym notesem i długopisem w dłoni.

– Proszę o zupę jarzynową, a potem rumsztyk, średnio wysmażony.

Spojrzał na krzesło po drugiej stronie stolika. Nikt na nim nie siedział.

Odczekał chwilę, aż kelner się oddali, po czym otworzył papierośnicę i ustawił ukryte w niej lustro w taki sposób, by doskonale widzieć twarz pana Pugh oraz, niestety, jedynie tył głowy jego żony. Firma NP z przyjemnością odstąpiła mu tę błyskotkę, pierwotnie zamówioną przez innego klienta za sumę, której pozazdrościłby Cartier.

Widać było, że Pugh stara się grać przed swą nową wybranką rolę troskliwego męża. Z nieruchomym uśmiechem na ustach udawał, że słucha z wielkim zainteresowaniem jej opowieści, którą zapewne słyszał już kilka razy.

Sommelier przyniósł wino, Ross więc na chwilę zatrzasnął papierośnicę, ale nie przestał nasłuchiwać rozmowy toczącej się po sąsiedzku. Kelner otworzył tymczasem butelkę i nalał odrobinę do kieliszka.

– Wyborne – pochwalił Ross i dopiero wtedy sommelier napełnił szkło.

Z kolumny sportowej dowiedział się, że Yankees pokonali Oakland Athletics, ale bardziej interesowało go to, co widział w lusterku: państwo Pugh właśnie skończyli posiłek. Właściwie jedynym przydatnym okrucichem informacji, który dotąd zdobył, była wzmianka o tym, że Clive Pugh wybiera się z samego rana do banku, wcześniej bowiem przekonał żonę, iż powinni otworzyć wspólny rachunek. Język ciała kobiety wskazywał jasno, że niezbyt entuzjastycznie odnosi się do tego pomysłu. Ross przypomniał sobie ostatnie zebranie zespołu, w którym uczestniczył: Jackie wspominała, że jeśli kilka niezapłaconych rachunków może być jakimś wskaźnikiem, to Clive'owi Pugh najprawdopodobniej w szybkim tempie kończą się pieniądze.

Troskliwy mąż zapewnił żonę, że wróci do niej koło dwunastej, a potem, jak to wspólnie zaplanowali, pojedą kolejką linową na szczyt Góry Stołowej. Zamierzali zjeść lunch w tamtejszej kawiarni, bardziej znanej z fantastycznych widoków niż z oferty dań.

Ross musiał zdecydować, czy wykorzysta nieobecność pana Pugh i spróbuje się spotkać z jego żoną, czy może podąży za nim do banku w nadziei, że dowie się, jak ciężka jest jego sytuacja finansowa.

Państwo Pugh wstali od stołu, a Ross schował papierośnicę do kieszeni i spokojnie czytał gazetę, póki nie opuścili restauracji. Potem odczekał jeszcze kilka minut, zanim wyszedł. Mijając kierownika sali, wsunął mu do kieszeni kolejny banknot pięćdziesięciorandowy – nie za wykonane usługi, ale za te, których mógł potrzebować w najbliższym czasie.

– Jest w Kapsztadzie – powiedział William.

– I co tam robi? – spytał komendant.

– Obstawiam, że ma na oku pana i panią Pugh. Zapewne chce ostrzec zakochaną pannę młodą przed panem młodym i jego długoterminowymi planami względem niej, zanim będzie za późno. Wierzę jednak, że zdąży wrócić na czas i zobaczymy go podczas czwartkowego spotkania z Sanchezem.

– Dlaczego?

– Dlatego, że pierwszego września ma spotkanie, na które nie może się spóźnić.

– Z kim?

– Z poborcą zatrudnionym przez Maxa Sleemana, Leonidem Wierieniczem, który, jak zapewnia mnie Paul, zawsze rozpoczyna pracę pierwszego dnia miesiąca od wizyty u najświeższych klientów.

– Zatem Ross będzie na niego czekał. Ale jak sądzisz, jaki ma plan? Szepcząca Śmierć nie należy do ludzi, których chciałoby się spotkać, jeśli tylko można tego uniknąć.

– Nie mam pojęcia, sir, ale zamierzam pokrzyżować Rossowi plany, zanim sprawi, że będę musiał go aresztować.

– Będzie się ciebie spodziewał.

– Mam nadzieję, że skupi się na wizycie Wierienicza tak bardzo, iż zdołam go zaskoczyć.

– Nie licz na to, Williamie – odparł Jastrząb. – Od śmierci żony Ross jest jak opętany. Najpierw Abbott i Roach, teraz Pugh, potem Sleeman, więc pewnie wzięł na celownik i Darrena Cartera. Kiedy to wszystko się skończy?

– Obstawiam, sir, że gdy dopadnie Milesa Faulknera.

Ross obudził się następnego ranka o piątej czasu londyńskiego i szybko zorientował się, że w Kapsztadzie jest już siódma. Na podjęcie decyzji zostało mu niewiele czasu.

Był jednym z pierwszych, którzy zeszli do restauracji na śniadanie. Postanowił zająć miejsce w innym kącie sali, by zredukować do minimum ryzyko, iż państwo Pugh przypomną sobie, że widzieli go poprzedniego dnia.

Podobnie jak Jimmy kieszonkowiec, Ross zaczął dzień od bardzo solidnego śniadania. Po misce owsianki przyszła kolej na soloną rybę lekko podpieczoną na ruszcie, której nie powstydzilyby się nawet kuchnie szkockich hoteli.

Czekając na młodą parę, zajął się lekturą londyńskiego „Timesa” z poprzedniego dnia.

Na stronie trzeciej, pod zdjęciem Chórzysty, znalazł długi artykuł, który go zaniepokoił. „Oto funkcjonariusz policji, który rzucił na kolana dwa najgroźniejsze gangi londyńskiego East Endu: Roachów i Abbottów”, poinformował czytelników autor rubryki kryminalnej. Ross poczuł ulgę, gdy się przekonał, że artykuł ni słowem nie wspomina o tajemniczym włóczędźce z wózkiem, którego widziano w samym środku ulicznej rozróby. Reporter podsumował, iż „była to wewnętrzna wojna między dwoma rywalizującymi gangami z East Endu, w której nie uczestniczył nikt inny”. Ross bardzo wątpił, by William podzielał tę opinię w raporcie, który niewątpliwie złożył Jastrzębiowi.

Właśnie przyszło mu na myśl, że być może zakochana para postanowiła zjeść śniadanie w pokoju, gdy do restauracji wszedł Clive Pugh. Zasiadł przy tym samym stoliku, co poprzedniego wieczoru. I on zamówił rybę, zanim pochłoneła go lektura „Financial Timesa”, lecz nawet gdy dotarł do rubryki poświęconej kursom akcji, jego żona nie pojawiła się na horyzoncie. Jeżeli nie zamierzała jeść śniadania, dylemat Rossa, czy powinien śledzić pana młodego, rozstrzygnąłby się automatycznie.

Pugh wreszcie wstał od stołu, wyszedł z sali i po krótkiej rozmowie z recepcjonistką w holu głównym opuścił hotel. Ross trzymał się w miarę blisko.



Żadna praca nie cieszyła go tak, jak bycie tajnym agentem, a śledzenie tego konkretnego obiektu nie nastęczało wielkich trudności. Pugh miał na sobie granatową marynarkę, kremową koszulę rozpiętą pod szyją oraz porządnie wyprasowane, szare spodnie z flaneli, tak naprawdę wyróżniała go z tłumu biała panama na głowie. Jo powiedziała kiedyś Rossowi, że jakość takich kapeluszy ocenia się po tym, jak drobny jest ich splot – dzięki temu wiedziała, czy klienta będzie na nią stać. Odrzekł jej wtedy, że w ogóle nie ma kapelusza. Teraz zaś, ubrany w szary T-shirt bez logo, dżinsy i sportowe buty, bez trudu wtapiał się w strumień przechodniów na ruchliwych ulicach w centrum miasta.

Pilnował jednak, by nie zbliżyć się zanadto do śledzonego. Może i podążał za amatorem, ale nie mógł sobie pozwolić, by Pugh go zauważył i zapamiętał – zwłaszcza jeśli wieczorem znowu mieli usiąść przy sąsiednich stolikach.

Pierwszym sklepem, do którego zaszedł pan młody, była apteka, ale spędził tam ledwie kilka chwil. Przeszli jeszcze jedną przecznicę, gdy zatrzymał się po raz drugi, tym razem przy markowym domu towarowym. Ross podążył za nim do środka i wprawnie trzymał się w pobliżu, udając zainteresowanie jedwabnym fulariem, gdy sprzedawca na stoisku tytoniowym prezentował panu Pugh pudełko cygar Montecristo.

– Wezmę dwa opakowania – zdecydował Pugh, podając kartę kredytową.

Parę minut później zażenowany sprzedawca zwrócił mu ją i wyszeptał kilka słów, których Ross nie usłyszał.

– To chyba jakaś pomyłka – odpowiedział gniewnie pan młody. – Proszę zadzwonić do banku.

Sprzedawca spełnił jego życzenie, lecz gdy odłożył słuchawkę, wyglądał na jeszcze bardziej zakłopotanego. Pudełka cygar odłożył z powrotem na półkę.

Pugh, czerwony na twarzy, odwrócił się na pięcie i odmaszerował w stronę najbliższego wyjścia. Ross podążył za nim.

– Przepraszam pana! – zawołała młoda kobieta, biegnąc za nim. – Kupuje pan ten fular?

Równie zawstydzony Ross potulnie zwrócił towar. Na szczęście Pugh zdążył już wyjść ze sklepu.

Wybiegłszy na chodnik, Hogan bez trudu wypatrzył białą panamę sunącą w tłumie po drugiej stronie ulicy. Niemal dogonił Pugh, nim doszli do oddziału Cape Banku, gdzie oburzony pan młody natychmiast podszedł do najbliższego dysponenta.

– Chcę rozmawiać z menedżerem – zażądał podniesionym głosem. – I to natychmiast.

Ross zatrzymał się przy kontuarze po przeciwległej stronie sali operacyjnej, wyjął długopis i zaczął wypełniać wniosek o otwarcie rachunku oszczędnościowego. Obaj niecierpliwie czekali.

Po dłuższej chwili zjawiał się rosły, dobrze ubrany mężczyzna. Nie miał problemów ze zidentyfikowaniem niezadowolonego klienta, który domagał się spotkania.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał uprzejmie.

– Pan tu jest menedżerem? – odpowiedział pytaniem Pugh, jakby zaskoczony.

– Tak jest. Moje nazwisko Joubert. – Wyciągnął rękę na powitanie, ale nie doczekała się uścisku.

– A ja nazywam się Clive Pugh. Pański bank upokorzył mnie przed chwilą, i to bardzo.

– Przykro mi to słyszeć, proszę pana – odparł spokojnie Joubert. – Może chciałby pan omówić tę sprawę w zaciszu mojego gabinetu?

– Niech pan nawet nie próbuje traktować mnie z góry, Joubert. Żądam wyjaśnienia, dlaczego moja karta kredytowa została odrzucona.

– Jest pan pewny, że o takiej sprawie nie byłoby lepiej rozmawiać w moim gabinecie?

– Tu nie ma żadnej „takiej sprawy” – odparował Pugh, niemal krzyżąc. – Domagam się wyjaśnień oraz przeprosin. To minimum, którego oczekuję, jeśli chce pan utrzymać posadę.

Ross zauważył, że nie jest już jedyną osobą w sali z zainteresowaniem śledzącą przebieg starcia między klientem a bankowcem.

– Obawiam się – odparł Joubert niemal szeptem, choć i tak wszyscy słyszeli jego słowa – że limit debetowy na pańskim rachunku został mocno przekroczony, więc nie było wyboru...

– Wobec tego i ja nie mam wyboru – wpadł mu w słowo Pugh. – Przenoszę rachunek do innego banku. Spodziewam się, że przygotuje pan niezbędne papiery, zanim jutro tu wrócę.

– Jak pan sobie życzy, sir. Wolno spytać o dogodną dla pana godzinę?

– Dogodna będzie ta, która będzie mi pasowała – odparował Pugh. – Widzę jak na dłoni, że wy tu, chłopcy, nie jesteście jeszcze gotowi do wykonywania męskiej roboty.

Ross omal nie złamał kolejnej złotej zasady swego fachu; brała go wielka chęć znokautować typa, którego miał jedynie śledzić. I może nawet by to zrobił, gdyby nie to, że pan Pugh odwrócił się gwałtownie i odmaszerował.

Ross podążył za nim na ulicę, ale odpuścił sobie dalsze podchody, gdy stało się jasne, że Pugh wraca do hotelu. Nie mógł się doczekać, jaką wersję tego zdarzenia usłyszy podczas kolacji.

– Jeśli Ross nie wróci na jutrzejsze spotkanie – rzekł Juan, gdy po kolacji usiedli we troje przy kuchennym stole i odkorkowali drugą butelkę wina – to będę musiał odwołać całą operację. Bez niego nie dotrzemy nawet do frontowych drzwi rezydencji Faulknera.

– Wróci na czas – uspokoił go William, choć wcale nie był tego taki pewny.

– Miejmy nadzieję – westchnął Juan – bo szef nie pozwoli mi czekać w nieskończoność, aż Ross się pojawi. Już słyszę to jego marudzenie, że mamy dość pracy z własnymi przestępcami.

– Jakbym słyszała Jastrzębia – wtrąciła Beth.

– Są z jednej gliny – przyznał Juan – jeśli można tak powiedzieć w waszej mowie.

– Skąd tak dobrze znasz angielski, Juan? – zapytała.

– Mama wyszła za Walińczyka, a on przegrał rzut monetą. Mieszka w Hiszpanii, ale nadal uważa, że jedynym świętym jest Dawid, jedynym kwiatem żonkil, a jedynym sportem rugby.

Beth uśmiechnęła się i spytała niewinnie:

– Czy jeśli Ross zdąży na poranne spotkanie, to William znowu będzie musiał lecieć do Barcelony?

– A skąd ta myśl, że kiedykolwiek byłem w Barcelonie? – spytał William, szczerząc zęby.

– Pierwszą poszlaką był bilet lotniczy, drugą pesety w twoim portfelu, a trzecią i rozstrzygającą jest fakt, że Juan się dziś u nas zatrzymał.

– Nie zwracaj na nią uwagi – poradził William scenicznym szeptem.

– Jeśli czujesz, że nie możesz mi odpowiedzieć – rzekła Beth, dolewając gościowi wina – to może spytam po prostu, czy miałeś okazję podziwiać z bliska *Rybaków*.

– Podchwytliwe pytanie – wtrącił znowu William. – Beth próbuje wyciągnąć od ciebie informacje, nie ujawniając przy tym, jak niewiele sama wie. Ignoruj, jak mówię, to w końcu się podda.

– Owszem, miałem okazję – przyznał Juan. – Niestety, coś odwróciło moją uwagę i nie mogłem przyjrzeć się obrazowi zbyt dobrze.

– Coś czy niedoszły właściciel? – nie odpuszczała Beth.

Obaj mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę

– Powiedzmy tylko – odrzekł w końcu William – że Faulkner miał jeszcze mniej czasu na podziwianie obrazu niż Juan. I niestety wątpię, by którekolwiek z nas miało jeszcze okazję go zobaczyć.

– Chyba że wy dwaj, pomysłowi dżentelmeni, zdołacie aresztować Faulknera i wsadzić go z powrotem za kratki, gdzie jego miejsce. W takim wypadku, z pomocą mojej bliskiej przyjaciółki Christiny, Fitzmolean być może zdobędzie to arcydzieło, a wy będziecie mogli zajrzeć na wystawę i podziwiać je, nie obawiając się, że ktoś znowu wam w tym przeszkodzi. – Juan i William milczeli, lecz Beth nie dawała za wygraną. – Gdyby tak się skończyła ta sprawa, może odkupilibyście swoje winy... to przez was muzeum nie wypożyczy *Grającego na flecie* Fransa Halsa, który to obraz, nawiasem mówiąc, pewnie wisiał w tym samym domu.

– Bystra kobieta z tej twojej żony – skomentował Juan.

– Nawet nie wiesz jak bardzo – odparł William. – A poza tym zaczekaj do śniadania, wtedy poznasz Artemisję.

Telefon zadzwonił, gdy William szedł po schodach na górę, żeby się położyć. Chwilę później słuchawka rozbrzmiała charakterystycznym bostońskim akcentem Jamesa Buchanana.

– Zastosowałem się do pańskiej rady – oznajmił młodzieniec, nie tracąc czasu na zbędny wstęp. – Zameldowałem dyrektorowi o tym, czego się dowiedziałem. Obiecał, że przyjrzy się sprawie.

– I zrobił to? – spytał William.

– Najwyraźniej nie, bo mój przyjaciel dostał w kampusie pokój w tym samym korytarzu co ja.

– Jestem pewny, że masz już przekonującą teorię na temat tego, dlaczego twoje ustalenia zostały zignorowane.

– Owszem, przekonujące, ale poszlakowe. Nie do obrony w sądzie.

– Ja to ocenię – stwierdził William.

– Otóż ktoś z mojej klasy, kto powinien był trafić do Harvardu, poległ haniebnie.

– To żaden dowód, chyba że ów kolega wyzna prawdę przed dyrektorem, a na dodatek przedstawi co najmniej dwóch świadków.

– Po drugie, ojciec mojego przyjaciela był prezesem komitetu finansowego w Choate, który zanotował rekordowe wpływy za ostatni rok.

– To także nie dowód, ale być może dodatkowy motyw.

– Ponadto przebywał w Choate i Harvardzie w tym samym czasie co dyrektor.

– Podobnie jak wiele innych osób, jak przypuszczam – odparł lekceważąco William.

– Mówi pan zupełnie jak mój dyrektor – zauważył James – który, gdy go wreszcie spytałem, jaką podjął decyzję, odpowiedział po prostu: „Nie widzę żadnych przekonujących dowodów na potwierdzenie twoich oskarżeń, Buchanan”.

– I miał rację – odparł drwiąco William. – Wyznam, że bardzo mnie ciekawi, jak skończy twój przyjaciel.

– Zapewne w więzieniu, razem z pańskim – odparował James.

– Ty zaś zyskałeś bezcenną wiedzę o tym, jak ważne jest gromadzenie niepodważalnych dowodów, zanim zgłosisz komukolwiek, że jest problem. To lekcja, która bardzo ci się przyda, jeśli nadal wolałbyś być dyrektorem FBI, a nie prezesem Pilgrim Line.

– Prezesem jest teraz mój ojciec – odparł James i po krótkiej pauzie dodał: – Ale już nie takim jak dziadek.

Gdy skończyli rozmowę i William odłożył słuchawkę, rozważał te słowa jeszcze przez dłuższą chwilę.

Ross siedział już na swoim miejscu, pogrążony w lekturze „New York Timesa”, gdy państwo Pugh weszli do restauracji. Jak zawsze uczynny kierownik sali odprowadził ich do tego samego stolika. Pugh nie dawał żonie spokoju, raz po raz dorzucając gniewne komentarze o tym, co rankiem wydarzyło się w banku, ona zaś, jak się wydawało, słuchała go ze współczuciem. Ross zwrócił uwagę, że pośród lamentów o odrzuconej transakcji nie padło ani jedno słowo o tym, iż chodziło o zakup dwóch opakowań cygar Montecristo.

Po chwili Pugh wrócił znowu do przekonywania żony do zalet posiadania wspólnego rachunku bankowego. Pojedyncze słowa, które udało się Rossowi wychwycić, upewniły go, że pomysł ten nadal nie napawa jej szczególnym entuzjazmem. Gdy usłyszała, że małżonek planuje z samego rana wrócić do banku, żeby zamknąć konto, więc przy okazji mógłby otworzyć nowe, wspólne, jedynie pokiwała głową, ale powstrzymała się od komentarza.

Ross już wcześniej postanowił, że jeśli Pugh uda się rano do banku, pozostanie w hotelu w nadziei, że uda mu się zatrzymać panią Pugh choć na kilka minut i, jak się wyraża komendant, oświecić ją.

Rozmowa przy sąsiednim stoliku toczyła się teraz na temat planowanego wyjścia do teatru. Pugh potwierdził, że hotel zakupił dla nich bilety w pierwszym rzędzie na jutrzejszy spektakl *Nędzników*. Jego małżonka

wydawała się uradowana i choć Ross słyszał tylko pojedyncze słowa, to śmiechy i brzęk szkła wskazywały, że nastrój nowożeńców wyraźnie się poprawił. Złożywszy u kelnera zamówienie, Pugh nachylił się nad stołem i scenicznym szeptem powiedział coś, co mocno zaskoczyło Rossa:

– Kochanie, peruczka ci się przekrzywiła.

Pani Pugh wstała bez zbędnego pośpiechu i odpowiedziała:

– Zaraz wracam, skarbie.

Ross poruszył lusterkiem w papierośnicy w samą porę, by zobaczyć, że pan Pugh wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki metalowe etui na cygaro. Było to o tyle dziwne, że nie podano jeszcze głównego dania.

Pugh rozkręcił etui, wyjął cygaro i położył je przed sobą na stoliku. Rozejrzał się dyskretnie po dość zatłoczonej sali, a następnie przechylił otwarty pojemnik i wsypał zeń biały proszek wprost do swego kieliszka z winem. Zamieszał trunek trzonkiem widelca, po czym na powrót schował cygaro do etui i włożył je do kieszeni. Rozejrzał się po raz drugi i... zamienił kieliszek żony na swój. Cała operacja nie zajęła mu nawet minuty.

Ross skinął na szefa sali, który właśnie prowadził do stolika kolejnych gości. Pospiesznie napisał kilka słów na odwrocie menu i przycisnął palec do ust, spoglądając nadchodzącemu kierownikowi w oczy. Szef sali przeczytał wiadomość i jak gdyby nigdy nic podszedł do stolika, przy którym siedział pan Pugh, w napięciu wpatrzony w otwarte drzwi restauracji.

– Przepraszam, że przeszkadzam, sir – powiedział – ale ktoś dzwoni do pana z zagranicy. Czeka na linii. Czy zechce pan odebrać w recepcji?

– Kto dzwoni? Podał nazwisko? – spytał Pugh.

– Nie, sir, ale to kobieta. Powiedziała, że sprawa jest pilna.

Pugh wstał pośpiesznie i niemal wybiegł z restauracji. Gdy tylko zniknął za progiem, Ross upuścił na podłogę swego „New York Timesa”. Sięgnął po gazetę, a gdy się podnosił, na powrót zamienił kieliszki państwa Pugh ruchem tak zręcznym, że nawet Jimmy kieszonkowiec byłby pod wrażeniem.

Spokojnie szedł w stronę baru, gdy minął go wyraźnie rozdrażniony Pugh. Ledwie zdążył usiąść przy stoliku, wróciła jego wybranka. Ross zajął hoker przy końcu baru, zamówił kawę i znowu pochylił się nad gazetą. Zerknął ukradkiem, gdy pan Pugh unosił kieliszek w toaście, na który jego żona zareagowała nader radośnie. On wypił do dna, ona tylko umoczyła usta, a zaraz potem kelner ustawił przed nimi dania główne.

Pugh zdążył jeszcze podnieść nóż i widelec, nim jego twarz stała się blada jak popiół. Zaraz potem dostał drgawek i padł na stolik, tocząc pianę z ust.

– Lekarza! – zawołała histerycznie pani Pugh.

Mężczyzna siedzący o kilka stolików dalej poderwał się i przybiegł do niej, lecz wystarczyło pobieżne badanie, by dla wszystkich obecnych stało się jasne, że już nic się nie da zrobić.

Ross obserwował rozwój wydarzeń. Po kilku chwilach dwaj kelnerzy w asyście kierownika sali przynieśli nosze. Niektórzy goście hotelowi odwrócili głowy, inni zaś z niezdrową fascynacją przyglądali się, jak bezwładne ciało układane jest na noszach, a następnie wynoszone z sali, którą opuściła też pogrążona w rozpacz wdowa.

Korzystając z zamieszania, Ross także wymknął się po cichu z restauracji. Mijając w korytarzu szefa sali, wsunął mu do kieszeni jeszcze sto randów, na co ten odpowiedział jedynie lekkim ukłonem. Przystanąwszy w foyer, przez chwilę przyglądał się, jak nosze z ciałem pana Pugh znikają w ambulansie, przejęte przez duet ratowników medycznych. Pani Pugh wybuchła płaczem, gdy jeden z nich na wszelki wypadek znów poszukał pulsu u jej męża, po czym opuścił mu powieki i delikatnie okrył twarz denata prześcieradłem.

Przez lata służby Ross widział wiele zrozpaczonych wdów i nie wątpił, że łzy pani Pugh są prawdziwe, ale uważał, że to dziwne. Czy to możliwe, że ona naprawdę kochała tego odrażającego typa? Być może poczułaby się inaczej, gdyby się dowiedziała, że to ona, a nie on, miała lada chwila trafić do kostnicy. Gdy tylko karetka odjechała, Ross poszedł do recepcji po klucz.

– Jest wiadomość dla pana – powiedziała recepcjonistka.

Ross rozprostował złożoną karteczkę i przeczytał.

– Dobry jesteś, Chórzysto – mruknął pod nosem. – Bardzo dobry.

– Słucham? – odezwała się recepcjonistka.

– Czy może mi pani powiedzieć, kiedy jest najbliższy lot do Londynu?

– Jutro, o dziewiątej rano – odpowiedziała automatycznie, ale zaraz potem spojrzała na zegarek. – No, jeśli bardzo się panu spieszy, to jest jeszcze nocne połączenie. Odlot za dwie godziny.

– Bardzo proszę przygotować mój rachunek i zamówić jeden bilet w klasie biznes. Będę też potrzebował taksówki, jeśli mam zdążyć na lotnisko.

Ross w podskokach wbiegł na trzecie piętro i pospiesznie otworzył drzwi swego pokoju. Spakował się w ekspresowym tempie, po czym wrócił do recepcji i zapłacił za pobyt. Bagażowy zaniósł walizkę do taksówki czekającej z włączonym silnikiem. Obietnica stu randów napiwku sprawiła, że kierowca zignorował wszystkie ograniczenia prędkości, które napotkali w drodze na lotnisko. Ross wszedł na pokład samolotu ostatni.

- Będzie pan jadł kolację, sir? – zapytał steward, gdy wystartowali.
- Nie, dziękuję – odparł Ross. – Poproszę tylko o opaskę na oczy.
- Naturalnie, sir.

Tym razem w fotelu obok nie zasiadł żaden Larry T. Holbrooke Trzeci, więc Ross mógł mieć nadzieję na zdrowo przespaną noc. Wiedział już, że powinno mu wystarczyć czasu na śniadanie z Jimmym kieszonkowcem w kawiarni przy moście Putney i że nie spóźni się na spotkanie ze starszym inspektorem Warwickiem w siedzibie Scotland Yardu. Zastanawiał się tylko, ile prawdy Chórzysta zdążył już odkryć.



## 28

– Czy pan jest konstabłem Plodem? – zapytał Peter, gdy następnego ranka Juan zszedł na śniadanie.

– O, nie – odparł Juan, siadając naprzeciwko bliźniaków. – Moja najmłodsza córeczka twierdzi, że nie jestem tak bystry jak konstabl Plod, bo nie rozwiązuję wszystkich spraw tak błyskawicznie. Uważa, że bliżej mi do inspektora Watchita.

Artemisia zachichotała. Beth postawiła przed gościem talerz ze smażonym bekonem i jajkami.

– Ojciec będzie zazdrosny, gdy mu powiem, co jadłem dziś na śniadanie – stwierdził Hiszpan, sięgając po nóż i widelec.

– Pana tatuś nic nie dostaje na śniadanie? – zainteresowała się Artemisia.

– Nie mów z pełnymi ustami – pouczył ją William.

– Kto ukradł perłowy naszyjnik? – spytał Peter.

– Nie wiem – przyznał Juan.

– Dowiemy się wieczorem, kiedy tatuś wróci i przeczyta nam ostatni rozdział – stwierdziła rezolutnie Artemisia.

– Jeśli będzie mógł wrócić – sprostował William.

Z korytarza dobiegł dzwonek telefonu.

– Kto to może być tak wcześnie rano? – zdziwiła się Beth.

– Pewnie Jastrząb – odparł William, wstając.

– To konstabl Plod – szepnął Juan.

– Mam nadzieję – odpowiedziała mu Artemisia. – Mógłby pomóc wam w rozwiązaniu...

William zamknął za sobą drzwi i podniósł słuchawkę.

– William Warwick.

– Dzień dobry, mówi Geoff Duffield z ochrony Heathrow. Detektyw inspektor Hogan wrócił z Kapsztadu. Przed chwilą przeszedł odprawę paszportową.

– Dziękuję, Geoff. Przynajmniej jeden problem mam z głowy. Dziękuję – powtórzył, po czym odłożył słuchawkę i wrócił do kuchni.

– A pan już poznał konstabla Ploda? – spytał Peter, zwracając się do Juana.

– Nie, ale chciałbym, bo i mnie, i waszemu ojcu przydałaby się teraz wszelka pomoc.

– Właśnie dzwonił – rzekł William, włączając się do zabawy. – Jest w drodze do Yardu, więc lepiej już się zbierajmy.

– Nieładnie, tatusiu. Dziadzius mowi, że przed pójściem do pracy zawsze trzeba dokończyć śniadanie.

– Zgadzam się z waszym dziadziusem – stwierdził Juan, pałaszując z apetytem jajka i chrupiący bekon.

William ustąpił i znowu zasiadł do stołu.

– Przepraszam – odezwała się Beth. – Artemisia ma zwyczaj powtarzać wszystko, co ostatnio usłyszała.

– Nie ma powodu przeproszać – zapewnił ją Juan. – Nie zapominaj, że sam mam trzy córki.

– I być może czwartą w drodze. William mi mówił.

– Tylko czym ja sobie na to zasłużyłem? – spytał Juan.

– Dzień dobry, inspektorze – powiedział Jimmy kieszonkowiec. – Zje pan ze mną śniadanie?

– Mam za mało czasu – odparł Ross, nie bez zazdrości spoglądając na niemal pusty już talerz Jimmy’ego, który chwilę później zabrała kelnerka. – Jeśli nadal masz nadzieję, że dostaniesz drugie dwie stówki, nie zapomnij, że o dwudziestej drugiej trzydziście masz być przed Queen’s Theatre przy Wardour Street.

– Sprawdzę w terminarzu, czy znajdę chwilkę – odparł Jimmy, wrzucając do herbaty trzecią kostkę cukru.

– Jeśli nie dotrzesz tam na czas – odparował Ross – to będę ci towarzyszył przy śniadaniu każdego ranka, póki nie spłacisz mi pierwszych dwustu funtów.

– Przekonał mnie pan. No, ale kto by się oparł irlandzkiemu urokowi pana inspektora – odpowiedział Jimmy, zrzucając z łyżki na grzanekę potężny ładunek marmolady. Zanim podniósł nóż, żeby ją rozsmarować, inspektora już nie było.

Porucznik Sanchez rozłożył wielką mapę Katalonii na stole konferencyjnym, wokół którego zebrał się cały zespół.

– Gdy starszy inspektor Warwick i inspektor Ross wylądują w Barcelonie – zaczął – zostaną odwiezieni do kryjówki, którą utrzymujemy na obrzeżu miasta. Tam zrobię ostatnią odprawę i przebierzemy się w stroje bardziej odpowiednie do prowadzenia nocnej operacji.

– O której wybije godzina duchów? – spytał komendant.

– Naturalnie o północy, sir – odparł Sanchez. – Wyjedziemy z miasta nieoznakowanym wozem, który wyrzuci nas parę kilometrów od granicy posiadłości Faulknera.

William skinął głową, gdy Hiszpan pokazał symbol X zaznaczony na mapie.

– Jesteś pewny, że on nadal tam jest? – spytał.

– Mamy kamery na drodze prowadzącej do rezydencji oraz patrole na plaży u podnóża klifu. Jak dotąd nie dał znaku życia, więc jestem przekonany, że nadal ukrywa się w domu.

– Proszę nie zapominać, że wiemy o rezerwacji Bootha Watsona na poniedziałkowy lot do Barcelony – wtrąciła Rebecca. – Po co miałyby tracić czas na podróż, gdyby Faulknera już tam nie było?

– Słuszna uwaga – przyznał William. – Podejrzewam jednak, że Booth Watson leci tam po to, żeby dopracować ostatnie szczegóły dyskretnej ewakuacji swego klienta, co oznacza, że może to być nasza ostatnia szansa, nim Faulkner znowu zniknie.

– Tak czy inaczej, potrzebny nam będzie detektyw inspektor Hogan, żeby przeprowadzić nas stąd – palec Sancheza wskazał punkt na skraju lasu – dotąd – dopowiedział, przesuwając go ku frontowym drzwiom rezydencji.

William pokręcił głową.

– Nie. Ross jest przekonany, że jeśli mamy się dostać do domu niezauważeni, powinniśmy się zakraść przez okno jednej ze służbówek na czwartym piętrze. Gdy tam byliśmy, zauważył, że w ciągu dnia trzy z nich były cały czas otwarte. To, to i to. A to – dodał, pokazując palcem na planie – znajduje się tuż obok drabinki pożarowej.

Sanchez skinął głową.

– Mimo wszystko musimy wiedzieć, co zaplanował inspektor Hogan, jeśli chodzi o trasę przez las. Spodziewam się, że zastaniemy tam rozliczne pułapki i systemy alarmowe... wszystko, czym tylko można zaskoczyć nieproszonego gościa.

– Ross dołączy do nas za kilka minut – rzekł William, zerknąwszy na zegarek.

– Skąd ta pewność? – spytał Jastrząb.

– Jego samolot wylądował na Heathrow dwie godziny temu. Prawdę mówiąc, dziwię się, że... – William urwał, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wkroczył Ross.

– Przepraszam za spóźnienie. Coś mnie zatrzymało.

Coś albo ktoś, pomyślał William, ale zadowolił się innym komentarzem:

– Porucznik Sanchez właśnie nam opowiedział, co nas czeka po przylocie do Barcelony.

– Mogę nas doprowadzić tylko do końca drogi wiodącej do posiadłości. Wyznaczenie szlaku od skraju lasu to twoje zadanie – dodał Sanchez.

Ross zajął miejsce przy stole i bardzo szczegółowo przedstawił swój plan pokonania dystansu od pierwszej linii drzew aż do drabinki pożarowej na tyłach domu bez aktywowania urządzeń alarmowych. Nikt mu nie przerywał. William zakończył odprawę, dopiero gdy członkowie zespołu zaczęli zadawać te same pytania po raz trzeci.

– Nadal nierozwiązany pozostaje problem tych pancernych drzwi – zauważył Jastrząb, gdy wszyscy wstali.

– Dziś po południu spotykam się z jedyną osobą... poza Faulknerem... która wie, jak je otworzyć – odpowiedział Ross. – Złożę raport.

– W takim razie umówmy się od razu na jutro, na ósmą rano – zaproponował William. – Omówimy plan po raz ostatni.

– Jutro o ósmej mam spotkanie, na którym nie może mnie zabraknąć – odparł Ross, nie wchodząc w szczegóły. – Ale zadzwonię dziś wieczorem i przekażę, czego się dowiedziałem.

– Zgoda – powiedział William, ku zaskoczeniu wszystkich. Powiedział tak, ponieważ wiedział dokładnie, gdzie będzie detektyw inspektor Hogan nazajutrz o ósmej rano. Co więcej, i on zamierzał tam być.

– Co takiego wiesz, o czym ja nie wiem? – spytała Beth, gdy Christina zajęła miejsce po drugiej stronie jej biurka.

– Niewiele – przyznała Christina. – Może poza jednym: jestem przekonana, że gdziekolwiek trafił Caravaggio, tam znajdziesz też Milesa.

– Oraz Fransa Hals? – zasugerowała Beth.

– Obawiam się, że tak – odrzekła Christina. – I uwierz mi, gdybym wiedziała gdzie, tobym ci powiedziała.

Beth nie uwierzyła, za to świetnie pamiętała radę Williama, więc słuchała, słuchała i jeszcze raz słuchała.

– Wiem na pewno tylko tyle, że Booth Watson planuje lecieć do Barcelony w poniedziałek rano. I nie może to być zbieg okoliczności, że w sobotę wieczorem jacht Milesa wypływa z Monte Carlo. Nie zdziwiłabym się, gdyby zmierzali w to samo miejsce.

– Co może oznaczać tylko jedno: Miles szykuje się do przeprowadzki – zauważyła Beth.

– To prawda – przyznała Christina. – A skoro w użyciu będzie jacht, to przeprowadzka musi też dotyczyć kolekcji.

– Skąd masz te informacje? – spytała Beth.

– Od byłego nadinspektora Lamonta, który nie posiada się z radości, że ma więcej niż jednego hojnego chlebobawcę.

– Miejmy nadzieję, że Miles nigdy się o tym nie dowie. Nie wierzy w złote spadochrony, chyba że sam może pociągnąć za linkę, która je otwiera.

– No, to teraz już wiesz dokładnie tyle co ja – powiedziała Christina, wstając.

Beth nie przypuszczała, by było to prawdą, ale i tak zamierzała zadzwonić do Williama, gdy tylko zostanie sama. Dobrze wiedziała, co usłyszy, gdy przekaze mu informacje przyniesione przez Christinę: „Nadal nie jestem pewny, po czyjej stronie stoi ta kobieta”.

Szyld „Nosey Parker” prezentował się dumnie nad drzwiami przy Charing Cross Road 114A. Był to jeden z tych przybytków, w których rzadko pojawia się więcej niż dwóch klientów dziennie – i to tylko umówionych z właścicielem. Ross wkroczył do środka pięć minut przed czasem i z lekkim niepokojem podszedł do lady.

– Spocznij, kapralu – rozkazał mu głos, którego nie zapomniaby do końca życia.

Niemal od dziesięciu lat nikt nie tytułował go kapralem, lecz mimo to nie czuł się swobodnie w towarzystwie byłego przełożonego.

– Okrutnie mnie zasmuciła wieść o śmierci twojej żony – rzekł pułkownik Parker tonem nieporównywalnie łagodniejszym od tego, którego Ross słuchał przez cztery lata służby w SAS. – Teraz jednak, kapralu, skupmy się na przyszłości – dodał już w typowy dlań, władczy sposób.

– Czy pańscy spece zdołali zmodyfikować moją kamerę wideo w taki sposób, o jaki mi chodziło?

– Dość prosta robota – ocenił pułkownik, wyciągając spod lady pudełko bez żadnych oznaczeń. – Będiesz teraz mógł wykrywać wszelkie systemy alarmowe i pułapki, nie przerywając filmowania, w czasie rzeczywistym.

Ross właśnie miał zapytać o zamknięte drzwi bez zamka, ale pułkownik odezwał się pierwszy:

– A jak się spisał mój wózek Silver Cross z lat pięćdziesiątych?

– Jak marzenie, sir. Przeszedłem z nim tuż obok celu i nikt nawet nie mrugnął. Operacja przebiegła bez przeszkód i wycofałem się niezauważony... ani przez policję, ani przez gangsterów.

– Miałem wielką frajdę, czytając w „Timesie” relację z tych wydarzeń – przyznał pułkownik i po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko. – A jak tam papierośnica?

– Rewelacyjna. Tylko że już nigdy nie zaufam kobiecie pudrującej nos.

– Nie ufaj kobiecie, kropka – poradził mu dowódca.

Ross przyznałby mu rację bez wahania, gdyby nie to, że spotkał na swojej drodze Jo.

– Skoro tamte problemy już rozwiązane, to zgaduję, że teraz potrzebujesz pomocy w związku z kolejną misją?

– Tak jest – odpowiedział Ross. – Gdy ostatnio wykonywałem zadanie za granicą, napotkałem masywne stalowe drzwi bez klamki, bez zamka, bez pokręteł. I tylko w lewym dolnym rogu miały wygrawerowany monogram NP.

– To Wrota Sezamu – wyjaśnił pułkownik. – Udoskonalone przez byłego funkcjonariusza Stasi, który zwiął ze wschodnich Niemiec i dołączył do firmy.

– Ale jak otworzyć sejf, do którego nie ma szyfru?

– Jest szyfr, kapralu, ale działa tylko wtedy, gdy właściciel znajduje się w tym samym pomieszczeniu.

– Zatem do tego służył mu zegarek – powiedział Ross, nareszcie zrozumiałwszy, dlaczego Faulkner stuknął palcem w tarczę zegarka, zanim wszedł do gabinetu.

– Niewykluczone – odparł pułkownik, ale nie odpowiedział na pytanie. – Powiem ci jedno: żałuję, że zrobiłem interes akurat z tym dżentelmenem. Twierdził, że jest kapitanem marynarki wojennej i służył podczas wojny falklandzkiej, ale bardzo w to wątpię. Okazało się za to, że to kanciarz, który nie płaci rachunków w kantynie.

Raczej kanalia, miał ochotę sprostować Ross, ale się powstrzymał.

– Bo trzeba ci wiedzieć – ciągnął pułkownik – że do dziś nie opłacił ostatniej faktury za Wrota Sezamu, a zainstalowaliśmy je ze dwa lata temu. Na szczęście pewnego dnia będzie musiał wymienić baterie w zegarku i wtedy zapłaci, bo są unikatowe.

– Na ile opiewała ta faktura? – spytał Ross, spodziewając się sądu wojskowego za samo poruszenie tematu.

– Niestety, stary druhu, to nie twoja liga.

– Przekonajmy się.

– Pięć tysięcy funtów powinno zamknąć sprawę.

Ross wyjął książeczkę czekową, sięgnął po długopis leżący na ladzie i zaczął pisać.

- A ty co, trafiłeś szóstkę? – spytał zaskoczony pułkownik.
- Nie, sir. Straciłem żonę – odparł Ross, wręczając mu czek.
- Przepraszam – mruknął Parker, szczerze zawstydzony. Odwrócił się, wpisał szyfr w zamku małego sejfów zainstalowanego w ścianie i wyjął ze środka zegarek z pustym cyferblatem. Stuknął weń palcem, a wtedy tarcza rozjarzyła się dużymi cyframi i zgasła po kilku sekundach. Pułkownik podał zegarek dawnemu towarzyszowi broni.
- Na wiele mi się nie przyda – zauważył Ross – bo nadal nie znam szyfru.
- Którą mamy godzinę, kapralu?
- Dwadzieścia po trzeciej – odparł, zerknąwszy na zegar wiszący na ścianie.
- Myśl po żołniersku! – warknął oficer.
- Piętnasta dwadzieścia – odpowiedział machinalnie Ross.
- Miesiąc i rok?
- Zero dziewięć, osiem osiem.
- Zgadza się. 15 20 09 88.
- Godzina, minuta, miesiąc, rok – mruknął Ross. – Prościej się nie dało.
- A cały urok tego wynalazku polega na tym, że czas płynie, więc i szyfr zmienia się co minutę. Tylko nie zapomnij, kapralu, że choć twój przeciwnik nie jest ani oficerem, ani dżentelmenem, to i tak będziesz musiał wstać bardzo wczesnym rankiem, żeby schwytać go podczas snu.
- I właśnie taki mam plan – odparł Ross, zapinając zegarek na nadgarstku.

Detektyw konstabl Pankhurst siedziała przy stoliku tuż obok okna, w winiarni z widokiem na Wardour Street. W dolnej części lokalu mieściła się sala restauracyjna, w górnej niewielki bar pełen młodych ludzi cieszących się wieczorną swobodą – lecz Rebecca wciąż była na służbie. Ze swego miejsca miała dobry widok na Darrena Cartera, zajętego pracą. Po czternastu dniach obserwacji nie tylko знаła jego terminarz zajęć, ale i (niepisany) zakres obowiązków. Carter był przede wszystkim bramkarzem klubu Eve. On i tylko on decydował o tym, kto przekroczy próg lokalu. Szybko i bez trudu rozszyfrowała jego osobiste preferencje i uprzedzenia.

Chętnie witał zbłąkanych obcokrajowców w średnim wieku, jeśli wyglądali na co najmniej średnio zamożnych oraz skorych do rozstania się z pieniędzmi. Dodatkowe punkty zyskiwali w jego oczach pijani. Niepożądani zaś byli wytatuowani młodzi ludzie w dzinsach, zwłaszcza przybywający grupami – żegnał ich uprzejmie, a czasem i nieuprzejmie. „Przykro mi, to impreza zamknięta” zwykle wystarczało, by zniechęcić przychodzących, a jeśli nie, to

pomagał zdawkowy opis tego, co ich spotka, jeśli sobie nie pójdą. Trafiło się może dwóch potencjalnych gości, którzy nie ustąpili tak łatwo. Najpierw zmierzył ich złowrogim spojrzeniem, a gdy nie zrozumieli i tej aluzji, ostatnim argumentem było mocne pchnięcie. Rebecca nie była jednak świadkiem niczego, co dałoby się podciągnąć pod „ciężkie uszkodzenie ciała”, zatem nie miała powodu, by aresztować Cartera.

Pogodziła się więc z faktem, iż będzie musiała przyjąć taktykę wędkarza: godzinami cierpliwie czekać, aż się trafi godna zdobycz. Cieszyła się, że może przynajmniej siedzieć sobie w ciepłym lokalu i sączyć drinka, zamiast tkwić w deszczu gdzieś nad brzegiem rzeki. Miała jednak nieprzyjemną świadomość, że jej raporty są z każdym dniem coraz krótsze i krótsze. Ostatnio wręcz zmieniała się w nich tylko data. Rebecca zastanawiała się, ile dni musi jeszcze minąć, nim szef przesunie ją do innych zadań.

Z drugiej strony, miała teraz mnóstwo czasu na rozmyślanie o Archiem. Uwielbiała swoją pracę i imponowało jej, że należy do elitarnego zespołu specjalistów, lecz wiedziała, że wkrótce trzeba będzie podjąć decyzję co do przyszłości. Archie zaczynał wspominać o wspólnym życiu. W tej chwili służył w Irlandii Północnej, lecz Rebecca miała świadomość, że jako młody oficer armii musi się spodziewać regularnych przenosin, także za granicę. „Taki urok tej roboty, skarbie”, powiedział jej kiedyś, dając jasno do zrozumienia na swój czarujący sposób, że pewnego pięknego dnia sama zrezygnuje z pracy w Met, jako że trudno być w dwóch miejscach jednocześnie.

Gdyby miała za niego wyjść, musiałaby zapomnieć o zawodzie, który pokochała, zostać panią oficerową i urodzić przepisowe 2,2 dziecka, a najbardziej emocjonującą przygodą w jej życiu byłoby współorganizowanie z żoną dowódcy przyjęć koktajlowych dla wizytujących jednostkę „ważniaków” (takiego słowa użył Archie). Z zadumy nad tą wizją przyszłości wyrwał ją gwar głosów – grupa rozentuzjasmowanych miłośników sceny wylewała się właśnie z Queen’s Theatre, by rozejść się do domów. Jak co dnia przypomnieli jej, że pora kończyć służbę.

– Jeszcze kieliszek wina dla pani?

– Dobry wieczór, inspektorze – powiedział Jimmy kieszonkowiec, pojawiając się z nienacka. – Jeśli przyniósł pan swoje graty, to jestem gotów zarobić kolejne dwie stówki.

Ross odwrócił się plecami do przechodzącej obok gromady ludzi i bez słowa wcisnął do ręki złodzieja trzy małe paczuszki oraz zwitek używanych



banknotów. Jimmy natychmiast wtopił się w tłum.

Kilka chwil później Ross dostrzegł go po drugiej stronie ulicy. Jimmy dołączył do grupy widzów wychodzących z teatru, ale zaraz przystanął na wysokości wejścia do klubu nocnego i zagadnął bramkarza o drogę do Leicester Square.

– Facet, czy ja ci wyglądam na pieprzonego przewodnika wycieczek?

– Przepraszam – bąknął potulnie Jimmy i w tej samej chwili pochylił się, by podnieść z chodnika zegarek. – To pana?

– Mój – burknął ochroniarz, wyrwał mu zegarek z ręki i bez słowa podziękowania zapiął go na nadgarstku.

Jimmy kieszonkowiec ruszył dalej, a Ross wstąpił do najbliższej budki telefonicznej i wybrał numer.

– Inspektor Watts – odezwał się głos w słuchawce.

– Właśnie wyszedłem z klubu Eve. Bramkarz próbował sprzedać mi narkotyki. Pomyślałem, że to zainteresuje policję.

Rozłączył się, zanim ktokolwiek zdołałby namierzyć połączenie. Przyjęło się uważać, że dla rajdowców z Policji Metropolitalnej cztery minuty to bardzo dobry czas reakcji na wezwanie, więc gdy trzy minuty i czterdzieści dwie sekundy później wóz patrolowy skręcił w Wardour Street, Ross pozwolił sobie na uśmiech.

W pierwszej chwili Rebecca niemal nie zwróciła uwagi na wóz policyjny, który nadjeżdżał z dużą prędkością. Żadna rewelacja, pomyślała. W Soho właściwie każdej nocy coś się działo. Zainteresowała się nim, dopiero gdy z piskiem opon zatrzymał się przed klubem Eve. Czterej mundurowi wyskoczyli z wozu i otoczyli Cartera, który sprawiał wrażenie szczerze zdumionego.

Szybko rosnąca grupka gapiów przyglądała się z drugiej strony ulicy, jak dwaj funkcjonariusze trzymają bramkarza twarzą do ściany, podczas gdy trzeci przeszukuje kieszenie jego kurtki i znajduje kilka małych paczuszek oraz zwitek używanych banknotów. Czwarty, którego Rebecca nie znała osobiście, dokonał aresztowania Cartera i pouczył go o jego prawach, nim zatrzymanego zakuł w kajdanki i odprowadził. Wyraźnie słyszała głośne protesty ochroniarza, póki nie zatrzasnęły się za nim drzwi wozu patrolowego.

Wyjęła notes i skrupulatnie opisała wszystko, co się wydarzyło, przerywając tylko na moment, gdy właściciel klubu wybiegł na ulicę, wygrazając pięścią w stronę odjeżdżającego samochodu, aż zniknął mu z oczu. Tłumek zdążył się

rozejść, gdy Jimmy kieszonkowiec stawiał się przed Rossem, uśmiechając się z satysfakcją.

– Dobrze się spisałeś, Jimmy – pochwalił go Ross i podał mu dwieście funtów.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł złodziej. – Właśnie takich bydlaków powinno się zamykać w więzieniach.

Ross już miał przytoczyć powiedzenie o kotle i garnku, gdy Jimmy dorzucił:

– Ładny zegarek, inspektorze, tylko jak odczytać z niego godzinę?

Zanim Ross odpowiedział, Jimmy'ego już nie było. Spojrzał na nadgarstek i z ulgą stwierdził, że zegarek nadal tam jest.

Ukończywszy raport, Rebecca dopiła wino, zapłaciła i wyszła z winiarni. Gdyby nie było tak późno, zadzwoniłaby na domowy numer szefa. Trzeba będzie złożyć meldunek jutro rano, pomyślała i w tym momencie przypomniała sobie, co będzie robić następnego ranka o szóstej. Nie, nie następnego, sprostowała w duchu. Tego ranka.

## 29

Po sześciu sygnałach zaczęły się poranne wiadomości, ale żadne z nich nie słuchało.

– Nie podoba mi się to szpiegowanie kolegi – wyznała Jackie. – Zwłaszcza takiego, którego lubię i podziwiam.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – odparł William – ale kto sam staje się swoim najgorszym wrogiem, ten potrzebuje przyjaciół.

– Nadal uważasz, że Ross jest zamieszany w zabójstwa Roacha i Abbotta?

– Przyznasz chyba, że śmierć żony to dostatecznie silny motyw. Pociuszające jest tylko to, że sprawa Abbotta i Roacha została definitywnie zamknięta. Inaczej jest ze Sleemanem i dlatego musimy się postarać być o krok przed Rossem. I przed Wierieniczem, przy okazji.

– Być może zainteresują cię najnowsze informacje o sprawie Clive’a Pugh – zmieniła temat Jackie.

Siedzieli w samochodzie, uważnie obserwując z daleka czerwone drzwi na samym końcu ciągu szeregowców.

– Oświeć mnie – odparł William, naśladowując komendanta.

– Wczoraj zadzwonił mój nowy kolega z kapsztadzkiej policji – zaczęła Jackie. – Powiedział, że chyba coś mi się pokręciło i w ogóle nie muszę się martwić o panią Pugh.

– Jak to?

– Dwa dni temu jej mąż kopnął w kalendarz. Jedli kolację w hotelowej restauracji, zasłabł i zmarł, zanim przyjechała karetka. No, ale przynajmniej mamy pewność, że Ross nie był w to zamieszany.

– Zatem Pugh ostatecznie nie położył łap na jej forsie.

– W tym właśnie cała ironia losu – odrzekła Jackie. – Wygląda na to, że pani Pugh zapomniała powiadomić swego ostatniego wybranka, że wcześniej była dwukrotnie zamężna, a jego poprzednicy praktycznie roztrwonili jej majątek. Uznała, że skoro Pugh zawsze płaci rachunki, to musi być bogaczem. Była zdruzgotana, gdy się okazało, że nie miał pensa przy duszy. Podobno nie stać jej nawet na zapłacenie rachunku za hotel.

– Mount Nelson nie jest tani – przyznał William.

– Skąd wiesz, gdzie się zatrzymali?

– Czy miejscowa policja uważa, że pani Pugh mogła mieć coś wspólnego z nagłym zgonem małżonka? – spytał William, unikając odpowiedzi.

– Nie – odparła Jackie. – Wydała nawet oświadczenie, że nie ma mowy o podejrzanych okolicznościach śmierci, i od razu zezwoliła, by zrozpaczona wdowa wróciła z ciałem męża do Anglii. Klasą turystyczną. Co oznacza, że będziesz musiał mi dać inną nierozwiązaną sprawę do rozwiązania.

– Na razie skup się na tej – odparł William.

W domu Jo zapaliło się światło. Przez godzinę rozjaśniały się i gasły kolejne, ale to nie zniechęcało Williama; wiedział, że policyjna obserwacja to gra w kotka i myszkę.

Razem wysłuchali radiowych wiadomości o siódmej i przez godzinę, do kolejnego wydania, nie zauważyli nic godnego uwagi. W tym czasie dostarczono do szeregowców mleko, gazety i pocztę, ale drzwi frontowe domu Jo pozostały zamknięte.

William zaczynał już podejrzewać, że „pierwszy dzień miesiąca”, o którym doniósł informator Paula, może nie być aż tak istotnym tropem, lecz wreszcie czarna toyota zajęła pod dom i zaparkowała na podwójnej żółtej linii.

Gdy pasażer wysiadł z wozu, nie potrzebowali sięgać po zdjęcie z policyjnego biuletynu, by rozpoznać, kto taki zmierza ku drzwiom frontowym.

– Jezu, zbudowany jest jak czołg – zauważyła Jackie.

– Sześć stóp i cztery cale, dwieście dwadzieścia funtów, praktycznie mieszka w siłowni – odpowiedział William, gdy olbrzym pukał do drzwi.

Wierienicz zaczekał moment i rozejrzał się na boki, zanim zapukał ponownie, tym razem nieco bardziej zdecydowanie. Kilka chwil później w drzwiach ukazał się Ross, ubrany w dres.

– Zdaje się, że nie wybiera się dziś do pracy – zauważyła Jackie.

Osilek przeliczył gruby plik banknotów, które wręczył mu Ross.

– Nadal zamierzam przeszkodzić mu w tym, co sobie zaplanował – stwierdził William.

Wierienicz obdarzył Rossa czymś, co przy odrobinie dobrej woli można było uznać za uśmiech, po czym schował pieniądze do kieszeni i wrócił do samochodu.

William wywołał przez radio pozostałych członków zespołu.

– Samochód Wierienicza kieruje się w stronę skrzyżowania z Merton Street. Dam znać, w którą stronę skręci na światłach. Pamiętajcie: macie trzymać

dystans.

– Zrozumiałem – odpowiedziały mu trzy poważne głosy. Jego ludzie także czuwaliby od szóstej rano, z niecierpliwością wyczekując sygnału do działania.

William właśnie miał ruszyć śladem toyoty, gdy Ross wybiegł z domu, wskoczył do swojego samochodu i natychmiast ruszył.

– Cel skręca w lewo – powiedział William do mikrofonu. – Jest twój, Danny. Detektyw Hogan też jedzie z nami. Melduj mi o wszystkim, ale zostaw Wierienicza, gdy dojedzie do kolejnego klienta. Paul go przejmie.

– Zrozumiałem – odpowiedziały tym razem dwa głosy. Toyota minęła taksówkę, która nigdy nie wiozła pasażera za pieniądze.

William uśmiechnął się, widząc, że Ross skręca na światłach w lewo, tropem Wierienicza.

– Konstablu Markham.

– Tak, sir?

– Jedzie granatowym volkswagenem...

– Widzę go, sir.

Ross widział toyotę w oddali, ale wolał trzymać się za taksówkę, która podążała za nią. Na najbliższym skrzyżowaniu miał teraz zielone światło, lecz nie był pewny, czy zdąży przejechać. Mocniej nacisnął pedał gazu.

Kierowca Wierienicza skręcił w prawo, podobnie jak taksówka. Światła zaczęły się zmieniać w chwili, gdy Ross dojeżdżał do skrzyżowania. Wjechał na nie mimo to i w tej samej chwili ujrzał policjanta, który wyszedł na jezdnię, uniósł prawą rękę i nieco przesadnym gestem nakazał mu zjechać do krawężnika. Zatrzymując wóz, Ross pozwolił sobie wygłosić wiązaną popularnych angielskich słówek wątpliwej urody, zanim otworzył okno.

Młody funkcjonariusz nie spieszył się zbyt. Ross nie wyłączył silnika.

– W czym mogę pomóc, konstablu? – spytał, obserwując kątem oka, jak samochód Wierienicza znika za następnym rogami.

– Czy pan wie, sir, że właśnie przejechał na czerwonym świetle?

– Nic podobnego – zaoponował Ross, łamiąc złotą zasadę.

– Mój kolega i ja – ciągnął konstabl, spoglądając w lewo – widzieliśmy, jak złamał pan paragraf 36(1) Ustawy o ruchu drogowym z 1988 roku. Mogę prosić o prawo jazdy?

Ross podał mu legitymację służbową.

– To nie jest pańskie prawo jazdy, sir – stwierdził policjant, oddając mu dokument.

– Nie mam go przy sobie.

– W takim razie będę musiał spisać pańskie dane, sir – oznajmił konstabl, sięgając do kieszeni na piersi po długopis i notes.

– Które, jak podejrzewam, już pan dobrze zna, konstablu – zauważył Ross.

– To nie potrwa długo – zapewnił go funkcjonariusz, ignorując komentarz.

– Ile?

– Co takiego, sir?

– Ile minut kazali wam mnie przetrzymać?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, sir.

– Ile minut?

– Dziesięć, sir – przyznał konstabl.

Wbrew sobie Ross pomyślał o Warwicku z podziwem. Szef mógł mieć oblicze Chórzysty, ale gdy przychodziło co do czego, nie brał jeńców. Ross zaczynał wierzyć, że jest tak, jak sugerowała Jackie: William to naturalny następca Jastrzębia. Pociuszające było to, że miał w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę dla detektywa starszego inspektora, nim ten dzień dobiegnie końca.

– Skoro już zrobiliście swoje, mogę jechać dalej? – spytał niewinnie.

Konstabl spojrział na zegarek.

– Oczywiście, sir. Ale bardzo proszę, w przyszłości niech pan jeździ ostrożniej.

Paul zameldował przez radio, że Wierienicz musiał jedynie zacisnąć pięść, by sprawić, żeby kolejny klient Sleemana wręczył mu oczekiwaną kwotę.

– Wykorzystaj to – polecił mu William. – Przesłuchaj tego człowieka. Może uda się uzyskać zeznanie, które będzie pomocne w sądzie.

– Robi się – odpowiedział Paul.

– Toyota właśnie mnie minęła – odezwała się Rebecca. – Dam znać, kiedy dotrze do kolejnego dłużnika.

– Gdzie jesteś, Danny?

– Przejmę obiekt od detektyw Pankhurst, gdy tylko wyjdzie z domu.

– Jednego nie mogę zrozumieć – powiedziała Jackie, gdy William wyłączył radio. – Dlaczego oni zawsze są w domu, gdy Wierienicz się pojawia?

– Gdyby ich nie było, drzwi musiałyby otwierać ich żony – odparł William – a wtedy mężowie musieliby się nieźle nasłuchać.

Zamigotała czerwona lampka i William pstryknął przełącznikiem.

– Dzień dobry, sir. Tu inspektor Watts z wydziału narkotyków. Ma pan chwilę?

– Akurat jestem mocno zajęty, inspektorze, więc jeśli to nic ważnego...

– Chodzi o niejakiego Darrena Cartera, ale oczywiście mogę się odezwać później.

– Zamieniam się w słuch, inspektorze.

– Tej nocy aresztowałem Cartera przed wejściem do klubu Eve, gdzie pracował. Został oskarżony o posiadanie i zamiar sprzedaży trzech uncji heroiny, czterech porcji kokainy doskonałej jakości oraz kilku torebek marihuany.

– Nie może być aż tak głupi – zdumiał się William.

– Przysięga na wszystkie świętości, że sami podrzuciliśmy mu towar, ale prawda jest taka, że dostaliśmy cynk z anonimowego źródła, a całą akcję filmowaliśmy.

– Informator dzwonił bezpośrednio do pana, inspektorze, czy na ogólny numer 999?

– Bezpośrednio do mnie, sir – odparł Watts. – A dlaczego pan pyta?

– Powiem panu, gdy odsłucham taśmę. Gdzie jest teraz Carter?

– Mamy go w lokalnym areszcie. Jeszcze dziś stanie przed sądem. Chciałby wyjść za kaucją.

– A sędzia każe mu spadać – mruknął William.

– Zgodziłbym się z panem, inspektorze, gdyby nie to, że reprezentuje go radca królewski Booth Watson. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, gdy się dowiedziałem.

– A ja nie za bardzo – odpowiedział William. – Carter to płotka. Honorarium Booth Watsona zapłaci pan Staples, właściciel klubu Eve, który straciłby licencję, gdyby się okazało, że jego bramkarz zostanie skazany za handel narkotykami klasy A. Bardzo proszę przy każdej okazji wspominać sędziemu o dawnych występach oskarżonego, a zwłaszcza o domniemanym udziale w zabójstwie. Mam nadzieję, że uda się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Proszę mnie informować.

– Tak jest, sir.

– Myślisz, że to Ross podrzucił mu prochy? – spytała Jackie, gdy wyłączył mikrofon.

– Nie zaryzykowałyby tak osobiście – ocenił William – ale zna pewnie z tuzin kieszonkowców, którzy wzięliby taką robotę z pocałowaniem ręki. Może nawet dosłownie.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że... – zaczęła Jackie.

– Nie chcesz wierzyć – przerwał jej William i w tym samym momencie odezwał się głośnik radiostacji.

– Sir, tu detektyw konstabl Pankhurst. Wierienicz właśnie dokonał trzeciego pobrania. Tym razem musiał wejść siłą. Wrócił po paru minutach, dźwigając duży telewizor pod jedną pachą i wypchaną plastikową torbę pod drugą. Ani śladu poprzedniego właściciela.

– Odwiedź go, Rebecca. Może złoży zeznanie, jeśli go oczarujesz. Ta sprawa musi mieć materiał dowodowy nie do ruszenia. Danny, gdzie on teraz jest?

– Jedzie z powrotem do biura Sleemana, ze sporą gotówką i bagażnikiem pełnym łupów. Mam wracać do Yardu, sir?

– Nie, jeszcze zaczekaj – rozkazał William. – Możesz być pewny, że Wierienicz jeszcze nie złożył ostatniej wizyty.

– Co teraz, sir? – spytała Jackie.

– Musimy być cierpliwi. Na najbardziej zagrożonych klientów... tych, którzy nie mogą zapłacić... dopiero przyjdzie czas, gdy zapadnie zmrok i w okolicy będzie mniej potencjalnych świadków. Tymczasem zaś musimy zebrać jak najwięcej dowodów pomocniczych, żeby maksymalnie utrudnić Boothowi Watsonowi robotę. Co więcej...

William urwał, bo na konsoli radia znowu błysnęło czerwone światełko.

Miękki irlandzki akcent brzmiał na tyle znajomo, że nie musiał nawet pytać, z kim rozmawia.

– Wiem już, jak otworzyć drzwi w gabinecie Faulknera – powiedział detektyw inspektor Hogan. – Zameldowałbym o tym wcześniej, sir, gdyby nie pewien nadgorliwy młody konstabl, który mnie zatrzymał. Tak czy inaczej, jestem pewny, że spotkamy się na cmentarzu, gdy Wierienicz zakończy ostatnią z dzisiejszych wizyt domowych.

– Na którym cmentarzu? – spytał William.

– Na tym, na którym spoczywa wojująca antenatka detektyw Pankhurst, dzięki czemu policja ma z nią nareszcie święty spokój – odparł Ross i zakończył połączenie.

– Co to miało znaczyć, u licha? – spytała Jackie.

– Wie o czymś, o czym my nie wiemy – odpowiedział William i trącił palcem przełącznik. – Rebecca?

– Tak?

– Gdzie jesteś?

– Rozmawiam z dżentelmanem, którego poleciłeś mi przesłuchać, w jego domu w Kensington.



- Gdzie jest pochowana Emmeline Pankhurst?
- Na cmentarzu Brompton. A dlaczego pytasz?
- Kończ to przesłuchanie i jedź tam natychmiast. Melduj, jeśli zauważysz tam coś podejrzanego.
- A czego mam szukać?
- Nie mam pojęcia – przyznał William.
- Teraz to już całkiem się zgubiłam – powiedziała Jackie, gdy jej szef znowu wyłączył radio.
- Nie jest trudno wyprzedzić o krok Sleemana i Wierienicza – odparł – ale cholernie ciężko jest przewidzieć, co zrobi Ross.
- Zwłaszcza gdy ma z tobą do czynienia, szefie – zauważyła Jackie.
- William właśnie miał jej odpowiedzieć, gdy zgłosił się Danny.
- Skończył czwartą wizytę, sir. Gdy tylko odjechał, Paul poszedł porozmawiać z klientem.
- To dobrze. Nasłuchuj. Niewykluczone, że będzie zmiana planu.

Sleeman wyszedł z biura wkrótce po tym, jak Wierienicz je opuścił, by po raz ostatni tego dnia wcielić się w rolę poborcy. W chwili, gdy trup miał trafić do ziemi, zamierzał być już w Swindon.

Przeszedł kilka przecznic, zanim zatrzymał taksówkę i usiadł z tyłu.

– Euston – rzucił krótko.

Wysiadł opodal dworca i dołączył do kolejki oczekujących w hali kasowej. Kupił bilet na przejazd wagonem sypialnym pierwszej klasy do Edynburga. Zanim zapłacił, głośno zapytał kobietę po drugiej stronie szyby, jak to możliwe, że ma czelność żądać od niego aż sześćdziesięciu trzech funtów.

Mężczyzna, który stał za nim, był świadkiem tej scysji, ale się nie odezwał. Sleeman poszedł na peron 7 i właśnie miał wsiąść do pociągu, gdy dwaj funkcjonariusze policji zastąpili mu drogę, żeby dokonać aresztowania.

– Pod jakim zarzutem? – spytał oburzony.

– Napaść werbalna na pracownicę kolei powinna być wystarczającym powodem, ale mam przeczucie, że znajdą się i poważniejsze – odparł komendant, który nawet już nie pamiętał, kiedy po raz ostatni osobiście kogoś aresztował.

Zaraz potem opowiedział starszemu inspektorowi Warwickowi, co zaszło.

Drugi meldunek nadszedł niemal w tej samej chwili.

– Tu detektyw Pankhurst, sir. W głębi cmentarza znalazłam świeżo wykopany grób, a przełożony grabarzy twierdzi, że nic nie słyszał o takim zleceniu.

– Trzymaj się na uboczu – polecił William. – Wkrótce do ciebie dołączymy. Danny, gdzie jesteś?

– Wierienicz właśnie się zatrzymał przed domem w Chiswick i w tej chwili puka do drzwi.

– Informuj mnie na bieżąco – rozkazał William. – Reszta niech się kieruje na cmentarz Brompton w Kensington. Gdy tam dotrzecie, zachowujcie się dyskretnie, bo wkrótce Wierienicz też się tam pojawi. – Wyłączył radio i dodał: – Ruszajmy.

Jackie wrzuciła jedynekę i wcisnęła pedał gazu.

– Zakładam, że wiesz, dokąd jechać – rzekł William.

– Nie. Ale mam nadzieję, że ty wiesz, szefie.

Ukrycie dziesięciu detektywów w cywilnych ubraniach na cmentarzu nie było zbyt trudne, zwłaszcza że wszechstronnej pomocy udzielił im przełożony grabarzy. Było tam wystarczająco dużo pomników, sarkofagów i prywatnych krypt, żeby ukryć choćby i całą armię policjantów.

Gdy wreszcie wszyscy byli na miejscach, nieco trudniejszym wyzwaniem było zachowanie ciszy. O tej porze nawet kichnięcie w takim miejscu zabrzmiałoby niczym erupcja wulkanu. Udało się jednak i ciszę zakłócił jedynie radiowy meldunek od Danny'ego.

– Wierienicz właśnie wyszedł z domu w Chiswick i w tej chwili wpycha protestującego klienta na tylne siedzenie toyoty. Powinni do was dotrzeć mniej więcej za dwadzieścia minut. Szefie, niech pan powie jedno słowo, to staranuję bydlaka, a chłopaki zajmą się aresztowaniem.

– Nie – odparł twardo William. – Bądź czujny. Jeśli cię zauważą, szlag trafi całą operację.

Jackie wprowadziła samochód na teren cmentarza, wyłączyła reflektory i zaparkowała za gęstą kępą drzewek.

– Ale sir, jeśli się pan myli i on zabierze tego biedaka gdzie indziej... – dodał Danny.

– To ryzyko, które jestem zmuszony podjąć – odparł William.

To przypomniało Danny'emu raz jeszcze, dlaczego absolutnie nie marzy o awansie.

– Zachować ciszę radiową – rozkazał William.

Mijały minuty. Co pewien czas zerkał na zegarek. Wciąż nie był pewny, czy Ross stoi jeszcze po tej samej stronie co anioły, które czuwały nad okolicznymi grobami, czy może zapuścił się w zupełnie inny zakątek Londynu i właśnie szykuje komuś zgoła inny pochówek. Tak czy inaczej, pewnie nie byłby usatysfakcjonowany, dokonując aresztowania osobiście i tłumacząc Wierieniczowi, że ma prawo zachować milczenie.

William odetchnął z ulgą, gdy dostrzegł czarną toyotę wjeżdżającą przez północną bramę cmentarza. Noc była bezksiężycowa, a reflektory wozu wyłączone, lecz kierowca najwyraźniej doskonale orientował się w terenie. Młodzi policjanci, w których żyłach buzował testosteron, niecierpliwie wyczekiwali rozkazu, lecz William nie ruszył się z miejsca, póki samochód nie zatrzymał się u celu.

Kierowca wysiadł i otworzył tylne drzwi, a wtedy Wierienicz wywlókł skomlącego nieszczęśnika na piach i zaczął go ciągnąć ku pustemu grobowi.

– O mój Boże – jęknęła Jackie. – Pogrzebią go żywcem.

William wyskoczył z samochodu i puścił się biegiem w stronę grobu. Ze wszystkich stron dołączyło doń dziesięciu funkcjonariuszy.

Detektyw sierżant Adaja szybko wyprzedził szefa i z impetem rzucił się na kierowcę, który zdążył odrzucić łopatę i usiłował uciekać na piechotę. Paul przycisnął go do ziemi, dwaj inni policjanci przygwoździli jego nogi, a detektyw sierżant Roycroft skuła kajdankami nadgarstki.

William biegł dalej, prosto na Wierienicza, który cisnął na bok przerażoną ofiarę i stanął w bojowej pozycji.

W chwili, gdy miał się na niego rzucić, z grobu wyłoniła się łopata i niczym kij golfowy wiedziony ręką profesjonalnego gracza perfekcyjnie trafiła w kostki oprycha, powalając go na kolana. Gdy spróbował powstać, nowy cios dosięgnął jego policzka. Oszołomiony, upadł na twarz wprost do otwartej mogiły. Teraz Ross wzniósł łopatę wysoko nad głowę, gotów zadać cios ostateczny, lecz William zdążył pochwycić trzonek obiema rękami. Potężny zamach zdołał go jednak rzucić do grobu, gdzie wylądował na półprzytomnym oprychu.

Ross mógł się jedynie przyglądać, jak dwaj funkcjonariusze bezceremonialnie wyciągają Rosjanina na powierzchnię, kładą go płasko na ziemi i zakładają mu kajdanki. Chwilę później z grobu wygramolił się William, wciąż ściskający w rękach trzonek łopaty. Spojrzał w dół, na leżącego, i z ulgą stwierdził, że powieki Wierienicza unoszą się ciężko, odsłaniając mętne oczy.

Sierżant Adaja pouczył zatrzymanych, że są podejrzani o usiłowanie morderstwa i że przysługują im pewne prawa. Gdy Rebecca skupiła się na

uspokajaniu głęboko wstrząśniętej niedoszłej ofiary, Ross wskazał Williamowi trzy nieoznaczone mogiły.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział William, wiedząc doskonale, że trzeba będzie poczekać na sądowy nakaz ekshumacji. Pocieszające było to, że jej wyniki miały dać mu niezbite dowody winy Wierienicza-mordercy, a także pozwolić na skazanie Sleemana za współudział.

Ross lekko skinął głową, gdy jego koledzy odprowadzali zatrzymanych.

– Trzeba było pozwolić mi ich zabić – powiedział.

William puścił mimo uszu tę sugestię.

– Czy mogę założyć, inspektorze, że wreszcie zaspokoileś żądzę zemsty? – spytał.

– Nie, sir – odparł Ross. – Nie, dopóki żyje Faulkner.

Jastrząb, stojący samotnie w ciemnym zakątku cmentarza, z zainteresowaniem przyglądał się tej scenie. Gdy wreszcie opadła kurtyna, zdał sobie sprawę, że ma wybór: albo zawiesić detektywa inspektora Hogana do czasu przeprowadzenia drobiazgowego postępowania wyjaśniającego, albo wystąpić do komisarza o nagrodzenie go drugim Medalem Królowej za Odwagę. Nie musiał rzucać monetą, by podjąć decyzję.

## 30

Gdy William wszedł na pokład zatłoczonego samolotu, przekonał się, że Ross już zajął swoje miejsce przy iluminatorze. Usiadł obok niego, lecz dla przypadkowego obserwatora wcale nie byłoby oczywiste, że są kolegami. Przez całą podróż do Barcelony nawet nie wspomnieli ani o Caravaggiu, ani o Beth, ani o Jo, ani o bliźniętach, ani o Jo Juniorce, jak Ross nazywał córeczkę, ani o zbliżającej się wystawie prac Fransa Halsa w Fitzmolean Museum, ani nawet o słabości obrony West Hamu czy błyskotliwych napastnikach Chelsea, w zależności od punktu widzenia.

Uparcie trwali w milczeniu. William bardzo chciał wiedzieć, w jaki sposób Ross zdołał niezauważony wśliznąć się do pustego grobu, lecz podejrzewał, że nie doczekałby się odpowiedzi.

Zauważył za to, że Ross nie nosi już roleksa, którego dostał od Jo w prezencie urodzinowym. Jego miejsce zajął anonimowy zegarek o czarnej tarczy, który zdaniem Williama nie był godnym następcą. Ross jednak, jeśli coś robił, to zawsze miał swoje powody.

Gdy samolot wylądował na hiszpańskiej ziemi i potoczył się w stronę terminalu, William wyjrzał przez iluminator, szukając wzrokiem porucznika Sancheza. Wypatrzył go z boku pasa startowego przy nieoznakowanym czarnym samochodzie, którego tylne drzwi były otwarte.

Dwaj detektywi wysiedli pierwsi, niosąc podręczny bagaż, choć nie zamierzali zostać w katalońskiej stolicy choćby na jedną noc.

Przywitawszy się z Juanem, wyjechali z lotniska bramą przeznaczoną dla służb bezpieczeństwa i byli na autostradzie wcześniej, niż większość pasażerów zdołała dotrzeć do terminalu.

Nie tracąc czasu, William przedstawił Juanowi propozycję najnowszych poprawek do planu i odpowiedział na wszystkie jego pytania. Ross tylko od czasu do czasu wtrącał jakieś uwagi.

Obiecana kryjówka, jak się okazało, była niczym niewyróżniającym się piętrowym domkiem przy cichej uliczce w zachodniej części miasta. Juan oprowadził Williama i Rossa po centrum operacyjnym: przestronnym pokoju

z okrągłym stołem otoczonym tuzinem krzeseł i z ogromną korkową tablicą pokrytą mapami, wykresami i fotografiami, a zajmującą większą część jednej ze ścian.

Odprawę rozpoczął od prezentacji serii zdjęć lotniczych przedstawiających posiadłość Faulknera. Ross skorzystał z okazji, żeby przypomnieć sobie przebieg niezaznaczonej na mapach krętej ścieżki biegnącej od skraju lasu, przez mostek nad potokiem, aż do frontowych drzwi rezydencji – tej samej, którą pokonał wózek golfowy, gdy byli tam po raz pierwszy jako doręczyciele *Rybaków*.

Zadowolony z tego, jak dobrze pamięta każdy szczegół trasy, Ross podszedł do Williama i Juana, którzy studiowali duży kartonowy model budynku, ustawiony pośrodku stołu. Hiszpan wskazał na schody kuchenne po zachodniej stronie rezydencji, a następnie na drabinkę pożarową sięgającą czwartego piętra, gdzie wyraźnymi czerwonymi krzyżykami oznaczono trzy otwarte okna.

– Wystarczy, że tym razem otwarte będzie jedno z nich, a łatwo dostaniemy się stąd tutaj – powiedział Juan, przesuwając palcem wzdłuż korytarza, a następnie przez szeroką klatkę schodową do holu przed główną sypialnią.

– Miejmy nadzieję, że drzwi sypialni będą zamknięte – odparł William. – To będzie znak, że pan domu jest w środku.

– Nawet gdyby jakimś cudem przedostał się na dół, do gabinetu – odezwał się Ross, pokazując trasę przez klatkę schodową i dalej, korytarzem na parterze – to powinienem dotrzeć tam, zanim zdąży otworzyć te metalowe drzwi.

– Bez względu na to, czy zastaniemy go w łóżku, czy nie – rzekł Juan – moja ekipa pomocnicza i tak zawczasu otoczy cały dom.

– Musimy wziąć pod uwagę i taką ewentualność, że on będzie w gabinecie – powiedział William – i gdy Ross się tam pojawi, Faulkner będzie już po drugiej stronie drzwi. Znowu się nam wymknie.

Ross powstrzymał się od komentarza. Gdyby Faulkner rzeczywiście zdołał się wymknąć, gdy ścigający go policjanci będą jeszcze na piętrze, zamierzał otworzyć stalowe wrota i dołączyć do niego po drugiej stronie, nie czekając na nich. O tym szczególnie swego planu celowo nie wspomniał Williamowi.

– A jeżeli nie będzie go ani w sypialni, ani w gabinecie? – spytał Juan. – Co zrobimy, jeśli już zdołał opuścić rezydencję?

– To mało prawdopodobne – ocenił Ross. – Booth Watson przylatuje do Barcelony jutro rano, a gdy po raz ostatni widziano jacht Faulknera, znajdował się o dobrych trzysta mil stąd, co oznacza, że nie dotrze na miejsce wcześniej niż jutro o dziewiętnastej. Podejrzewam, że właśnie wtedy nasz ptaszek chciałby odpłynąć w siną dal.

– Musimy mieć Faulknera pod kluczem na długo przed przybyciem Bootha Watsona – stwierdził William. – Ten człowiek gotów jest znaleźć od ręki kilkanaście sposobów na uwolnienie swego chlebobdawcy.

– Omówmy jeszcze raz ramy czasowe operacji – zaproponował Juan. – Wyjeżdżamy stąd o północy, więc gdy dotrzemy na miejsce, większość personelu w domu Faulknera będzie smacznie spać.

– Większość, ale nie ochrona – wtrącił William.

– Ochroniarzy jest w sumie sześciu – odparł Juan. – Pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, podzieleni na ośmiogodzinne zmiany. Tylko jedna para będzie więc patrolować teren między dwudziestą drugą a szóstą rano. Wiemy, że pełny obchód wokół domu zabiera im czternaście minut oraz że mniej więcej o drugiej nad ranem mają kwadrans przerwy.

– Skąd wzięłeś tak cenne dane? – zainteresował się Ross.

– Jeden z moich ludzi nie może się zdecydować, czy chce być ogrodnikiem, czy policjantem, więc przez ostatnie trzy tygodnie był i jednym, i drugim.

Nieczęsto się zdarzało, by na twarzy Rossa pojawił się wyraz uznania.

– W porządku – odezwał się William. – Omówmy plan po raz ostatni. Juan, nie wahaj się pytać nawet o najdrobniejsze szczegóły, jeśli tylko będziesz miał jakieś wątpliwości. Bo jedno jest pewne: nie będziemy mieli trzeciej szansy. – Wydawało mu się, że coś podobnego muszą czuć himalaiści szykujący się do wejścia na Everest. Zaplanował ekspedycję i był gotów poprowadzić grupę do bazy, a wtedy Ross, lider zespołu wspinaczkowego, miał przejąć pałeczkę i poprowadzić ludzi na sam szczyt – w tym wypadku do otwartego okna na czwartym piętrze rezydencji. William miał ponownie objąć dowodzenie dopiero po tym, jak zespół dostałby się do wnętrza budynku.

Gdy ostatnie omówienie planu dobiegło końca i wszyscy znali na pamięć swoje role, pozwolili sobie na przerwę, ale prawie nie tknęli posiłku, gdyż podniecenie zbliżającą się akcją, napędzane adrenaliną, okazało się silniejsze.

Wreszcie przebrali się w stroje pasujące bardziej przestępcom niż stróżom prawa: czarne koszulki bez rękawów, czarne dresy, czarne skarpetki i czarne buty sportowe, w których nawet sznurowadła były czarne.

– Na to się nie zgodzę – zastrzegł Juan, zobaczywszy kaburę z pistoletem ukrytą dotąd pod marynarką Rossa. – Mój szef wyraził się jasno: żadnej broni palnej podczas tej operacji.

– Mam nadzieję, że równie jasno poinformował o tym ochroniarzy Faulknera – odparł Ross.

– Nie sprawią nam kłopotu, gdy się zorientują, że jesteśmy policjantami – stwierdził z przekonaniem Juan.

– Jasne – mruknął Ross. – Powiesz im, kim jesteśmy, a oni grzecznie podniosą ręce, mówiąc: „Trafiony, zatopiony, szefie!”.

– Detektywie Hogan – rzekł ostrym tonem William. – Nie wolno nam zapominać, że jesteśmy gośćmi w tym kraju, a powodzenie tej operacji zależy w stu procentach od współpracy z miejscową policją.

– Tak jest. – Ross niechętnie oddał pistolet Sanchezowi. I tylko niemałym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie dopowiedzieć: „W takim razie będę musiał go udusić gołymi rękami, czyż nie?”.

Kolejne pół godziny spędzili, spacerując po pokoju niczym dzikie zwierzęta w klatce, rozpaczliwie szukające drogi do wolności – zwłaszcza Ross, który nie zamierzał trzymać się scenariusza, gdy wydarzenia nabiorą tempa.

– W drogę – rzekł wreszcie Juan, gdy pierwszy z kilku okolicznych zegarów kościelnych wybił północ, przypominając Williamowi przy okazji, że znajduje się w katolickim kraju.

Ten sam nieoznakowany czarny samochód już na nich czekał na ulicy przed domem. Wsiedli doń w milczeniu, a w drodze do celu po prostu wyczekiwali, bo nie było już żadnych szczegółów planu, które musieliby omówić.

Na węźle numer dziewięć kierowca zjechał z autostrady, a po kolejnych kilku milach zjechał na pobocze drogi. Trzej mężczyźni w czarnych strojach wysiedli z wozu i bez słowa obserwowali, jak szofer nawraca. Po chwili zostali sami.

William obliczył, że pieszo i w ciemnościach potrzebują mniej więcej czterdziestu minut, żeby pokonać trzy mile dzielące ich od skraju lasu. Stał na czele trzyosobowego zespołu, rolę tylnej straży powierzwszy Rossowi. Maszerując wąską drogą, skupiali się na wykrywaniu potencjalnych zagrożeń. Raz tylko wystraszony zając przystanął, żeby przyjrzeć się intruzom, a sowa nie umiała powstrzymać się od komentarza.

Gdy wypiętrzyła się przed nimi zwarta zapora lasu, William uniósł dłoń – był to sygnał dla Rossa, by wysunął się na czoło. Hogan tak też uczynił, pospiesznie wyjmując z plecaka kamerę wideo zmodyfikowaną przez NP. Włączył ją i ostrożnie wszedł w gęstwinię. Teraz posuwali się niespiesznie, krok za krokiem, niczym żołnierze podczas bardzo powolnego przemarszu, świadomi, że wystarczy raz nieostrożnie postawić stopę, by aktywować alarm i oświetlenie posesji, tym samym dając Faulknerowi dość czasu na ucieczkę.

Pokonanie długiej, krętej trasy wyznaczonej przez czujniki zintegrowane z kamerą zajęło im niemal godzinę. Gdy dotarli do rzeczki, ostrożnie przeszli po



moście i wkrótce potem ujrzeli groźną sylwetę budynku z szarego kamienia, w blasku księżyca wyraźnie odcinającą się na tle nocnego nieba.

W chwili, gdy mieli wyjść spośród drzew, Ross wykonał stanowczy gest ręką i w mgnieniu oka cofnęli się w mrok. Dwaj ochroniarze patrolowali północną część posesji. Szerokie snopy światła z ich latarek zataczały rytmicznie kręgi po pustych trawnikach.

Ross śledził każdy ich krok, póki nie skręcili w lewo przy zachodnim narożniku rezydencji i nie zniknęli mu z oczu. Dzięki Juanowi wiedział dokładnie, kiedy można spodziewać się ich powrotu. W milczeniu wskazał na kępę krzewów, mniej więcej pięćdziesiąt jardów od budynku, jak pamiętał, zaznaczoną na planie przez skrupulatnego policjanta-ogrodnika. Ruszyli w jej stronę, tym razem pełzając w trawie, i szczęśliwie dotarli do celu w chwili, gdy ochroniarze znowu wychynęli zza węgła. Przeszli tak blisko, że nawet mimo ciemności Ross widział doskonale, że są uzbrojeni. Z ust jednego z nich zwisał papieros. Za coś takiego pułkownik Parker postawiłby go do raportu i na dłuższy czas zatrzymał w koszarach.

Ross zwrócił uwagę, że bardzo starannie pilnują swej marszruty, by nie aktywować przypadkowo systemu alarmowego i nie obudzić właściciela. Wiedział w przybliżeniu, ile mają czasu, by dotrzeć do kuchennych drzwi, gdzie mogli się ukryć u podnóża schodów i przeczekać kolejny powrót nocnej straży, a następnie spróbować dostać się do domu. Musieli pobiec ścieżką wydeptaną na trawniku, świadomi, że zostało im niewiele sekund – gdyby ochroniarze zjawili się zbyt wcześnie, przyłapałiby trio nieproszonych gości niczym króliki zastygłe w blasku samochodowych reflektorów.

Na szczęście raz jeszcze przeszli obok w błogiej nieświadomości, a wtedy Ross, William i Juan puścili się biegiem w stronę budynku. Doskonale wiedzieli, gdzie muszą się zatrzymać: zarys kuchennych schodów wrył im się w pamięć, gdy w policyjnej kryjówce analizowali makietę budynku. Teraz jednak do mety mieli jeszcze daleko. Zbiegli po stopniach w dół i przycupnęli przy drzwiach opatrzonych napisem „Entrada de servicio”.

William wstrzymał oddech, nasłuchując bicia własnego serca. Tempo nie przekroczyło siedemdziesięciu dwóch uderzeń na minutę, nawet gdy ochroniarze przechodzili o kilka stóp nad nimi, by znowu zniknąć za rogiem budynku.

Kolejnym etapem była drabina pożarowa. Ross zadarł głowę i z ulgą spostrzegł, że jedno z trzech okien, które na planie były zaznaczone czerwonymi krzyżykami, jest otwarte. Zbliżając się do drabinki, nie musiał się oglądać; dwa

czarno odziane ogary, które towarzyszyły mu w tej obławie, podążały za nim krok w krok.

Chwycił się mocno żelaznych płaskowników i zaczął wspinać z wprawą doświadczonego włamywacza. William i Juan, choć nie tak sprawni, trzymali się o kilka szczebli za nim.

Na wysokości czwartego piętra Ross oparł stopę na parapecie, płynnym ruchem przeniósł ciało ku otwartemu oknu i wylądował bezszelestnie na drewnianej podłodze. Jego spojrzenie niemal od razu zatrzymało się na łóżku stojącym w głębi pokoju. Spała w nim spokojnym snem młoda kobieta. Zaraz przyśni się jej mały koszmar, pomyślał Ross, zbliżając się do niej ostrożnie.

William właśnie przestępował nad podokiennikiem, gdy Ross dociskał dłoń do ust śpiącej. Światło księżyca było dość wątle, lecz mimo to widział wyraźnie przerażenie w jej oczach i to, jak jej ciało drży w niekontrolowany sposób.

Juan, który z dość głośnym tąpnięciem wylądował na podłodze, natychmiast podbiegł do łóżka i przemówił do młodej kobiety w jej ojczystej mowie. Przestała się trząść, najwyraźniej uspokojona jego słowami. Skinęła głową, gdy Ross dał sygnał, że zaraz odłoni jej usta, a potem milczała, zapewne dlatego, że Juan obiecał jej bezpieczeństwo, jeśli to zrobi. Ross wolał jednak nie ryzykować. Spętał jej nadgarstki i kostki, William zaś mocno ją zakneblował kłębkami jej własnych rajstop.

Juan wrócił do okna i wyjrzał zza firanki. Dwaj ochroniarze znowu się zbliżali, oświetlając latarkami niemal wszystko – ale nie dom. Gdy zniknęli mu z oczu, dołączył do Williama i Rossa u drzwi. William uchylił je ostrożnie o kilka cali i odczekał, zanim wystawił głowę na cichy, nieoświetlony korytarz. Nie zobaczył nikogo. Bezszelestnie zamknąwszy za sobą drzwi, trzech policjanci skręcili w prawo i wkrótce byli już u szczytu schodów.

William sprowadził ich na dół po stopniach okrytych miękką wykładziną, choć nie musiał zbytnio się wczuwać w rolę przewodnika – znali ten dom jak własny. Zatrzymali się dopiero na pierwszym piętrze, w holu przy głównej sypialni. Teraz Ross zostawił towarzyszy i po marmurowych schodach zbiegł na parter.

Posuwając się wolno, na palcach, William nie zwracał najmniejszej uwagi na wspaniałe obrazy zdobiące ściany. Zatrzymał się z Juanem tylko na chwilę, po czym położył dłoń na gałce. Przekręcił ją wolno i bezdźwięcznie – drzwi nie były zamknięte na klucz. Pchnął je lekko, lecz gdy przekroczył próg, rozległo się ogłuszające wycie syreny alarmowej. Na całej posesji włączyły się potężne halogenowe reflektory, zalewając blaskiem nawet wnętrze domu. William

włączył światło w sypialni i spojrzał na wielkie, puste łóżce, w którym ostatnio nikt nie spał. Faulkner najwyraźniej przewidział Plan A. Juan już rozmawiał przez radio z ludźmi ze swego oddziału.

Tymczasem w gabinecie na parterze Faulkner wyskoczył z polowego łóżka w chwili, gdy włączył się alarm. Nie zmartwił się zbyt, słysząc głośnie kroki na marmurowej podłodze korytarza. Miał wystarczająco dużo czasu. Podeszedł do metalowych drzwi i stuknął palcem w tarczę zegarka, z którym się nie rozstawał. Gdy się rozświetliła, wpisał 03 43 – pierwsze cztery cyfry kodu. Gdy dodał jeszcze 09 88 – miesiąc i rok – usłyszał, że ktoś przekręca klucz w drzwiach gabinetu. Jak to możliwe? Nie zastanawiając się nad tym zbyt długo, wskoczył do kryjówki w tym samym momencie, w którym Ross wreszcie sforsował drzwi i wbiegł do pokoju.

Zabrakło mu jednego kroku, by zdążyć. Faulkner z hukiem domknął masywne drzwi i odetchnął z ulgą, słysząc szcęk zamykających się zasuw.

Ross właśnie miał stuknąć palcem w tarczę swojego zegarka i wpisać kod otwierający drzwi sejf, gdy usłyszał odgłos szybkich kroków dobiegający z korytarza. Zmienił zdanie. Uśmiechnął się i postanowił, że zaczeka na Chórzystę i porucznika Sancheza, zanim dokona ceremonii otwarcia.

Faulkner też się uśmiechał, przekonany, że czas działa teraz na jego korzyść. Booth Watson miał dotrzeć na miejsce tego ranka, a jeśliby intruzi jeszcze nie wynieśli się z rezydencji, jeden telefon od hiszpańskiej adwokatkę powinien wystarczyć. Co ważniejsze, z pewnością nie wiedzieli o tym, że generał Franco rozkazał wydrążyć tunel łączący podziemny gabinet z podnóżem klifu, gdzie w niewielkiej zatoczce z powodzeniem mógł zacumować jacht. Tym razem kapitan miał zabrać Milesa w rejs do kraju, którego nie łączy z Wielką Brytanią umowa o ekstradycji.

Dotknął tarczy zegarka, by sprawdzić godzinę. 03.45. Ten kod miał mu otworzyć wewnętrzne drzwi, a tym samym drogę do wolności, do nowego świata. System działał tu jednak odwrotnie: najpierw należało podać rok, potem miesiąc, a na końcu godzinę i minutę, która właśnie się zmieniła na 46. Musiał więc chwilę poczekać z wpisaniem nowego szyfru. Wreszcie tarcza przygasła i mógł dotknąć jej ponownie, tym samym inicjując kolejny cykl operacji. Tak też uczynił, lecz gdy wpisał 88, tarcza znowu zamigotała i zgasła. Stuknął jeszcze raz – i zdążył dojść jedynie do 03, bo ekran znowu się wyłączył. Dotknął jej po raz trzeci, lecz więcej się nie rozjarzyła. Zirykowany, stukał w nią palcem raz po

raz, ale bezskutecznie. Wreszcie zdjął zegarek i potrząsnął nim gwałtownie – bez rezultatu. Bateria była rozładowana.

Zdyszany William wbiegł do gabinetu Faulknera i ujrzał inspektora Hogana wpatrzonemu w zamknięte stalowe drzwi.

– Nie zdążyłem – oznajmił Ross.

William zaklął siarczyście. Do gabinetu wbiegł Juan Sanchez.

– Moi chłopcy otoczyli budynek i w tej chwili zgarniają ochroniarzy – zameldował niemal bez tchu. – Nie wydostanie się.

– A my nie dostaniemy się do środka – odparł William, spoglądając na metalowe wrota.

Ross bez słowa podciągnął lewy rękaw dresu i dotknął tarczy zegarka, która natychmiast rozbłysła.

Zerknął na cyfry – 03 48 – i już miał wpisać kod, gdy do gabinetu spokojnym krokiem wszedł Collins, ubrany we frak, prążkowane spodnie, białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i szary jedwabny krawat.

– Dzień dobry panom – powiedział. – Obawiam się, że pan Sartona jeszcze nie wrócił z podróży w interesach. Jeśli mogę w czymś panom pomóc, bardzo proszę, wystarczy powiedzieć.

Ross odwrócił się gwałtownie z zaciśniętymi pięściami. Ruszył wprost na lokaja, lecz Juan czym prędzej zastąpił mu drogę. Udało mu się na tyle, że Ross mógł jedynie obrzucić Collinsa stekiem obelg, które służący przyjął z głęboką obojętnością.

– Milczeć! – krzyknął nagle William. Podszedł do metalowych drzwi, ukłęknął i przycisnął ucho do zimnej płyty.

Puk.

Wyteżyli słuch, by wychwycić cichutki dźwięk, który powtórzył się po kilku sekundach.

Puk, puk...

– Mój Boże – odezwał się Collins. Fasada, za którą skrywał emocje, wreszcie legła w gruzach. – Pan Faulkner zamknął się w środku.

– Więc, na miłość boską, powiedz nam, jak go stamtąd wydostać – odpowiedział Juan. – Zanim będzie za późno.

– Ale ja nie wiem – wyznał lokaj. – Tylko on ma specjalny zegarek.

Ross uśmiechnął się.

Puk, puk, puk...

– Musi gdzieś być zapasowy – naciskał Juan.

– Ale nie ma – uciął lokaj. – A jedyną osobą, która wie, kto zainstalował ten system, jest prawnik pana Faulknera, pan Booth Watson. Nie spodziewamy się go tutaj wcześniej niż o dwunastej.

Puk, puk, puk...

W milczeniu spoglądali na stalowe drzwi.

– Ciekawe, jak długo może tam przeżyć – rzekł William, jakby do siebie.

Puk... puk...

– Cztery, najwyżej pięć godzin – ocenił Ross, dyskretnie opuszczając rękaw dresu tak, by zasłonić nadgarstek.

Puk...

Puk...

Puk.

– Trzeba wezwać specjalistę – zarządził William, zwracając się do Juana – jeśli chcemy go stamtąd uwolnić, zanim się udusi.

– To nie takie proste – odparł Juan. – Señora Martinez zdobyła nakaz sądowy i teraz nikt oprócz Faulknera i jego adwokata nie ma prawa tknąć tych drzwi.

– W takim razie dzwoni do niej natychmiast – nie ustępował William. – Wyjaśnij, co się stało, i jakie będą konsekwencje tego, że „nie tkniemy tych drzwi”.

– Nie zastanę jej w kancelarii wcześniej niż o dziewiątej, a wtedy będzie już za późno – odpowiedział Juan.

– Collins na pewno zna jej prywatny numer – stwierdził William, rozglądając się, ale lokaj zdążył się ulotnić.

– Gdzie on się podział, u diabła? – odezwał się Ross i w tym momencie zapaliła się czerwona lampka na telefonie stojącym na biurku Faulknera.

– Jak zwykle jest o krok przed nami – zauważył Juan. – Jakie to szczęście, że Faulkner nie ufa nikomu – dodał, po czym przycisnął palec do ust i włączył głośnik telefonu.

– Co ty sobie wyobrażasz, Collins? Dlaczego budzisz mnie o takiej porze? – wymamrotał gniewny głos, który William natychmiast rozpoznał.

– Bardzo mi przykro, sir, że niepokoję – odpowiedział lokaj – ale pan Faulkner zatrzasnął się w sejfie i nie ma sposobu, żeby go stamtąd wydostać.

– Dzwoni do Isobel Martinez – rozkazał Booth Watson, nagle zupełnie przytomny. – Niech natychmiast znieś nakaz sądowy. Potem wezwij straż pożarną, niech przywiozą sprzęt do wywiercenia otworu w drzwiach. Będzie mógł przynajmniej oddychać, więc zyskamy na czasie. A w ogóle to co on tam robi, do ciężkiej cholery?

– Inspektor Warwick, porucznik Sanchez i jeszcze jeden policjant weszli do rezydencji w środku nocy.

– Bez wątpienia inspektor Hogan – mruknął Booth Watson. – Señora Martinez będzie musiała się nimi zająć. Powiedz jej, że przylecę do Barcelony najbliższym samolotem.

– Będę musiał wrócić do gabinetu i wziąć jej numer z notesu szefa – odpowiedział Collins. – Co mam powiedzieć Warwickowi, jeśli...

– Powiedz, że chcesz zadzwonić do swojej prawniczki. Tego nie mogą ci zabronić – stwierdził Booth Watson, po czym rzucił słuchawkę na widełki i zwlókł się z łóżka.

– Ja mogę go stamtąd wyciągnąć – powiedział Ross, spoglądając na drzwi – ale nie w obecności Collinsa – dodał, nie wchodząc w szczegóły, lokaj bowiem właśnie wszedł do gabinetu i ruszył w stronę biurka swego pana.

Sanchez natychmiast zastąpił mu drogę.

– Panie Collins, jest pan aresztowany.

– Pod jakim zarzutem?

– Utrudniania działań policji – odparł gładko Sanchez. Dwaj mundurowi chwycili lokaja pod ramiona. – Zabierzcie go na posterunek i trzymajcie pod kluczem. Niech z nikim nie rozmawia, póki nie przyjadę.

– Mam prawo zadzwonić do adwokata – zaprotestował Collins. – Takie jest prawo!

– Już pan z niego skorzystał – odparował Juan.

Dwaj funkcjonariusze wyprowadzili Collinsa na korytarz.

William zaczekał, aż zamkną się drzwi gabinetu, po czym rzekł:

– Powiedz mi, Ross, jak zamierzasz otworzyć te drzwi?

– Wszystko w swoim czasie – odparł Ross, przeglądając należący do Faulknera notes z numerami telefonów. Szybko znalazł nazwisko, którego szukał, i wybrał numer.

– Kto mówi? – odezwał się senny głos.

– Prywatny sekretarz pana Faulknera. Szef prosił, żebym poinformował pana o zmianie planów. Jest chory... na szczęście to nic poważnego... i chce jak najszybciej wrócić do Londynu, żeby zobaczyć się ze swoim lekarzem. Ile czasu pan potrzebuje, żeby przygotować samolot do startu?

– Wystarczą dwie godziny, może trzy – odpowiedział już przytomny głos. – Natychmiast powiadomię załogę, ale godzina odlotu będzie zależała przede wszystkim od władz lotniska w Londynie.

– Proszę im powiedzieć, że to gardłowa sprawa – polecił Ross. – Spotkamy się na lotnisku.

– Zrozumiałem – odpowiedział pilot i wstał z łóżka, zanim Ross zdążył odłożyć słuchawkę.

– To ten zegarek, prawda? – spytał William, przypomniawszy sobie o anonimowo czarnej tarczy, którą zauważył w miejscu roleksa od Jo.

Ross się uśmiechnął.

– Skoro z Collinsem mamy już spokój, uwolnię Faulknera, zabierzemy go na lotnisko i polecimy do Londynu jego własnym samolotem.

– To porwanie – zauważył William. – Może nie pamiętasz, ale porwania są nielegalne, w obu krajach.

– Nie zapominaj, szefie – odparł Ross – że Faulkner prosił o wizytę u lekarza. Pamiętam wyraźnie, że wspomniał o Harley Street.

– Władze hiszpańskie na pewno nie wystąpią o ekstradycję. Nie jest nam potrzebny – zauważył przytomnie Juan.

– Tym sposobem będziemy go mieli pod kluczem w Pentonville, zanim Booth Watson wyląduje w Barcelonie – dorzucił Ross.

– Nadal nie jestem pewny, czy...

– Jasne, że nie jesteś, Chórzysto, ale jak sam mi niedawno przypomniałeś, nie jesteśmy w Battersea, tylko w Barcelonie, więc decyzja nie należy do ciebie.

Niemal jednocześnie odwrócili się w stronę Juana, który bez słowa skinął głową.

Ross uniósł rękę, podciągnął rękaw i wpisał na tarczy zegarka ciąg cyfr: 04 11 09 88.

Umysł Bootha Watsona działał na najwyższych obrotach, zanim jeszcze z prysznica trysnęła woda. Nie czekał, aż strumienie nabiorą odpowiedniej temperatury; w tej chwili liczyło się planowanie. Czy powinien najpierw pójść do kancelarii i zadzwonić do Isobel Martinez, zanim pojedzie na lotnisko? Nie był nawet pewny, czy ma w biurze jej domowy numer. Postanowił, że zaufa Collinsowi – niech lokaj ją odnajdzie i wykona instrukcje, podczas gdy on uda się od razu na Heathrow i tak, jak zapowiedział, najbliższym lotem przybędzie do Barcelony.

Wytań się i włożył czystą koszulę oraz wczorajszy garnitur i krawat, rozmyślając o przekłętym Warwicku, który nigdy nie dawał za wygraną. Ubrawszy się, Booth Watson zszedł do gabinetu, wziął neseser i włożył płaszcz. Przed drzwiami frontowymi powitało go rześkie powietrze chłodnego poranka.

Zamknął za sobą dwa zamki, stanął na chodniku i przez dłuższą chwilę czekał, nim w oddali wypatrył świecący napis TAXI.

Nieoznakowany wóz policyjny zatrzymał się przed prywatnym wjazdem na teren portu lotniczego. Gdy pojawił się strażnik, porucznik Sanchez pokazał mu swą legitymację. Mężczyzna zasalutował, właściwie nie zwracając uwagi na trzy osoby siedzące na tylnej kanapie samochodu, po czym dał znak kierowcy, że droga wolna.

Pojechali w kierunku długiego rzędu prywatnych samolotów, z których jeden właśnie tankował paliwo. Rozłożone schodki świadczyły o tym, że załoga spodziewa się przybycia właściciela.

William i Ross pomogli Faulknerowi wysiąść z wozu. Stąpił niepewnie – wciąż jeszcze nie pozbył się po trzech stresujących godzinach spędzonych w sejfie. Razem wprowadzili go po stopniach na pokład samolotu. Pilot czekał u drzwi i nawet nie próbował ukryć zaskoczenia na widok trzech nieznajomych w czerni, którzy towarzyszyli jego szefowi.

– Niech pan spojrzy, w jakim on jest stanie – zatroskany zwrócił się do Sancheza. – Nie lepiej byłoby odstawić go do miejscowego szpitala?

Istotnie, bez pomocy Faulkner raczej nie dałby rady wejść na pokład.

– Zgadza się z panem całkowicie – odrzekł Juan – więc jeśli chce mu pan to powiedzieć, to proszę bardzo.

– Jeśli on nie przeżyje lotu do Londynu, to pan będzie miał go na sumieniu.

– Może i masz rację, kolego – mruknął Juan, spoglądając za pilotem, który pospiesznie wrócił do kokpitu. Zanim wysiadł, serdecznie uścisnął dłoń Williama.

Ross ułożył Faulknera w wygodnym skórzanym fotelu i przypiął go pasem. William tymczasem umieścił w schowku na bagaż podręczny niewielką paczkę, po czym obaj zajęli miejsca obok zatrzymanego. Stewardzi zatrzasnęli drzwi samolotu, który chwilę później pokołował w stronę południowego pasa startowego.

– Szlag – mruknął Booth Watson, gdy taksówka zatrzymała się przy nim. – Szlag – powtórzył, nim powiedział kierowcy, że zapomniał paszportu i wróci za chwilę.

Taksówkarz tylko się uśmiechnął. Daleki kurs na Heathrow z trzeźwym klientem zwykle nie przytrafiał mu się o tak wczesnej porze.



Otwierając drzwi domu, Booth Watson próbował sobie przypomnieć, czy aby nie zostawił paszportu w kancelarii. Niemal biegiem wpadł do gabinetu. Kolejne słowo, które wypowiedział, również miało pięć liter, ale w ogóle nie brzmiało jak „szlag”.

Gdy samolot osiągnął pułap przelotowy, William podniósł słuchawkę telefonu wmontowanego w podłokietnik fotela i zadzwonił na numer domowy Danny’ego.

– Zasuważ na Heathrow – rozkazał, zanim Danny zdążył się odezwać.

– Który terminal, sir?

– Numer jeden, plac parkingowy dla prywatnych samolotów. Powinniśmy tam być o... – spojrzał na zegarek –...mniej więcej o piątej.

– Taksówka czy wóz patrolowy?

– Wóz patrolowy – odparł William. – Nie zawiozę Faulknera do więzienia taksówką.

Rozłączywszy się, spojrzał na zatrzymanego, który wyglądał tak, jakby właśnie budził się z głębokiego snu.

– Który z nas zawiadomi komendanta? – spytał niewinnie Ross.

– Ja to zrobię – odpowiedział William. – Ale dopiero wtedy, gdy Faulkner będzie za kratkami.

Gdy Booth Watson wysiadł z taksówki na Heathrow, od razu pobiegł do hali i stanął przed tablicą odlotów. Na najbliższy lot do Barcelony musiał poczekać czterdzieści minut.

Przy kontuarze Iberii usłyszał od dysponentki, że wolne jest tylko jedno miejsce, w ogonie maszyny. Niechętnie podał jej kartę kredytową, boleśnie świadom, że nie może po prostu poczekać i jak człowiek polecieć pierwszą klasą, lotem BA.

Gdy zajął miejsce w tylnej części samolotu, spróbował skupić się na problemach, których spodziewał się na miejscu, w Barcelonie, ale sąsiedztwo matki z wrzeszczącym dzieckiem po jednej stronie oraz mężczyzny z drugiej – który usiłował dyskutować z kimś na odległość o tym, czy Arsenal powinien zwolnić menedżera – sprawiło, że było to niemożliwe.

– Gdzie ja jestem? – spytał całkiem trzeźwy już głos, gdy odrzutowiec Gulfstream przyziemił na Heathrow i pomknął ku końcowi pasa startowego.

– Tam, gdzie twoje miejsce – odpowiedział Ross i na tym poprzestał.

Gdy samolot wreszcie się zatrzymał, William wyrżał przez iluminator i z zadowoleniem stwierdził, że Danny już czeka, stojąc obok wozu policyjnego.

– Powstrzymajcie ich! Powstrzymajcie! – wrzeszczał Faulkner ile tchu w płucach, gdy podrywali go z fotela i bezceremonialnie popychali w stronę wyjścia.

Stewardesa podbiegła do drzwi kokpitu i załomotała w nie głośno, a tymczasem Faulkner, potknąwszy się na stopniach, niemal spadł na płytę lotniska, lecz Danny na czas chwycił go w ramiona niczym stęskniony kochanek. William i Ross natychmiast przyszli mu z pomocą i wpakowali Faulknera do wozu. Danny usiadł za kierownicą.

– Dzień dobry, sir – rzekł, spoglądając w lusterko. – Czy zaczekać i posłuchać, co mają do powiedzenia ci dwaj panowie?

William i Ross spojrzeli przez tylną szybę na pilota i przedstawiciela portu lotniczego, którzy biegli w ich stronę.

– Nie – odparł stanowczo William. – Ruszaj.

Danny nie potrzebował dodatkowej zachęty. Z włączonym kogutem i sygnałem dźwiękowym pomknęli w kierunku bramy.

Gdy dwie godziny później Booth Watson w końcu wylądował w Barcelonie, był zmuszony przypomnieć sobie, jak długo może trwać kolejny etap podróży, gdy nie korzysta się z pierwszej klasy. Stał w kolejce do wyjścia z samolotu, potem w kolejce do kontroli paszportowej, a następnie w kolejce do odprawy celnej, a gdy wreszcie przed terminalem przywitał go blask porannego słońca, musiał stać jeszcze w długiej kolejce czekających na taksówkę.

Kiedy nareszcie się doczekał, zajął miejsce z tyłu taksówki i spojrzął na zegarek. Najpierw zadał sobie pytanie, czy Miles jeszcze żyje. Zaraz potem zastanowił się, co zrobi, jeśli się okaże, że nie.

– Samolot Booth Watsona z Heathrow właśnie wylądował – powiedział Sanchez, odkładając słuchawkę. – Możecie zwolnić Collinsa i odwieźć go do domu. Postarajcie się, żeby dotarli na miejsce w tym samym czasie.

*Agente* otworzył drzwi celi i odstąpił o krok, przepuszczając zirytowanego aresztanta, który nawet nie tknął śniadania. Gdy Collins wspiął się po schodach, ujrzał porucznika Sancheza, który już na niego czekał. Spojrzął mu w oczy i rzekł:

– Jeśli on umrze, to będzie pańska wina.

Collins nie był pierwszą osobą, od której to usłyszał tego ranka, a podejrzewał, że gdy zamelduje o wszystkim swemu kapitanowi, może usłyszeć te same słowa po raz trzeci.

Faulkner nie przestawał protestować, gdy samochód opuszczał teren lotniska i włączał się do ruchu. William i Ross musieli użyć wszystkich sił, by nad nim zapanować. W końcu Ross postanowił zastosować niezawodny środek uspokajający: z rozmachem wbił łokieć w krocze zatrzymanego. Faulkner zgiął się w pół, ale jego protesty istotnie zamieniły się w coś na kształt cichego skomlenia.

– Czy to było konieczne? – spytał William.

– Może nie, sir – odpowiedział słuźbiście Ross – ale miałem powody podejrzewać, że zatrzymany chce pana zaatakować.

William odwrócił głowę, by nie pokazać rozbawienia.

Faulkner doszedł do siebie mniej więcej w chwili, gdy Danny – wciąż na sygnale – skręcał w Pentonville Road. Masywna drewniana brama więzienia otworzyła się przed nimi niespiesznie.

– Popełniacie straszliwy błąd – wycedził Faulkner. – Jestem kapitanem marynarki wojennej, nazywam się Ralph Neville.

– A ja słuźbnicą Zgromadzenia Misjonarek Miłości, nazywam się Matka Teresa – odparował Ross.

Tym razem William po prostu się roześmiał i długo nie mógł przestać.

Danny minął bramę i zatrzymał wóz przy komitecie powitalnym, z którego wystąpił naczelnik więzienia.

– Witaj w domu, 0249 – powiedział, gdy zatrzymanego wyciągano z wozu. – Obawiam się, że twoja dawna cela jest zajęta, ale znaleźliśmy ci większą. Będziesz miał parkę współlokatorów odsiadujących dożywocie. Jeden zamordował matkę, a drugi jest amatorem heroiny i nie może spać po nocach, biedaczysko. No, ale na swojej najwyższej pryczy pewnie będziesz bezpieczny. – Uśmiechnął się ciepło do Faulknera i dodał: – Dziękuj Bogu, że nie trafisz do karceru, ale daj znać, gdybyś jednak wolał.

– Żądam rozmowy z moim adwokatem.

– Obawiam się, że w tej chwili nie ma go w kraju – odparł William. Dwaj strażnicy więzienni chwycili Faulknera pod ramiona i poprowadzili w stronę skrzydła o zwiększonym rygorze. – Ale na pewno go zawiadomię, gdy tylko wróci.

Collins wysiadł z wozu policyjnego w chwili, gdy przez bramę rezydencji przejeżdżała taksówka.

– Wyprowadziłeś go z kryjówki na czas? – spytał natychmiast Booth Watson, wyskakując z samochodu.

– Właśnie miałem dzwonić do señory Martinez, ale zauważyłem, że pan podjeżdża.

– Przecież kazałem ci to zrobić wiele godzin temu! – pieklił się Booth Watson, czekając, aż lokaj otworzy drzwi domu.

– I zrobiłbym to wiele godzin temu – odrzekł Collins – gdyby Sanchez mnie nie aresztował pod bzdurnym zarzutem. Dopiero wróciłem... to była oczywista ustawka.

– W takim razie nie mamy ani chwili do stracenia – ocenił Booth Watson.

Collins wbiegł do domu i pognał korytarzem, zatrzymując się dopiero u drzwi gabinetu. Zaczekał chwilę, aż dołączy do niego zdyszany adwokat, po czym razem przestąpili próg. Trudno było nie zauważyć, że stalowe drzwi wciąż są szczelnie zamknięte. Lokaj podszedł prędko do biurka szefa i zaczął przeglądać notes z telefonami.

– Długo tam siedzi? – spytał Booth Watson, wskazując na drzwi.

– Ponad cztery godziny – odparł Collins. – Może jeszcze zdołamy go uratować, ale musimy działać szybko.

Właśnie zaczął wybierać numer hiszpańskiej adwokatki Faulknera, gdy Booth Watson spytał:

– Jakie polecenia wydał pan Faulkner, zanim pojawili się policjanci?

– Kazał mi spakować wszystkie obrazy i załadować na jacht, który przypłynie dziś wieczorem.

– W takim razie musisz zająć się wykonaniem jego woli, a ja porozmawiam z señorą Martinez.

Lokaj niechętnie oddał mu słuchawkę.

– Jeżeli ktoś cię kiedyś spyta, Collins, to powiesz, że pan Faulkner zmarł w Szwajcarii w zeszłym roku i tam został skremowany. Ja to potwierdzę, ponieważ brałem udział w jego pogrzebie, zresztą podobnie jak inspektor Warwick.

– Kancelaria señory Martinez – odezwał się głos w słuchawce, gdy Collins zamykał za sobą drzwi.

Booth Watson po cichu zakończył połączenie.

– Kazałem informować mnie o wszystkich planach, inspektorze – zadudnił komendant. – O wszystkich, tak powiedziałem.

– Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli nie obudzę pana w środku nocy, sir – odparł bardzo nieprzekonująco William.

– To się myliłeś, inspektorze. Obaj zameldujecie się natychmiast w moim biurze. Natychmiast! – powtórzył Jastrząb, zanim rzucił słuchawkę.

Jego żona odwróciła się na drugi bok, zamrugała parę razy i spojrzała uważnie na męża, który właśnie wstawał z łóżka.

– Z czego tak się cieszysz? – spytała, ale on już zamknął za sobą drzwi łazienki.

Jastrząb zacisnął pięść i przez chwilę boksował powietrze, nie przestając się uśmiechać.

# PODZIĘKOWANIA

Wyrazy wdzięczności za bezcenne rady i informacje niech przyjmą:  
Simon Bainbridge, Michael Benmore, radca królewski Jonathan Caplan, Kate Elton, Alison Prince oraz Johnny Van Haeften.

Specjalne podziękowania otrzymują:  
detektyw sierżant Michelle Roycroft (w stanie spoczynku), nadinspektor John Sutherland (w stanie spoczynku) oraz starsza inspektor Jackie Malton (w stanie spoczynku).

Tego autora również:

ALE TO NIE WSZYSTKO  
CO DO GROSZA  
CÓRKA MARNOTRAWNA  
CZY POWIEMY PANI PREZYDENT?  
DZIEŁO PRZYPADKU  
DZIENNIKI WIĘZIENNE  
FAŁSZYWE WRAŻENIE  
I TAK WYGRASZ  
JEDENASTE PRZYKAZANIE  
KANE I ABEL  
KOŁCZAN PEŁEN STRZAŁ  
KRÓTKO MÓWIĄC  
NA KOCIĄ ŁAPE  
PIERWSZY MIĘDZY RÓWNYMI  
SPRAWA HONORU  
STAN CZWARTY  
SYNOWIE FORTUNY  
ŚCIEŻKI CHWAŁY  
WIĘZIEŃ URODZENIA  
ZŁODZIEJSKI HONOR

CZAS POKAŻE  
ZA GRZECHY OJCA  
SEKRET NAJPILNIEJ STRZEŻONY  
OSTROŻNIE Z MARZENIAMI  
POTĘŻNIEJSZY OD MIECZA  
W GODZINIE PRÓBY  
TO BYŁ CZŁOWIEK!

a także:

EWANGELIA WEDŁUG JUDASZA

NIC BEZ RYZYKA  
UKRYTE NA WIDOKU  
PRZYMKNIEŃTE OKO SPRAWIEDLIWOŚCI

# Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

PODZIĘKOWANIA



Polecamy  
Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Over My Dead Body*

Copyright © 2021 Jeffrey Archer  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2022

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.

Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Projekt serii: Zbigniew Mielnik

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Urszula Gireń

Fotografia na okładce

© Mark Owen / Trevillion Images

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Po moim trupie*, wyd. I, Poznań 2023)

ISBN 978-83-8338-795-6

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**